KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/87-2/88 1955



• «La Culture» • Revue mensuelle •

NOWY ADRES "KULTURY"
(NOUVELLE ADRESSE DE "KULTURA")

91, AVENUE DE POISSY
MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Janvier-Février 1955

INSTYTUT



LITERACKI

S. † P.

JERZY PRĄDZYŃSKI

były korespondent „Kultury" w Berlinie,
zmarł po ciężkich cierpieniach w Londynie w dniu 28 listopada 1954 r.
przeżywszy lat 46.

Redakcja „KULTURY"

KOMUNIKATY

NAGRODA LITERACKA „KULTURY"

W następnym, marcowym numerze (3/89) podamy wyniki pracy jury Nagrody. Przypominamy jednocześnie, że nagroda „Kultury" jest nagrodą ***stałą*** przyznawaną ***corocznie***. Termin nadsyłania prac w bieżącym roku upływa dnia 31 października.

◆

ANKIETA „KULTURY"

Termin nadsyłania odpowiedzi na ankietę „Kultury": „Czy przemiany w Polsce są odwracalne" upływa 1-go kwietnia br. Kwestionariusz i warunki ankiety były ogłoszone w numerze grudniowym (12/86).

◆

„SŁOWO O BITWIE"

Dowiadujemy się, że powieść Janusza Jasieńczyka „Słowo o bitwie" została oddana do druku w pierwszych dniach grudnia i według zapewnień drukarni ma być gotowa w drugiej połowie lutego. W obrocie księgarskim książka, która liczyć będzie ponad 270 stron druku na dobrym papierze ukaże się w dwóch wersjach: w okładce kartonowej (broszurowana) w cenie 17/6 i w okładce płóciennej, sztywnej, w cenie 1 gwinei. Obie wersje posiadać będą trójbarwną artystyczną obwolutę projektu art. mal. Zygmunta Turkiewicza i zawierać portret autora ołówka prof. M. Szyszko-Bohusza. Już teraz zamówienia można kierować do firmy Chimera Booksellers (47(Earls Court Road, London, W.8., England), która „Słowo o bitwie" — wydane NAKŁADEM CZYTELNIKÓW — przyjmuje na skład główny.

Imprimé en France

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Piotr Strzelbicki, Lys-lez-Lannoy	1.000	frs
Tadeusz Zaleski, Paryż	3.000	"
K. Styczniewski, London (Kanada)	1.200	"
Roman Michoń, Cleveland (USA)	1.750	"
Ludwik Faryaszewski, Leopoldville (Congo)	14.000	"
S. Dobczyński, New York	1.400	"
W. Gortat, Manville. N. J. (USA)	1.750	"
Monika i Józef Fajans, Washington	1.000	"
Ks. K. Krutkowski, Wagoner, Okla (USA)	1.750	"
Witold Lipecki, Brooklyn (USA)	3.500	"
Ks. F. Gabryl, Kaufman, Texas (USA)	3.500	"
Frank Dragun, Detroit, Mich. (USA)	1.750	"
Jerzy Czechowski, Toronto (Kanada)	1.400	"
Ignacy Wygard, Meksyk	1.000	"
Adam Polowiec, Warragamba Dam. (Australia)	3.900	"
Aniela Kowalska, Toronto (Kanada)	1.000	"
Lew Szankowśkyj, Philadelphia (USA)	2.000	"
Tadeusz Szmitkowski, Fribourg (Szwajcaria)	1.000	"
Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej, Oddział na Stan Michigan (USA)	3.500	"
Dr Stefan Czekański, Arapongas (Brazylia)	1.000	"
S. Dziarczykowski, Los Angeles	3.500	"
Władysław J. Stankiewicz, Princetown, N. J. (USA)	2.100	"
Michel Rudź, Château-Renault	1.000	"
St. Woycicki (Anglia)	1.000	"
Z. Kłodziński (Anglia)	1.250	"
Mieczysław i Danuta Bornet, Toronto (Kanada)	5.000	"
Jerzy A. Pretti-Pavletta, Detroit (USA)	1.750	"
Zygmunt Sowa, Detroit	1.750	"
Jerzy Skiba-Piądłowski, Detroit	1.750	"
Ewaryst Raszkiewicz, Detroit	1.750	"
Halszka Poniatowska i Stanisław Vincenz (Szwajcaria), zamiast życzeń świątecznych	1.000	"
Z. R., Paryż	1.000	"
Dr Kazimierz Bartkowiak, Bern	1.000	"
The Polish Weekly „Straż", Scranton, Pa. (USA)	3.500	"

W. Heinrich, London	1.000
Dr W. Stefaniak, Zurich	1.000
F. T. Jordanowski, Chicago	1.000
Bezimiennie (USA)	1.400
Kazimierz Rasiej, Brooklyn, N. Y. (USA)	700
K. A. Rożankowski, Monachium	1.600
Anonimowo, Francja	700
Stanisław Zarzewski, Londyn	2.000
Elisabeth Godlewska, Kenosha, Wis. (USA)	1.400
Bob. Łoziński, New Haven, Conn. (USA)	1.750
Seweryn Palicki, Borlange (Szwecja)	1.000
Stanley Babula, Chicago	2.100
T. Łempicki, Toronto (Kanada)	4.000
Józef Pokorny, Montreal (Kanada)	2.000
Jan Głowacki, Rzym . . . lir	200
Anonimowo, podpis: Oracz morza — marynarz . . . kor. szw.	10
Redakcja „Quo Vadis", New York	3.500
Anna Kipper, Bogota (Columbia)	13.500
John Sibilski, San Francisco	3.500
„Cegiełka" pamięci poety Nuchima Bomzego od I. V.	1.750
K. N., Barcelona	1.000
Chór Polski B. Wysiedleńców im. M. K. Ogińskiego, Hempstead, L. I., N. Y. (USA)	1.900
Inż. Henryk Prus, Paryż	10.000
M. Górczewski, Toronto (Kanada)	1.400
K. Wierzbicki, Hamilton, Ont. (Kanada)	1.400
Vistula (Austr.) Pty, Ltd. Sydney	5.000
S. Bolen, Ascot Vale, Vic. (Australia)	1.200
A. Syriatowicz, Sydney	800
Józef Wittlin, New York	1.000
Ryszard Strupczewski, Paryż	1.000
Stanisław Janta-Połczyński, Tullins (Isère)	1.000
Dr Cz. Skotlewski, Londyn	2.000
J. K. Łopuszański, Toronto (Kanada)	1.750
Dr T. Kowalczyk, Madison, Wis. (USA)	1.750
Daniela Pankowska, Bruksela	1.000
H. R. Radomski, Toronto (Kanada)	9.300
Wincenty Bieńkowski, Utica, N. Y. (USA)	1.750
St. Zalewski, Montreal	700
Dr A. Richter, West End (Grand Bahama)	3.000

Kolonia Polska w Sao Paulo, w Brazylii, zorganizowała zbiórkę dom „Kultury" i zebrała łącznie kwotę 43.800 crs. Na sumę tę złożyły s dary niżej wymienionych osób: Stefan Neuding — 10.000 crs; Lucian Ko gold — 5.000 crs.; Izydor Kleinberger — 5.000 crs.; Adolf Felsen 2.000 crs.; Mieczysław Grabowski — 2.000 crs.; Tadeusz Rumpel 1.500 crs.; Janusz Niklewski — 1.000 crs.; Herman Pikelny — 1.0 crs.; Jan Litmanowicz — 1.000 crs.; Mirosław Szabuniewicz — 1.000 crs Ludwik Floksztrumpf — 1.000 crs.; Tadeusz Salski — 500 crs.; Anto Moszkowski — 500 crs.; Edward Mandelot — 500 crs.; Jerzy Sierad — 500 crs.; Mieczysław Rogatko — 500 crs.; Stefan Osser — 300 crs Bankowski — 300 crs.; Mieczysław Fularski — 1.000 crs.; Lubomirski 200 crs.; Lebson — 2.000 crs.; Roman Skowroński — 200 crs.; Andr S. Jordan — 500 crs.; L. Silberberg — 200 crs.; M. Czajkowski — 2

crs.; Jan Ciesielski — 500 crs.; Witold Stypułkowski — 200 crs.; Erwin Wieczorek — 200 crs.; Emil i Bożena Bader — 500 crs.; Stefan Krasuski — 500 crs.; Władysław Gano — 500 crs.; Aniela Ginsberg — 500 crs.; Wiesław Polakiewicz — 200 crs.; Helena Gaździcka — 100 crs.; Stefan Krotoszyński — 250 crs.; Czesław Sokulski — 500 crs. (Nazwisk pozostałych siedmiu osób, których podpisy figurują na nadesłanej nam liście, a które złożyły łącznie 2.000 crs. nie możemy odczytać. Podamy je w następnym numerze „Kultury").

DZIĘKUJEMY



DOM „KULTURY" ISTNIEJE. Został zakupiony, gdyż w przeciwnym razie groziło nam przerwanie pracy redakcyjnej i wydawniczej. Stało się to możliwe tylko dzięki pomocy naszych przyjaciół-czytelników. Otrzymujemy przekazy z pięciu kontynentów a również z morza — bo do tej kategorii należy zaliczyć dar marynarza, wysłany z Wysp Azorskich. Wszystkim tym, którzy odezwali się na nasz apel, składamy serdeczne podziękowanie. To doświadczenie jest dla nas szczególnie cenne: przekonaliśmy się, że wydając nasze pismo nawiązujemy łączność niemal rodzinną z mnóstwem ludzi, znanych nam najczęściej tylko z imienia i nazwiska, jeżeli są na liście naszych prenumeratorów, a nieraz zupełnie nam nieznanych. Stąd przekonanie, że znajdujemy życzliwość dla naszej pracy.

Fakt, że mogliśmy wejść w posiadanie domu przy obecnych zasobach gotówkowych, przypisać należy również niezwykle skutecznej, a wymagającej wiele bezinteresownie ofiarowanego czasu, pomocy dwóch osób, bez których nie dalibyśmy sobie rady: są to konstruktorzy budowlani Ignacy Sternbach i inż. architekt Józef Wetzstein, którzy dokonali wszystkich niezbędnych a kosztownych ekspertyz, przeprowadzili wprost za nas uciążliwe pertraktacje, ułatwili niezbędne remonty oszczędzając nam przez to sumy idące w setki tysięcy franków. Należy im się żywa wdzięczność i nasza, i wszystkich tych, którzy chcieliby wiedzieć, że ich pieniądze zostaną zużyte w sposób jak najbardziej oszczędny i celowy.

W chwili przenoszenia naszej biblioteki otrzymaliśmy z Beyrutu, od p. Ewy French cenny dar, dowód wzruszającej zapobiegliwości: dywan na pokrycie hallu i schodów.

Nasze kłopoty nie są jednak zakończone. Ze względu na specyficzne warunki nie możemy rozłożyć należności na wieloletnie raty i stoimy wobec konieczności spłacenia zaciągniętych długów w najbliższym czasie. Dlatego zwracamy się do przyjaciół-czytelników i stwierdzamy: NASZ APEL TRWA. Wiemy,

iż wielu z tych, którzy doceniają nasz wysiłek, teoretycznie zg dza się, że niezależna impreza małego zespołu, rozwijająca s w ciągu ubiegłych siedmiu lat, zasługuje na poparcie. Udzielen przez nich poparcia w praktyce stoją na przeszkodzie tysią drobnych okoliczności codziennego życia. Prosimy ich aby prz zwyciężyli opór jaki stawia im dzień dzisiejszy i pomogli na w miarę swoich możliwości. Każdy, nawet najmniejszy ich wkła będzie dla nas znakiem że jesteśmy im potrzebni.



Ponieważ ostatnio mnożą się podróże do Europy Polaków zamieszkałych w krajach zamorskich — odwiedzali nas niedawn nasi czytelnicy z Ameryki Północnej i Południowej oraz z Afry — chcielibyśmy aby dom „Kultury" stał się w przyszłości rodz jem klubu, w którym każdy z przyjezdnych znajdzie nie tylk gościnę, ale niezbędne mu informacje i w razie potrzeby, opiek



Na skutek otrzymanych zapytań podajemy, że „cegiełki" można prz kazywać zarówno bezpośrednio na adres „Kultury" jak i do wszystkic naszych przedstawicieli.



Nasz nowy adres brzmi :

91, Avenue de Poissy,
MAISONS LAFFITTE (S. et O.)

Życie muzyczne w dzisiejszej Polsce

Czytając w Polsce *Zniewolony Umysł* Czesława Miłosza (książka ta krążyła wśród pisarzy i artystów), byłem uderzony jego trafną i subtelną interpretacją procesu psychologicznego artysty w systemie komunistycznym. Poczucie nieodwołalności pewnych przemian, siła mitu ,,historii'', instynkt samozachowawczy — wszystkie te elementy grały w każdym z nas, pisarzy i artystów którzy staraliśmy się nadal tworzyć w Polsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Moim zdaniem Miłosz podkreśla jednak zbyt silnie intelektualną pokusę jaką stanowi ,,nowa wiara''. Nie należy tego zjawiska zbyt uogólniać. Wydaje mi się że większość polskich artystów nie odczuwa tej ,,pokusy'' zbyt głęboko, nawet jeśli przesiąkają — choćby na skutek zmęczenia — obowiązującymi sloganami. Oczywiście sytuacja pisarza jest skrajna, gdyż operuje on pojęciami i jego przydatność polityczna jest oczywista. W innych dziedzinach sztuki, a zwłaszcza w muzyce, zagadnienia nacisku wywieranego przez system są bardziej złożone. Myślę, że obraz konkretnych warunków życia i pracy artysty w Polsce najlepiej może wykazać do jakiego stopnia system sparaliżował wszelką możliwość wolnej i oryginalnej twórczości.

Sytuacja muzyki w Polsce jest bardziej może jeszcze upośledzona od innych dziedzin sztuki. Mówiąc obowiązującym żargonem, na obecnym ,,etapie'' prawdziwie twórcza muzyka jest najmniej potrzebna. Odbija się to i na twórczości i na życiu muzycznym całego kraju.

Życie muzyczne, podobnie jak i wszystkie inne dziedziny, jest w Polsce przedmiotem skomplikowanej i sztywnej organizacji. Aby ją opisać, trzeba by właściwie nakreślić cały schemat graficzny — trudno inaczej powiązać wszystkie te biura, związki i ministerstwa, znane w Polsce pod skomplikowanymi skrótami. Od tej biurokracji zależą warunki materialne artysty i jego

życie twórcze. Związek Kompozytorów Polskich, centralny orga nizm życia muzycznego, nie ma silnej pozycji wobec rządu i par tii. Na stu dwudziestu polskich kompozytorów, członków zwią zku, dwaj zaledwie są członkami partii. Dlatego nie ma nawe przy Związku Kompozytorów koła partyjnego, jak przy innych związkach. Nie ułatwia to życia polskim kompozytorom, nawe materialnie. Zaobserwowałem, że na Zachodzie istnieje pewien mit o dobrych warunkach materialnych artystów w krajach ko munistycznych. Jest to zupełnie fałszywe. Walka o sam byt jes bardzo ciężka, absorbuje niemal całkowicie polskich artystów i jest niewątpliwie jednym z elementów presji wywieranej prze rząd.

W skład Komisji Zamówień wchodzą przedstawiciele Prezy dium Związku Kompozytorów, CZOFIMu (Centralnego Zarzą du Oper i Filharmonii), Ministerstwa Kultury i Sztuki i radia Komisja Zamówień wyznacza terminy i honoraria. Aby wziąć konkretny przykład, na napisanie symfonii wyznaczany jest ter min roczny lub dwuletni. Ale stawka pieniężna wynosi równo wartość dwumiesięcznego zaledwie utrzymania. Jasne, że w tych warunkach kompozytor musi wciąż łowić jakieś drobne źle płat- ne zamówienia poboczne — muzyka filmowa, ,,pieśni masowe'' itd. — aby móc związać koniec z końcem. Ponieważ stawki są prawie jednakowe dla wszystkich, system ten najboleśniej dotyka poważnych kompozytorów, działając jednocześnie na korzyść różnego pokroju miernot. Ci którym przychodzi bez trudu pisanie najbardziej wulgarnej, oklepanej muzyki w ,,pieśniach masowych'', do satyrycznych teatrzyków, cyrku, mają okazję do zarabiania sporych sum.

Jeśli zacząłem od warunków materialnych, to dlatego że sama walka o byt zmusza poniekąd artystów do wejścia w tryby nieubłaganej maszyny. Nie myślę żeby byli dziś w Polsce artyści tworzący ,,dla siebie'' utwory, które nie mogłyby w dzisiejszych warunkach wyjść na światło dzienne. To było możliwe pod okupacją niemiecką, kiedy nadzieja wyzwolenia była wciąż żywa, kiedy żyło się z dnia na dzień wśród solidarnego społeczeństwa, utrzymując się w różny, zwykle ,,nielegalny'' sposób. Dziś nie ma innego wyjścia dla artysty jak ugiąć się i przystosować swe dzieło do wymagań partii. Dlatego chciałbym zaznaczyć że pisząc te krytyczne uwagi czuję się w pełni solidarny z kolegami, którzy, będąc w kraju, zmuszeni są do ustępstw i tworzą w niezwykle ciężkich warunkach. Pytano mnie czasem na Zachodzie czy w podobnym systemie nie byłoby lepiej dla artysty wyrzec się życia twórczego, przynajmniej jawnego, i zająć się inną pracą. Ale pomijając już oczywiste trudności twórczej pracy przy innym zajęciu zarobkowym, takie wyjście jes właściwie niemożliwe. Artysta który by się ostentacyjnie usuną od życia twórczego, stałby się z miejsca podejrzany. Jako ,,wróg ludu'' nie mógłby znaleźć żadnej innej pracy. Znalazłby się poza nawiasem życia.

Położenie kompozytora jest tu specjalnie trudne. To prawd

że twórczość oryginalna jest może jeszcze bardziej niedostępna dla pisarza, w obecnych warunkach. Ale pisarz może zawsze się przerzucić na tłumaczenia, studia językowe: ma pewną ilość ,,rezerwatów''. Kompozytor musi komponować — i siłą rzeczy zmuszony jest do dostosowania swej muzyki do obowiązujących przepisów. Nie łatwo jest przepisy te określić i wykazać sam mechanizm cenzury. Same przepisy są tak prymitywne i tak mało ścisłe, że właściwie pozbawione są prawdziwej treści. Cenzura zaś przejawia się na wszystkich stopniach systemu i jest z nim całkowicie zespolona. Stąd trudno jest powiedzieć że działa ona specjalnie w takim czy innym stadium.

Jakie są przepisy? O co chodzi pod pokrywką znanych banałów o ,,realizmie socjalistycznym''? Zabroniony jest ,,formalizm''. Ale samo to pojęcie jest pozbawione znaczenia, a właściwie można mu nadawać znaczenia dowolne. W tej chwili, jako ,,formalizm'' uważa się właściwie w Polsce wszelką twórczość muzyczną niesłużącą propagandzie politycznej i w jakikolwiek sposób związaną z środkami wyrazu współczesnej muzyki zachodniej. Poza tym istnieje wciąż nacisk o stworzenie tzw. ,,nowego języka'' w muzyce, który by rzekomo mógł bezpośrednio przemawiać do mas. Jest to oczywiście fikcja. W istocie wybiera się najłatwiejszą drogę i proteguje się muzykę która już jest zrozumiała dla szerokiego ogółu, czyli właściwie nawraca się do ,,starego języka'', przeważnie 19-wiecznego. W jednym z moich artykułów, ogłoszonym w ,,Timesie'' po moim wyjeździe z Polski, stwierdziłem, że jedyna muzyka która cieszy się poparciem — to muzyka łatwo wpadająca w muzycznie nieuformowane ucho robotnika czy chłopa. Posłużono się w Polsce tym zdaniem aby oskarżyć mnie o ,,pogardę'' dla robotników. Wydaje mi się że jest wprost na odwrót. Prawdziwą pogardę dla ludzi pracy mają ci, którzy z góry zakładają że nie można w nich wyrobić subtelniejszego smaku muzycznego i dostarczają im najłatwiejszej, wulgarnej strawy.

Wspomniałem już, że ,,cenzura'' przenika cały system. Nikomu nie przyszłoby do głowy zgłosić do Komisji Zamówień projektu dzieła, które nie szłoby zasadniczo po linii obowiązujących przepisów. Oczywiście istnieją tu pewne podstępy, w myśl ,,Ketmana'' opisanego przez Miłosza. I tak wskazane jest poświęcić dzieło, przynajmniej w tytule, jakiemuś wydarzeniu czy tendencji politycznej. Są też pewne naciski w kierunku stworzenia dzieła które może być w danej chwili ,,potrzebne''. Kompozytorzy — członkowie partii — są oczywiście w stałym związku z wydziałem kulturalnym partii. Mają oni stąd możność dawania pewnych autorytatywnych sugestii. I tak partia przez długi czas wywierała nacisk na Związek Kompozytorów o napisanie kantaty na cześć Stalina. Ale nikt jakoś się nie kwapił do opiewania ,,Wielkiego Chorążego Pokoju''. Wreszcie po długich usiłowaniach znaleziono jednego z trzech — wówczas — kompozytorów, członków partii ,który poczuł się w obowiązku utwór ten napisać. Napisał kantatę według wszelkich prawideł, aż po

bałwochwalczy tekst, broniąc się od posługiwania się ,,warszta-tem międzywojennym'' i szukając ,,prostego, socjalistycznego języka''. Wykonanie było bardzo uroczyste, partia zadowolona. Cóż z tego, kiedy Stalin wkrótce umarł, kult jednostki okazał się przesądem, zaczął obowiązywać kult kolektywu. Utwór prze-stał być wykonywany. ,,Historia'' przeszła do nowego ,,etapu''. Kantata pozostała na zawsze w ,,etapie'' minionym.

Jedną z najbardziej niebezpiecznych stron systemu jest cał-kowita izolacja muzyki — i sztuki w ogóle — w Polsce. Wyda-mi się czasami że hasła ,,realizmu socjalistycznego'' są po prostu pretekstem. Że chodzi właściwie głównie o odcięcie Polski od kultury zachodniej. Wszelkie slogany o sztuce ,,narodowej w formie, socjalistycznej w treści'' nie odpowiadające żadnej rzeczywistości i wytwarzające jedynie klimat hipokryzji i przy-gnębienia wśród twórców są właściwie płaszczykiem pod któ-rym przeprowadza się tę politykę izolacji. Jest to dla twórców polskich tragiczne. Interesują się oni ogromnie twórczością za-chodnią, ale utrzymanie jakiegokolwiek kontaktu jest niemożli-we. Nasi młodzi muzycy nie znają już nawet problemów któ-re każe im się ,,odrzucić''. Nie znają nie tylko dodekafonistów z Schoenbergiem, ale nawet muzyki Strawińskiego czy francuskiej ,,Groupe des Six''. Oczywiście wszelkie nowe doświadczenia za-chodnie — jakakolwiek by była ich istotna wartość — są całkiem nieznane. W ogóle, jeśli chodzi o doświadczenia formalne, o ,,la-boratorium'' muzyczne — to jest to dziedzina w Polsce zakazana. Współczesna muzyka zachodnia nie jest nigdy grywana na kon-certach, nie istnieje w formie płyt, słuchanie jej przez radio jest prawie niemożliwe. Aparaty radiowe dostępne w Polsce są w bar-dzo złym gatunku, a programy zachodnich stacji są zagłuszane ze względu na wiadomości polityczne. Nie można nawet się do-wiedzieć co się dzieje w zachodnim świecie muzycznym. Jedyne polskie czasopismo muzyczne, ,,Muzyka Polska'' wzorowane jest na ,,Sowieckiej Muzyce''. Przedrukowuje artykuły sowieckie, zawiera długie i nudne artykuły o życiu słowiańskich klasyków, muzyka zachodnia wspomniana jest tylko w celu jej ośmiesza-nia. Ponieważ pismo wychodzi z dwumiesięcznym opóźnieniem wiadomości o krajowym życiu muzycznym nie mają żadnej ak-tualności. Zachodzi zresztą pewna ciekawa reakcja, wywołana tymi próbami ośmieszania i zakazami. Otóż na Zachodzie na przykład, eksperymenty w rodzaju ,,musique concrète'' odby-wają się właściwie wśród pewnej obojętności publiczności. Istnie-je garstka entuzjastów — grupa przeciwników — szeroka rzesza ludzi patrzących sceptycznie na to zjawisko, jak na przejściowy eksperyment. Otóż w polskiej atmosferze tego rodzaju ekspery-menty urastają do rozmiarów obrazoburczych. Ma się wrażenie że jeden koncert ,,musique concrète'', jedna wystawa abstrak-cyjnej sztuki zagroziłaby istnieniu ,,światowego obozu pokoju''. W ten sposób ścisła cenzura przywraca nam złudną romantyczną wiarę w konkretną ,,potęgę sztuki''.

Niezależna i oryginalna twórczość uniemożliwiona jest ni-

tylko przez bezpośrednie działanie partii w ramach systemu — system sam w sobie z warunkami życia i pracy jakie wytwarza najskuteczniej paraliżuje artystę. Przede wszystkim istnieje niemożliwość samotności i koncentracji. Każdy wybitniejszy artysta staje się człowiekiem publicznym i zmuszony jest do odgrywania roli w życiu politycznym. Każdy należy do szeregu komitetów i czuje się właściwie urzędnikiem, zdanym na łaskę pierwszego telefonu lub zawiadomienia ściągającego go na akademię, obchód, zebranie. Byłem sam członkiem wielu komitetów, które wszystkie pochłaniały ogromną ilość czasu i nie pozwalały na koncentrację. A więc — Zarząd Związku Kompozytorów (jako wiceprezes); Rada Artystyczna przy Ministerstwie Kultury i Sztuki; Komitet Współpracy Kulturalnej z Zagranicą; Polski Komitet Obrońców Pokoju (jako członek prezydium). Nie byłem członkiem partii, ale oczywiście nie ma sposobu wymówienia się od żadnego z tych komitetów, które wszystkie są tak czy inaczej organami systemu. Byłem w ten sposób zmuszony (tym bardziej że nie należałem do partii) do wypowiedzi siłą rzeczy zawsze mniej lub więcej sprzecznych z mymi przekonaniami. Wszystkie te komitety zatruwają możliwości twórcze w sposób bardzo skuteczny. Człowiek wtłoczony jest siłą w gorset haseł i sloganów, które całkowicie na dłuższą metę zabijają fantazję i odwagę.

Chciałbym przy tej sposobności powiedzieć dwa słowa o Komitecie Obrońców Pokoju. Jest to organizacja w której uczestniczą bez wyjątku wszyscy wybitniejsi ludzie w Polsce z każdej dziedziny życia. Polska była tak spustoszona wojnami, że nie trzeba było Polaków namawiać do ,,obrony pokoju''. Utarło się że jest to jakby najmniej kompromitująca forma współpracy z reżymem. Mimo to nikt w Polsce nie ma wątpliwości co do prawdziwych celów tej organizacji. Znam jej działalność na Zachodzie, gdzie jest formą penetracji komunistycznej, ale w krajach komunistycznych przejawia ona działalność jeszcze bardziej sprzeczną z jej rzekomymi celami. Służy ona bowiem wyłącznie do judzenia przeciw Zachodowi, do krzewienia nienawiści, do wmawiania w ludzi że Zachód, a zwłaszcza ,,krwawi'' Amerykanie przygotowują się bez ustanku do agresji. Trudno, jednym słowem, o mniej pokojową i mniej ,,braterską'' instytucję.

Powróćmy do problemów cenzury. Ostateczna ocena polityczna kształtuje się przy przesłuchaniu dzieła. Ale oczywiście można być pewnym że utwór odbiegający za daleko od obowiązujących kanonów nigdy by do tego stadium nie doszedł. Po przesłuchaniu (które jest rodzajem próby generalnej przed pierwszym wykonaniem) odbywa się dyskusja nad utworem z udziałem kompozytora, przedstawiciela Związku Kompozytorów, przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Partii. Można przyjąć, że już przed przesłuchaniem wiadomo jaka będzie ocena; ,,Władze'' mają swych doradców w tej dziedzinie. Jak zawsze, tak i tutaj elementy oceny są złożone. Dominuje oczywiście moment polityczny, który się zresztą zmienia, zależnie choćby od jakiegoś artykułu w ,,Sowieckim Iskustwie'' czy ,,Sowieckiej Muzyce'',

ale grają również zawiści, rywalizacje czy sympatie osobiste. Przypominam sobie choćby dyskusję, po przesłuchaniu mojej „Uwertury Bohaterskiej". Brali w niej udział poza tzw. „czynnikami oficjalnymi", trzej najwybitniejsi przedstawiciele polskiej muzyki, między innymi niedawno zmarły Fitelberg. Napaści na mnie były bardzo silne. Twierdzono, że muzyka moja nie odpowiada „wielkiej epoce socjalistycznej". Jeden z uczestników dyskusji wystąpił z najostrzejszym atakiem i oświadczył że wespół z kolegami zamierzał spalić moją partyturę razem z materiałem orkiestry przed moim przyjazdem do Katowic gdzie odbywało się przesłuchanie — żeby wyrządzić mi przysługę. Ani jeden z trzech wybitnych polskich muzyków, którzy byli obecni, nie wziął udziału w tej dyskusji. Ale natychmiast po jej zakończeniu każdy z nich podszedł do mnie prywatnie wyrażając współczucie i oburzenie. Fitelberg uważał ten mój utwór za najlepszy. Był przerażony poziomem dyskusji, zwłaszcza, że jak podkreślał, całe życie służył muzyce współczesnej. Nie mogłem mieć do żadnego z nich pretensji. Jedną z najpotworniejszych cech całego systemu jest że wyzwala on w człowieku najgorsze instynkty, a przede wszystkim tchórzostwo. Jest to tym bardziej tragiczne, że przecież zasadą systemu jest rzekomo przygotowanie i kształtowanie tego „lepszego człowieka", którego miałaby wydać epoka socjalizmu...

To tchórzostwo, ta ciągła obawa, tak weszły w krew wszystkich artystów, że pewne próby liberalizacji, których dokonano po śmierci Stalina, spotkały się z najbardziej nieoczekiwanymi reakcjami. Krążyło wśród nas powiedzenie, że manewr ten przypomina otwarcie lufcika w bardzo zadymionym pokoju, na to tylko żeby zobaczyć kto pierwszy się rzuci w kierunku świeżego powietrza. Toteż nikt bardzo się nie kwapił do skorzystania z tej chwilowej liberalizacji. Liberalizację rozpoczął w marcu 1954 roku zjazd Rady Artystycznej przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, której byłem członkiem. Celem było pewne kokietowanie twórców, całkiem rozgoryczonych i wyczerpanych ostatnimi latami (po roku 1949) „walki z formalizmem". Wszyscy byli zniechęceni. Ilość i jakość dzieł przedstawiała się fatalnie. Pod pozorem większej swobody chciano teraz zbliżyć twórców do partii i zmobilizować ich ponownie do walki politycznej. Toteż na zebraniu minister Kultury i Sztuki, Sokorski, zaczął od „samokrytycyzmu". Zachęcał artystów i pisarzy do szczerych wystąpień. Wreszcie paru śmiałków zdobyło się na swobodniejsze wypowiedzi. Sokorski zapytał retorycznie: „Czy słuszna jest walka z formalizmem"? Odpowiedź jego była subtelniejsza niż dawniej. Zapytano nawet czy można krytykować słabe dzieła rosyjskich twórców. Ale w sprawozdaniu prasowym ze zjazdu, wypowiedź Sokorskiego o formalizmie została znów zniekształcona i przedstawiona jako bezwzględne potępienie formalizmu, a ustęp o krytyce słabych dzieł rosyjskich opuszczono całkowicie. Trzeba dodać że zarówno na tym zebraniu jak i na innych znaleźli się młodzi gorliwcy komunistyczni, którzy ostro występowali prze

ciw „liberalizacji". Tak było z pisarzami. Tak było i na zjeździe Związku Kompozytorów, na którym mierny muzykolog i kompozytor oświadczył, że liberalizacja byłaby szkodliwa, gdyż artyści są politycznie niedojrzali i muszą być kierowani.

Reakcja ta jest całkiem zrozumiała. Obecny system jest ideałem wszelkiego rodzaju miernot, których nędzne utwory są wydawane, wykonywane ,aprobowane, jedynie ze względu na ich gorliwość polityczną. Jasne że zły pisarz będzie bronił „schematyzmu", bo inaczej jak schematycznie pisać nie potrafi. Liberalizacja groziłaby młodym karierowiczom we wszystkich dziedzinach sztuki zdemaskowaniem ich beztalencia. Toteż bronią oni zajadle cenzury, w której widzą nie żadne skrępowanie, ale wręcz usprawiedliwienie własnego bytu.

„Liberalizacja" niedługo była modna. Na wiosnę tego roku powstał w Warszawie kabaret literacki, w którym puszczono się nawet na odważne i ostre dowcipy. Zwrócone były wszystkie oczywiście przeciw „biurokratom", przeciw wszelkiego gatunku „złym wykonawcom" zarządzeń doskonałego ustroju. Gdyż sam ustrój, rząd, partia — pozostały, oczywiście, nietykalne. W każdym razie poruszenie w Warszawie było duże i ludzie siedzieli na przedstawieniach dziwnie zażenowani, nie wiedząc czy mogą się śmiać, czy nie kryje się w tym jakaś prowokacja. Ale po kilku przedstawieniach cenzura nie wytrzymała i okroiła teksty kabaretu.

Moja własna sytuacja w Polsce jako kompozytora była dość specjalna. Otrzymywałem szereg nagród, byłem stale wysyłany zagranicę w delegacjach, utwory moje nadawano zagranicę przez radio, ale muzyka moja była często potępiana. I tak, moja „Sinfonia Rustica" odznaczona była w roku 1949 pierwszą nagrodą na Konkursie Chopinowskim w Warszawie. Ale w rok później, na zebraniu Związku Kompozytorów, w obecności Sokorskiego i delegatów sowieckich, między innymi Chrennikowa, generalnego sekretarza Związku Kompozytorów Sowieckich, jeden z moich polskich kolegów wystąpił z atakiem zwróconym przeciw mojej muzyce. Twierdził że „Sinfonia Rustica" jest wroga epoce socjalizmu. Dodam tutaj, że ten sam kompozytor był członkiem jury które w poprzednim roku nagrodziło moją symfonię. Wobec tego Sokorski orzekł, na zebraniu, że moja symfonia przestała istnieć...

Moja „Symfonia Pokoju", napisana w roku 1950, została przez Związek Kompozytorów zaopiniowana do nagrody państwowej. Tym niemniej i to dzieło potępiono. Doszukiwano się w nim uczuć religijnych. Zarzucano mi, że „nie walczę o pokój w tym utworze", ale że raczej „modlę się o pokój". Los moich utworów, mówiąc tamtejszym żargonem, bardziej „formalistycznych" nie mógł być oczywiście pomyślny. Moją „Kołysankę" na 29 instrumentów smyczkowych i dwie harfy dyrygowałem na festiwalu międzynarodowym w Amsterdamie w roku 1948. Utwór ten grano potem często zagranicą. W Polsce został on jednak tylko raz wykonany. Utwory są zresztą czasem celowo raz wy-

konane, żeby można było przy okazji powiedzieć na Zachodzie że nie jest to muzyka w Polsce zabroniona (*). W ogóle muzykę „formalistyczną" traktuje się w Polsce jako towar eksportowy. Radio polskie wykonuje je nieraz na swej specjalnej fali przeznaczonej zagranicę a KWKZ wysyła partytury do krajów zachodnich.

Nagrody państwowe, medale itd. są jednym z narzędzi polityki systemu wobec artystów. Pierwsza nagroda państwowa wynosi w Polsce 25.000 zł., co jest niczym wobec olbrzymich nagród stalinowskich, ale jednak zabezpiecza artystę na pewien czas. Przed samym moim wyjazdem z Polski przysłano mi formularz do wypełnienia w związku z jakimś odznaczeniem które chciano mi nadać przy okazji obchodów dziesięciolecia Polski Ludowej (prawdopodobnie za nie komponowanie w ciągu ostatnich czterech lat). Formularz — „Tajny" — zawierał, naturalnie pytania dotyczące nie tylko pochodzenia społecznego, oraz moich zapatrywań politycznych przed wojną, podczas wojny i po wojnie, ale także te same pytania w stosunku do mojej żony, rodziców, rodzeństwa. Wartość dzieła nie decyduje oczywiście ani o nagrodach, ani o odznaczeniach.

Starałem się pokrótce przedstawić sytuację kompozytora. Ale obraz życia muzycznego w Polsce jest ponury na każdym poziomie. Można bez przesady powiedzieć że obrzydza się w Polsce muzykę wszelkimi środkami. Muzykę w Polsce konsumuje dziś nie ten kto jej chce, potrzebuje, pragnie, ale jest ona narzucana na każdym kroku, i to narzucana w swej najbardziej wulgarnej formie. Największą plagą są tu głośniki — ryczące bez przestanku wszędzie, których nie można zatrzymać ani wyłączyć. Koszmar zbliżony do „1984" Orwella. Na ulicach miasta, w uzdrowiskach, w biurach — wszędzie rozbrzmiewa głośna muzyka o najniższej wartości (poza audycjami propagandowymi, które są na pierwszym planie). Są to utwory odpowiadające „etapowi" — a więc pieśni masowe i pseudo-ludowa muzyka w najbardziej tandetnym sosie. Pieśni masowe — to górnolotne słowo na szlagiery. Już przed wojną szlagiery polskie stały na opłakanym poziomie — ale działał tu jeszcze pewien snobizm Zachodu i sama moda narzucała nieco lepsze formy — na przykład zbliżone do jazzu. Autentyczny jazz jest teraz w Polsce wyklęty. „Pieśni masowe" — to marszowa i „mobilizująca" muzyczka, sentymentalne piosenki, ekwiwalent przedwojennego „Gdy wrócisz...", tyle że nie mówi się już o miłości i zdradzie ale o traktorach i przodownikach pracy. Mania głośników przyszła oczywiście z Rosji. Pamiętam jak jadąc do Berlina z Warszawy w roku 1948 wsiadłem do wagonu jadącego z Moskwy. Niedługo po zaśnięciu obudziła mnie w przedziale muzyka. Z pomocą towarzysza podróży, sowieckiego majora, próbowaliśmy

(*) Przyszły festiwal Muzyki Polskiej z okazji „Dziesięciolecia Polski Ludowej" zawierać będzie dlatego (na pokaz zagranicznym gościom) kilka pozycji „formalistycznych".

wszelkimi sposobami zamknąć ten głośnik — nie było sposobu. Nieznośne brzęczenie powtarzających się wciąż tych samych, kilku zdartych, płyt towarzyszyło nam cały dzień aż do Berlina. Innym razem udałem się do pewnego polskiego biura urzędowego, aby omówić jakieś muzyczne zamówienie. Mój rozmówca przyjął mnie w pokoju w którym zainstalowany był głośnik radiowy — na stałe. Rozmowa była niemożliwa do tego stopnia, że mój rozmówca tak się w pewnej chwili zirytował, że zaczął rzucać w głośnik różnymi przedmiotami aż go zmusił do milczenia. Plaga głośnikowa jest tym groźniejsza, że w Polsce nie ma dobrych płyt. Muzyki klasycznej nie nagrywa się prawie wcale, ani współczesnej symfonicznej i kameralnej. Muzycy nie są temu obojętni i chcieliby nieraz przeciwdziałać, ale są bezsilni. Na koncercie, poświęconym muzyce Szymanowskiego, zespół — chór i orkiestra — postanowił bezinteresownie zrobić nagranie „Stabat Mater". Nagranie zostało wykonane, ale nie wykorzystano go nigdy. Kiedy starałem się interweniować u „czynników oficjalnych" żeby wykorzystano tę taśmę do produkcji płyt — poradzono mi bym najlepiej o tej sprawie zapomniał. Starano się przekonać mnie, że to sprawa polityczna — podstęp polskich reakcjonistów, którzy chcieli nagrać utwór religijny na płyty.

Inną plagą muzyczną są niezliczone akademie. Recepta na akademie jest zawsze ta sama: część pierwsza — nudne, tasiemcowe przemówienia i część druga, tzw. „artystyczna", w której do znudzenia powtarza się zawsze te same utwory muzyczne. Na tych akademiach — rzekomo „ludowych" zbiera się zawsze zresztą ten sam zespół ludzi. Są też akademie ściśle muzyczne, jak na przykład ku czci Dworzaka, który jest oczywiście patronem pokoju. To już łączy się z politycznym wykorzystywaniem dawnej muzyki, co się często uprawia. Tak było w roku 1949 — „chopinowskim", tak było w roku 1950 z Bachem, którego się zresztą przedstawia jako kompozytora „postępowego", którego dzieła religijne są właściwie przypadkowe.

Wspomniałem już o wymarciu w Polsce muzyki kameralnej. Nie wykonywuje się nigdzie i nigdy muzyki kameralnej klasycznej. Pamiętam z jaką zazdrością oglądałem w Brukseli na festiwalu plakaty zapowiadające wykonanie 17-tu kwartetów Beethovena. Muzyki kameralnej prawie nikt również dziś w Polsce nie tworzy. Mimo że jest to forma która mnie bardzo pociąga, mogłem w ciągu tych lat skomponować jeden zaledwie utwór kameralny — i to pod pretekstem celów dydaktycznych: przeznaczony był dla uczelni muzycznych. Oczywiście przyczyną wymarcia muzyki kameralnej jest fakt, że trudno ją zastosować do propagandy politycznej. Na tym przykładzie zresztą widzi się doskonale do jakiego stopnia reżymowi nic nie zależy na poziomie kulturalnym ludności. Przecież muzyka kameralna jest jedną z najbardziej celowych dróg do rozwinięcia zamiłowań muzykalnych w szerokich rzeszach. Tak zwane w Niemczech „Musizieren" nie musi się przecież ograniczać do domu. Można sobie doskonale wyobrazić świetlice fabryczne, w których grały

by amatorskie zespoły kameralne i mogły się zapoznać z muzył klasyczną. W Anglii, w Niemczech, nawet we Francji istnie zespoły amatorskie dużej klasy. Ale te problemy nikogo w Pc sce nie interesują.

Polska, która jest, moim zdaniem, krajem nie wykształc nym muzycznie, zwłaszcza w porównaniu z takimi krajami ja Niemcy i Rosja, wydawała jednak zawsze i wydaje zadziwiają dużą proporcję talentów muzycznych. Otóż problem kształcen narybku muzycznego w każdej dziedzinie przedstawia się dz tragicznie. Przede wszystkim zniesiono w szkołach naukę śpi wu — nawet w formie lekcji dowolnych. W Polsce jest obecn 14 orkiestr symfonicznych, które zorganizowano po wojn w oparciu o nieliczną grupę przedwojennych instrumentalistó W miarę jak ci wymierają powstaje zastraszający brak młody instrumentalistów i poziom orkiestr wciąż spada z wielu wzgl dów: brak instrumentów, a nawet niezbędnych części do nic a także dlatego, że eksploatuje się orkiestry w celach propaga dowych.

Eksperyment, którzy przeprowadzono organizując ,,Mazo sze'' jest przygnębiający. Zespół powstał rzekomo w celu wył wiania talentów muzycznych w masach chłopskich i robotniczy i rozwijania ich. Z drugiej strony zespół miał udostępnić ko certy najszerszym masom w kraju. Otóż zespół nie spełnił a jednego, ani drugiego zadania. W zespole ,,Mazowsza'' jest d żo utalentowanej młodzieży, ale nie ma ona żadnej okazji rozwinięcia swego talentu. Zespół został całkowicie poświęco dla celów politycznych, i jest wykorzystywany propagandow Program muzyczny ,,Mazowsza'' jest bardzo słaby: pieś pseudo-ludowe i pieśni masowe nie mające już nic wspólne ani z ludem ani ze sztuką. Akcentem najsilniejszym i stale w Pc sce używanym jest branie się tej całej młodzieży za ręce p koniec przedstawienia i śpiewania ,,Hymnu Młodzieży Świata Zespół narzuca przy tym sali wspólny śpiew. Stanowi to oczyw ście silny motyw więcej niż propagandowy — agitacyjny. Mim że zespół jest strasznie wykorzystywany i musi pracować b przerwy, śpiewa i tańczy tych samych kilkanaście utworów prz kilka lat. Program jest bardzo nieznacznie wzbogacany, co nuc i zniechęca członków zespołu, i uniemożliwia im rozwój. Pr tym masy polskie nie wiele mają do tego zespołu dostępu. Wł ściwie Mazowsze głównie funkcjonuje na akademiach i obch dach na których jak już wspomniałem spotykają się wciąż ci sa ludzie — grupa partyjnych i rządowych dygnitarzy — i wyb niejszych przedstawicieli społeczeństwa których się spędza na obchody.

Koncerty symfoniczne są niesłychanie monotonne. Gra s wciąż tych samych kompozytorów klasycznych, a nawet wci te same ich utwory. Oczywiście dużo miejsca poświęca się m zyce rosyjskiej. Od lat mamy do czynienia z prawdziwą ofens wą rosyjskiej muzyki. Poza tym gra się m. inn. Beethove (Lenin go cenił), Mozarta, rzadziej Bacha. Współcześni zacho

ni kompozytorzy nie są nigdy grani na koncertach. Nawet ci, o których czasem wspomina prasa — oczywiście jako ,,działaczach pokoju'' czy ze względu na ich ,,postępowe'' przekonania — nie są grywani. Zresztą jest takich kompozytorów bardzo niewielu. Z Francuzów nie słyszy się w Polsce nigdy o nikim. Z Anglików pisze się czasem o ,,najwybitniejszym kompozytorze Allanie Bush, ale muzyki jego nikt w Polsce nie zna.

Krytyka muzyczna w Polsce nie istnieje — w sensie w jakim istniała przed wojną czy istnieje dziś na zachodzie. Starzy krytycy przeważnie wymarli. Zresztą uczciwy krytyk nie mógłby oczywiście dziś pisać. W praktyce krytyk muzyczny w Polsce musi z góry znać stanowisko ,,czynników oficjalnych'' do nowego utworu zanim napisze recenzję. Toteż w Polsce dwaj krytycy dziś najbardziej aktywni nie są muzykologami — jeden jest lekarzem wojskowym, drugi dziennikarzem.

Jako jedyną bodaj pozytywną zdobycz we współczesnym polskim życiu muzycznym należy wymienić wspaniałe wydawnictwa muzyczne. Wydano całego Chopina, wydano piękne i mało znane utwory starej muzyki polskiej, wydano dzieła współczesnych polskich kompozytorów.

Wpływ Sowietów na polskie życie muzyczne jest przemożny — podobnie zresztą jak we wszystkich dziedzinach. Stosuje się właściwie w Polsce rezultat sowieckich doświadczeń. Naturalnie, chociażby ze względu na znacznie dłuższy okres totalnej presji, położenie sowieckiej muzyki — i sztuki w ogóle — jest bardziej jeszcze rozpaczliwe niż w Polsce. Zdałem sobie z tego sprawę w czasie mojej wizyty w Moskwie. Od czasu dekretów Żdanowa nie pojawiło się w sowieckiej muzyce nic interesującego. Związek Kompozytorów Sowieckich liczy 1.200 członków, ale zaledwie kilku z nich wybija się ponad przeciętność. To ogólne obniżenie poziomu talentów, które teraz dopiero zaczyna dotykać Polskę, od dawna się już przejawia w Sowietach. Będąc w zeszłym roku w Wiedniu spotkałem Szostakowicza i stwierdziłem że jest on w stanie całkowitego nerwowego wyczerpania. Nie rozmawiał sam na sam ani ze mną, ani z innymi cudzoziemcami. Polskiej muzyki współczesnej nie grywa się w Sowietach. W ogóle w szeregu dziedzinach obserwuje się oddzielenie ,,satelitów'' od Rosji podobną ,żelazną kurtyną'' jaka ich dzieli od zachodu. O muzyce polskiej panuje zresztą w Rosji najgorsze pojęcie. W sowieckim języku krytycznym najgorszym zarzutem jest ,,oryginalność''. Na temat polskiej muzyki współczesnej ukazał się artykuł w ,,Sowieckiej Muzyce'' sowieckiego kompozytora Wolberga — podobno polskiego pochodzenia. Artykuł ten obfitował w szczególnie negatywne oceny. Mnie dostało się specjalnie za ,,poszukiwanie oryginalności''. Pewien kompozytor ukraiński poprosił mnie kiedyś o opisanie mu pewnego polskiego współczesnego utworu którego był ciekaw. Kiedy powiedziałem mu że jest to utwór na orkiestrę smyczkową, instrumenty perkusyjne i celestę, uśmiechnął się ironicznie: ,,Oryginalny, co''? Biedny Ukrainiec nie wiedział nawet, że na podobny skład

pisał Bela Bartok już kilkanaście lat temu. Czytałem niedawn w „Sunday Timesie" że będąc w Londynie sowiecki kompozyt Chaczaturian oświadczył, że w Z.S.S.R. nie ma zakazanych u worów muzycznych. Może to jest i prawnie słuszne — podobn jak konstytucja sowiecka gwarantuje wolność sumienia i słow Ale w każdym razie utworów tych się nie gra. Nowoczesna m zyka zachodnia jest w Sowietach zupełnie nieznana. Kiedy b łem w Moskwie dyrektor Filharmonii pokazał mi z wielką dum program z jednym utworem Debussy'ego — oczywiście jak utwór „nowoczesny".

Artykuł ten poświęciłem przeważnie muzyce. Ale wyjech łem z Polski tak niedawno, że chciałbym dorzucić parę szczeg łów o innych dziedzinach sztuki. Właściwie wszędzie panuje samo przygnębienie, ta sama hipokryzja, to samo zniechęceni Sztuki plastyczne są w strasznym położeniu. I tutaj także ob wiązują oczywiście wzory sowieckie. Pamiętam wykład sowie kiego malarza Gerasimowa do polskich plastyków. Mówił on Impresjonizm zabił światło i kolor w malarstwie. Jeden z po skich malarzy opowiadał mi, jak oprowadzał po Zachęcie je nego z „wielkich" malarzy sowieckich. Zatrzymali się prz obrazem Chełmońskiego „Bociany lecą". Malarz sowiecki gło no komentował obraz: „No tak, chłop, leży, bez butów, tak — ale o czym on myśli?" To wyłączne zainteresowanie temate obrazu, z całkowitym pominięciem malarskich wartości zaobse wowałem również zwiedzając w Moskwie Galerię Tretiakowsk Dyrektor oprowadzał mnie godzinami po dziale „współczesneg malarstwa", objaśniając mi dokładnie temat każdego obraz dlaczego Stalin patrzy w prawo a nie w lewo, co znaczy zadum Mołotowa itd. Zachodnie malarstwo jest oczywiście równie ni znane w Polsce jak zachodnia muzyka. Docierają do nas jedyn zachodni „socrealiści". I z nimi jednak bywają kłopoty. Jak członek Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, ogl dałem przygotowania do wystawy angielskiego „progresywn go" malarza. Organizatorzy zwracali się do mnie z dużymi wą pliwościami (chodziło o obrazy o polskiej tematyce): „Czy mo na wystawić obraz ponurego przodownika pracy?" Albo: „Jak to przodowniczka pracy bez butów?"

Odbudowa Warszawy z jednej strony jest dowodem energ całego narodu i zawiera piękne elementy historycznej rekonstruk cji, z drugiej jednak strony jest triumfem „socrealizmu" w a chitekturze, czyli wulgarnych, przestarzałych pseudoklasyczny form. Na wiosnę tego roku w czasie wizyty architektów zacho nich w Warszawie (towarzyszyłem im znów jako członek Kom tetu Współpracy Kulturalnej), jeden z zachodnich architektó zapytał mnie, mówiąc o domach na MDM (Marszałkowski Dzielnicy Mieszkalnej): „Rozumiem żeście wiernie odbudowa Stare Miasto, ale czy było warto także i to odbudowywać?" B on przekonany, że nasze nowe konstrukcje są wierną kopią, p dyktowaną jakimś sentymentalnym pietyzmem, ohydnych dzi więtnastowiecznych wzorów. Nie rozumiał wprost, że można t

kie rzeczy projektować. Jest to tym bardziej tragiczne, że pierwotne plany odbudowy Warszawy, wykonane zaraz po wojnie przez polskich architektów, były wspaniałe, tchnęły nowością, pięknem, rozmachem. Wzbudziły one entuzjazm zagranicą w czasie wystaw planów Warszawy. Nawet wydana w Polsce w roku 1948 książka poświęcona odbudowie stolicy zawiera jeszcze te plany. Ale żaden z nich nie został ani nie zostanie wykonany. Po roku 1949 socrealistyczny banał zaczął obowiązywać wszędzie i bez reszty. Zresztą Warszawa coraz bardziej upodabnia się do Moskwy. Tylko, że jest niestety jakby „Moskwą dla ubogich". Potęgują wrażenie te same autobusy, taksówki. Tylko że w tym stylu — wolę już Moskwę. Nad Warszawą panuje znienawidzony przez mieszkańców stolicy „Pałac Kultury", dar Stalina, dzieło sowieckich architektów. Jest to rodzaj wielkiego drapacza chmur z Chicago sprzed pół wieku, ozdobiony ohydnymi „ozdóbkami". Bierut spytał się jednego ze starych polskich architektów, co sądzi o tym gmachu. „Nie znam się na wyrobach cukierniczych, panie prezydencie", padła odpowiedź.

Starałem się wybrać dla czytelników „Kultury" garść wrażeń i informacji, głównie z życia muzycznego w Polsce. Prawdopodobnie zostaną one w zniekształconej formie wykorzystane w Polsce jako argument mojej „zdrady" czy „dezercji". Znam przecież dobrze metody jakie obowiązują w systemie jeśli chodzi o „skompromitowanie" kogoś. Pojęcia „kłamstwa" czy „prawdy" nie istnieją w tym systemie. Dlatego nie zamierzam ani przez chwilę wdawać się z daleka w „polemikę" z „Trybuną Ludu", czy z „Przeglądem Kulturalnym". Zresztą są to kłamstwa, które i tak nie przenikają do opinii publicznej. A co do moich uwag krytycznych, to raz jeszcze podkreślam że są one wyłącznie skierowane przeciw systemowi i drobnej grupie ludzi, którzy ten system narzucają. Jestem natomiast całkowicie solidarny z polskimi artystami i pisarzami i z polskim społeczeństwem.

Andrzej PANUFNIK

◆

Wieczór dyskusyjny zorganizowany przez „Kulturę" i „Preuves" na temat „Artysta i twórczość w dzisiejszej Polsce", odbył się dnia 21 grudnia w Paryżu, w lokalu Kongresu Wolności Kultury.

Przewodniczył zebraniu Jean Cassou, znany pisarz i krytyk francuski, dyrektor paryskiego Musée de l'Art Moderne. Cassou jest ściśle związany z międzynarodowym ruchem rewolucyjnym. Jest on przewodniczącym francuskiego Związku Przyjaciół Republiki Hiszpańskiej.

Przemawiali kolejno na zebraniu Czesław Miłosz, Józef Czapski, Andrzej Panufnik i Konstanty Regamey.

Miłosz mówił o sytuacji polskiego pisarza w Kraju i na uchodźstwie. Podkreślił on konieczność zachowania — dla pisarza wygnańcy — charakteru narodowego. Polski pisarz winien zawsze pisać dla polskiej publiczności.

Cóż z tego, że teraz publiczność ta jest „hipotetyczna"? Podobnie p przecież dawniej Stendhal, Melville, Baudelaire... Chodzi o to aby po pisarza emigracyjnego jednak nadal liczyła się — z daleka — dla pols publiczności w Kraju, jako postać pisarza — niekonformisty. Miłosz podkr również pewne kompleksy obecnej polskiej literatury wynikające z tego „rewolucja" została w Polsce narzucona siłą obcych i wrogich wojsk.

Józef Czapski mówił o malarstwie. Przedstawił on problem polsk malarstwa jako problem izolacji od wielkich kierunków zachodnich. Nie to w Polsce problem nowy. Już po roku 1863 istniał on w formie konfl Matejko-Gierymski. Tylko że dziś narzuca się siłą antyplastyczną konce malarstwa, i że tradycja Michałowskiego, Gierymskiego, Pankiewicza, pistów nie ma po prostu prawa bytu.

Andrzej Panufnik poruszył zagadnienia dotyczące warunków ż i twórczości muzycznej polskich artystów, szerzej rozwinięte przez niego w tykule który zamieszczamy powyżej.

Konstanty Regamey dał wreszcie próbę syntezy wszystkich tych w wiedzi.

Na zebranie — w małej sali Kongresu, mieszczącej zwykle około osób — przybyło tym razem około 200 słuchaczy, wśród których wielu cz wych przedstawicieli francuskiej literatury i sztuki. Słuchacze wzięli ż udział w dyskusji, która wykazała że wielu intelektualistów francuskich tylko zdaje sobie sprawę z niewoli umysłowej narzucanej przez system munistyczny, ale śledzi rozwój teorii „realizmu socjalistycznego" i ich za sowania.

Dziesięć lat poezji krajowej

Hucznie i szumnie obchodzono w Kraju dziesiątą rocznicę powstania Polski Ludowej. Były defilady i dożynki a prasa zajęła się podsumowaniem osiągnięć nowej administracji i porównywaniem tego co jest z tym co było przed wrześniem 1939 roku.

Organ Związku Literatów Polskich, *Nowa Kultura,* rozpisał ankietę *Pisarze wobec dziesięciolecia,* w której wzięło udział kilkudziesięciu pisarzy krajowych. Odpowiedzi, chociaż liczne, z wielu względów nie mogą odzwierciedlić istotnego stanu rzeczy. Autorzy ci, uczestnicząc w opisywanych przez się wydarzeniach, nie zawsze umieją czy też nawet chcą zachować wobec nich należyty dystans. Częściej świadczą o sobie, przypominając swoją rolę w okresie dziesięciolecia. Oprócz tego wspominanie jest nie dla wszystkich rzeczą łatwą — dla wielu oznacza szamotanie, zrywy i klęski, walkę i bezsilność...

Dlatego też spróbuję odpowiedzieć stąd na ankietę *Nowej Kultury,* ograniczając się do poezji. Zdaję sobie sprawę, że mnie również brak jest pewnych elementów niezbędnych do oceny tamtego okresu; pracę tę oparłem bowiem wyłącznie na tomach poetów krajowych i prasie literackiej. Mam jednak nadzieję, że dopiero dwie oceny, krajowa i emigracyjna, uzupełnione jedna drugą, dadzą prawdziwie pełny wizerunek dziesięciu lat poezji krajowej. O tym myślałem, pisząc to co następuje.

Całość okresu, który nas interesuje można by podzielić na trzy części. 1) Lata chaosu (1944-1946); 2) Blaski i nędze „polskiej drogi do socjalizmu'' (1947-1950) i 3) Etap komunizmu biurokratycznego (trwający od 1950 po dziś dzień). Zajmiemy się nimi po kolei.

LATA CHAOSU

Oglądając się na pierwsze lata powojenne, trudno mówić o jakiejś nowej, czy choćby innej poezji. Ówczesna twórczość była przedłużeniem tradycji dwudziestolecia i lat okupacyjnych. Zresztą nie istniało wówczas powszechne życie kulturalne. Po

miastach, z których jedne były opustoszałe, inne przeludnio
organizowały się grupy poetów. Wprawdzie zaczęła się już uk
zywać prasa literacka, *Odrodzenie*, potem *Twórczość* i *Kuźni*
ale Lublin, Kraków czy Łódź były wyspami na ogromnym
szarze, przez który przeciągał jeszcze żywioł wojny. Kraj
rozbity. Improwizowana na prędce administracja nie mogła op
nować chaosu. Ludność oddychała wprawdzie swobodnie,
dzień po dniu rosła nieufność wobec wybawcy-okupanta.

Życie społeczne polegało wtenczas na wędrówkach. Ro
ny zwoływały się poprzez ruiny miast. Tłumnie powracali z N
miec wczorajsi kacetowcy i ludzie z przymusowych robót, mi
jąc ciągnących na Zachód przesiedleńców zza Buga i szabrow
ków, jadących polonizować Ziemie Odzyskane.

W owej sytuacji dwie kategorie ludzi dawały sobie dosk
nale radę: ,,patrioci'', to jest polscy komuniści uformowa
w Moskwie, i rodzime męty krajowe. Tych pierwszych było n
wielu, liczbę zaś drugich powiększyła nędza i terror lat oku
cyjnych. Hasło ,,bić frajerów'' pasowało równie dobrze do
wej rzeczywistości.

Byli też ludzie dobrej wiary, oczekujący sprawiedliwy
reform, wierzący, że nowy ustrój zniesie odwieczną krzyw
chłopa, i że wprowadzi demokrację na miejsce faszyzujące
mordotrzymstwa sanacji. Idealiści owi rekrutowali się spośr
inteligencji, która czas okupacji przebyła w Kraju, inaczej m
wiąc, nie poznała Rosji Sowieckiej. Tych w pierwszym rzęd
użyli ,,patrioci''. Potem doszli inni.

W czasie pierwszych lat wszelki ład był nieobecny. Pols
była ,,dzikim Wschodem''. Lasami przeciągały oddziały ty
którzy nie chcieli pogodzić się z nową okupacją; bratobójc
strzały zza węgła, wywlekanie z pociągów ,,komunistów i Ż
dów'' na rozwałkę, oto smutne, typowo nasze, przykłady pow
jennego bezprawia. W Karpatach, do końca 1947-go, grasowa
oddziały nacjonalistów ukraińskich i bandy zbiegłych esesm
nów.

Nie łatwo było poczynać cokolwiek w społeczeństwie o ro
luźnionych rygorach moralnych. ,,Zarażenie śmiercią'' było p
wszechne. Specjalne wycieczki z całego Kraju jechały do da
nego obozu w Stutthofie, aby... przypatrzeć się wieszaniu kilk
nastu hitlerowskich katów. Bimber i szaber dopełniły tragi
nej edukacji.

W okresie tym rząd warszawski, zajęty montowaniem ap
ratu państwowego, i rozwiązywaniem naglących problemów go
podarczych, nie myślał o polityce kulturalnej. Pisarze korzysta
z pełnej swobody twórczej, zawdzięczając ją proporcji sił po
tycznych w Kraju i, co szło za tym, oględnej taktyce Part
Trzeba było mieć wówczas dar jasnowidzenia, albo... doświa
czenie sowieckie, aby przypuścić, że Partia zbuduje maszynę k
turalną, której primus movens i następne przychodzić będą
Zwiazku Sowieckiego — i poprzez P.P.R. i Związek Literato
Polskich urabiać krajową twórczość artystyczną.

Na razie nawet polityczny program nikłej liczebnie Partii był bardzo ostrożny. Starał się objąć jak największą część społeczeństwa, wysuwając hasła tak popularne jak „obrona Ziem Odzyskanych" i „odbudowa ukochanej Stolicy", a odkładając na później reformy mające kompletnie zmienić strukturę ekonomiczną i oblicze polityczne Kraju.

Dlatego też pierwszy Zjazd Literatów Polskich, który odbył się w Krakowie, w jesieni 1945 roku, był swobodną, szumną i tłumną konfrontacją wszystkich tendencji. Partia ograniczyła się do wysunięcia pewnych postulatów. W rezolucji Zjazdu między innymi czytamy: iż „pogłębienie stosunku naszego do zagadnień społecznych i kulturalnych pozwoli nam na rozszerzenie zasięgu naszego dzieła. Wierzymy, że tą drogą literatura przeniknie do mas, nie tylko nie obniżona w swoim poziomie, lecz realizująca swoje najwyższe możliwości. W szczególności kładziemy nacisk na odbudowę moralnych podstaw społeczeństwa i uważamy wysoki poziom etyczny twórczości za najbardziej akcentowany postulat".

Były to postulaty bardzo ogólne, był to raczej apel do twórców, aby zechcieli wziąć pod uwagę pewne problemy. A twórcy? Pisali, jak gdyby nigdy nic. Produkcja owych lat jest arcybogata, różna formalnie — choć nierówna jakościowo. Wiele pozycji ukazujących się wówczas zostało napisanych w czasie okupacji.

Poeci starszego i średniego pokolenia rozprawiają się z tematyką wojenną. Chcą świadczyć o epoce wobec potomnych. Wczorajsi awangardziści, czy neoskamandryci tworzą w patosie, którego jest pełno — w śmierci najbliższych, w mowie przyjaciół, w pogorzeli i ruinie miast. Mitologizują, umetafizyczniają dzieje, bądź też szukają ludzkiego klucza do ludzkiej zbrodni. Ale nie wszyscy podjęli przerwaną przez wojnę twórczość

Tuwim wrócił do Kraju, ale milczy, a jedynemu, autentycznemu poecie buntu i walki, Broniewskiemu, trzeba będzie paru lat, aby zapomnieć o sowieckich więzieniach.

Najaktywniejszym z poetów jest Przyboś, ku niemu więc zwracają się oczy młodych, tym bardziej, że Kraków gości wówczas prawie wszystkich pisarzy, stając się ważnym ośrodkiem odradzającego się życia kulturalnego. Nowozałożony „Czytelnik" wydaje w 1945-ym *Póki my żyjemy* Przybosia i *Ocalenie* Miłosza. Ukazują się również *Rzecz ludzka* Jastruna i wiersze Ważyka.

Już same tytuły oznaczają rodzaj wzruszenia, będącego u narodzin tej poezji. Jest to humanizm zaprawiony goryczą lub nadzieją; są to owoce refleksji z czasu okupacji, lub pobytu w Zw. Sowieckim. Człowiek, który poległ i człowiek, który przeżył, są treścią tej poezji.

Klęska polityczna przedwrześniowego państwa pociągnęła za sobą upadek wielu pojęć i wartości kulturalnych. Niektórzy poeci, wczoraj samotni, przerażeni okupacją, garną się dziś do tych, którzy oznajmiają nowe. O ile bowiem 9/10 społeczeństwa

czeka czegoś skądś, owego legendarnego, białego konia, o ty ,,patrioci'' są jedynymi entuzjastami w owych niejasnych latac powojnia — nic też dziwnego, iż przyciągają ku sobie jednostk którym nie wystarcza słuchanie polskiego Londynu. W ten spo sób w społeczeństwie zarysowuje się podział, nie będący na raz niczym wyraźnym — niemniej od tej chwili istnieją dwa biegu ny; pisarze, wcześniej niż ktokolwiek inny, musieli wybierać.

Drugi Zjazd Literatów Polskich (Łódź 1946) nie zastał Parti nieprzygotowanej. Ustami S. Żółkiewskiego Partia stwierdził iż ,,moralność pisarza wymaga dziś jasnej deklaracji polityc nej — nie tylko w życiu, ale i w literaturze. Jasnego opowie dzenia się za lub przeciw postępowi w Polsce, za czy przeciw Obozowi Wielkiej Reformy'' (1).

Jeżeli nie damy się zwieść eufemistycznemu zwrotowi, ,,obó wielkiej reformy'' przykrywającemu owczą skórą aparat Part z przybudówkami, wypowiedź Żółkiewskiego odczytamy jako wy rok. Najostrzejsze bowiem późniejsze wystąpienia Sokorskiego czy pomniejszych urzędników Partii, nie dorzucą niczego do słów znaczących jedno: pisarz musi nie tylko być politycznie z nam jako obywatel, musi iść z nami również i w swej twórczości.

Od tej pory zaczyna działać mechanizm, Partia bolszewick - P.P.R. - Zw. Lit. Polskich - Twórcy, o którym wspomniałem już na początku. Bez terroru, bez przymusu — przypominają jednak stale twórcom o istnieniu dwóch przeciwstawnych obo zów. Z nami albo przeciw nam. Od tych, którzy ,,idą z Władz Ludową'' nie wymaga się na razie wiele, wystarczy być ,,anty faszystą'' i lojalnym obywatelem. Miłość do Władzy Ludowe nie jest jeszcze obowiązkiem.

Mylilibyśmy się jednak sądząc, że w atmosferze ogólnego niezdecydowania i politycznego abstencjonizmu nie było poetów tworzących w imię haseł rzucanych przez Partię. Byli to pisarze których nie trzeba było przekonywać o słuszności ideologii, po wiedzmy ogólnie, lewicowej. Pisali, dorzucając szczerze swó wiersz do haseł oficjalnych, nie przez oportunizm, ale dlatego że Partia dawała im wizję nowego i sprawiedliwego świata, za którym od lat nie przestawali tęsknić. Sądzę, że najlepszym przy kładem będzie wiersz Ważyka:

K R O N I K A (2)

Żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie
chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu.
Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze.
W kronice gorzkiej teraźniejszej rzeczy
wyrok stu głupców wisi nad przyszłością.

(1) W. Woroszylski. ,,W walce o literaturę Polski Ludowej'', *Twó czość*, nr 5, 1951.

(2) *Kuźnica*, maj, 1946.

Las, co pod wrzosem partyzantów chował,
chwałę poległych pomnaża szyderstwem,
żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie.
Młyn na resztówce w ogniu, jak niemowa
rozpaczający, ramionami rusza,
chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu,
Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze,
kondukt żałobny rozśmiesza mieszczucha,
łotrzyk się bawi w domową wojenkę —
przeżyło wilka jego nocne wycie.

Wyrok stu głupców wisi nad przyszłością,
a ona drga jak powietrze od kuli
i wraca w siebie, powietrzem się leczy
raniony kryształ, pomnożona chwała
tych, co tę śmierć niedorzeczną poczuli
w kronice gorzkiej teraźniejszych rzeczy.

Wiersz głęboko ludzki, zawiera gorzkie dzieje Narodu, wczoraj zjednoczonego klęską, dziś rozbitego złudną wolnością. Wiersz piętnujący zbrodnie. Jest kroniką, słowem napisanym na chór antyczny. Późniejsze utwory poetów zaangażowanych po stronie Partii stracą liryzm tej jakości. Czas będzie inny i zmienią się wymagania nadzorców kultury. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Krytyka poetycka stacza w tym okresie niekończące się boje o nową poezję. Wszyscy biorą w niej udział, prawica i lewica, *Tygodnik Powszechny* i *Kuźnica*, krytycy i poeci. Oto sąd Jastruna z tamtych czasów (3): „«*Poziom*» w literaturze jest rzeczą dość względną; dekoracją, pozą niejednokrotnie długo można maskować pustkę wewnętrzną. Ucieczka w rejony oderwanego piękna niekiedy zbiega się z reakcyjnością pisarza, w naszych czasach — na pewno..." Po pierwszej deklaracji dorzuca zdanie, które wyprzedza w swej ultymatywności współczesne dyrektywy partyjne: „Czas, aby poeci zrozumieli, że jedyne dzisiaj wyjście dla nich jest w realiźmie humanistycznym, że innej drogi nie ma, że każda inna byłaby ścieżką reakcji społecznej i wstecznictwa poetyckiego."

W identycznym tonie napisana była deklaracja Jastruna w pierwszym n-rze *Kuźnicy*(4): „...nowy realizm zwycięży z nieodpartą historyczną koniecznością pozostałe jeszcze z okresu przedwojennego i okupacji przeżytki..."

Smutny obraz poety, który na ochotnika zaciąga się do naganiaczy... Przyjdą potem żale, skrucha... niestety *scripta manent*.

BLASKI I NĘDZE „POLSKIEJ DROGI DO SOCJALIZMU

Okres ten był niewątpliwie najszczęśliwszym dla twórc i dla poezji. Zresztą dla wszystkich. Cały Kraj dźwiga się normalniejszego życia ekonomicznego. Jest to złudna wiosna p ciętego śmiertelnie ustroju kapitalistycznego. Aparat adminis cyjny „Polski Ludowej" działa jeszcze słabo, chłop gospo ruje na swojej ziemi. Pewnie, że sztukuje jak może pożyczan końmi — ale nie musi na razie „dzielić się z państwem" sw plonami. Handel zagnieżdża się w parterach ruin, wyrastają m fabryczki, prywatne przedsiębiorstwa, dając właścicielom p lat dobrobytu.

Są jeszcze partie, a jakże, P.P.S., Str. Pracy i P.S.L. a nawet w P.P.R.'ze mówi się o „polskiej drodze do socjalizm Jest to okres, kiedy *Kuźnica* wydaje specjalny numer pośw cony Ameryce. Kiedy tłumaczy się Camusa, Steinbecka i C wella. *Odrodzenie* i *Kuźnica* wielbią Sartre'a, którego „S nowną dziwkę (u krajowych socrealistów „Ladacznica z za dami") wystawia teatr łódzki.

„Zgniły Zachód", zdawałoby się powraca, zbrojny w no siły, aby rozbić w puch nikłe, wprost śmieszne wpływy literat sowieckiej.

Radosny rozgardiasz wpłynął dodatnio na rynek wyd niczy. Książka rozchodzi się błyskawicznie. Po sześcioletnim m czeniu, nałożonym przez hitlerowskiego barbarzyńcę, pisarz i c telnik nawiązują przerwany dialog. Nowa książka oznaczała piej niż cokolwiek powrót do życia. Utwierdzając je, inteligen nasza zwróciła się na Zachód.

Z ciężkim sercem wspomina tamten czas poeta ludowy W roszylski (5):

„...Z prawicowo-nacjonalistycznym niedocenianiem wzorów radziec wiąże się penetracja do naszego życia literackiego najszkodliwszej, naj fidniejszej odmiany ideologii burżuazyjnej — kosmopolityzmu. Korzenie przed rzekomymi osiągnięciami burżuazyjnej literatury Zachodu było ja dopełnieniem, zaokrągleniem lekceważącego stosunku do literatury radz kiej. Ci sami autorzy, którzy w swych artykułach nie umieli się zdobyć jakieś serdeczniejsze zdanie pod adresem literatury radzieckiej, rozpły się z zachwytu nad francuskimi naturalistami".

Jak widać z relacji niepodejrzanego o stronniczość świad były to czasy szczęśliwe...

Debiutują nowi poeci: Różewicz, Jachimowicz, Bra Wirpsza, Bratny i wielu innych. Zamiast układać „schod à la Majakowski, piszą nowym, „gęstym" językiem, w któr jest coś z Awangardy, coś z Eliota, ale też dużo z nich samy

Spośród wierszy poetów powyżej wymienionych najbard

(3) *Odrodzenie*, nr. 37, 1945; (4) Czerwiec, 1945.
(5) „W walce o literaturę Polski Ludowej", *Twórczość*, nr 5, 1

oryginalna jest niewątpliwie poezja Różewicza. Szczęśliwie odmierzając wyraz i nie dając przystępu łatwej melodyjności, Różewicz organizuje swe utwory pełne dojrzałego liryzmu. Zacytuję jeden z jego wierszy.

WARKOCZYK

Kiedy już wszystkie kobiety
z transportu ogolono
czterech robotników miotłami
zrobionymi z lipy zamiatało
i gromadziło włosy

Pod czystymi szybami
leżą sztywne włosy uduszonych
w komorach gazowych
w tych włosach są szpilki
i kościane grzebienie

Nie prześwietla ich światło
nie rozdziela wiatr
nie dotyka ich dłoń
ani deszcz ani usta

W wielkich skrzyniach
kłębią się suche włosy
uduszonych
i szary warkoczyk
mysi ogonek ze wstążeczką
za który pociągają w szkole
niegrzeczni chłopcy.

Muzeum-Oświęcim, 1948

W tym czasie Iwaszkiewicz wydaje dalekie od realizmu, kolorowe *Nowiny Literackie*. Mało tego. Niektórzy poeci wycofują się z wczorajszych deklaracji. Pisze Jastrun (6): ...,,Ja sam, wstrząśnięty wydarzeniami wojny i okupacji, przykładałem w początkach naszej nowej niepodległości zbyt ostre miary do poezji, odsądzając od racji bytu wszystko co trąciło 'poetycznością'...''

O tym, że odwrót Jastruna nie był czczą deklaracją świadczą nowe wiersze poety (,,Sezon w Alpach'').

Inny z poetów średniego pokolenia, Czesław Miłosz, ogłasza w *Odrodzeniu* i w *Nowinach Literackich* nowe, trwałe wiersze, jak również przekłady z poezji murzyńskiej. ,,Traktat moralny'', drukowany w *Twórczości*, był szeroko dyskutowany na łamach pism literackich.

(6) *Kuźnica*, maj 1947.

K. I. Gałczyński podbija czytelników, dając w swych wierszach jedyny w naszej liryce ton, mający jakby coś z Préverta z Jarry'ego, czy nawet z fraszek mistrza Jana. Tygodnik *Przekrój* służy poecie za salon, w którym podaje się gościom ni smak napoje o nieznanych w kraju aromatach. „Zielona gęś" jest cennym elementarzem, pozwalającym przeciętnemu czytelnikowi oswoić się z nowymi dla niego chwytami warsztatu poetyckiego. Tradycyjna tępota strasznych mieszczan i ogólnopolska tramtadracja są niekończącym się tematem wierszy i wierszyków tego herszta naszej liryki i kpiarza nad kpiarze.

Tymczasem Partia nie traciła czasu. W roku 1948 zlikwidowała „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne" i P.P.S. Od tej chwili „patrioci" nie potrzebują już dekoracji ćmiących oczy społeczeństwa. Zapomniano już o „Obozie Wielkiej Reformy", mówi się wyłącznie o „przodującej klasie" i „zwycięskiej Partii".

Szkoli się politycznie nowych ludzi. Partyjni mają już w swoim ręku kluczowe pozycje w Kraju. Bogactwo rozdrobnione dotychczas pośród społeczeństwa, dzięki wywłaszczeniom spływa do kas państwa. Topnieje wczorajsza niezależność materialna obywateli; *wszyscy* zaczynają się liczyć z „Władzą Ludową". Coraz bardziej zaciera się wizja białego konia...

Dzieje tej przemiany wyraził trafnie Arnold Słucki (7): „W pierwszym okresie inteligencja wahająca (?) odnosi się do Partii w sposób wyczekujący, często nieufny, często wrogi... Inteligent przekonał się, że Partia jest siłą... to najbardziej pozyskuje inteligenta dla naszej Partii"...

Zjazd szczeciński literatów polskich (styczeń 1949) był jeszcze jednym dowodem, „że Partia jest siłą". Metodę realizmu socjalistycznego nazwano „najsłuszniejszą", obwarowując ją autorytetem Partii.

W okresie tym spotykają się dwa nurty twórcze. Pierwszy, szerokim wachlarzem obejmuje pokolenia starszych i młodszych poetów, którzy chcieliby pisać po swojemu, *idąc na ustępstwa jedynie w zakresie tematyki*. Nurt drugi, partyjny i deklaratywny, domaga się poezji „mobilizującej", „ujmującej wydarzenia w ich aspekcie klasowym, ...aby budzić w nim (czytelniku) uczucia sprzyjające owej walce o przyszły, lepszy świat socjalizmu" (8).

W 1949 ukazuje się poemat epicki Tuwima *Kwiaty Polskie*. Krytyka, ułożywszy sobie nową hierarchię wartości, niechętnie zajmuje się wielkim poematem. Chwali półgębkiem, robi liczne zastrzeżenia. Ryszard Matuszewski wie, że skończyły się czasy czyhania na Boga, wie czego *teraz* trzeba żądać od poezji. Razi go „idealizacja mieszczaństwa". Według niego: „...Dziewierski, który od roku 1905 nie ma nic wspólnego z klasą robotniczą, nie zasługuje na tak ciepły obraz, bo w tym czasie wszyst-

(7) *Twórczość*, nr 8, 1952.
(8) Ryszard Matuszewski, *Literatura na przełomie*, str. 112.

ko, co reprezentowało pozytywne dziś dla nas wartości, było z tą klasą solidarne"... (9)

Nie trzeba chyba komentarzy.

Dla Partii i jej krytyków Tuwim jest przeżytkiem epoki kapitalizmu. Niech dożywa obok Staffa swych lat, ale nie ma mowy o powrocie na czoło liryki wojującej. Cóż z tego, pisze Matuszewski iż ,,Znakomity poeta ofiarował nam dzieło obfitujące w wiele pięknych, mistrzowskich artystycznie fragmentów. Nie jego to wina, że próba stworzenia pełnego obrazu świata, jaki opiewa, jest przy operowaniu środkami tego okresu, który kształtował jego twórczość, całkowicie niemożliwa : jest to poezja analizująca i cząstkująca świat, ale niezdolna do tego, by go scałkować"... ,,Wielka, realistyczna poezja... mogłaby w Tuwimie zrodzić się z pewnością, gdyby przepoił swój utwór wielką ideą rewolucyjną" (10).

Cóż znaczą fragmenty ,,artystycznie mistrzowskie", skoro przyłożone do ,,Krótkiego Kursu W.K.P.(b). wykazują prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie... A do tego jeszcze ,,nie wytrzymuje krytyki biologiczny, niehumanistyczny stosunek do sprawy niemieckiej (11). Mocny Boże ! Gdyby tak chcieć usunąć z Mickiewicza ustępy ,,biologicznego stosunku" do sprawy rosyjskiej... a u Żeromskiego...

Nie można chwalić Tuwima z innych jeszcze powodów, gdyż oto pojawił się nieobciążony przeszłością mieszczańską poeta, Broniewski. Pojawił się, gdyż do 1949 milczał. Może wspomnienia więzień sowieckich chłodziły płomienne pióro rewolucyjnego poety ; a może było to po prostu ludzkie i zwyczajne : po co się śpieszyć ? W każdym razie Broniewski dochodzi do Partii.

Niech nikt nie sądzi, iż chcę w czymkolwiek umniejszyć rzeczywisty talent i serdecznie polską, rewolucyjną poezję autora ,,Bagnetu na broń" i ,,Komuny Paryskiej". Chcę tylko zaznaczyć, że po 1949 Broniewski przestał być artystą wolnym. Zamiast przedwrześniowych wierszy, podkładanych jak dynamit, pod niesprawiedliwy ustrój, poeta ma dzisiaj opiewać ,,budowniczych socjalizmu", i opiewa. Władza Ludowa obsypała go zaszczytami, zaczął otwierać akademie i odsłaniać pomniki.

Pozorny paradoks — mechanizm Partia bolszewicka - P.P.R. - Zw. Literatów Polskich - Twórcy wziął w swe tryby jeszcze jedną ofiarę, autentycznego poetę rewolucji. Wiemy, niestety, co było dalej. Matuszewski, oficjalny krytyk reżymu, wystawił z kolei pomnik Broniewskiemu, pisząc (12):

,,...historyczny realizm Broniewskiego... jest czymś... co niewątpliwie dominuje nie tylko nad resztą twórczości Broniewskiego, ale także i nad całym z dzisiejszej perspektywy oglądanym obrazem liryki międzywojennego dwudziestolecia."

---

(9) *Literatura na przełomie*, str. 71 ; (10) tamże str. 78 ; (11) tamże str. 75.
(12) ,,25 lat poezji Wł. Broniewskiego" we wspom. tomie, str. 18.

Nawet „z dzisiejszej perspektywy" rzecz biorąc, Bronie- ski musiał czuć się trochę zażenowany tą tanią i niepotrzeb laurką.

Pewne urazy i „resztki samotnictwa zostają tym wyraźni przezwyciężone, im mocniej gruntuje się w poezji Broniewskie wiara w zwycięstwo rewolucji w oparciu o Związek Radzi cki" (13).

Genialna terapia ! Ociągasz się z miłością do „Władzy L dowej", pamiętając więzienia „radzieckie" — pokochaj Zwi zek Radziecki, a przejdzie ci.

Broniewski okazał się ufnym pacjentem. „Pokłonił się" ja pisze „do ziemi" sowieckiej rewolucji — i zaraz po tym podj „największy z tematów współczesności „Słowo o Stalinie" (14)

Maszyna przerzuciła „samotnika" na stronę pogodzony z Partią. Kto następny?

Nie brak w Polsce poetów. Po raz pierwszy życie z pió stało się czymś co popłaca; trzeba tylko by państwowe wyda nictwo zechciało się zainteresować rękopisem poety. Państw Ludowe nie odmawia, niczego nie narzuca, do niczego nie zm sza — przeciwnie, szczodrze zachęca... i oczekuje. Gałczyńsl bo jego mam na myśli, zakosztował z kolei radości, jakie da życie oficjalnego poety. Kawalarza cwałującego na zielonej gęs bawiącego się kosztem wszystkich, ale zarazem sławiącego ro kosze mieszczańskiego świata : śledzika, wódeczkę i parę pł Bacha przy czarnej kawie — takiego Gałczyńskiego nie mog adoptować Partia. Stanął układ. Cena ustępstw była niewielka serdeczniejsze podejście do człowieka pracy, „gospodarza L dowej Ojczyzny".

Gałczyński chętnie poświęca trochę uwagi rękodzielnikor łącząc piękne i konieczne w chytrze stopionym aliażu. Chodz nie po linie nie może być jednak czynnością codzienną. Gałczy ski zaczyna coraz częściej dawać wiarę lipnym dekoracjom, kt rymi obstawia swe wiersze. Głupota publicystyki emigracyjn przez naszczekiwania zawiedzionych miłośników jego talen przyśpieszyła proces przechodzenia poety na stronę sztuki o cjalnej. „Psikuśny karzełek", rozwichrzony Cygan naszej poez przywdziewa błyszczącą liberię.

Matuszewski, pisząc „O sytuacji w poezji" (15) w 1950, ta ocenia sprawę poetów średniego pokolenia i „zmagającego s z trudnościami wielkiego przełomu" Gałczyńskiego :

„...powinniśmy dołożyć wszelkich starań, aby stworzyć atmosferę, któ by sprzyjała jak najobficiej ich twórczości, atmosferę, która by przerwa wielomiesięczne milczenie tych poetów".

Jak więc widzimy „starania" Partii nie poszły na marn Gałczyński zrozumiał... i wkrótce uczynił swój wiersz „niez

(13) „25 lat poezji Wł. Broniewskiego", str. 35; (14) tamże, str. 6
(15) *Literatura na przełomie*, str. 136.

stąpioną bronią, zwycięskim bojowym sztandarem, jaki wznosimy przeciwstawiając się światu imperialistycznego łotrostwa".

Daleko nam do śmiechu. W ciągu dwóch, trzech lat poeta coraz rzadziej przewozi poezję w swej zaczarowanej dorożce, coraz zaś częściej podwozi nią cegły na budowę „zwycięskiego jutra socjalizmu". O ile niektóre z napisanych tuż przed śmiercią „Pieśni" są wielką liryką — o tyle „Podróż do Ciemnogrodu" jest smutną agitką.

Naprzeciw poetów starszego i średniego pokolenia występuje coraz butniej, zbrojna w legitymacje Z.M.P. (polski odpowiednik komsomołu) grupa młodych. Niektórzy z nich ogłaszali swe wiersze w *Sztandarze Młodych* lub w *Nowej Kulturze* — ale rok 1950 przynosi kilka tomików, których typowość jest pouczająca. Autorami ich są: Braun, Gaworski, Hołda, Mandalian i Woroszylski.

Tak charakteryzuje ich styl przywódca młodych poetów, Wiktor Woroszylski (16): „potoczny język, realistyczne obrazowanie, próby formułowania w wierszu myśli politycznych i relacjonowania wydarzeń politycznych".

Za przykład podaję W. zwrotkę z wiersza Brauna „Człowiek". Oto ona:

Aby rzeka strajkowa z Baku
płytkie minęła mielizny —
aby zniosła w pierwszym ataku
stragany ekonomizmu.

„Te stragany ekonomizmu", pisze dalej Woroszylski, „były nie tylko osiągnięciem Brauna"... (sic) Cechy tej poezji wylicza Matuszewski, m. in. pisząc iż „łączą ich... przewaga retoryki i elementu postulatywnego nad opisowością, postawy czynnej... nad refleksyjną, kontemplacyjną" (17).

Nie mogę powstrzymać się od zacytowania choćby trzech zwrotek z innego wiersza Brauna, pt.:

KOMUNA MIESZKANIOWA BLOKU Nr 25 (18)

Motto: Grupa dziewcząt i chłopców, pracujących w Nowej Hucie, po przedstawieniu „Młodej Gwardii" postanowiła przybrać imiona bohaterskich komsomolców i naśladować ich postępowanie w swym codziennym życiu.

Rozmawiały o heroizmie Młodej Gwardii i Komsomole.
Bohaterki z murów Nowej Huty marzyły o bohaterstwie.
Mówiła Dasza z Bydgoszczy: „Chcę być taką jak Koszewoj Oleg".
A pod drelichem biło młode dziewczęce serce.

(16) *Twórczość*, nr 5, 1951, str. 123.
(17) *Literatura na przełomie*, str. 128.
(18) *Wiosna Sześciolatki*, Warszawa 1951, Książka i Wiedza.

„Ja będę od dziś Lubą" — rzekła Zosia z wsi podkrakowskiej.
„A czemu przemilczałaś, że do pracy nie przyszedł Sasza ?
Czy ty tylko od święta nosisz krawat zetempowski,
jeszcze cię nie wychowała pokojowa komuna nasza ?"

Surowy był kolektyw. Zakwitała czerwienią Zosia
i dojrzewała szybciej, podobna polnej różyczce.
To w własnym mieście kipiała dyskusja głośna
o moralności socjalistycznej.

Wspaniała różyczka poezji socrealistycznej ! Cukierkow[illegible] ckliwa i sławiąca donosicielstwo !

Tak pisali ci, których atak na poezję krajową, niedość [illegible]tyjną, nazwano najazdem „pryszczatych". Z odległości k[illegible] lat można brać ową sprawę na wesoło, ale wówczas mało [illegible] z poetów średniego i starszego pokolenia miał ochotę do śm[illegible]chu. Nie można było bagatelizować, ni tym bardziej wyśmiać [illegible]nifestów opatrzonych cytatami z Majakowskiego i Stalina. T[illegible]ba było podjąć dyskusję z młodymi gorliwcami, czującymi s[illegible] wieje wiatr i świadomymi metod walki w społeczeństwie sow[illegible]kim. Partia przyglądała się z nieukrywaną radością akcji „pr[illegible]czatych", a kiedy uznała, że wystarczająco poruszyli sumie[illegible] letnich i niepartyjnych poetów — uciszyła młodzików, nie pr[illegible]znając bynajmniej racji „dorosłym".

Ciekawym oświetleniem buntu „pryszczatych" są sło[illegible] Ważyka (19):

„Istnieją u nas elementy fałszywej, pretensjonalnej poetyki, która [illegible]rządza ogromne szkody sprawie realizmu. Tylko ślepi mogą tego nie widz[illegible] Ta poetyka jest agresywna... Nie przypuszczam, aby redaktorzy czy prac[illegible]nicy naszych wydawnictw drukowali to z lekkim sercem, ale ta poe[illegible] była tak agresywna, że musieli ustępować. Raz coś tam zakwestionow[illegible] w wierszu Andrzeja Brauna i ten ogłosił artykuł, w którym wszystkich [illegible]cowników wszystkich wydawnictw w czambuł potępił : uznał za nie[illegible]petentnych"...

Ciekawy tekst. „To" oznacza wzgardliwie produkcję „pry[illegible]czatych". Tylko jak rozumieć ową „agresywną poetykę" pr[illegible] którą „musieli ustępować" redaktorzy i wydawnictwa ? Cho[illegible] oczywiście nie o poetykę, lecz o *politykę*, czego Ważyk nie m[illegible] napisać. Redaktorzy wiedzą jak należy postąpić z poetą nat[illegible]tem ; tutaj jednak chodziło o coś zupełnie innego ; nie mo[illegible] było bowiem pokazać drzwi komsomolcowi przynoszącemu wie[illegible] wzmocniony cytatami z Bieruta czy Stalina. Odrzucić, znaczy[illegible] by popełnić świętokradztwo.

„Pryszczaci" byli batem polityki kulturalnej Partii. Trz[illegible] było bata, gdyż poeci starszego pokolenia milczeli czasem la[illegible]mi. Trzeba było ich wypłoszyć z antyludowej samotności. [illegible] wystąpienie zetempowców nie było czymś oderwanym, lecz c[illegible]

(19) „Uwagi o kryteriach poezji", *Twórczość*, nr 8, 1952.

ścią ogólnego planu, świadczy o tym wypowiedź Matuszewskiego:

„Gdybym chciał kogokolwiek atakować za całokształt jego postawy poetyckiej, musiałbym uderzyć przede wszystkim w poetów, którzy dotąd nie umieli zdobyć się na żaden wyraz łączności z toczoną przez nas walką, tkwiących jak zaskorupiałe ślimaki w konwencjach formalizmu i estetyzmu. Są jeszcze i tacy" (20).

Nagonka szła ławą. Uratował się jedynie Czesław Miłosz, poeta, którego dojrzała twórczość stanowi rozdział odrębny, i nie typowy dla omawianych przez nas przemian. Poeta przebywał przez cały czas zagranicą i dlatego też mógł uchować nietkniętym profil swej sztuki, którą cenił więcej niż dobrobyt i szczęście przebywania między swoimi.

ETAP KOMUNIZMU BIUROKRATYCZNEGO

Okresy poprzednie widywały jeszcze ludzi dzielnych, wierzących całym sercem, że pomimo wszystko da się wyprowadzić z chaosu powojnia ojczyznę sprawiedliwości społecznej. Były to etapy, kiedy nie brakowało poświęceń. Budowano Kraj, odkładając na później budowę własnego ogniska. Ludzie ci zdarli się do szczętu, na ich miejsce przyszli inni, przysadziści o grubych karkach biurokraci. Rządy objęło nowe plemię, mówiące wprawdzie po polsku, ale politycznie i kulturalnie oddane bez reszty Związkowi Sowieckiemu. Objęło władzę, usuwając w cień więzienia niedobitki ideowych polskich komunistów.

Podobnie ciężka, parna cisza zawisła nad literaturą. W okresie tym, nie tylko że wszyscy piszą, ale *piszą tak jak trzeba*. Zaznaczam, że stwierdzenie to w najmniejszym stopniu nie obarcza odpowiedzialnością pisarzy. Nikt nie mógł obejść w Kraju maszyny przetwarzającej *twórcę* w *dostawcę*. Co najwyżej można by mówić o jakości oporu i czasie ustępowania...

Sytuacja ta jest tym okropniejsza, że nie istniał żaden dosłowny przymus. Nikt nie kazał Różewiczowi dawać w wierszach tzw. akcentów antyamerykańskich, a Gałczyńskiemu czy dziesiątkom innych pisać o Partii. Ale stworzono atmosferę oczekiwania, na którą poeci nie mogli stale i ciągle odpowiadać milczeniem. W tamtych krajach milczenie poety znaczy : głód. Znaczy żywienie rodziny rękopisami, których nie można, nie wypada przedstawić do druku państwowym wydawnictwom, przy których urzęduje redaktor odpowiedzialny za treść polityczną drukowanych książek.

Zaczęli więc poeci pisać dla świętego spokoju, dla chleba. Szczęśliwi ci, którzy zrozumieli to wcześnie, „świadomie wybierając miejsce... walki, świadomie podporządkowując swą twór-

(20) *Literatura na przełomie*, str. 135.

czość sprawie powszechnej, wspólnej sprawie Partii, klasy rob-niczej i narodu" (21).

Wystarczy spojrzeć na kolejność wymienionych przez W-roszylskiego wartości, aby zdać sobie sprawę ze zmian j-zaszły w ciągu kilku lat.

Jeszcze lepiej podsumował całokształt przemian Jerzy -drzejewski, pisząc (22):

„W tym wielkim zbiorowym marszu literatury polskiej do socjal-towarzyszyła pisarzom Partia. Ona potrafiła wskazywać pisarzom kon-ność tej drogi. Ona umiała przekonać i wahających się i wątpiących. Um-wahania przełamywać"...

I dalej :

„Partia nasza... potrafiła w praktyce zastosować zasady, jakimi w -im czasie kierowała się bratnia partia bolszewików"...

Na szczęście, jak dotychczas, nie wszystkich poetów z-łała Partia zrobić dostawcami rymowanej kroniki uprzemysław-nia Kraju i reporterami wydarzeń polityki międzynarodowej.

Jeden jedyny pisarz świadomie opiera się wszelkim prób-ingerencji partyjnej w sprawy twórcze, Julian Przyboś. Jest zjawisko świadczące o wielkiej odwadze i niezależności intel-tualnej poety, który podpisując się całkowicie pod polityką P-tii — w poezji swej rządzi się niepodlegle, nie schlebiając -kazom dnia, przeciwnie, wyrażając otwarcie swe sądy i kryty-Oto jak Przyboś ocenia wiersze socrealistyczne drukow-w Kraju (23):

„W toku owej dyskusji zarzuciłem ogromnej ilości chwalonych wie-— *brak poezji, pojętej jako poryw ku nowości*, ku odkrywaniu niewyra-nych jeszcze a dziejących się teraz nowych zdarzeń, wyobraźni i se-Krytykowałem przesadny kult tradycji, określiłem, że właściwością ka-tradycji postępowej, było przeciwstawienie się tradycjonalizmowi, że ka-prężna epoka nie oglądała się zbytnio na przeszłość; że świadczyła prz-wszystkim o sobie... Dowodziłem, że ustawiczne powoływanie się na tra-cję (postępową) w literaturze wcale nie przyczyniło się do rewolucyjn-współczesnego naszego piśmiennictwa; że przeciwnie: ustawiczne cofa-się myślą wstecz, odwoływanie się nawet do wartościowej tradycji — prowadziło *do kultu starych, nieprzydatnych form, do epigoństwa, miałk-i szarzyzny w naszej poezji*. Chciałoby się rzec — do formalizmu... I w i-cie większość produkcji poetyckiej w czasopismach przypomina swoją szt-wierszopisarską już to... Lenartowicza, Syrokomlę albo nawet Pola... T-gdzie żąda się tylko popularnej poprawności, wracają echa dawnej po-miernej i popularnej. Tam, gdzie nie ma nowej idei poetyckiej (rezul-twórczego przemyślenia nowych treści) powraca starzyzna stylistyczna,

---

(21) W. Woroszylski, „W walce o literaturę Polski Ludowej", *Tw-czość*, nr 5, 1951.
(22) „Nad wskazaniami Partii", *Twórczość*, nr 4, 1952.
(23) *Nowa Kultura*, nr 18, 1954.

nowy temat odziewa się bezmyślnie w znoszony po dziadkach strój... Debiutanci w poszukiwaniu wyrazu dla nowych tematów zdają się cofać w dalszą, lecz nie lepszą przeszłość, przypominając sposobem swojego wierszowania i ujęciem aktualnych tematów — drobnych realistów i epigonów sprzed stu lat. Tym też chyba *zdrobnieniem ambicji twórczych* tłumaczyć można długotrwałą nagonkę recenzentów na istotnie nową i oryginalną poezję najzdolniejszego z młodych, Tadeusza Różewicza...

Sądzę, że prawie wszystkie błędy literatury i sztuki... pochodzą.. z traktowania twórczości artystycznej tak, jak produkcji towarowej. Twórczość artystyczna nie znosi nie tylko „komenderowania", ale nawet — twórczości artystycznej nie można planować; nie można stosować do niej (jak w produkcji dóbr materialnych) tzw. „etapów"... Był okres („etap") kiedy prawie każdy wiersz o temacie „kalendarzowym" choćby nie zasługiwał nawet na druk w gminnej gazetce ściennej pojawił się w czołowym tygodniku Związku Literatów. Myślenie „etapami" doprowadzić może w sztuce — i doprowadziło — do obniżenia poziomu i rozluźnienia samokontroli u artystów".

Powie ktoś, proszę, poeta wygarnął partyjnikom co mu leżało na sercu — a oni uszy po sobie i milczą. Winien jestem czytelnikowi parę objaśnień.

Po śmierci Stalina zaszło kilka chwilowych zmian w życiu i metodach rządzenia Imperium Sowieckiego. Na odcinku kultury pojawiły się jakby znaki zwiastujące zelżenie despotycznej cenzury. Znany pisarz sowiecki, Erenburg, dał swej książce wymowny tytuł „Odwilż". Ciepły podmuch nadziei przejęły skwapliwie krainy satelickie, jak zwykle z małym opóźnieniem. Toteż w chwili gdy w Polsce Ludowej rozgorzała dyskusja stawiająca pod znakiem zapytania słuszność kierowania sztuką — w Związku Sowieckim „Litieraturnaja Gazeta" ostro skrytykowała „Odwilż" Erenburga, odmawiając książce wszelkich wartości, nazywając ją szkodliwą.

Okres „odwilży" w Kraju trwał niedługo. Tyle że upuścił trochę czarnej krwi, goryczy i niezadowoleń. Pisarze mogli się wygadać — a Partia mogła przez dwa, trzy miesiące uśmiechać się z wyrozumiałością.

Pewnego pięknego dnia obudzono śniących swobodę pisarzy. Zaczął krytyk partyjny Lasota, napadając na Przybosia :

„Przyboś odpowiadając na ankietę „Nowej Kultury" w przeciwieństwie do swych kolegów pisarzy (Iwaszkiewicza, Brezy) nie widzi żadnych powodów do samokrytycznej oceny swej twórczości... Nie. Przyboś atakuje potępia, łaje i gromi... Sformułowanie Przybosia stanowi adorację wszystkiego co nowe, w imię tego, że nowe. Stary awangardowy kult nowości przebija przez zdania Przybosia. Trudno o większy konserwatyzm — niż to trwanie z uporem przez 25 lat na starych, straconych pozycjach. Cóż oznacza to nowe ? Jeżeli Przyboś neguje wielkie przeobrażenie ideowe naszej literatury w ostatnich latach, jej rzeczywistą „nowość", to znaczy, że nowość w gruncie rzeczy sprowadza się do strony formalnej utworu".

Ciosy Lasoty, te i następne, uderzają poniżej pasa. Przyboś bynajmniej nie negował przeobrażenia ideowego literatury krajowej, żądał tylko „twórczego przemyślenia nowych treści" (tzn. również nowych ideologicznie).

A oto dalsza insynuacja Lasoty : „Czy poezja Eliota — nie 'poryw ku nowości' bomby atomowej?" Zestawić dzi w Kraju czyjąś wypowiedź, w tym wypadku Przybosia, z E tem i bombą atomową — znaczy nie tylko zakwestiono lojalność obywatela, ale rzucić oskarżenie o sprzyjanie wo atomowej...

„Krytyka marksistowska" jak nazywają metodę szant i insynuacji członkowie Partii, zna siłę argumentów...

Następny ustęp artykułu Lasoty jest równie interesujący historyka literatury :

„Przyboś w swoim rozumowaniu raczy zapominać o takim drobiazgu ten, że żyjemy w warunkach dyktatury proletariatu. Państwo dyktatury letariatu obok funkcji dławienia klas wyzyskujących, pełni funkcje wy wawczo-kulturalne. Polityka kulturalna jest orężem w rękach klasy ro niczej rządzącej państwem" (22).

To już nie dyskusja, oprawca głaska czule ostrze sieki patrząc wyczekująco na oskarżonego. I po „odwilży" !

Tekst Lasoty potwierdza naszą tezę. W ciągu kilku lat rektywy Sowieckiej Partii Komunistycznej stały się dogmata określając granicę rezerwatu, w którym mogą się poruszać sarze krajowi. Lasotom i Putramentom powierzono zwalcza herezji.

Przyboś nie był dla Partii niespodzianką. Rogaty ch z Gwoźnicy nigdy nie owijał niczego w bawełnę. Ale „odw ogarnęła również innych. Marcin Czerwiński, w artykule „Budzą nas w kolorze czerwonym" (25), pisze:

„Chodziło o to (na XI Sesji Rady Kultury (przyp. mój, MP.) czy opiniująca w stosunku do dzieł może być pozostawiona takim organiza jak wydawnictwa, których nie zawsze szczęśliwa ręka — jak to stwier właściwie wszyscy na XI-ej Sesji — niejedno w kulturze zepsuła. D sprawa sporna — o charakterze bardziej teoretycznym — to wartość osią literatury wychodzącej z założeń realizmu socjalistycznego, a w zwi z tym słuszność udziału Partii w sprawach literackich". „Na pytania — pisze Czerwiński — „pewna liczba pisarzy odpowiedziała negatyw Zatem: odjąć gestię wydawnictwom, literatura po roku 1949 jest nie warta, kierowanie kulturą jest niemożliwe"...

Dalej Czerwiński stwierdza, że naprzeciw pisarzy Partii nęła grupa pisarzy negujących politykę kulturalną tejże. Naz ich „liberałami" i pisze :

„Tymczasem owi „liberałowie" są pisarzami, którzy wybór polity mają poza sobą... jest to wybór dyktatury proletariatu. Pisarze ci akce ...wszystko to, co społecznie nowe,... dynamikę nadaną tym sytuacjom p przewodnictwo Partii. Wydaje się więc, że odrzucanie a limine osądu P reprezentowanej przez te czy inne transmisje jest sprzeczne z własnym i wym stanowiskiem rzekomych liberałów"...

(24) „W perspektywie walki", *Nowa Kultura*, nr 23, 1954.
(25) *Przegląd Kulturalny*, nr 324, 1954.

Sprawa ,,odwilży'', którą naświetliliśmy przykładami Przybosia i ,,liberałów'' — świadczy o rzeczy najważniejszej. O ile dawniej literaturom kierowanym zakreślano tematykę — obecnie to nie wystarcza, pisarz musi również *formalnie* interpretować temat tak, jak sobie tego życzą rzeczoznawcy Partii. Przestaje być twórcą. Najchytrzejsze tłumaczenia ojców Partii nie zmienią tego faktu.

,,Odwilż'' dotknęła i Jastruna, o którego przykrych, bo szczerych szamotaniach wspomniałem uprzednio. Myśląc, że pękać zaczynają ,,radzieckie'' okowy, którymi P.P.R. skrępowała twórczość polskich poetów, Jastrun żałuje iż ,,w pierwszym czasie niepodległości'' pisywał ,,owe suche, niedobre artykuły, fanatycznie tropiące 'poetyczność' w poezji, żądające surowej ascezy'' (26).

Po tym uderzeniu się w piersi próbuje obrony :

,,Już pierwsze moje wypowiedzi zawierały niedwuznaczne zastrzeżenia pod adresem często niepowołanych i zbyt gwałtownych ingerentów w kraj sztuki. Stanowisko moje zaostrzało się w miarę jak tereny poezji ulegały coraz większym zwężeniom. Sprawa komplikowała się na skutek braku odwagi u samych pisarzy. Pewien poeta, świetny niegdyś liryk, zapytany przeze mnie dlaczego nie pisze teraz wierszy lirycznych, odpowiedział z oburzeniem : — Zwariowałeś ? Na tym etapie ! ...Mogłem wówczas złamać pióro, albo pisać dalej. Stanął przede mną bardzo trudny problem : dalszego uproszczenia formy, przystosowania jej w miarę moich sił i moich pojęć o granicach sztuki, do możliwości nowego odbiorcy''...

Podobnie jak Przyboś, Jastrun odnosi się krytycznie do nakazanego zwrotu do tradycji : ,,Masowe nawiązywanie przy równoczesnym zatkaniu gardła eksperymentowi może sprowadzić tylko jałowość i nudę''...

,,W dalszym ciągu identyfikowano twórczość artysty z działalnością dziennikarza i urzędnika propagandy... Obraz, metafora, tok frazy poetyckiej, wszystko to korzeniami swymi tkwi głęboko we wrażliwości i w całej strukturze poety, tak że jedynie z krwią może być stamtąd wydarte''.

Słowa, słowa, słowa... bo okazało się, że Partia potrafiła bezkrwawo wydrzeć poetom ,,obrazy i tok frazy poetyckiej i wszelką indywidualność twórczą. Przede wszystkim zaś Jastrunowi.

Aby mnie jednak nikt nie posądził o gołosłowność oddaję głos Arturowi Sandauerowi, który tak pisze o poezji Jastruna (27):

,,Aby zrealizować ów program ,,literatury dziejowej'', Jastrun musi jednak zburzyć swój dotychczasowy świat poetycki. Nie jest to przebudowa

(26) *Nowa Kultura*, nr 20. 1954.
(27) *Nowa Kultura*, nr 31,. 1954.

łatwa, jeśli zważyć wymaganą w poezji jednolitość składników. W [illegible]nych swych wierszach poeta ukazywał nie obiektywne cechy przedmio[tu], lecz jedynie — związane z nimi osobiste skojarzenia; obecnie natomiast [...] wydobyć w przedmiocie to, *co dostrzegają w nim wszyscy*". I dalej : „[...]wem w zbiorze tym pojawia się obcy dotychczas Jastrunowi rodzaj *poezji gawędy*... nowa ta forma — mniej rygorystyczna od poprzedniej, godząc[a] na ledwie zrytmizowaną półprozę — świadczy o dokonanej ostatecznie [...] budowie poezji jastrunowskiej. Nastrojowa w swych początkach, patety[czna] i moralizatorska za okupacji, staje się ona teraz potoczna i refleksy[jna]. Próżno żądać by od niej dawnych zrywów. Wszelkie próby wznowieni[a] nuty kończą się żenującym niepowodzeniem"...

Przykre i, niestety, prawdziwe.

Każdy etap miał i ma swoich naganiaczy w stronę Pa[rtii]. Takim był nieżyjący dziś Tadeusz Borowski, takimi byli „pry[...]czaci", takim jest Putrament. Należy jedynie żałować, że [...] zajęć czysto policyjnych dorzuca wystąpienia krytyka. Dysku[tu]jąc z recenzentem krakowskim Herdegenem, Putrament cyt[uje] jego zdanie : „W twórczości Ficowskiego każdy problem [...] wykorzystany — o ile jest możliwe — w całej pełni". Zobac[z]my interpretację Putramenta :

„Po pierwsze — zakres problemów, które przed sobą stawia Ficow[ski] nie jest jeszcze aż tak szeroki... O ile w tych wierszach znajdziemy szcz[ere] umiłowanie idei pokoju, o tyle nie wydaje się, aby poeta całkiem ja[sno] zdawał sobie sprawę ze wszystkich konieczności, które walka o pokój [...]woluje u nas w Kraju. Nienawidzi on hitleryzmu, nienawidzi agresorów a[me]rykańskich w Korei. Czy zdaje sobie sprawę, że np. kułak na wsi u [...] zasługuje na taką samą nienawiść ? Może, ale w wierszach tego nie [wi]dać" (28).

Jak wytłumaczy naganiaczowi, że wiersze są nie po to, [...] w nich było „widać" ostatnie dyrektywy Partii ?

Nie trzeba sobie jednak wyobrażać, że wszystkie wiersze d[ru]kowane w Kraju są bezwartościowe, przeszedłszy przez ręce [...]chowców partyjnych typu Putramenta. Na szczęście poetom u[da]je się przemycić, to tu to tam, jakiś utwór czy choćby fragm[ent] poematu (jak to miało miejsce u Gałczyńskiego). I właśnie [tę] poezję, która powstała *pomimo* socrealistycznych nakazów i [...]chęt, uważam za jedynie cenną. Należą do niej liczne utw[ory] Przybosia i Gałczyńskiego, Iwaszkiewicza, Różewicza i Jast[ru]na. Obok ogarka zapalonego Partii, świeci w nich nadal sło[ńce] prawdziwej liryki. Jest to jednak poezja „nie typowa" i [nie]stety coraz rzadsza...

Osiągnięcia uznane oficjalnie są innego pokroju. Wsp[om]niany już Lasota, dał w *Nowej Kulturze* (29) wybór najlepsz[...]

(28) „Przemytnictwo ideologiczne w krytyce" *Nowa Kultura* nr 7, [...]
(29) *Nowa Kultura*, nr 13, 1953.

fragmentów poezji socrealistycznej. Powtórzę tu wiersze wraz z komentarzami Lasoty, aby czytelnik mógł ogarnąć ogrom klęski, do której przywiedli poezję w Kraju „patrioci".

Lasota: „poeta (Hołda), zwracając się do wiejskiego agitatora śmiało wyraża swą nienawiść do kułactwa":

...za zboże
spasione bydłem
za połamaną maszynę,
za skrytobójcze widły
kark do ziemi przyginaj...

(„Trójka skupu zwyciężyła")

Lasota o wierszu Woroszylskiego: „To nie ucieczka do wyświechtanych rekwizytów, lecz trafne uchwycenie postawy moralnej nowego człowieka":

Więc tacy jak my
także nie zawsze
bywają w miłości szczęśliwi?
Więc tego trzeciego
nie w złym teatrze
autorzy wymyślili?
Więc takim jak my
też się zdarza to wszystko:
z uczuciem boleśnie się łamać?

Tak. Tylko jedno
nie zdarza się komunistom:
kłamać.

(„Czas miłości")

Lasota o fragmencie poematu Wirpszy: „A oto wspomnienie żony pracującej w centrali telefonicznej w wielkie dni Kongresu Wrocławskiego, dające tak osobisty, a przecież zarazem symboliczny obraz":

Pamiętam ciebie: nachylona
wołałaś w przestrzeń — Czy Maskwa?
i wtedy mięśnie twego łona
odczuły drugi życia znak.
A po przewodów ciemnych sznurkach
przebiegły słowa Erenburga..."

Wzruszające, nieprawdaż? Również Jastrunowi dostało się parę ciepłych słów. Lasota chwali u poety „ton socjalistycznego optymizmu" i pisze: „szczególnie ciekawa jest *Wielka Bajka*, stanowiąca adorację słusznych realistycznych marzeń".

„SŁUSZNE REALISTYCZNE MARZENIA"... te słowa streszczają lepiej niż tomy rozpraw grozę orwellowski sowieckiego życia.

Szczytowym jednak osiągnięciem poezji „ludowej" jest we mnie „Piosenka o Coca-Cola", strasznym trunku, który nie daje socrealistycznym abstynentom. Podam na smak j zwrotkę :

Po Coca-Cola błogo, różowo
za parę centów amerykańskich
śniliście naszą śmierć atomową,
pięć kontynentów amerykańskich.
Po Coca-Cola błogo, różowo...

Autorem wiersza jest Ważyk.

Obraz ten byłby niekompletny, gdybym pominął zjawisko p ne i wzruszające, poezję Leopolda Staffa. Pięćdziesiąt lat nęło od chwili, kiedy pojawił się pierwszy tom poety. Od wieku przewodzi naszej liryce, wyprowadzając coraz to n pokolenia ku poezji, wiecznie młody jak ona. I dziś zwraca do poetów polskich, pisząc w „Natchnieniu":

Przelatującą chwyć w dłoń błyskawicę,
Rzuć się wichrowi na szyję.
I śmiej się jak dziewczyna, kiedy o trzy kroki
Piorun się w ziemię zaryje.

Marian PANKOWSKI

Dziennik podróży do Westfalii

Dawne *Länder,* kraje stanowiące niegdyś Rzeszę niemiecką, okazały niewyczerpaną żywotność. Część ich znikła w wieku XIX. Partykularyzmy regionalne zacierały się powoli na skutek stałej migracji ludności z wschodu na zachód. Wielkie przetasowanie ludności podczas ostatniej wojny zmyło wreszcie na pozór odrębność krajów niemieckich.

Po wielkiej katastrofie życie zaczęło się jednak odradzać od dawnych ośrodków regionalnych. Kraje stanowiące obecnie Republikę federalną niemiecką ukazały się znów na mapie, ale szukały długo swych granic.

Łączenie się krajów historycznych w nowe jednostki i przystosowanie ich granic do nowych warunków gospodarczych i administracyjnych nie jest być może i dziś całkowicie zakończone. wzdłuż Renu istnieją w tej chwili cztery kraje autonomiczne, posiadające własne rządy i parlamenty. Są to, jadąc z południa na północ : Badenia-Wirtembergia, Hesja, Nadrenia Północna-Westfalia i, na lewym brzegu, Nadrenia-Palatynat.

KOLEJE, DOKUMENTY, PODRÓŻE ETC.

Jadąc w końcu października 1954 — w kilka dni po podpisaniu umów paryskich o ponownym uzbrojeniu Niemiec — z Bazylei do Kolonii, przypominam sobie, że tą samą drogą jechałem przed dziewięciu laty, chłodną jesienią 1945.

Wagony posiadające w oknach szyby były wówczas zarekwirowane przez wojska okupacyjne. Pasażerowie cywilni tłoczyli się w wagonach bez szyb, na mroźnym wietrze. Wszystkie stacje były czarnymi od pożaru ruinami. Pociągi wlokły się powoli po świeżo położonych szynach i tymczasowych mostach. Wyjeżdżający rankiem z Bazylei przyjeżdżał na wieczór do Karlsruhe,

gdzie musiał nocować na cementowej podłodze schronu kol
wego. Podróż do Frankfurtu zabierała cały następny dzień. P
jezdny widział tam zrazu tylko pagórki gruzu, z których wy
wały gdzieniegdzie okopcowe ściany. Znalezienie noclegu wy
gało nie tylko znajomości ludzi i rzeczy, ale także długich
drówek po nieoświetlonych i zasypanych gruzem ulicach. Jad
wzdłuż Renu przekraczał kilka linii demarkacyjnych; na ka
z nich żądano odeń papierów i niełatwych do zdobycia prze
stek. Myśl o drodze do Kolonii lub Hamburga napełniała z
chęceniem najwytrwalszych podróżnych.

W cztery lata później znalazłem stare wagony zaopatrz
w szyby i ogrzewane w zimie. Dworce kolejowe były nadal w
nach, ale przed każdym funkcjonowało biuro przydzielające
dróżnym pokoje na nocleg.

Przed dwoma laty większe miasta posiadały już pewną l
bę odbudowanych lub całkiem nowych hoteli. Koleje chod
sprawnie; w ciągu jednego dnia można było przejechać znac
część kraju. Znikły wagony zarezerwowane dla wojskowych.
wielu widać było napis: odnowiony staraniem armii ameryk
skiej. Biura paszportowe władz okupacyjnych wystawiały w
ważne dla całych Niemiec Zachodnich.

Obecnie jadącego do Niemiec czeka kilka miłych niespodz
nek. Niemcy są jedynym krajem, do którego emigrant z Eur
Wschodniej otrzymuje wizę stante pede, po wypełnieniu n
prostszego ze znanych mi formularzy. Następna niespodzian
czeka go na granicy.

Przechodząc rankiem na dworzec w Bazylei, znalazłem
peronie niemieckim sznur purpurowych wagonów noszących
zwy Loreley-Express. W pierwszej chwili myślałem, że m
przed sobą jeden ze zbytkownych pociągów służących do obw
żenia gości oficjalnych, lecz zbliżywszy się zobaczyłem, że sk
da się przeważnie z wagonów trzeciej klasy. Niemcy odnow
w znacznej mierze swój tabor kolejowy i część pociągów dalek
bieżnych składa się obecnie z wagonów ofiarowujących podr
nym nieznane dotąd wygody.

Każdy pasażer otrzymuje rozkład jazdy swego pociągu, w
kazujący wszystkie użyteczne połączenia. Z leżącego na mo
miejscu rozkładu dowiaduję się, że podróż z Bazylei do Amst
damu lub Brukseli trwa 12, do Hamburga 10, do Kolonii 8 i
Frankfurtu 4 lub 6 godzin. Do każdego miasta można dojech
przed nocą. Uderza również wielki wybór pociągów łączący
wielkie miasta we wszystkich kierunkach.

PODRÓŻNI OBCY

Ofiarując podróżującym tyle wygód, Niemcy ściągną zape
ne do siebie większą liczbę turystów odwiedzających dotąd in
kraje. Co jednak mogą im dać poza konfortem wagonów i now
zbudowanych hoteli, przy których znane hotele Europy Zacho

niej przypominają zabytki historyczne? W klasycznych krajach turyzmu przyjezdni oglądają okryte sławą pałace, stare kościoły, pomniki i muzea, wzrok ich zwraca się ku przeszłości. Niemcy posiadają też niemało pałaców pozostałych po różnych dynastiach, starych kościołów i muzeów, znanych za wszystkich czasów znawcom, jak widać chociażby z tego, co Edmond de Goncourt pisze w swym dzienniku o rokoku niemieckim. Dla różnych subtelnych i mało uchwytnych przyczyn zabytki przeszłości niemieckie nie posiadały u turystów obcych tego samego autorytetu co *châteaux de la Loire* i miasta włoskie. Niemcy historyczne i ich sztuka zostaną, być może też odkryte przez wielką publiczność międzynarodową. Na razie co innego przyciąga do Niemiec obcych podróżnych.

Niemcy są dziś najczulszym punktem stosunków między Wschodem i Zachodem, miejscem, w którym krzyżują się wszystkie kalkulacje zdążające do odgadnięcia przyszłości Europy, a być może i globu.

Od dawna już Niemcy zajmują miejsce, z którego wzrok sięga najdalej w przyszłość. Już w kilka lat po pierwszej wojnie światowej stało się jasne, że przyszłość Europy zależeć będzie od ewolucji wewnętrznej Niemiec. Zniknięcie dawnego ,,koncertu europejskiego'' i poróżnienie się zwycięzców Niemiec stworzyło na kontynencie próżnię, której wypełnienie przypadło Niemcom. Rozbieżność domniemanych interesów i słabość krajów peryferycznych zapewniały Niemcom długotrwały pokój, lecz stwarzały jednocześnie wyjątkowo pomyślne warunki dla prób opanowania całego kontynentu. Od wyboru Niemiec zależał dalszy los Europy.

Sytuacja obecna jest zgoła odmienna. Niemcy wtłoczone są w system równowagi między Wschodem i Zachodem. Środkiem kraju przebiega linia demarkacyjna, na której można wymierzyć siłę nacisku obu bloków. W żadnym innym miejscu Europy nacisk ten nie jest tak bezpośredni i widoczny. W razie zachwiania się obecnej równowagi, Niemcy — niezależnie od życzeń ich mieszkańców — wejść muszą w orbitę strony silniejszej.

Na razie Niemcy nie mogą powziąć żadnej inicjatywy mogącej zmienić sytuację, bo nawet ich ponowne uzbrojenie nic wniesie do niej żadnych nowych danych. Dopiero dalsze postępy ,,odprężenia'' i polityki ,,koegzystencji'' mogą stworzyć luzy dające Niemcom możliwość samodzielnego manewrowania między obu blokami.

W jakimkolwiek kierunku pójdzie ewolucja wewnętrzna Niemiec, będzie to zależało w znacznej mierze od tego, jak Niemcy będą oceniali położenie ogólne Europy, zwłaszcza zaś siły i możności bloku wschodniego. Zawodność takich ekspertyz jest oczywista. Jeden z twórców angielskiego systemu *balance of power* — utrzymywania na kontynencie równowagi sił i popierania w tym celu strony słabszej — pisał że największym brakiem tego systemu jest trudność rozpoznania przed końcem wojny, która

strona jest silniejsza. O ileż trudniejsza jest ocena bloków o[…] mujących po parę kontynentów i po kilkadziesiąt narodów. […] jednak nie chce rezygnować z takich kalkulacji, zwłaszcza […] od ich wyniku zdaje się zależeć jego przyszłość.

Nigdzie indziej Europa Wschodnia nie jest badana ró[…] uważnie jak w Niemczech, posiadających pewnego rodzaju […]nopol na wiadomości przenikające z drugiej strony linii dema[…]cyjnej. Liczne instytuty badawcze zajęte są zbieraniem książ[…] pism, relacji i wiadomości o Europie Wschodniej. Niektóre z […] posiadają prawdziwe skarby informacji, które przy pomocy […]szyny do liczenia i tablic logarytmów można układać w wyk[…] i cyfry służące nowożytnym astrologom do stawiania horo[…]pów.

Publikacje, biblioteki i archiwa tych instytutów są przewa[…] dostępne dla obcych, ale korzystanie z nich wymaga przyg[…]wania, a także czasu na studia przynoszące w końcu uczucie […]dosytu i zwątpienia. Z punktu, z którego według wszelkich […]zumnych obliczeń wzrok powinien sięgać najdalej w przyszł[…] widać tylko niezmierzoną równinę spowitą w mgłę.

Niemcy przyciągają dziś wielu podróżnych ciekawych p[…]szłości. Nieliczni z nich tylko, rzecz prosta, mają czas na z[…]bienie tego nieuchwytnego przedmiotu. Większości ich wys[…]cza, że mieli możność dotknięcia instrumentów służących do […]rzenia ambicji dyktatorów oraz oglądania magicznych cyfr i […]grążonych nad nimi w medytacji astrologów. Sam widok ten […]pokaja najczęściej ciekawych, dając im pewność, że przy[…]mniej dostępna dla oka część przyszłości nie pozostanie niero[…]znana.

Rywalizacja między Wschodem i Zachodem toczy się zre[…] nie tylko w sferze spekulacji umysłowych, ale także w dziedz[…] gospodarczej i społecznej, gdzie fakty są łatwiej uchwytne i g[…] doświadczenia niemieckie ostatnich lat są ze wszech miar go[…] uwagi.

W WESTFALII : O CZYM SIĘ MÓWI

Z łaski dziennikarzy przyjęte było przez dłuższy czas u[…]żać kraje bałkańskie za beczkę prochu, do której wystarczy […]żyć zapałkę, aby wywołać wybuch mogący wstrząsnąć całą Eu[…]pą. Wystarcza wszakże jednego spojrzenia na te kraje — na […] chaty kryte słomą i na stojących przed nimi chłopów w biał[…] portkach i wyszywanych koszulach — aby się przekonać, że […]ność ich na pewno nie potrafi dokonać niczego co mogłoby […]chwiać porządkiem kontynentu. Sama nawet używana w kraj[…] bałkańskich broń palna i potrzebna do niej amunicja były […] wszystkich czasów przywożone z zagranicy.

Wystarcza również jednego spojrzenia na Westfalię, […] upewnić się, że tu właśnie znajduje się gigantyczna kuźnia […]fajstosa, dostarczająca od kilkudziesięciu lat broni najsilniej[…]

armii Europy. Jak okiem zajrzeć, wszędzie stoją wyciągi kopalni, rotundy koksowni, kominy odlewni i walcowni oraz korpusy fabryk metalurgicznych różnej specjalności. Sama nawet ziemia Westfalii wygląda tak, jak gdyby europejska beczka prochu wybuchała na niej już kilkakrotnie, pokrywając kraj żużlami i popiołem. Wreszcie i rozmowy mieszkańców odpowiadają dość dokładnie temu otoczeniu.

Z okazji wstąpienia na tron Edwarda VIII, angielskie towarzystwo Mass Observation Movement ogłosiło tom, zawierający strzępy rozmów słyszanych przez jego współpracowników w dniu koronacji. Mając w pamięci ten wzór, staram się zebrać wątki rozmów słyszanych w ciągu ostatnich dni.

Prócz jednej rozmowy o najbliższym sezonie operowym, wszystko co słyszałem odnosiło się do uzbrojenia Niemiec. Nawet nieznajomi wstępowali ze mną w rozmowy na ten temat. Od dnia podpisania umów paryskich Westfalia nie ma na pozór żadnego innego przedmiotu rozmów, komentowanego zresztą nieustannie przez prasę.

Zainteresowania Westfalczyków skupiają się głównie na przypuszczalnych skutkach gospodarczych uzbrojenia :

— Cena miedzi podniosła się znów.

— Wszystkie akcje przemysłu ciężkiego mają tendencję zwyżkową.

— Od początku wojny koreańskiej nie było jeszcze tak pomyślnej koniunktury.

— Poziom życia podniósł się wówczas najwydatniej, można więc spodziewać się i teraz nowej zwyżki zarobków i płac.

Nie brak jednak i głosów sceptycznych :

— Zbrojenia pociągną za sobą ograniczenia produkcji dóbr konsumpcyjnych, których i tak nie ma za wiele.

— Zmniejszenie ilości towarów przy jednoczesnej ekspansji kredytowej może wywołać nową inflację.

— Wykorzystać obecną koniunkturę można tylko przy ostrożnej i ograniczonej produkcji broni.

— Do takiej polityki rząd nie posiada warunków. Czy myśli pan, że Amerykanie będą patrzyli biernie na powolność zbrojeń i przedłużanie w nieskończoność obecnej sytuacji ? Będą parli do najszybszego uzbrojenia. (Zapewne w wyniku długotrwałej okupacji, Niemcy mają bardzo wygórowane pojęcie o wpływie Stanów Zjednoczonych na rządy i opinię publiczną w Europie.)

Co pewien czas pada także pytanie :

— Ale co na to powie Rosja ? W tej chwili Kreml szuka porozumienia z Zachodem, ale czy ta polityka wytrzyma obecną próbę ?

Nie udaje mi się odwrócić uwagi żadnego z przygodnych rozmówców od tematów zbrojeniowych. O czymkolwiek zaczynam mówić, rozmowa powraca po chwili do tego samego przedmiotu. Mając w pamięci pewną ilość takich rozmów, staram się wyciągnąć z nich ostrożne wnioski.

W żywiołowej sile, z jaką zagadnienia uzbrojenia opanowały

umysły Westfalczyków, wyraża się nie tylko *genius loci*, a także zaskoczenie przez umowy paryskie. Odraczana latami cyzja wydawała się odległa i niepewna; wreszcie przestano o mówić. Lud nie miał okazji wypowiedzenia się w tej spr i nie ma być może o niej jasnej opinii. Dla większej części cz ników gazet umowa paryska była niespodzianką. Nikt nie dlaczego doszła do skutku właśnie w tej chwili.

Jeszcze przed dwoma laty na wszystkich płotach i mu Niemiec widniały napisy *ohne uns*, świadczące o istnieniu c nych przeciwników uzbrojenia i służby wojskowej. Obecnie w zaledwie kilka takich napisów, spłukanych w połowie p deszcze. Czy wnosić stąd należy, że liczba przeciwników uzbı nia zmalała, czy też że długotrwałe przewlekanie sprawy uś ich czujość? Czy po podpisaniu umów paryskich okażą z więcej inicjatywy?

To co widzę i słyszę nie upoważnia do takich przewidyw w każdym razie nie w Westfalii. Uderza mnie tu pewnego dzaju bierność i bezosobowość słyszanych komentarzy. Oby tele omawiają zapadłe decyzje jak fakty natury stojące p zasięgiem sądów wartościujących, ograniczając się do rozwa nia zagadnień stojących w ich mniemaniu przed rządem Repub federalnej. Nic nie zdradza w ich słowach, aby w sprawie uzb jenia posiadali jakiś mocne przekonania własne lub aby prze naniom tym przypisywali znaczenie.

Taka postawa nie jest zjawiskiem wyłącznie niemieck Wszystkie ludy Europy Zachodniej, znużone nierozwiązaln zagadnieniami, pragną dziś złożyć odpowiedzialność w ręce dów, którym we wszystkich ważniejszych sprawach parlame udzielają najszerszych pełnomocnictw. Nie ma na ogół nig czynnej opinii publicznej; ludy stoją najczęściej w milczeniu swymi rządami. Można przypuszczać, że partie komunistyc zawdzięczają część swego powodzenia faktowi posiadania nopolu na opinie inne od rządowych. Niemcy nie odbiegają zapewne od ogólno-europejskiego szablonu.

LIBERALIZM NIEMIECKI

Od swych protektorów amerykańskich Republika federa niemiecka przejęła zasady inicjatywy prywatnej i wolnej kon rencji. Po dłuższym okresie etatyzmu hitlerowskiego Niemcy w ciły do liberalizmu, który miał tu zawsze licznych zwolennikó nie tylko w zainteresowanych sferach gospodarczych, ale tal np. na uniwersytetach.

Eksperyment ten, na który — prócz wolnej konkurencji złożyły się przede wszystkim pomoc finansowa Ameryki, *deutsche Arbeitswunder*, a wreszcie i eliminacja przez bomb dowania przedsiębiorstw nierentownych, wydał w zdumiewaja krótkim czasie bardzo pomyślne wyniki. Ludność Niemiec Z

chodnich jest zatrudniona; bezrobocie zdaje się posiadać obecnie charakter lokalny, ograniczony do trudniejszych do zagospodarowania okręgów; artykuły spożywcze i inne towary powszechnego użytku są tańsze niż w krajach sąsiednich; opieka społeczna zdaje się funkcjonować wydatniej niż gdzie indziej; czytam wreszcie, że oszczędności gotówkowe przekroczyły dziesięć miliardów marek.

Powodzenie gospodarcze nie wyczerpuje jednak potrzeb i ambicji ludnosci. Po latach wojny, przewrotów i ubóstwa, wszyscy chcieliby utrwalić swą nową, chociażby nawet umiarkowaną zamożność. Opinię kraju nurtują w tej chwili dwa sprzeczne prądy: z jednej strony wiara w zalety systemu liberalnego i trwałość obecnej koniunktury, z drugiej zaś dążenie do stabilizacji i ciągłości życia, wyrażające się w różnych projektach reglamentacji życia gospodarczego. Profesor Ludwik Ehrhard, minister spraw gospodarczych rządu federalnego, charakteryzuje te projekty jako „powrót do ustroju cechowego". Obie tendencje można było wyczuć w przytoczonych wyżej rozmowach.

Te dwie sprzeczne tendencje rodzą się niejako ze wzrostu zamożności i liczby posiadających, którzy chcieliby zabezpieczyć i utrwalić swój stan posiadania, chociażby za cenę wyrzeczenia się dalszego wzrostu dochodów. Bez obawy popełnienia większej omyłki można przewidywać, że w ciągu najbliższych lat ludność Niemiec będzie tak samo konserwatywna i ostrożna jak ludność pozostałej Europy Zachodniej. Proletariat nie mający do stracenia nic prócz kajdanów istnieje dziś w wielkich masach głównie na obszarach bloku wschodniego. Szeregi jego topnieją szybko na Zachodzie. Większe grupy proletariatu istnieją dotąd we Włoszech, w Hiszpanii, we Francji, ale wystarczy być może jeszcze kilka lat obecnej koniunktury i kilku wysiłków polityki społecznej, aby grupy te zaczęły również maleć. W Niemczech — jak w wielu innych krajach Zachodu — ludzie pracy zbliżają się do posiadania własnych mieszkań, stałego zatrudnienia i oszczędności. Kto nie ma tego dziś, widzi osiągnięcie tych celów w perspektywie niewielu lat. Byle tylko obyło się bez wojny, byle nie zrobiono żadnych kroków nieprzezornych mogących spłoszyć koniunkturę.

DUESSELDORF

Odrodzenie gospodarcze nie objęło równomiernie całego obszaru Republiki federalnej. Wszędzie uderza wzrost zamożności, ale zjawisko to nie ma nigdzie tych samych rozmiarów jak w Nadrenii-Westfalii, gdzie rozbudowa przemysłu przybrała formy rwącego potoku, znoszącego lub przeskakującego leżące na jego drodze przeszkody.

Ewolucja ta ma dwa różne oblicza, z których jedno, nieco lekkomyślne i niepokojące, widać w Düsseldorfie, siedzibie rządu

i parlamentu Nadrenii-Westfalii, drugie zaś w Dortmun wielkiej aglomeracji robotniczej.

Dawna siedziba elektorów Palatynatu, Düsseldorf zach z tych czasów trochę starych budynków, parę pałaców i nych parków, leżących w środku miasta. Najelegantsze m Niemiec — jak mówią o nim Westfalczycy — wita dziś przy nych widokiem ruin otaczających dworzec kolejowy. Niecał lometr drogi dzieli ten ostatni od głównej arterii miasta, cej w zieleni Königsallee, za którą leży stare miasto, scho po łagodnej pochyłości ku rzece. Ren opuszcza tu skaliste b i płynie powoli, ogromny, wśród zielonych pagórków.

Ojczyzna Heinego, Düsseldorf odbiega nieco od szablon nych miast niemieckich. Nie ma tu wprawdzie uniwersytetu jest stara akademia sztuk pięknych, której dawne zbiory są główną podstawą monachijskiej Pinakoteki, i teatr znany w pierwszej połowie XIX wieku. Düsseldorf posiadał za bardzo zamożne mieszczaństwo i interesujące życie artystycz

Po krótkim pobycie trudno osądzić co — prócz niejas tradycji — zostało w Düsseldorfie po tamtych czasach. P zrujnowane podczas wojny ulice miasta przeszła w osta latach wielka fala pieniędzy, spłukujących rzeczy dawne je dokładniej niż fale bombowców. W środku miasta wyrosły dynki wzniesione na miarę nowej fortuny kraju. Na jednej z g nych ulic stoi sznur ogromnych budynków banków, w któ tysiące urzędników rozdzielają mannę kredytów. Rząd Nadr Westfalii mieści się w nowym gmachu z żelazo-betonu i s przeglądającym się w jeziorze o romantycznej nazwie Schwan spiegel.

Najbardziej nowa w tym mieście wydaje mi się jednak bliczność, którą widzę na ulicach. Już przed 11-tą rano r i przeważnie gustownie urządzone kawiarnie śródmieścia w niają się publicznością, która ma na pozór równie wiele wol czasu co pieniędzy i, po latach klęski, zdaje się śpieszyć do le myślności i beztroski. Podobną publiczność widziałem przed ma laty w Wiesbadenie. Było to jednak letnim wieczorem p premierą w otoczonym starym parkiem gmachu teatru. Tu o dam ją rankiem w dzień powszedni. Znajomy, który spędza czasu w Niemczech, zwracał mi uwagę na wielką ilość jedzących tu kawior do śniadania bez żadnej szczególnej p czyny, po prostu aby nie stracić okazji zjedzenia czegoś sm nego. Düsseldorf jest zapewne stolicą zjadaczy kawioru n dzień. Przyglądam się damom zasiadającym w kawiarniac Königsallee. Niektóre, mimo ciepłej jesieni, noszą już futra. na z nich na pewno nie pochodzi ze starej burżuazji düssel skiej : wydają się nieco oszołomione swą nową beztroską i im jeszcze nieodłącznej od zbytku dyscypliny.

Za lśniącymi fasadami Königsallee leży odbudowywana chwili dzielnica ruin. W południe widzę śniadających tam strów i monterów. Zarobki ich muszą być nienajgorsze, bo udzieliło się coś z wesołej pogody zamożnych.

Nie bez żalu opuszczam to miasto, gdzie zamożność posiada
eszcze świeżość uśmiechu fortuny. Inne miasta, nawet bogatsze
d Düsseldorfu, wydają mi się w tej chwili ponure, odpychające
swym koszmarnym skąpstwem i lękiem o prawa nabyte.
W kilka dni później nadeszły z Düsseldorfu pierwsze wiado-
mości o bandytach zatrzymujących pod miastem automobile i od-
bierających gotówkę podróżnym. Nie mogę się oprzeć przypusz-
czeniu, że owi nieuchwytni dla policji bandyci są być może mis-
tyfikatorami, którym nie wystarczyły teatry i teatrzyki Düssel-
dorfu i którzy w poszukiwaniu rozrywek przekroczyli umowną
granicę.
Lekkomyślne życie Düsseldorfu wydaje się niemal feerycz-
ne, ponieważ w administracyjnej stolicy nie widać istotnych prze-
słanek zamożności kraju. Te ostatnie widać lepiej we właściwym
zagłębiu węglowym Westfalii.

ZIEMIA

Podróżujący brzegiem Renu widzi przed sobą kraj zagospo-
darowany jeszcze przez Rzymian. W niedalekim Trewirze znajdo-
wała się przez pewien czas rezydencja cesarzy schyłkowego impe-
rium. Wiele rzeczy przypomina tu jeszcze krajobraz opisany
przez Ausoniusa w poemacie o Mozeli. W brudnej wodzie, nio-
sącej tłuste oka smarów, nie ma wprawdzie więcej ryb opisanych
przed nadwornego poetę; dymiące kominy nie należą też do jego
czasów, ale szosa nadbrzeżna biegnie w tym samym miejscu,
gdzie szła niegdyś ścieżka wydeptana przez marynarzy holują-
cych swe staki w górę rzeki.
Południowe stoki brzegów pocięte są wciąż w schody, na
których leżą żółte w jesiennym słońcu winnice. Stopnie te, zwa-
ne na południu Francji *les berges*, należą do cywilizacji śródziem-
nomorskiej i powstały tu zapewne w starożytności. Przyjrzaw-
szy się okolicznym polom, można by zapewne znaleźć miedze i dro-
gi wytyczone niegdyś przez rzymskich agrimensorów według
rytuału przyniesionego z brzegów Tybru. Zwyczaj ludów połud-
niowych wyrażania swej myśli przez nadawanie ziemi pewnych
szczególnych kształtów rozszerzał się kilkakrotnie na kraje pół-
nocne w formach bądź rzymskich, bądź też renesansowych i ba-
rokowych. Na brzegach Renu widać jeszcze liczne ślady antycz-
nego stosunku do ziemi. Ślady te znikają szybko w miarę oddа-
lania się od wielkiej rzeki.
Na północo-wschód od Kolonii rozciąga się lekko falująca
równina, którą dopiero Carolus Magnus włączył do mocno pod-
upadłego wówczas świata zachodniego. W jej okolicach rolni-
czych przekonać się można, że tysiąc lat jest krótkim okresem
czasu, gdy chodzi o ukształtowanie powierzchni ziemi i obyczaje
wiejskie. Błotniste drogi polne i drewniane płoty Westfalii są
znacznie bliższe wzorów polskich niż krajów należących niegdyś
do imperium rzymskiego. Na tej równinie leży obecne zagłębie
węglowe.

Zagłębie pokryte jest rozrzuconymi szeroko miastami, łączącymi się ze sobą, bądź oddzielonymi od siebie niewiel obszarami rolniczymi. Miasta składają się z sczerniałych od d śródmieści, otoczonych sięgającymi daleko dzielnicami podı skimi i wieńcami luźnych osiedli, grupujących się dokoła k ni i zakładów przemysłowych. Wszystko to przetykane jest miącymi kominami i grupami budynków fabrycznych.

Ziemia jest z wierzchu czarna od węgla, spodem glini jasno-żółta. Między dzielnicami podmiejskimi i osiedlami wszędzie szaro-zielone pasy nieużytków. Niektóre z nich p słe są zdziczałą trawą, poprzecinane w różnych kierunkach deptanymi w błocie ścieżkami. Inne, leżące na terenach k nianych, pokryte są pagórkami żużli lub kamieni i odpad wywożonych windami z kopalni. Między wzgórzami odpad czernieją wypełnione wodą zapadliny. Gdzieniegdzie stoją re zniszczonego lasu, w innych miejscach opuszczoną ziemię po wają niskie zarośla z splątanej gęstwiny głogu, dzikiego jeżyn, ostów i pokrzyw. Pozostawiona samej sobie i zaśmie jedynie odpadkami papieru i blaszankami konserw ziemia tw nowe zespoły roślin.

Nad zniszczoną i zdziczałą ziemią ciągną smugi dymu i drują niskie obłoki pary, wydobywającej się z koksowni i lewni. Para ta, kondensując się w chłodnym powietrzu, spad ziemię rzadkimi kroplami deszczu.

Wśród mieszkańców przedmieści i osiedli nie ma wido amatorów ogrodnictwa, bo otaczające je pasy zieleni składaj tylko z łysiejącej trawy i chwastów. Ogródki działkowe z sów wojny zostały przeważnie porzucone. Miejscami z bru nych chwastów sterczą na nich suche badyle i połamane żer po których pięła się niegdyś fasola. Jedyny kawałek stara utrzymanego trawnika widziałem przed zabudowaniami adm stracyjnymi jednej z kopalni dortmundzkich.

Gdzieniegdzie zachowały się resztki cofającego się pod n rem nieużytków rolnictwa: sczerniałe od sadzy zabudow wiejskie, kawałki zieleniejącej w tej chwili oziminy i łąki, na rych pasie się po kilka krów i szarych od dymu owiec. Z rza widać drzewa polne, które niegdyś dawały cień pasącym się dom, dziś zaś stoją pod płotem fabrycznym i mają pień cz jak smoła.

Skrywająca w swych wnętrzach bogactwa kopalniane zie westfalska ubrała na siebie szatę zgrzebną, strój roboczy p plam i łat, pozbawiony wszelkiej kokieterii.

DORTMUND

Podróżnik systematyczny, chcę kupić na dworcu plan sta.

— Nie na wiele się panu przyda, mówi czekający na n przyjaciel. Już wychodząc z druku każdy plan jest tu prze

zały. W Dortmundzie powstaje każdego dnia nowa ulica. Na-
et w śródmieściu budują się w tej chwili nowe arterie, których
rzedtem nie było.

W słowach tych nie było przesady, bo następnego dnia zna-
ızłem w miejscowej gazecie wiadomość, że nadano nazwy dwu
owym ulicom.

Dortmund jest starym miastem hanzeatyckim, które w wie-
ach średnich miało swój okres zamożności, lecz potem zeszło
a długo z kart historii. W początku XIX wieku liczyło niewiele
onad 4.000 mieszkańców. Z dawnych czasów został mu tylko
bszerny kościół św. Reinolda i kolisty zarys ulic otaczających
łaściwe śródmieście. Z tego ostatniego bomby pozostawiły nie-
iele tylko domów czarnych jak smoła, z których jeden zaledwie
daje się pochodzić z czasów poprzedzających wiek XIX. Na
zczątkach i wspomnieniach dawnego śródmieścia wznosi się obec-
ie luźno kilka wysokich budynków o architekturze użytkowej,
ie liczącej się wcale z tym co było.

Po wielkiej katastrofie nie pozostało na pozór w Dortmun-
zie żadnej większej grupy mieszkańców przechowujących oby-
zaje burżuazyjne czasów poprzednich. W jednym ze starych
loków śródmieścia zachowały się dwie kawiarnie. Przed połud-
iem są puste, koło 16-ej zbiera się w nich trzydzieści do czter-
ziestu pań opowiadających sobie plotki przy kawie i ciastkach.
est to zapewne wszystko co w tym ludnym mieście pozostało
dawnego mieszczaństwa.

Dortmund jest więc rozległym miastem robotniczym bez
łaściwego ośrodka miejskiego. Ma wprawdzie dwa teatry,
których jeden zatrudnia zespół operowy, ale program ich zwra-
ı się do publiczności małomiasteczkowej, która nie zna jeszcze
raviaty i *Cnotliwej Zuzanny*. Dortmund liczy 34 browary i miej-
cowi konsumenci piwa mogliby wypełnić taką samą ilość tea-
ów.

Na obszarze miasta objętym moim planem znajduję 9 ko-
alni węgla, kilka bardzo wielkich fabryk metalurgicznych, któ-
ych nazwy figurują w cedułach giełdowych, i wielką liczbę
niejszych zakładów przemysłowych. Wszystkie te przedsiębior-
wa pracują obecnie na pełnych obrotach, ściągając coraz więk-
zą ilość robotników.

Przemysł westfalski zatrudniał zawsze robotników obcych.
/ czasach wilhelmińskich pracowało tu wielu Polaków, posia-
ających własne związki zawodowe, tzw. *polnische Gewerk-
haften*. Pewna ilość Polaków pracowała tu i później, w okresie
epodległości. Na cmentarzu w Eving widziałem zbiorowy grób
ilkudziesięciu górników, którzy w 1925 zginęli w kopalni Mi-
ster Stein. Grób ten jest bardzo wystawny: leży na tarasie
vorząc dwa skrzydła koło pomnika, na którym czytam:

Ein ehrnes Schicksal waltet über mir
Und unaufhaltsam reisst es mich dahin.

Uroczyste słowo ,,los'' oznacza zazwyczaj oszczędności zr
bione przez przedsiębiorstwa na bezpieczeństwie pracy. Jakak
wiek była jego historia grób jest dotąd starannie utrzymany :
każdej mogile rośnie kilka złotych chryzantem. Idąc wzdł
mogił czytam nazwiska : Smoliński, Zaremba, Woynowski, K
walski...

Nieustanny napływ robotników spowodował w ostatnich
tach szybkie rozrastanie się miasta. Władze miejskie, krajo
i federalne dążą do zapewnienia każdemu robotnikowi mieszk
nia, stąd budowa coraz to nowych dzielnic i osiedli. Wiek i
można poznać po barwie ścian, które w domach przedwojenny
są czarne, w późniejszych zaś coraz jaśniejsze. Bloki mieszkani
we nowych osiedli są podobne do koszar; widać na nich pośpie
i oszczędność budowy. Główny cel został jednak osiągnięty : b
raki stojące jeszcze na peryferiach miasta są puste.

Mieszkam przy szosie na skraju miasta, w małym hot
dla podróżnych przyjeżdżających w interesach do leżącej napr
ciw kopalni. Budynek jest nowy; na piętrze znajduje się kil
pokoi ,na dole bar, restauracja i sala, w której wieczorem s
tańczy. W ciągu dnia dom wydaje się niezamieszkały, dopie
po zakończeniu w kopalni dziennej zmiany górnicy wypełnia
bar. Brzęk szklanek, dźwięki radia i szczęk automatów słych
wówczas aż na ulicy. Przed szynkwasem tłoczą się ludzie mł
dzi, szczupli, w bluzach i spodniach z granatowego manchester
rozgrzani jeszcze kąpielą po zejściu z szychty. Mieszają się j
zyki i dialekty. Wódka i piwo wydają się tu niezbędne dla o
prężenia po ośmiu godzinach wytężonej pracy i skupionej uw
gi. Pierwsi przychodzą kawalerowie — w Dortmundzie jest wi
cej mężczyzn niż kobiet — i żonaci zachodzący do knajpy
jednego przed powrotem do domu. Później przychodzą robotni
z żonami i narzeczonymi na parę godzin tańca.

Po kilku dniach zaczynam rozumieć rolę knajpy, wódki i p
wa w życiu westfalskich osiedli fabrycznych i kopalnianych. Z
robki są tu przeważnie dobre, jedzenie tanie. Osiem godzin w
tężonej, czasami niebezpiecznej pracy, osiem godzin głębokie
snu i książeczka oszczędnościowa będąca magicznym klucze
do wszystkich rzeczy, które można dostać za pieniądze, ale któ
często trudno sobie wyobrazić — ta część życia wydaje się ur
gulowana. Otwarta natomiast pozostaje sprawa kilku godz
pustych, do spędzenia w ponurym mieszkaniu lub wśród spust
szonych nieużytków. Bez dobroczynnego zamroczenia gorzał
godziny te byłyby nie do zniesienia. Posiadanie własnej kobie
nie zawsze poprawia sytuację : do chandry dodaje niecierpliwoś
chyba że się pije we dwoje. Chore dziecko, pies lub chociaż
kanarek może tu być skarbem nieocenionym. Nie widzę tu jedna
wielu zwierząt.

Probuję głośno czytać Apokalipsę. W pustce godzin słow
jej wzrastają do olbrzymich rozmiarów.

Władze i organizacje społeczne popierają wszelkie zatrud-
ienie dodatkowe i inicjatywę własną mieszkańców : szkolenie
v różnych specjalnościach lub zajęcie się handlem, który nie zo-
stawia swym adeptom pustych godzin. Nigdzie zapewne nie moż-
ıa równie łatwo otrzymać patentu na otwarcie szynku lub skle-
ɔu. „Czy pan już wykonywał kiedyś ten zawód?" Odpowiedź
ɔrzecząca nie jest powodem do odmowy. Naiwnym urzędnicy ra-
dzą, dla uniknięcia późniejszych przykrości, przejść dwutygod-
iowy kurs elementarnej księgowości.

Westfalski liberalizm w dziedzinie pracy ma oczywiste przy-
czyny. W mieście budującym każdego dnia nową ulicę nikt nie
ɔotrafi obliczyć, ile nowych punktów sprzedaży potrzeba bę-
dzie dla normalnych procesów wymiany. Nikt też nie potrafi
ocenić, ile okaże się wart tak łatwo wystawiony patent. Popie-
ranie inicjatywy prywatnej wydaje się najszczęśliwszym rozwią-
zaniem.

Porównując ją z innymi krajami, gdzie przez kilkanaście
at starałem się na próżno o legalizację pobytu i prawo pracy,
nam wrażenie, że Westfalia jest w tej chwili najbardziej wolnym
krajem Europy. W ocenie tej nie jestem zresztą odosobniony, bo
znajduję tu przyjaciela, który wrócił ze Stanów Zjednoczonych
v przekonaniu, że Westfalia ofiarowuje emigrantowi lepsze wa-
runki pracy.

Teorie i praktyki liberalne związane były na Zachodzie z ok-
resem wielkiej rozbudowy przemysłu i wzrostu zamożności, który
zamknął się z wybuchem pierwszej wojny światowej. Tylko West-
falia przeżywa nadal podobną ekspansję gospodarczą i z tej
ɔrzyczyny jest ostatnią twierdzą liberalizmu.

Liberalizm gospodarczy nie rozwiązuje wcale zagadnienia
wolnego czasu w wielkim mieście robotniczym. Dowiaduję się
też, że w Dortmundzie rada miejska postanowiła powołać komi-
tet doradczy, mający opracować plan podniesienia i urozmaice-
ıia życia kulturalnego miasta. Komitet ten będzie miał do roz-
ważenia jedno z najważniejszych zagadnień cywilizacji przemy-
słowej.

KOREA

Nazwę tę nosi jedno z dalszych osiedli przedmieścia Eving,
eżące za dwoma cmentarzami na stoku lekko falującego grun-
u. Około 60 bloków mieszkaniowych stoi tu w czterech rzędach
ıa polu porosłym dziką trawą i chwastem. Mieszka w nich koło
ɔółtora tysiąca emigrantów, z czego koło 500 dzieci. Najliczniej-
szą grupę stanowią Polacy, obok nich są jednak liczni emigran-
ci z wszystkich krajów Europy Wschodniej.

Grunt i budynki tej kolonii należą do rządu federalnego, któ-
ry wynajmuje emigrantom mieszkania po cenie ulgowej, wyno-
szącej około 40 marek miesięcznie za trzypokojowe pomieszcze-
ıie. Mieszkania są dość prymitywne, brak w nich np. łazienek.

Jak w innych koloniach robotniczych bloki przypominają z z
wnątrz koszary z Infanteriestrasse.

Mieszkańcy Korei rekrutują się z uchodźców, którzy po
czas wielkiego rozładowywania obozów nie wyjechali do kraj
zamorskich z powodu stanu zdrowia ich lub ich rodzin lub z ra
ciążących na nich w przeszłości zatargów z sprawiedliwością ok
pacyjną. Dodać wypada, że są to emigranci mający za so
najdłuższy pobyt w obozach. Grupa ta składa się więc z os
najbardziej wykolejonych, najdalszych od normalnych egzystenc
Niektórzy z nich nie nauczyli się dotąd niemieckiego.

Przerobienie tej kategorii emigrantów na robotników m
siało wydawać się wszystkim zadaniem trudnym. Eksperymen
takiego próbować można było najłatwiej w Westfalii, gdzie gr
pa ta jest tylko skrajnym wypadkiem dezintegracji społeczn
obejmującej w różnym stopniu znaczną część ludności napływ
wej, i gdzie istnieją najszersze możliwości pracy.

Osiedle istnieje już dwa lata, widziałem je więc już w faz
względnej stabilizacji jego mieszkańców. Nie łatwo zapewne był
by powiedzieć, jakimi drogami doszli do oswojenia się z n
wymi warunkami. Korea jest nie tylko wieżą Babel językó
ale także arką Noego, mieszczącą najróżnorodniejsze formac
społeczne, temperamenty i uzdolnienia. Opis życia wewnętrzn
go tej kolonii zbudowanej na brzegu otchłani byłby dokumente
ludzkim o niezmierzonej perspektywie. Samo znalezienie w ty
celu słów przylegających ściśle do zjawisk byłoby zapewne przed
sięwzięciem deklasującym stylizacje i manieryzmy literackie na
szych czasów. Nie probuję więc nawet wchodzić w szczegóły, za
trzymując się na najogólniejszych zarysach tego złożonego zja
wiska.

Prócz kilku chorych, dorośli Koreańczycy zrobili na mn
wrażenie ludzi nieźle odżywionych i konsumujących większe il
ści piwa. Zważywszy, że dochody swe czerpią z pracy, możn
wnosić, że regularne zarobkowanie nie nastręcza im większyc
trudności. Słyszałem o kilku kradzieżach popełnionych w osiedl
i okolicy i przypisywanych Koreańczykom, takie rzeczy wchodz
jednak w normalny bieg spraw ludzkich.

Więcej można powiedzieć o dzieciach, które zdają się st
nowić właściwy klucz do przyszłości tej grupy emigrantó
Wszystkie są starannie ubrane i wyglądają doskonale. Dowiadu
ję się, że opieka społeczna zajmowała się wiele dziećmi z Kore
wysyłając słabsze na kolonie letnie i do zakładów leczniczyc

Część Koreańczyków ożeniła się z Niemkami w czasach ki
dy D.P. byli żywieni przez U.N.R.R.-ę i mieli urzędowe papi
rosy. Dzieci tych małżeństw mówią w domu po niemiecku. Inn
nabywają tej umiejętności w szkole. Z biegiem lat będą z nic
„Preussen" jak nazywają tu Niemców pochodzących z innyc
prowincji — i to zdecyduje zapewne o końcowej — w granica
ich możliwości — asymilacji rodziców.

Czy dla dzieci Korei istnieją jeszcze jakieś inne wyjścia
Spotkałem raz w osiedlu automobil z holenderskim numerem i d

wiedziałem się z tej okazji, że grupa dzieci była zaproszona latem do Holandii, i że inicjatorzy tych zaprosin zaczęli odwiedzać swych pupilów w Dortmundzie. W parę dni później zaczepił mnie na ulicy chłopiec mogący mieć koło pięciu lat, o ciemnych, uważnych oczach :

— Chciałbym pojechać do Holandii.

— Czemu chcesz stąd jechać, dziecinko?

— Tam jest lepiej. Tu jest niedobrze.

— Jedźmy w takim razie do Holandii.

— Przed tym trzeba napisać list. Niech pan pomówi o tym z mamą.

Chłopiec ma rację. Tu nie jest dobrze: przede wszystkim jest tu niepewnie. Kto potrafi przewidzieć dalsze losy Korei? Osada ta, jak i inne osady dla emigrantów w Westfalii, powstała w czasach, kiedy losem emigrantów zajmowały się władze okupacyjne i traktowały o tym z rządem w Bonn. Rząd ten nie ma jednak żadnej jasnej polityki wobec uchodźców ze Wschodu. Utrzymuje wprawdzie dla nich osiedla w Westfalii, ale nowych uchodźców zamyka w ponurej sławie obozie Valka. Jakie wyciągnąć stąd wróżby? Niedługo los emigrantów w Niemczech w ogóle, a z nim i losy Korei staną się zależne tylko od polityki wewnętrznej niemieckiej, której dróg nikt nie potrafi przewidzieć.

Październik-listopad 1954.

Paweł HOSTOWIEC

Zachód nareszcie wyzwala

Zawiniłem. Trzeba było od razu napisać pomimo, że nie lubi krajoznawczych referatów. I zamiast mnie, osiadłego w Guatemali od przeszło sześciu lat, zżytego z tym krajem tak, jak tylk można zżyć się z ziemią, którą się szczerze pokochało, zamias mnie napisał „fachowy" artykuł o Guatemali p. Zarzewsk w N-rze 9/83 „Kultury".

Z Ameryką odkrywaną bezustannie przez Europejczyków s wieczne nieporozumienia od Kolumba począwszy, a z Ameryk na południe od granicy USA i Meksyku nieporozumienie zamie nia się w większości wypadków w zwyczajne klituś-bajduś. Niec mi p. Zarzewski wybaczy, ale cały jego artykuł na temat prze wrotu w Guatemali trzeba zaliczyć do tej kategorii. I byłoby t nieważne, gdyby nie fakt, że po przeczytaniu go odniosłem wra żenie jakby był on wprost inspirowany przez któregoś z guate malskich „demokratów" Arbenza.

Na pewno tak się nie stało, ale niech to posłuży za dowód jak ostrożnie należy traktować odległe i egzotyczne tematy, spo glądając na nie wyłącznie z wysokości paryskiego czy londyńskie go pępka i analizując je w oparciu o bzdury wypisywane na te temat przez „Times" lub „Manchester Guardian". Zresztą cał prasa europejska wypisywała banialuki, a moi znajomi, przeby wający w czasie uwolnienia Guatemali w Europie i orientując się w istocie konfliktu, doszli do wniosku, że ton dzienników niemal wszystkich odcieni nosił cechy doskonale przeprowadzo nej przez komunistów inspiracji.

Czy była to inspiracja? W wielu wypadkach tak, lecz w wie lu na pewno nie, będąc jedynie objawem tej straszliwej zmor przygniatającej olbrzymią większość zachodnich intelektualistów pisarzy, publicystów i dziennikarzy, zabierających głos na tzw tematy aktualne.

Zmorą duszącą dziś niemal cały intelektualny, a szczególniej antykomunistyczny świat po tej stronie, jest po prostu paniczny, przeraźliwy i ogarniający każdą myśl strach, aby nie być nazwanym przez jakiegoś ,,postępowca'' reakcjonistą. Najbardziej wolne umysły wolnego świata skręcają się pod okiem dalekiej komunistycznej cenzury kluczą, plątają się. A gdy zaczyna być mowa o USA albo — zgiń szatanie — o jakimś koncernie, pióro wypada z ręki. I pod wpływem tego strachu wypisuje się i wygłasza opinie, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego i są w przeważającej ilości wypadków albo slalomem pomiędzy białymi i czerwonymi chorągiewkami, albo pełnym rozkoszy i wyższości samounicestwianiem się na kredyt na łonie Historii. Strach jest powszechny i umiejętnie rozbudowany przez komunistów. Wkręca się we wszystkie poczynania po naszej stronie i paraliżuje. Niedoceniając tej ,,angoisse'' p. Zarzewski udzielił zbyt dużego kredytu prasie angielskiej opierając na niej swe informacje i wnioski. Mimo swego niewątpliwego poziomu nie jest ona obiektywna i ścisła jeśli idzie o sprawy związane z Sowietami i Stanami Zjednoczonymi.

DUCHOWY SOCJALIZM

Do października 1944 roku Guatemala rządzona była przez kolejno następujących po sobie dyktatorów. Ostatnim z nich był gen. Ubico, który zastał Guatemalę drewnianą i zostawił murowaną. W całym kraju klimat jest dobry, w częściach niskich tropik, ale nieszkodliwy; w wyższych przez cały rok wiosna. Ziemia nie jest zbyt żyzna, ponieważ najważniejszym problemem jest nawodnienie w porze suchej. Ludzi bogatych jest dużo, klasa średnia szybko tworzy się, a Indianie żyją w nędzy wskutek straszliwego konserwatyzmu i — lenistwa. Z głodu jednak nikt tu nigdy nie umarł. Złota nie ma, srebra nie ma, o miedzi nie słyszałem, trochę ołowiu i cynku. Prawdopodobnie nafta, ale to okaże się dopiero teraz, kiedy Amerykanom pozwolą wiercić.

Dyktator Ubico ustąpił pod naciskiem opinii publicznej w czerwcu 1944 roku, przekazując władzę równie dyktatorsko nastawionej klice wojskowych z gen. Ponce na czele. Po czterech miesiącach Ponce został obalony rewolucją z 20 października 1944 roku. Rewolucja ta była odruchem na wskroś popularnym i połączyły się w niej wszystkie warstwy społeczne Guatemali. Przywódcami jej byli dwa młodzi pułkownicy, Arana i Arbenz, oraz bogaty kupiec, J. Toriello, brat ostatniego ministra spraw zagranicznych rządu Arbenza.

Ci trzej ,,caballeros'' utworzyli triumwirat, zakładając w szybkim tempie fundamenty pod rzetelną demokrację. Guatemala przebudziła się. Cały kraj wspierał pracę ,,junty'' z entuzjazmem. Przyszły wybory, parlament, konstytucja, prezydent.

Został nim J. J. Arévalo, profesor jednego z prowincjonalnyc uniwersytetów argentyńskich, Guatemalczyk przebywający o dziesięciu lat na wygnaniu.

Kandydatura ta została bardzo zręcznie podszepnięta prz skrajnie lewicowe ugrupowania rewolucyjne i z entuzjazmem przyjęta przez ogół, jak w ogóle wszystko w tych czasach wo nościowego upojenia. Arévalo był bardzo zręcznym politykien Pod pozorem ,,duchowego socjalizmu'' (socialismo espiritual o którym nikt nigdy nie umiał powiedzieć, czym był, udało m się od samego początku przemycić i rozbudować wpływy komu nistyczne.

Do Guatemali zaczęli teraz zjeżdżać z honorami Lombard Toledano z Meksyku, Blaz Roca z Kuby, Louis Saillant z Fran cji, Pablo Neruda z Chile; zaczęli także masowo osiedlać s hiszpańscy komuniści. Tym Państwo płaciło hotele, dawało do brze płatne posady rządowe, kredyty bankowe na zakładani własnych przedsiębiorstw, a funkcjonująca tu placówka IRO zo stała szybko zamieniona w biuro pomocy dla hiszpańskich ko munistów.

Jak w kilka miesięcy po wylądowaniu tutaj Arévalo wpuśc grupę szesnastu Polaków jako argument, że nie tylko czerwon Hiszpanie są przyjmowani — wywąchałem od razu, co si w gruncie rzeczy przygotowuje. Gdy podzieliłem się moimi spo strzeżeniami z kilku bardzo światłymi osobami miejscowymi, po traktowano moje wywody z pobłażliwym uśmiechem. Nie mog i nie chcieli uwierzyć, gdy prorokowałem im czerwoną przysz łość. Polacy są obciążeni kompleksem. A tymczasem praca sz miarowo naprzód.

Po roku pobytu tutaj wyczuwałem już najwyraźniej mister ną robotę i przewidywałem każdy następny etap. Arévalo ni spieszył się — pracował wolno, delikatnie i inteligentnie, stosu jąc coś na kształt metody Mao Tse Tunga. Coraz mocniejsze za strzyki oszalałego nacjonalizmu, a równocześnie zawsze n dwóch płaszczyznach: każdemu krokowi naprzód w kierunk skomunizowania kraju odpowiadało jakieś posunięcie maskujące pozornie bardzo demokratyczne, ale już kryjące w sobie szere niewidocznych dla niewprawnego oka momentów, których roz winięcie czy odpowiednia interpretacja mogły oddać komunistom wielkie usługi w przyszłej działalności.

Popierano wszystko: kulturę, sztukę, do Guatemali przy jeżdżała meksykańska opera, ale — Małcużyńskiemu wizy ni dano. I tak było ze wszystkim. Ale mało kto widział rzeczywi stość. Tymczasem nowoutworzone syndykaty robotnicze i chłop skie ,sądy pracy, inspektoraty pracy, ubezpieczelnie społeczn i wszelkie ważniejsze urzędy obsadzane były przez komunistów lub sympatyków. Nowe ustawy, jak bardzo postępowy — aż z postępowy — kodeks pracy, stały się doskonałymi instrumenta mi niszczenia prywatnej inicjatywy. Wskutek braku przeszkolo nego personelu krajowego, Guatemala importowała masowo ko munistów z Meksyku, Hondurasu, Nicaragui, Costa Rica, Chil

— zewsząd. Przynależność do partii była najlepszym listem polecającym we wszystkich poczekalniach ministrów i szefów wydziałów. Komuniści objęli wszystkie kierownicze stanowiska i zorganizowali wyższą szkołę marksizmu-leninizmu pod nazwą „Escuela Claridad" przechrzczoną następnie już otwarcie na „Escuela de Capitación Marxista". W 1949 r. o Guatemali można już było mówić jako o stolicy pewnego rodzaju Kominformu środkowo amerykańskiego, bo komunistyczna bibuła zaczęła rozchodzić się stąd na wszystkie strony.

Penetracja była przeprowadzana tak zręcznie, przy użyciu tak koronkowych metod, że nie tylko na zewnątrz, ale nawet w samej Guatemali mało kto widział ku czemu kraj idzie. I wszystko udawało się — nawet wyrzucenie amerykańskiego ambasadora. Nacjonalizm, kretyński jak każdy nacjonalizm, zaślepiał. Dziś zostało już udowodnione przy pomocy odnalezionych dokumentów, że rząd „duchowego socjalisty" Arévalo od samego początku nawiązał kontakty z zamorskimi ośrodkami komunistycznymi i że krajowe czynniki rządzące otrzymywały bardzo dokładne dyrektywy z zewnątrz.

Praca komunistów postępowała bezustannie naprzód. Dzień za dniem rozszerzali oni swoje wpływy, gdyż *tylko* oni mieli pełne poparcie rządu. Uniwersytet, a głównie wydziały prawa i humanistyki stały się w gruncie rzeczy ośrodkiem szkolenia młodych intelektualistów komunistycznych. Dawne podręczniki ekonomii, socjologii, historii doktryn ekonomicznych etc., zastąpiono powoli podręcznikami, opracowanymi przez marksistów różnych narodowości. Na tych fakultetach jedynie marksistowski punkt widzenia uważany był za naprawdę naukowy. Innego nie uczono. We wszystkich szkołach średnich, rządowych i prywatnych wprowadzono jako jedynie obowiązujący podręcznik ekonomii politycznej „Breves Resúmenes de Economía Política" opracowany przez dwóch czołowych komunistów krajowych V. M. Gutierrez i G. Alvarado i wydany przez Ministerstwo Oświaty. Egzaminy na końcu roku odbywały się pod okiem inspektorów Ministerstwa i uczniowie zmuszeni byli odpowiadać na pytania z ekonomii i nauk społecznych *jedynie* w oparciu o ten podręcznik.

Pod koniec 1949 roku pojawiły się pierwsze numery tygodnika „Octubre", w którym litery nazwy pisma stylizowane były w ten sposób, że przypominały litery alfabetu rosyjskiego. Po kilku numerach zmieniono kliszę, bo wydało się to trochę za wiele nawet samym komunistom. Z podniecanym coraz to bardziej nacjonalizmem, cała prasa rządowa ziała nienawiścią do wszystkiego, co obce, a szczególniej północno-amerykańskie. W redakcjach tych dzienników, w radiu państwowym prym wiedli komuniści. Komunikaty i oświetlenia sytuacji na Korei otrzymywano bardzo szybko. Słuchając w nocy Warszawy, można było na następny dzień wyłapać w tutejszych informacjach rządowych niemal dosłowne tłumaczenie całych zdań. Oczywiście agresorem były USA, które następnie rozpętały wojnę bakteriologiczną.

KU DEMOKRACJI LUDOWEJ

Momentem przełomowym był lipiec 1949 rok. Na miesiąc przedtem Arévalo zmobilizował samoloty państwowej linii lotniczej „Aviateca'' celem przetransportowania komunistów i broni koncentrujących się nad Atlantykiem w celu obalenia dyktatury na Santo Domingo. Miało to być jedno z początkowych posunięć zbrojnych Kominformu Środkowoamerykańskiego, mające na celu rozszerzenie wpływów i podporządkowanie komunistom szeregu krajów sąsiednich.

Wypad na Santo Domingo nie udał się, statek wiozący pierwszy rzut sił desantowych został przychwycony przez torpedowce dyktatora Trujillo. W Guatemali pozostały znaczne zapasy broni, przechowywane prywatnie przez komunistów i mające służyć do ewentualnego zaopatrywania oddziałów na Santo Domingo. Zaczęto otwarcie mówić, że teraz broń ta posłuży do wyposażenia milicji ludowej. Nie będąc pewni wojska, komuniści chcieli stworzyć przeciwwagę. Arbenz był w tym czasie ministrem spraw wojskowych, a Arana naczelnym wodzem sił zbrojnych. I — co gorsze — najbardziej popularnym kandydatem na prezydenta po skończeniu się kadencji Arévala. Orientacja polityczna Arany, antykomunistyczna i proamerykańska, była przeszkodą na równo ścielącej się drodze komunistów.

Arana wiedział, ku czemu rząd zmierza i natychmiast po nieudałym wypadzie na Santo Domingo postanowił zlikwidować prywatne arsenały komunistów. Zażądał wyjaśnień na ten temat od prezydenta. Arévalo początkowo uchylał się od wydania broni pod kontrolę wojska, lecz 18 lipca zawiadomił nagle Aranę, że jedna z większych składnic znajduje się pod Guatemalą, w willi byłego dyktatora Ubico. Arana dał się wciągnąć w zręczną zasadzkę. W drodze powrotnej z inspekcji został napadnięty i zastrzelony w samochodzie przez „nieznanych'' sprawców, o których cała Guatemala wiedziała, kim byli.

Po południu wybuchło powstanie wiernych Aranie oddziałów wojskowych, ale pozbawione jednolitego dowództwa, po trzydniowej walce przeciwko bojówkom syndykatów, atakowane przez wierne rządowi lotnictwo, powstanie to upadło. Wojsko poddano gruntownej czystce, zwyciężyła „demokracja''.

Jeszcze ciągle zachowywano pozory, jeszcze ciągle Arévalo zręcznie lawirował i powstrzymywał zbyt jaskrawe wystąpienia komunistów, jeszcze ciągle nie dopuszczał do zupełnego ujawnienia się partii, mydląc oczy opinii krajowej i międzynarodowej „duchowym socjalizmem''. Teraz rozpoczęto już otwarcie kampanię wyborczą za Arbenzem i nie ulegało żadnej wątpliwości, że następnym prezydentem będzie jeden z morderców Arany. W tym celu utworzono komisję koordynacyjną rewolucyjnych partii rządowych. Kierowali nią *wyłącznie* komuniści: J. M. Fortuny, Guerra Borges, B. Alvarado Monzón i A. Cuenca. Cała

działalność propagandowa przedwyborcza spoczęła w rękach komunistów.

Wszystkie instytucje rządowe, polityczne i gospodarcze, tworzone pod najbardziej demokratycznymi pozorami, zaczęły nagle przedstawiać się oczom zdziwionych obywateli jako doskonałe narzędzia do stopniowego ,,uspołeczniania'' całej gospodarki. Stworzony z wielkim hukiem i nakładem państwowych pieniędzy ,,Instituto de Fomento de la Producción'' i mający służyć jako czynnik wspierający rozwój inicjatywy prywatnej w wytwórczości przemysłowej i rolnej, zaczął coraz wyraźniej przejawiać cechy Centrali Importu i Eksportu, zaczął podkopywać handel prywatny, importując bez cła cały szereg produktów i sprzedając je po znacznie niższych cenach, aniżeli mógł sobie na to pozwolić handel prywatny. Uzyskanie pożyczki zależne było od przekonań politycznych i sympatii prorządowych. Pieniądze wpływające do Ubezpieczalni Społecznej zużywano na propagandę polityczną. Dyrektorem jej był komunista. Biurokracja rozrastała się z każdym dniem, bo ,,wszystkie rewolucje skończyły na tym, iż pomnożyły liczbę urzędników'', jak to gdzieś zauważył G. Ferrero. Po przeprowadzeniu czystki w wojsku, zaczęto je obłaskawiać i przekupywać wysokimi pensjami oficerskimi, sprzedażą za grosze działek miejskich pod budowę własnych domków w najlepszych dzielnicach miasta, sprzedażą samochodów importowanych bez cła. Porucznicy jeździli Chevroletami, pułkownicy i ministrowie Cadillacami.

Po lipcu 1949 roku zaczął także objawiać się ,,demokratyczny'' terror. Cenzurowano korespondencję osób podejrzanych o antykomunizm. Wystarczyło, aby ktoś przejawił najlżejszą inicjatywę antykomunistyczną, stawał się natychmiast pilnie obserwowanym. Przywódcy odruchów antykomunistycznych — zaczęły się one nieśmiało formować pod koniec 1949 roku — znikali po pewnym czasie z horyzontu. Dowiadywaliśmy się później okólną drogą, że ten lub tamten został potajemnie aresztowany, storturowany przez policję i odwieziony na granicę Meksyku lub Hondurasu, gdzie przepędzało się go nagiego w dżunglę na drugą stronę. Na horyzoncie pojawiła się także reforma rolna. Jej projekt został opracowany w całości przez komunistów w oparciu o najlepsze zakurtynowe wzory. Jeden z wcześniejszych projektów, który dostał się w moje ręce, nie pozostawił we mnie żadnych wątpliwości co do celów tej reformy. Była pomyślana jako jeden z etapów w programie partii.

CASTILLO ARMAS

Obecny prezydent Guatemali i przywódca sił wyzwoleńczych nie jest osobą nową. 5 listopada 1950 roku, na cztery dni przed wyborami, których wynik był z góry przesądzony na korzyść Arbenza, płk. Castillo Armas spróbował ratować sytuację. Na czele 50-ciu spiskowców antykomunistycznych zaatakował bazę lotni-

czą w stolicy. Atak był bardzo dobrze przygotowany, niestety wywiad rządowy pracował jeszcze lepiej.

Spiskowcom wprawdzie udało się dostać na lotnisko, tam jednak zostali otoczeni i wystrzelani z karabinów maszynowych niemal co do jednego. Castillo Armas, podziurawiony jak sito, został wrzucony na ciężarówkę razem z innymi trupami i przewieziony do kostnicy. Tam dopiero lekarz stwierdzający zgon przywiezionych skonstatował, że pułkownik żyje. Przewieziono go do szpitala, po wyleczeniu zamknięto, po czym skazano na śmierć. Na krótko przed wykonaniem wyroku, 11 czerwca 1951 Castillo Armas wydostał się z więzienia przez podkop. Nie złapano go. Guatemala po cichu szalała z radości, a człowiek ten od tej chwili stał się symbolem walki z komunizmem i pomimo wszystko — wolności. Bo od 15 marca 1951 roku tj. od dnia objęcia władzy przez Arbenza z wolnością zaczęło się dziać źle. Posiadali ją *jedynie* komuniści i wypadki potoczyły się bardzo szybko.

ARBENZ

Arbenz doszedł do władzy jako pionek komunistów. Od tej chwili przestano liczyć się z pozorami. W połowie 1951 roku partia komunistyczna została oficjalnie utworzona i zarejestrowana jako Partido Comunista Guatemalteco" a następnie przechrzczona na ,,Partido Guatemalteco del Trabajo". Wzmógł się nacisk na prasę niezależną, na szkolnictwo prywatne i na Kościół. Arbenz kilkakrotnie oświadczył wprost, że jeżeli dzienniki niezależne będą kontynuowały politykę oporu i krytyki rządu, zostaną zmuszone do milczenia. Prywatne stacje radiowe, nadające jedna ostre komentarze na tematy aktualne, a druga programy antykomunistyczne ataszatu kulturalnego ambasady amerykańskiej, zostały zdemolowane w krótkich odstępach czasu przez ,,nieznanych sprawców". Szkołom prywatnym zabroniono przyjmowania nauczycieli i profesorów na własną rękę bez uprzedniej zgody Ministerstwa Oświaty. Dzięki temu komuniści mieli możność umieszczania swoich ludzi w każdej szkole. Poprzez ,,Confederación General de Trabajadores" i ,,Confederatión National Campesina" komuniści kontrolowali ruch robotniczy i chłopski w całym kraju. Obydwie te centrale należały do komunistycznej Światowej Federacji Związków Zawodowych. Zaczęły w każdym mieście i miasteczku powstawać ,,Związki Młodzieży Demokratycznej", Komitety Pokoju, żona Arbenza założyła ,,Alianza Femenina Guatemalteca", na Guatemalę spadł deszcz wydawnictw ze wschodu. Mnie przysyłano do domu ,,Polonia Nueva", na każdym rogu ulicy można było kupić ,,Tiempos Nuevos" i wspaniale kolorową ,,Unión Soviética".

Walka przeciwko Kościołowi toczyła się bardzo ostrożnie ale przy zastosowaniu nienajgorszych metod. Tak np. na banknotach 50-centowych, a więc mających największy obieg wśród

chłopstwa, pojawiły się przybijane tajemniczą pieczątką napisy: „Precz z arcybiskupem".

Komuniści jeździli teraz na wycieczki za kurtynę z paszportami dyplomatycznymi. Żaden z ministrów Arbenza nie był oficjalnie członkiem partii — to prawda — i na to Arbenz powoływał się bezustannie, lecz spełniali oni wszystkie obowiązki i wykonywali wszystkie dyrektywy partii z nieudaną gorliwością. Kierownikiem sumienia, układaczem mów, przyjacielem domu Arbenza stał się V. M. Gutierrez, czołowy komunista Guatemali. To on skompletował wspaniałą bibliotekę komunistyczną w willi Arbenzów. Antykomunizm został oficjalnie uznany za ruch antyrządowy, antyrewolucyjny i wywrotowy. W oparciu o ten argument wielka manifestacja antykomunistyczna, domagająca się rozwiązania partii na podstawie Art. 32 Konstytucji guatemalskiej (Zakaz tworzenia organizacji politycznych podlegających wpływom obcym) i zorganizowana 12 lipca 1952 roku została zmasakrowana strzałami policji. Otoczono manifestantów zajeżdżając z ulic wokoło placu. Zabito sześć osób, ponad 40 raniono. Widziałem to. Był to chyba jedyny kraj w wolnym świecie, w którym strzelano do antykomunistów. Jakiż więc był ten rząd, którego dziś bronią wytłoki dziennikarskie w rodzaju Patricka Keatley'a z BBC, na którego powołuje się p. Zarzewski. „Czy byli to reformatorzy agrarni, liberalni kapitaliści, typowi łacińsko-amerykańscy mocni ludzie z ambicjami władzy, czy po prostu komuniści?" — zapytuje Keatley i odpowiada, że rząd Guatemali obejmował wszystkie cztery elementy po równemu. Typowa aspirynkowa odpowiedź eunucha politycznego, od jakich roi się dziś na Zachodzie.

REFORMA ROLNA

Reforma rolna na pewno była konieczna. Że rozdział ziemi był tu nierówny, to też prawda, szczególniej gdy weźmie się pod uwagę, że największym obszarnikiem w Guatemali jest Państwo. Potem dopiero idą obszarnicy prywatni, mniejsi właściciele ziemscy, małorolni „ladinos" we wschodnich częściach kraju itd. Państwo posiada tu olbrzymie i bogate tereny i najwłaściwszym sposobem rozdziału ziemi byłoby skolonizowanie tych terytoriów własnym chłopom stłoczonym na jałowych i od lat prymitywnie eksploatowanych terenach górskich. Ale na to trzeba by udostępnić tę ziemię, ułatwić i zorganizować osadnictwo. Wiadomo zaś, że komunistyczne reformy rolne nie mają nigdy na widoku celów gospodarczych, lecz przede wszystkim polityczne. I ten cel, wyłącznie polityczny, miała reforma rolna Arbenza.

Reforma ta poszła po najmniejszej linii oporu i objęła wyłącznie ziemie leżące w zagospodarowanej strefie kraju i będące prywatną własnością. Bo z rozdziałem rządowych majątków nie spieszono się. Stanowiły one wygodny pretekst do utworzenia sowchozów. W postaci, w jakiej została proklamowana, a szcze-

gólniej wprowadzona w życie, miała na celu doprowadzenie do kolektywizacji rolnictwa. Ziemi nie dawano na własność. Ziemi nadzielane chłopom przez reformę, Państwo oddawało i w *dzierżawę*. Obdarowany chłop nie był jej właścicielem — ziemia pozostawała własnością Państwa. Indianin jest analfab tą, ale nie jest głupi. W wielu wypadkach zdarzało się, że no „posiadacze", otrzymawszy np. trochę bydła razem z ziemi sprzedawali wszystkie ruchomości i przechodzili do Meksyk

„Jak nie będziesz z nimi, to ci ziemię odbiorą" było norma nym powiedzeniem po wsiach.

Wykonanie reformy rolnej przechodziło w całości przez rę komunistów, odbywało się w całości pod kątem widzenia ich int resów. Zgodnie z przepisami reformy własność poniżej pewn powierzchni, nawet jeżeli składała się z samych ugorów, nie po legała parcelacji. W rzeczywistości od pierwszego dnia wprow dzenia reformy absolutnie wszystkie jej postanowienia były gwa cone. Po wsiach rozproszyli się agitatorzy komunistyczni i ro poczęli podburzać Indian do zajmowania ziemi na własną ręk bez oglądania się na przepisy ustawy. Utworzono po wsiach k mitety agrarne, a właściwie sowiety chłopskie, i te decydowa o wszystkim. Na ich czele stali *wyłącznie* komuniści. Jakikolwie sprzeciw uważany był za „antyagraryzm", a sprzeciwiający s orzeczeniom tych komitetów najczęściej płacił życiem za opó Indianie rżnęli ludzi pod aprobującym okiem policji. Nie łapan ani nie karano nikogo.

Na wschodzie Guatemali doszło natychmiast do walki z ma łymi właścicielami rolnymi. W departamentach wschodnich, wy eksploatowanych już przez Hiszpanów, ubogich, jest dużo ma łych posiadaczy rolnych, Ladinos (prawie biali) bardzo dumnyc i twardych. Ich własność, zgodnie z przepisami reformy, nie po legała parcelacji. Ale komuniści podburzali tam chłopów be rolnych, bardzo często przywiezionych z innych części kraj i doszło do rzezi i krwawo stłumionego powstania. W marc 1953 r. „grupa antykomunistów" zaatakowała miejscowość Sa lamá, odległą o 150 km. od stolicy. Był to nieudały i spontanic ny odruch rozpaczy małych posiadaczy, którym teraz odbieran w wielu wypadkach wszystko. Szli z dubeltówkami na karabin maszynowe.

Powstanie to przydało się bardzo Arbenzowi. Posłużyło z pretekst do wystąpienia Guatemali ze Zgromadzenia Narodó Środkowoamerykańskich na parę tygodni przed obradami tej o ganizacji, w czasie których minister spraw zagranicznych Sa Salwadoru miał wnieść wniosek zalecający walkę z komunizmem Posłużyło także do stworzenia obozu koncentracyjnego w Sal má. Od tej chwili zaczęły się zsyłki antykomunistów do teg obozu. Bici i głodzeni, zmuszani do pracy w tropiku bez krop wody przez cały dzień, gnili w brudzie, bez opieki lekarskie Wielu umarło, wielu widziałem w Guatemali, kiedy przywiezi no ich po uwolnieniu. Był to widok, który też znamy aż dobrze. „Wolności obywatelskie — pisze p. Zarzewski — n

ostały przez Arbenza naruszone, w każdym razie nie w stopniu rzekraczającym obyczaje polityczne w republikach centralno-merykańskich''. Rozbrajająca jest ta nasza wyższość zetatyzo-vanych dusz europejskich w stosunku do ludzi naprawdę wol-ych i mających znacznie lepsze pojęcie o wolnościach obywa-elskich aniżeli przeciętny obywatel Europy, marzący o kajdan-ach nakładanych mu przez Państwo na każdym kroku i uważa-ący to za — postęp. Atlee zauważyłby, że za czasów Arbenza ie było w Guatemali — much.

Na wsi kwitło donosicielstwo, bo szanse otrzymania lub trzymania ziemi rozdanej w celach całkowicie taktycznych, mieli ylko ,,właściciele'' przejawiający ożywioną działalność komunis-yczną. Zdarzały się wypadki masowych uchylań się od przyjęcia iemi. Uchylających się wyłapywano, bito, więziono lub po prostu vyrzynano.

Powstał kompletny chaos gospodarczy. Produkcja rolna za-zęła obniżać się, pogłowie bydła spadało z miesiąca na miesiąc, o pastwiska traktowane były jako ugory i parcelowane. Ceny nięsa rosły. Wobec tego przygotowano ustawę o upaństwowie-iu handlu mięsem. Koszt utrzymania wzrastał z dnia na dzień, vobec tego rozpoczęto nagonkę na handel prywatny. W całym raju zapanowała niepewność, kapitały wycofywały się gwałtow-ie i dziś oblicza się tę ucieczkę na około 60 milionów dolarów.

Wywłaszczanie ziemi odbywało się tylko pozornie na za-adzie stuprocentowej kompensacji. Odszkodowania wypłacano onami rolnymi, płatnymi po 20-tu latach, a jako ich pokrycie niały służyć opłaty za dzierżawę, płacone Państwu przez ,,obda-owanych'' chłopów. Trudno nazwać bezwartościowy papier, ie mający żadnego obiegu na rynku, stuprocentową kompensa-ją. Od decyzji Centralnego Urzędu Reformy Rolnej nie było pelacji. Gdy Sąd Najwyższy w jednym z wypadków krzyczą-ej niesprawiedliwości przyjął skargę jednego z pokrzywdzonych, ostał natychmiast w całości destytuowany wbrew wszelkim po-tanowieniom Konstytucji. W skład nowego Sądu Najwyższego veszli ludzie oddani duszą i ciałem komunistom.

Wszystkie komisje Izby Deputowanych, opracowujące pro-ekty nowych ustaw, opanowane były przez komunistów i *wszyst-ie* projekty były faktycznie opracowywane przez nich. Czterech osłów komunistycznych, pracujących — to trzeba im przyznać – niezmordowanie, prowadziło na smyczy 39-ciu pozostałych po-łów ze stronnictw prorządowych. Nie było to trudne, skoro ci yli terminatorami. Jeden z posłów (Foncea) publicznie oświad-zył w czasie jednej z debat, że partie rządowe są tylko partiami rzejściowymi i ,,prędzej czy później wszyscy znajdziemy się w zeregach partii komunistycznej''. Nazajutrz ukazał się komu-ikat, że poseł ten przemawiał — w stanie nietrzeźwym...

Trzech posłów opozycji najczęściej nie dopuszczano do głosu, o kiedy któryś z nich chciał przemawiać, ,,publiczność'' zwożo-a do gmachu parlamentu rządowymi ciężarówkami, zakrzyki-

wała i uniemożliwiała wszelką interwencję opozycji. Tenże p lament, w czasie uroczystej sesji, uczcił minutą milczenia pam Stalina po jego zgonie. O ile wiem, był to jedyny parlam w wolnym świecie, który oddał tak uroczyste honory zmarłe dyktatorowi Rosji.

TERROR

Przy końcu 1953 roku rozpoczął się najzwyczajniejszy terr Przypomniały mi się lata okupacji niemieckiej. Ludzie znika Wiedziano tylko, że zostali potajemnie aresztowani, po cz wszelki ślad po nich ginął. Zapanowała atmosfera nie do znies nia. Trzeba było liczyć się z każdym słowem. Imadło komun tyczne zaciskało się tak silnie, iż w skuteczność jakiejś akcji wewnątrz przestano wierzyć. Przestałem nawet pisywać listy przyjaciół i zacząłem myśleć o wyjeździe. Pamiętam długą r mowę z jednym z tutejszych przyjaciół, dziś wysokim dygni rzem. „Słuchaj, ty się na tym znasz — powiedział — i odpowie mi całkiem bezstronnie i fachowo czy to już jest komunizm?" „Do zupełnej demokracji ludowej brakuje jeszcze trochę, ale uzupełnienia tych braków wszystko jest już tak przygotowane, właściwie to *już jest* państwo komunistyczne" — odpowiedz łem. „W takim razie pozostaje już tylko to" — odrzekł roz nając marynarkę i pokazując zatkniętego za pas Colta.

Nie mogę zrozumieć jakim sposobem p. Zarzewski wie, Arbenz *nie* był komunistą, co specjalnie podkreśla w swoim a tykule. Może próbka dialektyki, wzięta z jednej z jego ostatni mów, przekona najlepiej, czy nim był, czy nie. „Zalecenia odn szące się do walki przeciwko „interwencji komunizmu międzyn rodowego" — mówił Arbenz tuż przed konferencją w Caracas zostały powzięte w imieniu obrony demokracji i bezpieczeńst półkuli zachodniej. Zasługuje to na poczynienie szeregu uwa Po pierwsze wyrażenie „interwencja komunizmu międzynarod wego" jest terminem mętnym, niesprecyzowanym. W praw międzynarodowym jedynie definicje mają moc określającą. P wyższy termin nie definiuje o co chodzi. Czy chodzi o jak doktrynę, organizację, Państwo? Gdyby chodziło o jakąś doktr nę, to jest on źle użyty, ponieważ doktryny wskutek ich chara teru abstrakcyjnego nie interweniują, nie posiadają sensu stric środków ku temu z punktu widzenia prawa międzynarodoweg To samo można zauważyć w odniesieniu do organizacyj o ch rakterze międzynarodowym zarówno sankcjonowanych przez o ganizmy międzynarodowe jak i nie posiadających żadnej sankc Poza tym brak tu sprecyzowania o jaką organizację konkretn chodzi". Wystarczy? Tatuniu, czy wąż ma ogon? — żeby prz pomnieć dowcipny skrót dialektyki przytoczony przez Miłosza.

Minister spraw zagranicznych Arbenza, G. Toriello, słab obkuty w dialektycznym talmudzie, nie potrafił tak dobrze m wić i streścił to w prostym pytaniu „pierwszej naiwnej", kt

stało się sławne na konferencji w Caracas. Toriello wręcz zapytał: ,,Co to jest komunizm międzynarodowy?" Nie — to nie byli komuniści. Nawet nie wiedzieli, co to jest.

Po konferencji w Caracas, gdzie Guatemala była jedynym krajem głosującym przeciwko antykomunistycznej rezolucji USA, Arbenz oświadczył: ,,Odnieśliśmy olbrzymie zwycięstwo moralne nad imperialistami". Terror wzmógł się. Mnożyły się aresztowania, a na uwięzionych wymuszano torturami najbardziej nieprawdopodobne zeznania. Guatemala pustoszała; ludzie uciekali. Zręcznym posunięciem podatkowym, rząd Arbenza zamknął dopływ filmów amerykańskich. Na ich miejsce przyszły filmy sowieckie, zapowiadano polskie i czeskie. Handel zamierał, projekty ,,uspołecznienia" terenów prywatnych w obrębie miasta, wywłaszczenia domów (ley, urbana) doprowadziły do zupełnego zastoju budownictwa. W samej Guatemali-mieście ponad 10.000 robotników pozostało bez pracy. Komuniści mieli nowy i gotowy materiał, wytworzony przez nich samych.

Wewnątrz wszystko było przygotowane do ostatecznego przewrotu. Guatemala *była* pomyślana jako przyczółek mostowy komunizmu w Ameryce Środkowej. Powoli, ale bardzo metodycznie, komuniści gromadzili amunicję. Po uwolnieniu kraju okazało się, że w budynkach rządowych przechowywano ponad 40 ton literatury propagandowej sowieckiej. Były to kompletne biblioteki: komplety dzieł Stalina, powieści, broszury propagandowe, słowniki hiszpańsko-rosyjskie, podręczniki dla szkół powszechnych, książki dla dzieci. Oglądałem. Wszystko wydane bardzo ładnie, w doskonałym tłumaczeniu na hiszpański, i wszystko wydane w Moskwie przez tzw. ,,Ediciones Internationales Moscú". Ponad dwie tony filmów propagandowych sowieckich, przysłanych przez ,,Soweksportfilm". Broń propagandowa była przygotowana i było jej poddostatkiem. Nie tylko dla Guatemali. Brakowało broni zwyczajnej, ale i na to znalazła się rada.

BROŃ

18 maja 1954 nadeszła wiadomość, że do Puerto Barrios wpłynął okręt z ładunkiem 2.000 ton broni i amunicji, pochodzącej z Polski. W rzeczywistości okręt był szwedzki, armator angielski, broń niemiecka zakupiona w Czechosłowacji, pośrednictwo w sprzedaży szwajcarskie, a wszystko załadowane w Szczecinie. Broń była całkowicie zdatna do użytku. Wszystkie próbki oglądałem osobiście. Jest to sprzęt niemiecki, częściowo nowy, częściowo całkowicie odremontowany (nowe lufy, nowe rzemienie). Broń składała się ze sprzętu lekkiego: karabiny ręczne, lekkie karabiny maszynowe i trochę ciężkich, miotacze min, granaty ręczne, amunicja. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że całe wojsko regularne Guatemali liczy 7.000 ludzi i że w momencie nadejścia tej broni, było ono już zupełnie dobrze uzbrojone, to okaże się, że broń ta na pewno nie była przeznaczona tylko dla Gua-

temali. Samej nowej broni i amunicji wypadało około 300-tu kg na jednego żołnierza. Nie było to wszystko. Następny transport składający się z około 400 ton, w tym szwajcarskie działka prze ciwlotnicze i amunicja, został przychwycony przez Amerykanów w Hamburgu, a okręt angielski, wiozący podobno samoloty my śliwskie dla ratowania „demokracji" Arbenza został zatopion przez lotnictwo Castillo Armas już w czasie rewolucji w jedny z portów nad Pacyfikiem.

O angielskich samolotach myśliwskich nie mogę powiedzie nic pewnego, natomiast okręt jeszcze widać. No a że zaraz p uwolnieniu Guatemali zmieniono tutejszego posła brytyjskieg i przysłano na jego miejsce katolika, który długo przebywał n placówce w Polsce Bieruta i wiele miał Guatemalczykom do po wiedzenia o (hear, hear) cierpieniach Polaków pod okupacją so wiecką, a nie o zatopionym okręcie i samolotach myśliwskich — to już inna sprawa. Arbenz istotnie nie mógł kupić ani broni, an samolotów w USA, bo nie chciano mu ich sprzedać. Wiem o dobrze poinformowanych Amerykanów, że głównym motywem odmowy, poza rozbudowującym się komunizmem, była obaw o — British Honduras. Niewątpliwie sytuacja USA stałaby si bardzo kłopotliwa, gdyby Arbenz nagłym skokiem zajął tę ko lonię, do której Guatemala od dawna rości sobie uzasadnion pretensje.

Agenci komunistyczni rządu Arbenza starannie przygotowy wali grunt, stacja rządowa Guatemali codziennie nadawała spe cjalne programy dla British Honduras. Rozszerzenie pola dzia łania komunistów mogło się odbyć pod pokrywką najbardzie uzasadnionych pretensyj nacjonalistycznych. Co mogły w tyn wypadku zrobić USA? Jakich środków miały użyć USA, żeb zapobiec ekspansji komunizmu w Ameryce? Sytuacja była trud na. Jak wiadomo tylko Anglicy mogą wysyłać krążowniki i wy sadzać na ląd wojsko w Ameryce. Amerykanom nie wolno.

Arbenz potrzebował broni także i do czego innego. Guate mala miała stać się arsenałem komunistów. Plany ich przewi dywały organizowanie strajków we wszystkich republikach są siednich, uzbrajanie robotników, po czym obalanie tamtejszyc rządów. Na początku 1954 roku było wiadomo, że agenci rząd Guatemali szpiegowali w republikach sąsiednich na korzyść So wietów, że strajki w Honduras, San Salvador etc. były organi zowane i kierowane z Guatemali przy pomocy konsulów i poczt dyplomatycznej. Pocztą dyplomatyczną wysyłano z Guatema cały materiał propagandowy sowiecki. Było wiadomo, że komi tet wykonawczy narodowego frontu demokratycznego był kiero wany przez komunistów, którzy powracając z podróży do ZSSR przekazywali rządowi i Arbenzowi zalecenia i dyrektywy. To ni były czcze oskarżenia. Honduras, Panama i Nicaragua miały do wody rzeczowe w rękach. Strajk w Honduras został tak dobrz przygotowany, że wybuchł na kilka dni przed rozpoczęciem akc wojskowej przez Castillo Armas. Nie wiadomo, jak by się t skończyło, gdyby rząd Arbenza zdołał się utrzymać.

BANANY

Zagadnienie konfliktu rządu Arbenza z koncernem bananowym ,,United Fruit Co.'' popularnie zwanym Fruterą, nie było takie proste. Arbenz wcale nie chciał usunąć koncernu dlatego, że ten jest ,,państwem w państwie''. Motywy nacjonalistyczne, niezależność gospodarcza, były świetnym zamaskowaniem walki przeciwko Amerykanom w ogóle i — jeżeli chodzi o sam koncern — walki przeciwko propagandzie postępowego kapitalizmu, jaką szerzył ten koncern na terenie kraju.

Europejczykowi o upaństwowionej mentalności, który doszedł już dziś do tego, że każde większe przedsiębiorstwo prywatne wydaje mu się skandalem, a jedynym kapitalizmem jest brodaty kapitalizm Marksa sprzed stu lat, trudno zrozumieć, czym jest kapitalizm amerykański. Tymczasem kapitalistyczne koncerny amerykańskie dają dziś swojemu pracownikowi to, o czym pracownikowi najbardziej upaństwowionego przedsiębiorstwa nawet się nie śni. Po osiedleniu się tutaj marzyłem o dostaniu pracy w United Fruit, ale niestety, było to niemożliwe, bo pierwszeństwo mają — Guatemalczycy, a nie obcy. Tylko obcy specjaliści, w tym wypadku Amerykanie, posiadają ułatwienia.

Koncern bananowy w Guatemali płaci najwyższe stawki nie tylko swoim urzędnikom, ale i robotnikom. Wszyscy pracownicy posiadają szereg ułatwień. Domki, kawałek ziemi pod uprawę jarzyn, ułatwienia w hodowli drobiu, koncern zapewnia opiekę lekarską i szpital. Robotnicy mają prawo nabywania podstawowych artykułów żywnościowych (kukurydza, fasola, ryż, cukier) i odzieżowych po cenach znacznie niższych, niż rynkowe (różnicę pokrywa koncern) nie mówiąc o innych ułatwieniach, jak np. pomoc dla młodych małżeństw, którym dostarcza się wszystko na nowe gospodarstwo na bardzo wygodne spłaty, jeżeli oczywiście zainteresowani chcą z tego skorzystać. Koncern prowadzi także własne szkoły dla dzieci pracowników.

Oczywiście wszystko to było solą w oku komunistów. Wszystkie strajki były tam wprost organizowane przez agentów rządowych, niemal wymuszane na pracownikach. Arbenz parł do konfliktu z koncernem, bo walka z nim dostarczała komunistom doskonałego materiału maskującego. Na każdy atak przeciwko komunizmowi w Guatemali, Arbenz odpowiadał, że o żadnym komuniźmie mowy nie ma i Guatemala stara się jedynie wyswobodzić z pęt obcego monopolu. Komunizm jest straszakiem kapitalistycznych interesów amerykańskich. Koncern, posiadający od r. 1931 50-letni kontrakt, gotów był do ustępstw i do ostatniej chwili wolał pertraktować, niż wdawać się w walkę z rządem. Ale Arbenz nie chciał pertraktacyj. Walka szła o cały personel koncernu, który — po usunięciu United Fruit, co spowodowałoby katastrofę gospodarczą w całej Guatemali podobnie, jak w Iranie — stałby się gotowym elementem w rękach komunistów. Pracow-

nicy koncernu mieli być przemienieni w milicję ludową. I na ty polu przygotowania organizacyjne zostały daleko posunięte.

Rząd Arbenza z 562.000 akrów ziemi, będących w posiad niu koncernu, wywłaszczył 410.000 akrów. Wywłaszczył bezpra nie, bo wywłaszczone ziemie nie były ugorami. Były to teren które w rotacyjnej hodowli palmy bananowej, znajdowały s w spoczynku. Koncern wniósł skargę przeciwko rządowi A benza, domagając się 16-tu milionów dolarów odszkodowania — i miał rację. Po upadku rządu Arbenza, natychmiast rozpoczę pertraktacje, które nie zostały jeszcze zakończone. Wygląda je nak na to, że Guatemala będzie mogła zmienić dotychczaso kontrakt na znacznie korzystniejszy.

Banany stanowią zaledwie ponad 20% wartości całego ek portu Guatemali. Fakt, że koncern posiada własne statki, udzi w linii kolejowej albo własne linie telefoniczne nie jest niczy nienormalnym. Statki koncernu nie mają żadnego monopolu r przewóz towarów, do Puerto Barrios przybijają okręty z całeg świata. Rząd Arbenza rozpoczął budowę nowego portu i dro do Atlantyku. Nie zrobiono wiele, bo cała ta impreza miała ce przede wszystkim propagandowe. Obecnie Amerykanie ofiar wali Guatemali ponad 6 milionów dolarów na dalsze prowadz nie robót.

Nie tylko koncern posiada własne linie telefoniczne. W cał Ameryce można prywatnie telegrafować bez konieczności udaw nia się na pocztę, bo ,,Tropical Radio'' i ,,Western Union'' w rękach prywatnych. To samo z telefonami, z radiem, z linia lotniczymi. Widocznie jestem tak zacofany, że nie mogę trakt wać tego z oburzeniem. Zapomniałem tylko dodać obowiązk wego zwrotu : ,,Wprawdzie nie mam zamiaru bronić koncern ale...'' To byłoby w stylu.

Koncern bronił swego stanu posiadania i bronił go najpra dopodobniej tym silniej, że miał poparcie Waszyngtonu. szczęście. Brakowało tylko tego, żeby jeszcze i Środkowa Am ryka wymknęła się spod kontroli. A mogła się wymknąć, wszystko było ku temu przygotowane. Bardzo starannie. Ata na rząd Arbenza wcale nie zaczęły się od momentu zagrożen przez reformę rolną stanu posiadania United Fruit. Ataki by już bardzo silne pod koniec prezydentury Arévalo, a że wzmoc ły się od chwili objęcia władzy przez Arbenza, to świadczy tyl o tym, że po dziesięciu latach Amerykanie zaczęli nareszcie c rozumieć. Dalsze tolerowanie komunizmu w sąsiednim pok podczas gdy zwalczało go się wszędzie poza domem, mogło szkodzić ich opinii w wolnym świecie w sposób katastrofaln Banany nie miały tym razem żadnej podszewki prywatno-gos darczej, a po prostu polityczną. Łatwiej i delikatniej było w t wypadku posłużyć się koncernem, niż wysadzać ,,marines''. nie wiele brakowało, aby USA widziały się zmuszone do p jęcia tak radykalnego kroku. Pozostawienie Arbenza przy w dzy doprowadziłoby niechybnie do opanowania przez komunist jednej republiki środkowo-amerykańskiej za drugą i — kto

— czy nie do bardzo krwawych wypadków na całym terytorium pomiędzy Panamą i Meksykiem.

Raczej trzeba podziwiać zręczność i takt, z jakim cała operacja została przeprowadzona. W Guatemali, tak jak i w innych krajach Ameryki Łacińskiej, mieszkańcy są bardzo czuli i poczucie godności jest bardzo rozwinięte. Otóż wszyscy są zgodni: Amerykanie w osobie byłego ambasadora Peurifoy i prezydenta republiki San Salvador, Osorio, potrafili dopomóc całej akcji Castillo Armas w ten sposób, że najbardziej czuli nacjonaliści nie czuli się dotknięci na honorze.

UWOLNIENIE

Uwolnienie Guatemali nie było rzeczą łatwą. Po objęciu funkcyj ambasadora USA w Guatemali na jesieni 1953 r., Peurifoy, dobry znawca komunizmu, potrafił bardzo szybko rozszyfrować Arbenza i jego politykę .Doszedł on do wniosku, że wypadek jest beznadziejny i że nic nie da się zrobić ,,dla ułatwienia Arbenzowi, aby mógł mniej liczyć się z wpływami komunistów, mniej ulegać ich naciskom'' — jak to idyllicznie proponuje pan Zarzewski. Nie udało się nic zrobić, bo próby tego rodzaju nie dawały żadnych wyników (czyniono je) i tylko bardziej utwierdzały Arbenza w sile; nie dało się także nic zrobić, bo Arbenz *był* komunistą. W niedawnym wywiadzie prasowym na wygnaniu w Meksyku, opublikowanym ,,in extenso'' w guatemalskiej prasie, oświadczył wprawdzie, że nim nie jest, ale że zawsze popierał sowiecką politykę pokoju. Nehrutralista.

Już przy końcu kwietnia 1954 zaczęliśmy chwytać programy tajnej radiostacji ,,Wolnej Guatemali''. Stacja została zainstalowana na pograniczu Hondurasu. Rozpoczęła się prawdziwa wojna nerwów. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeżeli to, o czym mówiła wolna radiostacja jest prawdą, to grozi konflikt nie mający nic wspólnego z dotychczasowymi rewolucjami. Zakrawało na prawdziwą wojnę. Wszystko sprowadzało się do pytania, do jakiego stopnia udało się rządowi Arbenza skomunizować szerokie masy i wojsko, jak dalece mógł liczyć na ich poparcie. W wojsku już od roku wprowadzono obowiązkowe przeszkolenie polityczne dla młodszych oficerów.

Tymczasem ludzie ginęli coraz częściej, bo aresztowania mnożyły się. Muszę otwarcie przyznać, że bałem się. Równocześnie opowiadano sobie w tajemnicy, że ten lub ów przekradł się na tamtą stronę i wstąpił w szeregi sił wyzwoleńczych. Była to jedyna nadzieja. Napięcie wzrastało z dnia na dzień i w ciągu trzech miesięcy poprzedzających rewolucję, terror doszedł do szczytu. Dziś, po zrobieniu dokładnych rachunków, po odkryciu szeregu Katyniów na mniejszą skalę, (po 15 do 20 trupów strzelanych wypróbowanym sposobem) oblicza się, że tylko w ciągu

trzech miesięcy komuniści Arbenza wymordowali ponad 600 osó około 700 przeszło przez izby tortur policji, której dyrektore był członek partii, Cruz Wer, a około 3.000 więziono za ant komunizm. Na małą Guatemalę cyfry zupełnie nieprawdopodo ne i rekord, jak dotąd, nie osiągnięty przez żadną z dotychcz sowych dyktatur.

14 czerwca lotnictwo Castillo Armas zaatakowało po r pierwszy obiekty wojskowe i zbiorniki z benzyną. Szybkie Thu derbolty opanowały od pierwszego dnia sytuację. 17 czerwc siły wyzwoleńcze przeszły granicę Hondurasu i weszły na ter torium Guatemali.

Dzięki bardzo dobrej taktyce, oddziały Castillo Armas, ba dzo szczupłe, nie dały wciągnąć się w otwartą walkę i wojsk okazało się wobec nich bezsilne. O zwycięstwie zdecydowało lo nictwo. Nie jest prawdą, że Arbenz został zdradzony przez swo wojsko. Wojsko przez długi czas było na szczęście przekonan że potrafi uporać się z przeciwnikiem samo i sprzeciwiało s rozdawnictwu broni. Chodziło o honor Armii. Komuniści guat malscy nie wzięli udziału w obronie Arbenza, ponieważ nie zdec dowano się uzbroić ich na czas. Kiedy wreszcie zapadła decyzj (nie zapomnę nigdy tej nocy) było już za późno. Dezorganizac aparatu politycznego posunęła się już zbyt daleko, a siła uderze Castillo Armas zdołała już ostudzić zapał wielu zwolenników rządu. Nastąpił psychologiczny zwrot, bojówki odmawiały p słuszeństwa, ludzie nie stawiali się na punkty zborne. Po dzi sięciu dniach działań wojskowych nie ulegało żadnej wątpliwośc kto jest silniejszy i stało się całkiem pewne, że Castillo Arm będzie szedł konsekwentnie i stanowczo do celu. Wojsku grozi zupełne rozbicie i demoralizacja, żołnierze uciekali. I dopie wtedy, ratując w ostatniej chwili swoje istnienie, Armia wkr czyła na drogę pertraktacyj z siłami wyzwoleńczymi, zmuszaj równocześnie Arbenza do podpisania dymisji. Arbenz ustępuj jeszcze nie dał za wygraną i wyznaczył na swego następcę dr giego komunistę, płk. Diaz (szereg wycieczek za żelazną kurt nę). Dopiero silny atak lotniczy na obiekty wojskowe w stolic będący jedyną odpowiedzią Castillo Armas na tego rodzaju ko binacje, przekonał ostatecznie Armię. Ludność została przekon na wcześniej. Cała Guatemala siedząc na dachach domów wita z entuzjazmem atakujące samoloty. 2 lipca podpisano rozej i Castillo Armas wkroczył do Guatemali. Siła i stanowczość zai ponowały. Nikt w historii Guatemali nie był witany tak entuzj tycznie przez takie tłumy. To *było* uwolnienie. Przeżyłem ten m ment bardzo silnie. Przypomniały mi się odległe już lata, g na ulicach Paryża ujrzałem po raz pierwszy żołnierzy ameryka skich. Tu wkraczali swoi, wygnańcy, a z nimi jeden Polak, I szek M. porucznik Armii Ludowej Bieruta. Uciekł z Pols w 1948 roku, przedostał się do Guatemali, ożenił z nauczyciel i osiadł na małym kawałku ziemi. Od początku nie miał z dzeń, z kim ma do czynienia. I gdy nadszedł czas, poszedł pr Przydał się jako instruktor do broni — rosyjskiej, w którą c

ściowo uzbrojone były oddziały wyzwoleńcze. Ale to już ich tajemnica. „Praliśmy do nich z pepesz. Pan sobie nie wyobraża jaką miałem satysfakcję" — zwierzał mi się.

ANI W LEWO, ANI W PRAWO. NAPRZÓD.

Z tą zasadą na przyszłość wkroczył do Guatemali Castillo Armas. Pierwszym zarządzeniem było zniesienie cenzury prasowej, wprowadzonej przez Arbenza. Drugim oddanie *na własność* ziemi tym wszystkim, którzy legalnie otrzymali ją w dzierżawę dzięki reformie rolnej Arbenza. Wszelkie samowolne wybryki posiadaczy ziemi w stosunku do chłopów zostały z punktu surowo ukarane, reforma rolna poddana koniecznym zmianom z położeniem nacisku na zagospodarowanie obszarów nieuprawnych przez osadnictwo. Kodeks pracy utrzymany w całej rozciągłości. Nikogo nie rozstrzelano (a szkoda) i około 1.000 komunistów i sympatyków, szukających schronienia w ambasadach i poselstwach innych krajów Ameryki łacińskiej (prawo azylu) otrzymało zezwolenie opuszczenia kraju bez żadnych przeszkód. Wygląda na to, że dopiero Castillo Armas będzie zdolny zrobić demokrację z tej „demokracji" Arbenza. Jeżeli nie okaże się za subtelny i za delikatny.

Uwolnienie Guatemali było niewątpliwie poważną porażką dla komunizmu. Czy zażegnało jego niebezpieczeństwo na kontynencie łacińsko-amerykańskim? Na pewno nie. Komunizm znalazł dziś wspaniałą pożywkę, na której może rozwijać się lepiej, aniżeli przed wojną i bezpośrednio po wojnie. Jest to zawiesisty rosół nacjonalizmu, tępego, ślepego i ogarniającego dziś wolny świat z zastraszającą siłą.

Andrzej BOBKOWSKI

◆

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem świetnie napisany artykuł p. Bobkowskiego. Oto kilka słów odpowiedzi :

1. — Artykuł swój oparłem na poważnych źródłach angielskich, nb. konserwatywnych i prawicowo-liberalnych oraz na antykomunistycznym „Socialisticzeskim Wiestniku" — jednym z najlepszych na świecie znawców polityki komunistycznej. Dobór tych źródeł powinien by uchronić moje wnioski od błędu w kierunku niedoceniania niebezpieczeństw, o których p. Bobkowski pisze. Oczywiście, jeżeli przesłanki, którymi operowałem, są błędne, to i wnioski, z nich płynące, muszą być błędne.

2. — Czy jednak przesłanki są błędne? Czy faktem jest, że „cała prasa europejska wypisywała banialuki na ten temat", a p. Bobkowski zna prawdę? Fakt zamieszkania w Guatemali, sam w sobie, niekoniecznie musi oznaczać, że opinia rezydenta jest trafna. Brak „perspektywy terytorialnej", podobnie jak brak perspektywy historycznej, sprzyja czasem sądom błędnym. Chętnie przyznaję jednak, że wywody p. B. robią wrażenie dokładnej znajomości przebiegu spraw lokalnych w Guatemali. Nie dostrzegam podobnej znajo-

mości rzeczy u szanownego krytyka w rozważaniu problemu Guatemali w ko- tekście polityki międzynarodowej.

3. — P. Bobkowski nie oświetlił motywów, dla których Meksyk *i* A- gentyna *nie* poparły cytowanej przeze mnie panamerykańsko-antykomunistycz- nej rezolucji Dullesa na konferencji w Caracas. Ma to przecież związ- istotny z oceną niebezpieczeństwa komunistycznego w Guatemali.

4. — P. Bobkowski nie wiąże tej oceny z dzisiejszą fazą polityki k- munistycznej to jest nie odpowiada na pytanie, czy przewrót komunistyczn w Guatemali w tej właśnie fazie leżałby w interesie Moskwy. Sprawa b- najmniej nie jest prosta. Poważne analizy taktyki komunistycznej w Połu- niowej Ameryce rozważają tu różne możliwości, np. *Economist*, gdy prz- rokiem omawiał tę sprawę, określił cele Kremla w formie alternatywn *albo* budowa przyczółka mostowego rewolucji komunistycznej w Poł. Amery- *albo* budowa bastionu przeciwko „interwencji" amerykańskiej. „Socjal- ticzeskij Wiestnik" reprezentuje tezę, że w obecnym układzie sił i stosunk- międzynarodowych właśnie ten drugi cel wchodzi dla Kremla w rachub rozumiejąc przez to potęgowanie antyamerykanizmu na południowej półku- Są to dwa pisma o uznanej w całym świecie powadze. Ale, o dziwo, tak „New York Times" napisał zdanie: „It would be dangerously inconsist- for our Government to welcome any revolution in Latin America achiev- principally by troops moving in from neighbouring states".

5. — P. Bobkowski pisze: „Zmorą, duszącą dziś cały niemal intelektu- ny, a szczególnie antykomunistyczny świat po tej stronie, jest po prostu p- niczny, przeraźliwy i ogarniający każdą myśl strach, aby nie być nazwan- przez jakiegoś ‚postępowca' reakcjonistą". To święta prawda. Jeżeli je- nak p. B. mnie zalicza do kategorii ludzi, ogarniętych owym strachem, trafia kulą w płot. Istota rzeczy polega na prawidłowym rozszyfrowan- bieżących celów polityki Kremla w Guatemali, a następnie na wyciągnięc- logicznych wniosków co do metody kontrdziałania. Jeżeli przyjąć, że fakt- przytoczone przez p. Bobkowskiego są prawdziwe i jeżeli przekonywują- powiąże on je z analizą aktualnych celów sowieckiej polityki w Guatem- — to pierwszy piszę się na jego wnioski. Wówczas dojdę też do wniosku, pomyliłem się w tej skomplikowanej i kontrowersyjnej sprawie i nic mi n- pozostanie, jak pocieszać się tym, że skoro — słowami p. Bobkowskiego po stronie Europejczyków „z Ameryką są wieczne nieporozumienia czasów Kolumba", to rodowód mego błędu jest „historycznie szanowny".

S. ZARZEWSKI

Nasza stała lektura

Czy emigracyjny czytelnik ma żywy i krytyczny stosunek do emigracyjnej prasy? Czy też powoli przyzwyczaił się do tych kilku pism, jak do członków rodziny, przestając obserwować ich wady i zalety? Trudno jest ,,od wewnątrz'' chwalić czy ganić. Zbyt dobrze znamy mdłą hipokryzję ,,samokrytyki''.

,,Pastiche'' jest formą literackiej karykatury, która może jednak przywrócić pewną świeżość spojrzenia. Poświęcając w tym miesiącu kilka stron odtworzeniu fikcyjnego numeru ,,Wiadomości'', zapowiadamy jednocześnie w przyszłości podobne wizerunki w krzywym zwierciadle ,,Kultury'', ,,Życia'', ,,Dziennika Polskiego''... Dobry ,,Pastiche'' może być tylko pracą zbiorową. Proponujemy naszym czytelnikom udział w tej zabawie. Najlepszy ,,pastiche'' numeru ,,Kultury'' (przynajmniej dwa fikcyjne artykuliki) nagrodzony będzie roczną prenumeratą ,,Kultury'' i jedną książką (do wyboru) z Biblioteki ,,Kultury''.

WIADOMOŚCI

TYGODNIK

JAN LECHOŃ

KARTKI Z DZIENNIKA

10 Maja.

Myślę o dogmacie Wniebowstąpienia Matki Boskiej. Aldous Huxley mówił mi na obiedzie u Mrs. Crane że ciało ludzkie nie mogłoby wytrzymać presji stratosfery. Ale to z urodzenia protestant, z formacji staroświecki niedowiarek, a nam, katolikom — od chwili ogłoszenia dogmatu — przecież wątpić nie wolno!

11 Maja.

Czytam u Saint-Simona jak na kolacji u króla (,,petite collation du Roy), starej Duchesse de la Force wymknął się dźwięk naturalny (ten któremu w ,,Tentation de Saint Antoine'' Flauberta patronuje bożek Crepitus). Księżna zaczęła szurać pod stołem trzewiczkiem (,,de son talon rouge''). Na to Ludwik XIV : ,,Ne cherchez pas la rime, Madame !'' Nigdy Bierut nie zdobyłby się na podobnie delikatną ,,pointe'ę'' gdyby się coś podobnego zdarzyło — powiedzmy — pani Radkiewiczowej na ,,obiedzie'' (w południe!) w Belwederze...

11 Maja.

Dużo się mówi o snobizmie Prousta. Ale Proust przecież przejrzał snobizm (Legrandin). A czy nie jest rewelacyjny tytuł: „A la Recherche du Temps Perdu"? A więc Proust traktował swoje wieczory w paryskim „mondzie" jako czas stracony!

12 Maja.

Wczoraj wieczór, po obiedzie u Mrs. John Rockefeller (douairière'y), niestrawność i niepokój. Myślę o „Borborygmes" Valéry Larbaud. Wszystko może być materiałem do literatury: „une échelle vers le Beau", mówił mi Max Jacob.

30 Maja.

Powiedziałem kiedyś Marie-Laure de Noailles: „Vous êtes belle comme une rose!" Pod pozornym banałem kryła się subtelnie złośliwa aluzja do Ronsarda („l'espace d'un matin"...) I rzeczywiście (jak mawia niedoceniony Wiech) — biedna Marie-Laure musi być dziś „on the wrong side of fourty".

2 Czerwca.

Kafka pisze o wariatach. To trochę łatwe. U Prusa wszyscy są normalni, a przecież nie przetargowałbym „Lalki" na „Zamek". A ta obrzydliwa H[istoria] o człowieku zamienion[ym] w karalucha! O ileż więcej g[u]stu w „Metamorfozach" O[wi]diusza!

2 Czerw[ca].

Foster Dulles mniej m[ó]w[i] ostatnio o „liberation", [...] wiem że się głęboko o Spra[wę] Polską troszczy.

4 Czerw[ca].

Książę Mikołaj Radziw[iłł] przyjechawszy do Paryża w [ro]ku 1740 zburzył całe „paté [de] maisons", żeby utorować sob[ie] bezpośrednią drogę ze swe[go] „hotel" do Palais-Royal. D[zi]siejsza „Rue Radzivill". R[o]zrzutne — ale bardzo polskie.

5 Czerw[ca].

Odczytuję Ewangelię. Zas[a]dą tej przepięknej księgi j[est] miłość bliźniego. Jesteśmy d[zi]ś „jako cymbał brzmiący, ja[ko] miedź brząkająca". Ale naw[et] Św. Piotrowi nie stało miło[ści] („Quo Vadis Domine?")

6 Czerw[ca].

Myślę o tak niesłusznie kr[y]tykowanej staroszlacheck[iej] tradycji. „Razem Mości Pan[o]wie!" „Zgoda! Zgoda!" [Wszak] toż to przecież i piękne i słu[sz]ne zasady, które by sobie z k[o]rzyścią przypomnieć mo[gli] pewni nasi politycy...

Jan Lech[oń]

Silva rerum

W pamiętnikach Mrs. Dudley-Beachcomb („Fourty Years of Edwardian England", Macmillan, London 1954, 2 str. ok. 3 str. br. in qu., 455 str.) jest wzmianka o Hr. de Laranguillère, Polce, z domu Stadnickiej. Zapewne chodzi tu o najmłodszą, czwartą siostrę Pani Kuki ze Stadnickich Dzie[du]szyckiej. Pani Dudley-Bea[ch]comb wspomina o przepisie [na] barszcz zabielany (małopolsk[i]), jaki otrzymała od Pani de [La]ranguillère („an excellent [Po]lish beetroot soup w[ith] cream").

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

WIECZÓR W WALII

Kołyszą się kłosy i kwiaty, skowronek podniebnie kwili,
Mięty i macierzanki odurzają zapachem,
O, Matko z Ostrej Bramy! Nie daj minąć tej chwili,
Która bocianem wzlata nad rodzinnym dachem.

Z gęstwinnego sitowia żabi się i rechocze,
Z zielistego kobierca zapachniała konwalia.
akie to wszystko rzeźkie, i czerstwe, i ochocze!
Stój chwilo! Nie... już mija... to nie Wilia — to Walia...

MIECZYSŁAW LURCZYŃSKI

PSALM BOLESNY

Boleję mym wygnaniem jak rozdarta róża,
Goreję powołaniem jak krzak gorejący.
Czy róż nie uratuje krwawa lasów burza?
Czy nie pomoże psalm mój, bolesny, gorący?

Ofiarę mą dołączę do męki Van Gogha
Norwidowym całopaleniem.
Dla mnie Cèzanne'a pustelnicza droga,
A kres jej — ocaleniem.

WŁADYSŁAW MATLAKOWSKI

PRZYSŁOWIA I POGADUSZKI

(Z cyklu: „Wspomnienia Ukraińskie")

Ziemianie nasi ukraińscy ają swoje przysłowia i przywarki — inni powiedzą pogauszki — które tak w krew n weszły, że często dwóch ów nie sklecą, a już słyszymy h powiedzenie ulubione, czy przy wincie, czy jak z Żydem sadownikiem targują, czy przy karnawale w miłe i piękne uszko.

I tak Pan Apolinary Zbyszewski — dobry gospodarz, Zaklikówkę w trzy lata z dłu-

gów wyciągnął — ma przysłowie „Mździem, Panie".

A znów Rakowski z Derkaczy, elegant, w karty za dużo gra, ale niedrogo. Przy tym głowa tęga, wszyscy się go radzą. On znów w rozmowę często „Żółto-Zielono" wtrąca, diabli wiedzą skąd mu takie przysłowie przyszło?

Pan Włodzimierz Hryniewiecki miał szpetne bardzo przysłowie, tak że go nawet w towarzystwie niemile widziano, a Pani Andrzejowa Branicka na bale nie zapraszała. Zresztą porządny człowiek, dobry gospodarz, w karty trochę grał, ale ze szczęściem. A głowa bardzo tęga, nawet po[...] tyczna. Po jego śmierci (żo[...] ty był z krewniaczką, Hryn[...] wiecką z Zaklicza), żona, św[...] ta osoba i niewinności wielki[...] usłyszała kiedyś pod karcz[...] (a jechałem z nią właśnie [...] retą, razem w gościnie u G[...] cholskich byliśmy, do Biał[...] cerkwi na kolej żelazną nas [...] syłali), usłyszała więc to sło[...] którego mąż jej śp. wci[...] używał i pyta mnie: „Pa[...] Władysławie, a co to znaczy[...] I tu ze wstydu we francu[...] czyznę wpada: „Mon mari [...] sait toujours ça, mais il aj[...] tait Wołowa".

Władysław Matlakowsk[...]

W dalszych numerach „Wiadomości" ukażą się między i[...]nymi: *Stefana Badeniego* „Od Meyerlingu do Sarajewa"; *Zo[...] Bohdanowiczowej* „Czytając Konopnicką" i „Ranek w Walii[...] *Jana Frylinga* „Moja wizyta u szwagra Panczen-Lamy"; *Mi[...]czysława Lurczyńskiego* „Psalm Gorejący"; *Jana Lechon[...]* „Ameryka — Kraj Wolności"; *Władysława Matlakowskie[...]* „Gracze i Palacze" (z cyklu „Wspomnienia Ukraińskie"); *Ja[...] Siemieńskiego* „Poluję na Karribu" oraz listy Stefana Badeni[...]go, Jana Frylinga.

MISCELLANEA

Śladami Popei.

Piękna Martine Carol w roli Popei w filmie „Rzym Płonie" kąpie się podobno w prawdziwym oślim mleku. Lola Montez, kochanka Ludwika I. bawarskiego kąpała się w szampanie.

Muzykalność Pingwinów.

John Smythe, uczestnik wyprawy na północny cypel Grenlandii opowiada że pingwiny czułe są na muzykę: „Wyk[...]nywały one dziwny taniec p[...] rami kiedy grałem na pate[...]nie płytę Bonnie Scotland".

Nowe straszne dziwy.

W barbarzyńskich India[...] zdarzyło się ostatnio nowe m[...]derstwo przy słynnym przec[...]ciu na pół kobiety w kufr[...] (znany „trick" hinduskich [...]kirów). Przeciąwszy swą żo[...] na pół, fakir odmówił złożen[...] jej z powrotem.

KORESPONDENCJA

Do Redaktora „Wiadomości".

Coraz bardziej się cieszę że Silva staje się genealogiem i heraldykiem... honoris causa. Ale pilnując właśnie jego honoru, spieszę sprostować nieczny „łapsus calami" w ostatnim numerze. Hortensja Augustowa Dzieduszycka („Pani Kuka") miała trzy siostry, a nie cztery. Malwina Stadnicka, o której wspomina Silva, była jej stryjeczną siostrą, córką Pana Wojciecha z Górki. Nazywano go w Wiedniu „Excellenz Bubi". Powiedział on kiedyś hr. Palffy d'Erdody że lubi czardasza... ale woli mazura. Wywołało to niemal skandal, ponieważ bawiła wtedy u Palffych Arcyksiężna Maria-Elżbieta, która specjalnie lubiła czardasza. W posiadłości Palffych, Nemesztothy, odbywały się słynne polowania. W r. 1913 zabito jednak o 330 bażantów mniej niż w poprzednim. „Das riecht mir nach dem Krieg" (to mi pachnie wojną) powiedział wtedy hr. Czernin do Cesarza. I miał rację. Zwierzyna często miewa tego rodzaju „przeczucie" (w języku łowieckim, dla pp. Krasickiego i Siemieńskiego, koryguję: „nadgórny niuch"). Malwina Stadnicka wyszła zamąż za hr. de Laranguillère. Był to jeden z rzadkich aliansów naszych małopolskich rodów z arystokracją francuską. Matka hr. de Laranguillère (teściowa Pani Malwiny) była z domu Soult, córką napoleońskiego marszałka. Łączy się więc ten epizod z polskimi „napoleonicami", o których Silva pisał w Nr. 424. Od barszczu do... Napoleona!

Stefan Badeni

Czytelnicy o „Wiadomościach"

Br. Gr. Buenos Aires:

„Wiadomości" są dla nas chlebem duchowym i intelektualną strawą. Każdy numer bije poprzedni. Tylko tak dalej!

C. C., Dublin:

Trudno wszystkim oddać w krótkim liście sprawiedliwość. Zbyszewski jak szampan! Sakowski — miód nie pisanie! Od dawna już nie widzę Badeniego. Więcej Frylinga! Ależ to literaci z tych naszych Emeszeciarzy!

Gr. Br., Nowy Jork:

Nadal z radością obserwuję wciąż dalej rozwijający się rozwój naszych ulubionych pisarzy. Niech Zbyszewskiego kule biją!

D. K., Paryż:

„Wiadomości" — to okno na świat. Lubię przez nie wyglądać i nałykać się świeżego powietrza.

C. K.:

Zbyszewski słaby. Sakowski dobry. Fryling świetny. Badeni tym razem nie dopisał. Silva coś opada. Collector idzie w górę.

D. B.:

Zbyszewski świetny. Sakowski słaby. Silva bije Collectora o dwie długości. Fryling coś słabszy. Ale Badeni, co za cudo!

K. A. JELEŃSKI

Nagroda literacka

KOŁA KSIĘŻY KAPELANÓW POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Pod protektoratem J.E. Ks. Arcybiskupa Józefa F. Gawliny, Koło Księży Kapelanów Polskich Sił Zbrojnych w Stanach Zjednoczonych, celem uczczenia Roku Maryjnego, Polskiego Czynu Zbrojnego, oraz 300-lecia Obrony Częstochowy, ustanawia :

NAGRODĘ LITERACKĄ IMIENIA KARDYNAŁA PRYMASA POLSKI AUGUSTA HLONDA

na pracę niepublikowaną związaną z kultem Matki Bożej pośród żołnierzy polskich wszystkich epok.

Pozostawia się najszerszą swobodę w ujęciu tematu, poczynając od reportażu a nawet twórczej kompilacji po powieść a nawet monografię. Każdy jednak z tych rodzajów musi mieć walory literackie i nadawać się do szerokiego czytelnictwa.

Nagrody są następujące :

1. Za pracę nie mniejszą od 20 arkuszy (320 stron druku — około 120.000 słów) dolarów 500.

2. Za prace mniejsze (nie ma dolnej granicy) prozą lub wierszem :
Pierwsza nagroda : 250 dolarów;
Druga nagroda : 150 dolarów.
Trzecia nagroda : 100 dolarów.

W wypadku nie wpłynięcia pracy większej, lub niezakwalifikowania do nagrody — suma 500 dolarów może być obrócona na zwiększenie lub pomnożenie nagród za prace mniejsze. Do pracy dołączyć zamkniętą kopertę z nazwiskiem i adresem autora. Na kopercie umieścić godło lub pseudonim.

Koło Księży Kapelanów zastrzega prawo wydania prac nagrodzonych za honorarium wynoszącym 10 procent brutto (przy pracach drobniejszych, które ewentualnie będą wydane w zbiorze — odpowiednio proporcjonalną część wynagrodzenia).

Termin nadsyłania prac — ósmy grudzień, 1955 roku.

Rozstrzyga data stempla pocztowego.

Skład Jury : Oskar HALECKI, Tadeusz ROMER, Melchior WAŃKOWICZ, Kazimierz WIERZYŃSKI, Ks. Wojciech A ROJEK.

Prace nadsyłać należy pod adresem :

Sekretariat Koła Księży Kapelanów PSZ,
6 Wall St., Passaic, N.Y., U.S.A.

Dolina Issy

I

Należy zacząć od opisu Kraju Jezior, w którym mieszkał Tomasz. Te okolice Europy długo były pokryte lodowcem i jest w ich krajobrazie surowość północy. Ziemia jest tu na ogół piaszczysta i kamienista, zdatna pod uprawę tylko kartofli, żyta, owsa i lnu. Tym tłumaczy się, że człowiek nie zniszczył tu lasów, które łagodzą nieco klimat i chronią od wiatrów Bałtyckiego Morza. Przeważa w nich sosna i świerk, są również brzozy, dęby i graby, brak całkowicie buków, granica ich zasięgu przebiega o wiele dalej na południe. Można lasami podróżować tu długo, nigdy nie nużąc oczu, bo jak ludzkie miasta, społeczeństwa drzew mają swoje niepowtarzalne właściwości, tworzą wyspy, strefy, archipelagi, znaczone tu i ówdzie jakąś drogą z koleinami w piasku, leśniczówką, starą smolarnią, której rozpadające się piece obrosła roślinność. I zawsze w pewnej chwili jest z pagórka widok na niebieską taflę jeziora z białą, ledwo dostrzegalną plamką perkoza, ze sznurem kaczek ciągnących nad trzcinami. Na bagnach lęgną się tutaj masy błotnego ptactwa, na wiosnę w bladym tutejszym niebie trwa wracający seriami warkot, wa-wa-wa bekasów — taki dźwięk wydaje powietrze w ich sterach z piór, kiedy odprawiają swoje monotonne akrobacje oznaczające miłość. Ten wątły warkot i bełkot cietrzewi, jakby gdzieś daleko gotował się horyzont i kumkanie tysięcy żab na łąkach (ich liczba decyduje o liczbie bocianów, mających swoje gniazda na dachach chat i stodół), są tutaj głosami tej pory, kiedy po gwałtownym topnieniu śniegów kwitnie kaczeniec i wilcze łyko — drobne różowo-liliowe kwiatki na krzakach jeszcze bez liści. Dwie pory roku są temu krajowi właściwe, jakby dla nich był stworzony: wiosna i jesień — długa, najczęściej pogodna, pełna zapachów moknącego lnu, stukania międlic, biegnących z daleka

ech. Gęsi ogarnia wtedy niepokój, zrywają się nieporadnie chcą wzbić się za dzikimi, które nawołują z wysoka; zdarza się, że ktoś przynosi do domu bociana ze złamanym skrzydłem: to ten, co uratował się od śmierci jaką towarzyszowi, niezdolnemu lecieć w podróż nad Nil, wymierzają dziobami strażnicy prawa; opowiada się, że tam i tam wilk porwał komuś wieprzka; z lasów słychać muzykę psów gończych: sopran, bas i baryton szczekają w biegu, goniąc za zwierzyną i po modulacji poznaje się, czy idą śladem zająca czy sarny.

Fauna jest tu mieszana, jeszcze nie całkowicie północna. Zdarzają się pardwy, ale są i kuropatwy. Wiewiórka ma zimą futerko szarawe, ale nie całkowicie szare. Są dwa gatunki zajęcy — jeden zwykły, który wygląda zimą i latem tak samo. Drugi, bielak, zmienia sierść i jest nie do odróżnienia od śniegu. To współistnienie gatunków daje materiał do rozważań uczonym, a sprawa komplikuje się jeszcze przez to, że, jak mówią myśliwi, zając zwykły ma dwie odmiany: polną i leśną, krzyżującą się czasem z bielakiem.

Człowiek do niedawna wyrabiał tutaj w domu wszystko, co było mu potrzebne. Nosił grube płótno, które kobiety rozkładają na trawie i polewają wodą, żeby zbielało na słońcu. W porze bajek i pieśni, późną jesienią, palce wyciągały z motka wełny przędzę, przy miarowym stukaniu pedału kołowrotków. Z tej przędzy gospodynie tkały sukna na domowych warsztatach, zazdrośnie strzegąc sekretów wzoru: w jodełkę, w siatkę, taki kolor na osnowę, taki na odetkę. Łyżki, kadzie i narzędzia gospodarskie strugano własnym przemysłem, tak samo jak chodaki. Latem noszono przeważnie łapcie, wyplatane z lipowego łyka. Dopiero po pierwszej wojnie światowej powstawać zaczęły spółdzielcze mleczarnie i stacje skupu zboża i mięsa, a rodzaj potrzeb mieszkańców wiosek zaczął ulegać zmianie.

Chaty buduje się tutaj z drzewa, kryje się nie słomą a gontem. Żurawie, złożone z poprzecznej żerdzi, opartej o rozwidlony słup i obciążonej na jednym końcu, służą do wyciągania wiader ze studni. Ambicją gospodyń jest mały ogródek przy wejściu. Hodują w nim georginie i malwy: coś co buja wysoko pod ścianą, a nie ozdabia tylko ziemi i czego przez płot nie widać.

Od tego ogólnego obrazu trzeba przejść do doliny rzeki Issy, która pod wieloma względami jest wyjątkiem w Kraju Jezior. Issa jest czarna, głęboka, o leniwym prądzie, szczelnie obrosła łoziną; jej powierzchnia miejscami jest ledwie widoczna pod liśćmi lilii wodnych; wije się po łąkach, a pola, rozłożone na łagodnych zboczach po obu jej stronach, mają glebę urodzajną. Dolina jest błogosławiona przez rzadki u nas czarnoziem, bujność swoich sadów i może odcięcie od świata, które ludzio

utejszym nigdy nie przedstawiało się jako dokuczliwe. Wioski ą tu bogatsze niż gdzie indziej, siedzące albo przy jedynej dużej rodze wzdłuż rzeki, albo wyżej nad nią, na tarasach i przyglą-lające się sobie wieczorem światłami okien poprzez obszar, który owtarza jak pudło rezonansowe stuk młotka, szczekanie psów głosy ludzi — może dlatego tak znana jest ze swoich starych ieśni, które śpiewa się tutaj, rozkładając je na głosy, nigdy nisono, starając się zawsze zwyciężyć rywali w wiosce na-rzeciwko przez ładniejsze, powolne dogasanie frazy. Zbieracze olkloru zapisali nad Issą wiele motywów, sięgających czasów ogańskich, jak choćby tę opowieść o Księżycu (który u nas jest nężczyzną), wychodzącym z łoża małżeńskiego, gdzie spał ze woją żoną — Słońcem.

II

Osobliwością doliny Issy jest większa niż gdzie indziej ilość iabłów. Być może spróchniałe wierzby, młyny, haszcze na brze-ach są szczególnie wygodne dla istot, które ukazują się oczom udzkim tylko wtedy, kiedy same sobie tego życzą. Ci, co je vidzieli, mówią, że diabeł jest nieduży, wzrostu dziewięcioletiego dziecka, że nosi zielony fraczek, żabot, włosy splecione v harcap, białe pończochy i przy pomocy pantofli na wysokich bcasach stara się ukryć kopyta, których się wstydzi. Do tych powiadań trzeba się odnieść z pewną ostrożnością. Jest praw-lopodobne, że diabły, znając zabobonny podziw ludności dla Niemców — ludzi handlu, wynalazków i nauki — starają się obie dodać powagi, ubierając się jak Immanuel Kant z Kró-ewca. Nie darmo inna nazwa nieczystej siły jest nad Issą „Niem-zyk" — oznaczająca, że diabeł jest po stronie postępu. Jednak rudno przypuścić, żeby nosiły taki strój na co dzień. Na przykład lubioną ich zabawą jest tańczyć w osieciach, pustych szopach, dzie międli się len, stojących zwykle na uboczu od zabudowań: akże mogłyby we frakach wzbijać kłęby kurzu i paździerzy, nie roszcząc się o zachowanie przyzwoitego wyglądu? I dlaczego, eżeli dany jest im jakiś rodzaj nieśmiertelności, miałyby wybrać właśnie strój z osiemnastego wieku?

Nie wiadomo właściwie do jakiego stopnia mogą zmieniać ostać. Kiedy dziewczyna zapala dwie świece w wigilię świętego Andrzeja i patrzy w lustro, może zobaczyć przyszłość: twarz nężczyzny, z którym złączone będzie jej życie, czasem twarz mierci. Czy to diabeł tak się przebiera, czy działają tutaj inne nagiczne moce? I jak odróżnić istoty, które zjawiły się tutaj nastaniem chrześcijaństwa od innych, dawnych tubylców: od

leśnej czarownicy, która zamienia dzieci w kołyskach, czy o
maleńkich ludzi, wychodzących nocą ze swoich pałaców, po
korzeniami czarnego bzu? Czy diabły i te różne inne stwo
mają ze sobą jakieś porozumienie, czy też po prostu są obc
siebie, jak są obok siebie sójki, wróble i wrony? I gdzie je
kraina, do której chronią się i jedne i drugie, kiedy glebę gnio
gąsienice czołgów, kiedy nad rzeką kopią sobie płytkie groby, c
co mają być rozstrzelani, a wśród krwi i łez w aureoli Histor
wschodzi Uprzemysłowienie? Czy można sobie wyobrazić jak
sejm w pieczarach, głęboko we wnętrzu ziemi, gdzie jest ju
gorąco od ogni płynnego centrum planety, sejm, na którym set
tysięcy małych diabłów we frakach, poważnie i ze smutkiem
słuchają mówców, reprezentujących komitet centralny piekieł
Oto mówcy obwieszczają, że w interesie sprawy skończone je
hasanie po lasach i łąkach, że moment wymaga innych środkó
i że wysoko kwalifikowani specjaliści działać będą już tak, żeb
ich obecności nie podejrzewał umysł śmiertelnych. Rozlegają si
oklaski, ale wymuszone, bo obecni już rozumieją, że byli po
trzebni tylko w okresie przygotowawczym, że postęp zamyka ic
w ponurych czeluściach i że nie zobaczą już zachodów słońca
lotu zimorodków, iskrzących się gwiazd, wszelkich cudów nieob
jętego świata.

Rolnicy nad Issą stawiali na progu chaty miseczkę z mle
kiem dla łagodnych węży wodnych, które nie bały się ludz
Potem stali się gorliwymi katolikami i obecność diabłów przy
pominała im o walce, jaka się toczy o ostateczne panowanie na
duszą ludzką. Czym staną się jutro? Opowiadając nie wie si
jaki wybrać czas, teraźniejszy czy przeszły, jakby to co minęł
nie było całkowicie minione dopóki trwa w pamięci pokole
— czy tylko jednego kronikarza.

Może diabły upodobały sobie Issę ze względu na jej wodę
Mówi się, że ta ma właściwości wpływające na usposobieni
ludzi, jacy się rodzą nad jej brzegami. Są skłonni do zachowa
nia się ekscentrycznego, dalecy od spokoju, a ich niebieskie ocz
jasne włosy i nieco ociężała budowa są złudnym tylko pozore
nordyckiego zdrowia.

III

Tomasz urodził się w Giniu nad Issą w porze, kiedy dojrza
jabłko spada ze stukiem na ziemię w ciszy popołudni, a w si
niach stoją kadzie brunatnego piwa, które warzy się tutaj p
zakończeniu żniw. Ginie, to przede wszystkim góra zarosła dęb
mi. W tym, że zbudowano na niej drewniany kościół, kryje s

intencja wroga dawnej religii, albo, być może chęć przejścia od dawnej do nowej bez wstrząsów: na tym miejscu odprawiali kiedyś swoje obrzędy ofiarnicy boga piorunów. Z trawnika przed kościołem, opierając się o ogrodzenie z głazów, widzi się na dole pętle rzeki, prom z wózkiem na nim, posuwający się powoli wzdłuż liny, za którą ciągnie miarowo ręka przewoźnika (nie ma tu mostu), drogę, dachy między drzewami. Nieco z boku stoi plebania z szarym dachem z drewnianych gontów, podobnym do korabia na obrazkach. Wszedłszy na schodki i nacisnąwszy klamkę, stąpa się po posadzce z wytartych cegiełek, ułożonych ukośnie w jodełkę, a światło pada na nią przez zielone, czerwone i żółte szybki, które budzą podziw dzieci.

Między dębami, na zboczu jest cmentarz, a na nim, w kwadracie łańcuchów łączących kamienne słupki, leżą przodkowie Tomasza z rodziny jego matki. Z jednej strony do cmentarza przytykają obłe wzniesienia, na których latem jaszczurki szmyrgają spomiędzy czombrów. Nazywa się to Szwedzkie Wały. Usypali je albo Szwedzi, którzy przyjeżdżali tutaj zza morza, albo ci, co bili się z nimi; znajduje się tutaj czasem szczątki pancerzy.

Za Wałami zaczynają się drzewa parku, jego skrajem przebiega droga, bardzo stroma, która zmienia się w czasie roztopów w łożysko potoku. Przy drodze z tajemniczej kępy tarnin wystają ramiona krzyża. Dostać się do niego trzeba po trawie na resztkach stopni i wtedy ma się pod sobą okrągłą jamę krynicy, żaba wytrzeszcza oko spod krawędzi, a przyklękając i odgarniając rzęsę, można długo wpatrywać się w obracającą się na dnie kulkę wody. Zadziera się głowę i wtedy ukazuje się obrosły mchem Chrystus z drzewa. Siedzi w rodzaju kapliczki, jedną rękę trzyma na kolanach, a na drugiej wspiera podbródek, bo jest smutny.

Od drogi aleją idzie się w stronę domu. Jak tunel, tak gęste są tutaj lipy, zniża się aż do sadzawki koło świrna. Sadzawka ma imię Czarna, bo nigdy nie dosięga jej słońce. W nocy chodzić tutaj jest straszno; widziano tu nieraz czarną świnię, która chrząka, tupie racicami po ścieżkach i przeżegnana, znika. Za sadzawką aleja wznosi się znowu i nagle otwiera się jasność gazonu. Dom jest biały, tak niski, że dach, na którego deszczułkach mieszka gdzieniegdzie mech i trawa, wydaje się go przygniatać. Dzikie wino, którego jagody ściągają język, oplata okna i dwie kolumienki na ganku. Z tyłu dobudowano skrzydło budynku — tam wszyscy przenoszą się na zimę, bo front butwieje i zapada się od wilgoci, jaka przedostaje się spod podłogi. Skrzydło składa się z wielu pokoi, stoją w nich kołowrotki, warsztaty tkackie i prasy do walowania sukna.

Kołyska Tomasza umieszczona była w starej części domu,

od ogrodu i pierwszym dźwiękiem, jaki go witał, były pewn krzyki ptaków za oknem. Wiele czasu zużył, kiedy już chodz na zwiedzanie izb i zakamarków. W sali jadalnej bał się zbliża do ceratowej kanapy — mniej z powodu portretu mężczyzn w zbroi, z rąbkiem purpurowej szaty, patrzącego surowo, ba dziej z powodu dwóch okropnie wykrzywionych twarzy z glin na półce. W część, na którą mówiło się „salon" nigdy się n zapuszczał i, będąc nawet dużym już chłopcem, czuł się tam ni swojo. „Salon" za sienią był zawsze pusty, parkiety i meb trzaskały same w ciszy i jakoś wiadomo było, że tam przebyw czyjaś obecność. Najbardziej pragnął znaleźć się w śpiżarni, c zdarzało się rzadko. Wtedy ręka babki przekręcała kluc w drzwiach pomalowanych na czerwono i buchał zapach. Na pierw zapach wędzonych kiełbas i szynek, które wisiały pod be kami pułapu, ale mieszała się z nim inna woń, z szufladek wznoszących się jedna nad drugą wzdłuż ścian. Babka wycia gała szufladki i pozwalała wąchać, objaśniając: „to cynamon to kawa, to goździki". Wyżej, tam, gdzie tylko dorośli mog sięgnąć, błyszczały garnuszki ciemno-złotego koloru, które bu dziły pożądanie, moździeże i nawet maszynka do mielenia mig dałów, a także pastka na myszy: pudełko z blachy, na któr mysz mogła wbiec po mostku, powycinanym w schodki, a kied sięgała po słoninę, otwierała się zapadnia i wpadała w wodę Małe okno śpiżarni miało kraty i prócz zapachu był tu chłó i cień. Tomasz lubił też izbę z korytarza, koło kuchni, „garde robę", gdzie suszyły się sery i gdzie często bito masło. Brał w tyn udział ,bo zabawnie jest poruszać kijem w górę i w dół, kied w otworze syczy maślanka; co prawda zniechęcał się prędko, b długo trzeba pracować zanim podnosząc wieko spostrzeże się, ż krzyżak na końcu kija oblepiają już żółte grudki.

Dom, ogród owocowy za nim i trawnik przed nim, to naj pierw znał Tomasz. Na trawniku trzy agawy, wielka pośrodku dwie mniejsze po bokach, rozsadzały donice, na których klepkac zostawiała znaki, wyżej i niżej, rdza obręczy. Tych agaw sięgał wierzchołki świerków, co rosły w dole parku, a między nim świat. Zbiegało się w dół, do rzeki i do wioski, z początku tylk wtedy, kiedy Antonina niosła w necce opartej o biodro bielizn do prania, a na niej położony pralnik, czy jak to się inaczej na zywa, kijankę.

IV

Przodkowie Tomasza byli panami. O tym, w jaki sposó nimi zostali, zagubiła się pamięć. Nosili hełmy i miecze, a miesz kańcy okolicznych wiosek musieli uprawiać ich pola. Bogactw

ich określało się bardziej liczbą dusz czyli poddanych, niż obszarem posiadanej ziemi. Bardzo dawno temu wioski składały im tylko daninę w naturze, później spostrzeżono, że zboże, które ładuje się na szkuty i odprawia rzeką Niemnem do morza, przynosi duże zyski i że opłaca się z lasu wycinać poletka. Wtedy zdarzało się, że zmuszani do pracy ludzie urządzali bunty i zabijali panów, a przewodzili im starzy, nienawidzący i panów i chrześcijaństwa, które przyszło równocześnie z końcem swobody.

Tomasz urodził się kiedy dwór już przemijał. Zostało niezbyt dużo gruntu na którym orało, siało i kosiło kilka rodzin ordynariuszy; wynagrodzenie dostawali przeważnie w kartoflach i ziarnie i ten roczny przydział zapisywało się w książkach jako ordynaria. Prócz nich trzymano pewną ilość czeladzi „na dworskim stole".

Dziadek Tomasza, Kazimierz Surkont, w niczym nie przypominał tych mężczyzn którzy tutaj kiedyś zajmowali się głównie dobieraniem wierzchowców i kłótniami o gatunki broni. Niewysoki, nieco ociężały, przesiadywał najczęściej w swoim krześle, kiedy, drzemiąc, opierał podbródek o pierś, ześlizgiwały mu się siwe pasma zaczesane na różowej łysinie, a pince-nez dyndało na jedwabnym sznurku. Miał cerę dziecka (nos mu tylko często od chłodu przybierał barwę śliwki) i oczy niebieskie z czerwonymi żyłkami. Łatwo się przeziębiał i swój pokój wolał od otwartej przestrzeni. Nie pił, nie palił, a choć powinien by był nosić buty z cholewami, a nawet ostrogi, żeby okazać swoją gotowość do skoczenia w pole, chodził w długich spodniach wypchniętych na kolanach i w sznurowanych trzewikach. Nie było we dworze ani jednego myśliwskiego psa, choć na dziedzińcu koło stajni drapały się i wybierały sobie pchły czeredy różnych Żuczków, wolnych od jakichkolwiek obowiązków. Nie było też żadnej strzelby. Dziadek Surkont cenił nade wszystko spokój i książki o hodowli roślin. Być może do ludzi odnosił się też trochę jak do roślin i ich namiętności nie łatwo wyprowadzały go z równowagi. Starał się ich zrozumieć i to że był „za dobry", w połączeniu z jego niechęcią do kart i hałaśliwości, odstręczało sąsiadów równych mu stanem. Wymawiali jego nazwisko i wzruszali ramionami, nie umiejąc mu postawić jakichś wyraźnych zarzutów. Każdego kto przyjeżdżał pan Surkont przyjmował świadcząc mu grzeczności zupełnie niedostosowane do rangi i stanowiska. Wiadomo, że inaczej trzeba odnosić się do szlachcica, Żyda i chłopa, a on tę zasadę obchodził, nawet wobec strasznego Chaima. Co kilka tygodni Chaim zjawiał się na swojej bryce i, z biczem w ręku, w czarnym kaftanie, z bufami spodni opadającymi na cholewy, wkraczał do domu. Broda mu sterczała jak polano które osmalił ogień. Zaczynał rozmowy o cenach żyta i cielaków, a to stano-

wiło tylko wstęp do wybuchu. Wtedy, wrzeszcząc i gestykulują biegał i ścigał domowników po wszystkich izbach, targał się włosy i przysięgał że zbankrutuje jeżeli zapłaci co żądają. Zda się że bez odegrania tej rozpaczy odjeżdżałby z poczuciem że n wypełnił tego co uważał za zadanie dobrego kupca. Tomasz dz wił się, że wrzaski ustawały nagle, Chaim już miał w ustach c w rodzaju uśmieszku, siedzieli z dziadkiem rozmawiając prz jaźnie.

Życzliwość dla ludzi nie oznaczała wcale że Surkont skłonn był ustępować ze swego. Dawne urazy pomiędzy wioską Gin i dworem wygasły i rozkład gruntów był taki, że brakowało p wodu do kłótni. Co innego wioska Pogiry, z drugiej strony, pa lasem. Toczyła ona nieustanne spory o prawo do pastwisk i prz chodziło to jej nie łatwo. Zbierali się, roztrząsali sprawę, gnie w nich wzbierał, wyznaczali delegację starszyzny. Kiedy jedna starszyzna zasiadła z Surkontem przy stole na którym stała wóc ka i plastry wędlin, całe przygotowanie traciło cel. Gładz wierzch ręki dłonią i, nie śpiesząc się, serdecznie, tłumaczył. W dać było jego pewność że zmierza tylko do rozwikłania tak żeb było sprawiedliwie. Przytakiwali, miękli, zawierali nową ugod i dopiero w drodze powrotnej przychodziło im na myśl wszystk czego nie powiedzieli, źli byli że jeszcze raz ich zaczarował i ż muszą wstydzić się przed wioską.

W młodości Surkont uczył się w mieście, czytał książ Auguste Comte'a i John Stuart Mill'a, o których nad Issą mał kto poza tym słyszał. Z jego opowiadań o tych czasach Tomas zapamiętał głównie to o balach, na których mężczyźni nosi fraki. Dziadek i jego kolega mieli do spółki tylko jeden fra i kiedy jeden z nich tańczył, drugi czekał w domu, a po kilk godzinach zamieniali się.

Z dwóch córek, Helena wyszła za mąż za dzierżawcę z ok licy, a Tekla za człowieka z miasta i ona to była matką Tomasz Do Ginia przyjeżdżała czasem na kilka miesięcy, ale rzadko, b towarzyszyła mężowi, którego nosiło po świecie poszukiwan zarobku i później wojna. Dla Tomasza pozostawała pięknem z dużym, żeby można było coś z nim zrobić i patrząc na nią, prz łykał ślinę z miłości. Ojca prawie nie znał. Kobiety koło niego przede wszystkim Pola, kiedy był zupełnie mały, a później Ant nina. Polę odczuwał jako biel skóry, len, miękkość i przenos później swoją sympatię na kraj, którego nazwa dźwięczała p dobnie: Polskę. Antonina wysuwała naprzód brzuch w fa tuchach w prążki. Przy pasie nosiła pęk kluczy. Śmiech jej prz pominał rżenie, a w sercu chowała życzliwość dla wszystkic Mówiła mieszaniną dwóch języków, to znaczy litewski był j macierzystym, a polski nabytym. Jej polszczyzna brzmiała ta

ak to wskazuje na przykład to wołanie dobroci: „Tomasz, kuodź, łam kampitura!”

Tomasz bardzo lubił dziadka. Pachniało od niego przyjemnie a siwa szczecina nad ustami łechtała w policzek. W małym pokoju gdzie mieszkał wisiała nad łóżkiem rycina, przedstawiająca ludzi, których przywiązano do słupów, inni ludzie półgoli, przykładali do słupów pochodnie. Jednym z pierwszych ćwiczeń Tomasza w czytaniu było sylabizowanie podpisu: Pochodnie Nerona. Tak miał na imię okrutny król, ale Tomasz dał takie same jednemu ze szczeniaków, bo zaglądając mu w pysk, starsi mówili, że ma czarne podniebienie, co znaczy, że będzie zły. Neron wyrósł i nie okazywał ciętości, za to dużo sprytu; zjadał śliwki opadłe z drzew, a kiedy ich nie znalazł umiał oprzeć się łapami o pień i trząść. Na stole dziadka leżało wiele książek a na obrazkach w nich oglądało się korzenie, liście i kwiaty. Czasem dziadek brał Tomasza do „salonu” i tam otwierał fortepian, którego wieko miało kolor kasztanów. Palce jakby obrzękłe, zwężające się na końcach, przebierały po klawiszach, ten ruch dziwił i dziwiło sypanie się kropli dźwięku.

Dziadka często można było widzieć, odbywającego narady z ekonomem. Był nim pan Szatybełko, z bródką na dwa boki, które wygładzał i rozsuwał, rozmawiając. Malutki, chodzący ze zgiętymi kolanami, wysuwał nogi z butów, których cholewy były za obszerne. Palił ogromną w porównaniu z nim fajkę. Jej cybuch zakręcał się w dół ,a palenisko zamykało się na metalowe wieczko z dziurkami. Stancja jego, na końcu budynku co mieścił stajnię, wozownię i izbę czeladną, zieleniała od krzaków geranium w doniczkach, a nawet blaszanych kubkach. Na ścianie pełno było świętych obrazów, które jego żona, Paulina, ozdabiała kwiatami z papieru. Za Szatybełką wszędzie dreptał piesek Mopsik. Kiedy jego pan przesiadywał w pokoju dziadka, Mopsik czekał na dworze i niepokoił się, bo wśród dużych psów i ludzi potrzebował w każdej chwili opieki.

Goście — z wyjątkiem takich, jak Chaim czy gospodarze w różnych sprawach — zjawiali się nie częściej niż raz czy parę razy do roku. Sam pan ani ich wyglądał, ani nie był im nierad. Prawie każde ich jednak pojawienie się wpędzało babkę Surkontową w humory.

V

Od babki Michaliny czyli Misi Tomasz nigdy nie dostał żadnego prezentu i nie zajmowała się nim zupełnie, ale to dopiero była osoba. Trzaskała drzwiami, wymyślała każdemu, nic ją nie obchodzili ludzie ani co pomyślą. Kiedy wpadła w złość,

zamykała się u siebie na całe dnie. Tomasza przenikała, kie
znalazł się przy niej, radość — ta sama, którą się czuje spotykaj
w gąszczu wiewiórkę albo kunę. Jak one należała do stworz
leśnych. Do ich pyszczków podobny był jej duży, prosty n
między policzkami, co tak sterczały naprzód, że jeszcze troc
a schowałby się między nimi. Oczy jak orzechy, włosy ciemn
które czesała gładko, zdrowie, czystość. W końcu maja zacz
nała swoje wyprawy do rzeki, latem kąpała się kilka razy dzie
nie, w jesieni przebijała stopą pierwszy lód. W zimie też du
czasu spędzała na przeróżnych ablucjach. Nie mniej dba
o schludność w domu, a właściwie tylko w tej części, którą uw
żała za swoją norkę. Poza tym potrzeb nie miała żadnych. D
stołu dziadkowie i Tomasz zasiadali razem rzadko, bo nie uzn
wała regularnych posiłków, uważała to za zawracanie głow
Kiedy przyszła jej ochota, biegła do kuchni i pałaszowała garn
kwaśnego mleka, zagryzając solonymi ogórkami czy kwaszeni
z octem — przepadała za wszystkim co ostre i słone. Ta j
niechęć do obrządku talerzy i półmisków — kiedy milej je
zaszyć się w kącie i podjadać tak, żeby nikt nie widział -
pochodziła z jej przekonania, że traci się niepotrzebnie czas n
ceremonie, a również ze skąpstwa. Co do gości, to irytowali
dlatego, że trzeba ich bawić kiedy nie ma się do tego uspos
bienia i dlatego, że trzeba im dać jeść.

Nie nosiła kaftaników, wełnianych halek ani sznurówe
W zimie ulubionym jej zajęciem było stawać przy piecu, zadzi
rać spódnicę i grzać tyłek — ta pozycja oznaczała, że jest gotow
do rozmowy. Ów gest wyzwania wobec obyczajów bardzo T
maszowi imponował.

Gniewy babci Misi pozostawały chyba na powierzchni, ta
wewnątrz siedziało coś jak pękanie ze śmiechu i zostawion
samej sobie, odgrodzona przez obojętność, musiała bawić s
doskonale. Tomasz odgadywał, że zrobiona jest z twardego mat
riału i że tyka w niej jakaś niepotrzebująca nakręcania maszynk
perpetuum mobile, dla którego świat zewnętrzny był zbyteczn
Używała różnych chytrości, żeby móc zwijać się w kłębek w
wnątrz siebie.

Interesowała się przede wszystkim czarami, duchami i życie
pozagrobowym. Z książek czytała tylko żywoty świętych, a
chyba nie szukała w nich treści, a raczej upajał ją i wprow
dzał w marzenie sam język, dźwięk pobożnych zdań. Żadny
nauk moralnych Tomaszowi nie udzielała. Rano (jeżeli ukaz
wała się ze swojej dziupli, gdzie pachniało woskiem i mydłe
siadały z Antoniną i tłumaczyły sny. Dowiadując się, że kt
zobaczył diabła, albo że gdzieś w sąsiedztwie dom nie nada
się do użytku, bo coś dzwoni w nim łańcuchami i toczy beczk

ozpromieniała się. W dobry humor wprowadzał ją każdy znak innego świata, czyli dowód, że człowiek na ziemi nie jest am, ale w towarzystwie. W różnych drobnych zdarzeniach odadywała przestrogi i wskazówki S i ł. Bo ostatecznie trzeba viedzieć, umieć się zachować, a wtedy Siły, co nas otaczają, służą i pomogą. Babcia Misia miała taką ciekawość dla tych tworów, które kłębią się dokoła nas w powietrzu i których doykamy w każdej chwili, nie wiedząc o tym, że do bab znających ekrety i zaklęcia odnosiła się zupełnie inaczej niż do innych nawet dawała im to kawałek materiału, to krążek kiełbasy, iągnąc je za język.

Zajmowała się mało gospodarstwem, tyle, żeby kontrolować zy dziadek nie wynosi czegoś dla swoich protegowanych, bo odkradał, bojąc się awantur. Nikomu nie świadcząca usług — udze potrzeby nie przedostawały się do jej wyobraźni — wolna d wyrzutów sumienia i rozważań o jakichś obowiązkach wobec liźnich, po prostu żyła. Jeżeli Tomaszowi udało się odwiedzić ą w łóżku, w niszy zakrytej kotarą, obok klęcznika z rzeźbioym oparciem i poduszką z czerwonego aksamitu, siadał w jej ogach i opierał się o jej kolana pod kocem (nie znosiła watoanych kołder) a koło jej oczu zbierały się zmarszczki, jabłka oliczków wyskakiwały jeszcze bardziej niż zwykle, co oznaczało rzyjaźń i śmieszne opowieści. Czasem narażał się przez jakąś sotę na jej burczenie, nazywała go paskudnikiem i błaznem, le to go nie przejmowało, bo wiedział że go lubi.

W niedzielę ubierała się do kościoła w ciemne bluzki, które apinały się pod szyją na agrafki, nad żabotem. Wkładała złoty ańcuszek z ziarenkami jak łebki od szpilek, a medalion, który ozwalała otwierać (nic w nim nie było), chowała w kieszonce a pasem.

VI

Rozmaite Siły obserwowały Tomasza w słońcu i zieleni i osązały go według zakresu swojej wiedzy. Te z nich, którym dane st wyłączać się poza czas, kiwały melancholijnie przezroczystyi głowami, bo zdolne były ogarnąć skutki ekstazy, w jakiej ył. Siłom tym znane są na przykład kompozycje muzyków, próujących wyrazić szczęśliwość, ale takie wysiłki okazują się nieołężne, kiedy się przykucnie przy łóżku dziecka, które budzi ę w letni ranek, a za oknem słychać gwizd wilgi, chór kwakań, dakań i gęgań od podwórza, wszystkie głosy w świetle, co nigdy ę nie skończy. Szczęśliwość to także dotyk — bosymi stopami omasz przebiegał od gładkości desek podłogi, do chłodu kamien-

nej posadzki korytarza i do okrągłości bruku na ścieżce, gdzie c
sychała rosa. I, trzeba to wziąć pod uwagę, był samotn
dzieckiem w królestwie, co zmieniało się tak jak zechciał. Diab
kurczące się szybko kiedy nadbiegał i włażące pod liście, zacl
wywały się jak kury, kiedy, spłoszone, wyciągają szyje i pokaz
głupotę oka.

Na trawniku pojawiały się na wiosnę kwiaty nazywane k
czyki św. Piotra. Cieszyły one Tomasza, bo trawa jednoli
zielona, a nagle ta jasna żółtość, na gołej łodyżce, właśnie j
pęk małych kluczy, a w każdym drobny krążek czerwieni. Liś
u dołu pomarszczone, miłe w dotyku, jak zamsz. Kiedy na klo
bach rozkwitały piwonie, ścinali je z Antoniną żeby zanieść
kościoła. Zanurzał w nich oczy i cały chciałby wejść do te
różowego pałacu; słońce prześwieca przez ściany a na dnie w z
tym pyłku biegają żuczki, jednego raz wciągnął w nos, tak m
no wąchał. Podskakując na jednej nodze biegł za Antoni
kiedy szła po mięso do sklepu, który był wydrążony w zie
w ogrodzie. Złazili w dół drabiną i Tomasz smakował palca
nóg mróz od tafli lodu z Issy przysypanych słomą. Na gór
skwar, tu inaczej, a któżby z wierzchu odgadł. Nie mógł uwi
rzyć, że sklep nie ciągnie się daleko tylko kończy się tu gdz
podmurowana ściana z zaciekami wilgoci. Albo ślimaki. Prz
mokre dróżki po deszczu przeprawiały się z jednego trawni
na drugi, wlokąc za sobą ślad ze srebra. Wzięte w rękę, wci
gały się w skorupkę, ale zaraz wysuwały się znowu jeżeli do ni
przemówić: „Ślimak, ślimak, wystaw rogi, dam trzy grosze
pierogi". Wszystko to, jeżeli sprawiało dorosłym przyjemność,
jak mogły stwierdzić Siły, trochę wstydliwą, na przykład zam
śiać się nad białą obrączką na skorupie ślimaka to nie dla nic

Rzeka dla Tomasza była olbrzymia. Niosły się nad r
zawsze echa: kijanki stukały tak-tak-tak; skądś odzywały s
Cała orkiestra i kobiety piorące nigdy nie pomyliły się, jeż
inne, jakby była umowa, że jedne drugim mają odpowiada
zaczynała nowa, zaraz wpadała w ten takt co już był. Toma
zaszywał się w krzaki, włazi na pień wierzby i słuchając spędz
całe godziny na przyglądaniu się wodzie. Po powierzchni u
niały się pająki, dokoła nóg których tworzą się wgłębienia, żu
— krople metalu tak śliskie, że woda ich się nie ima — c
prawiały swój taniec w kółko, ciągle w kółko. W słoneczny
promieniu lasy roślin na dnie, między nimi stoją ławice ryb
które pryskają na wszystkie strony i znów zbierają się, kil
ruchów ogonkiem, rozpęd, kilka ruchów ogonkiem. Czasem
głębi przychodziła większa ryba na jasność i wtedy Tomaszo
biło serce z przejęcia. Podskakiwał na swoim pniu, kiedy w śr
ku rzeki odzywał się plusk, coś błyskało i rozchodziły się kr

eżeli przepłynęła łódka, to było niezwykłe: zjawiała się i nikła ak szybko, że nie dawało się wiele zauważyć. Rybak siedział isko, prawie na wodzie, garnął wiosłem, które miało dwie opatki, a za sobą wlókł sznur.

Tomasz wcześnie zmajstrował sobie wędkę i był cierpliwy. le nie udawało mu się. Dopiero dzieci Akulonisów, Józiuk Onuté, nauczyły go, jak przywiązuje się haczyki. Do ich chaty a skraju wioski z początku wpadał na chwilę, później przywoił się i, jeżeli nie wracał do domu, wiedziano gdzie jest. V południe dostawał drewnianą łyżkę i siadał ze wszystkimi a stołem, czerpiąc jak inni z jednej misy bonduki ze śmietaną. kulonis był wielki, z plecami których płaskość zastanawiała 'omasza, bo nie znał nikogo, kto by trzymał się tak prosto. Płóto spodni na łydkach opasywał rzemieniami łapci aż do kolan. owieniem ryb zajmował się z upodobaniem i co najważniejsze niał czółno. Za jabłoniami, koło świronka, grunt zniżał się w zaokę obrosłą ajerem, czółno w nim wygniotło przejście i leżało vyciągnięte do połowy. Dzieciom zakazano spychać je na wodę, więc mogły tylko udawać, że jadą, kołysząc się na jego końcu. Vywrotne, składało się z wydrążonego pnia i dwóch skrzydeł la równowagi. Akulonis jeździł nim na szczupaki z błyskotką. znur, który rozwijał za sobą, zakładał za ucho, żeby poczuć atychmiast szarpnięcie. Na noc zastawiał popuszczanki i jedną opuszczankę dał Tomaszowi. Zaraz koło wędziska przywiązane yły leszczynowe widełki, na nich nawinięta linka, którą wsazało się w rozszczepienie i dalej, na jej wolnym kawałku podvójny hak. Mały okuń najlepiej nadaje się na przynętę, bo kiedy ak założy mu się z boku, rozcinając nożykiem skórę, potrafi hodzić całą noc, inne rybki nie są tak żywuszcze, za prędko mierają. Zasługa zdarzenia przypaść powinna Akulonisowi, tóry wybrał miejsce i wędkę zarzucił. Tomasz nie mógł spać, erwał się wcześnie i zbiegł do rzeki, kiedy stała jeszcze mgła witu. Nad różowością gładzizny, gdzie kłębił się opar, zobaczył idełki — puste. Jeszcze nie wierzył, ciągnął i szło ciężko, luskało. Pod górę pędził biegiem, w szczęściu, żeby wszystkim okazać rybę dużą jak cała ręka. Zbiegli się naprawdę i oglądali. lie był to szczupak, jakaś inna i Akulonis orzekł, że łapie się adko. Nigdy dotychczas Tomaszowi nie zdarzyło się nic podobego i z dumą opowiadał o tym przez kilka lat.

Do Akulonisowej, białej jak Pola, garnął się i szukał jej ieszczot. W chacie rozmawiało się po litewsku i ani się spoрrzegł, jak przechodził z jednego języka w drugi. Dzieci mieiały oba, oczywiście nie tam, gdzie wypada zwoływać się rzepisanym od wieków okrzykiem, na przykład kiedy chłopcy iegną goli, żeby buchnąć w wodę, nie mogliby wrzeszczeć nic

innego jak: „Ej, Vyrai!" czyli „Ej, mężczyźni!" Vir, jak Toma dowiedział się później, znaczy po łacinie to samo, ale litews jest pewnie starszy od łaciny.

Mija jednak lato. Deszcze, rozpłaszczanie nosa na szyb nudzenie starszych. W wieczory w kuchni, gdzie zbierały s koło Antoniny dziewczęta żeby prząść albo łuskać fasolę, cz kało się coraz to nowych opowieści i rozpacz ogarniała jeże jak to czasem bywa, coś psuło zabawę. Tomasz słuchał pieśn a zwłaszcza intrygowała go jedna, bo Antonina zachowywa się tajemniczo i mówiła, że to nie dla niego. Śpiewała przy ni tylko refren:

Sukieneczka wachu, wachu
Ci nie czujesz panna strachu?

a resztę podchwycił urywkami. Było to o rycerzu, co pojech na wojnę i zginął, a potem wrócił do swojej ukochanej w no jako duch, wsadził ją na konia i wiózł do swego zamku. N prawdę nie miał zamku, tylko grób na cmentarzu.

Jedna z dziewcząt, od strony Poniewieża, często powtarza tę piosenkę, jak to Tomasz sobie wyobrażał, o cieślach bud jących dom:

Pania majstrza, prosza na rachunek
Już pracować nia bendá.
Prosza oddać moja zarobiona,
Bo odjeżdżam ja w drogá.

i to ostatnie słowo ciągnęło się długo, żeby pokazać, że dro daleka.

Moja walizka stoi spakowana
Stoi w sieni za progiém.
Moja Kasieńka już ucałowana
Płacze w drugim pokojú.

Od niej weselsze były krótkie przyśpiewki, jak choćby:

Wzioł butelka i kieliszek
I pojechał do Grynkiszek
A z Grynkiszek do Wajwody
Szukać sobie żony młodej.
Kiku kiku na koniku
Na kościele gałka
Nie pójda ja za nikogo
Tylko za Michałka.

.lbo:

Panienki tancujcie,
Trzewiczków nie psujcie.
— Mam brata, Kondrata,
Trzewiczki podłata,
Mam psiuka, kudluka,
Trzewiczków poszuka.

We wróżbach przez lanie wosku, najbardziej przejmujący oment jest kiedy płynny wosk syczy w zimnej wodzie i układa ę w figury Losu. Potem na cieniu ogląda się go, obracając, aż ːbrani wołają och i ach, rozpoznając wieńce, zwierzęta, krzyże góry. Z powodu wróżb na św. Andrzeja Tomasz zresztą najadł ę strachu. Patrzeć w lustro powinny tylko dziewczęta i to po-ważnie — zamknąć się w izbie o północy. Próbował to robić la żartu, przy wszystkich i skończyło się płaczem, bo zobaczył zerwone rogi. Może to wyszycia na bluzkach tak mu mignęły za pleców, ale nie na pewno i przez długi czas później obcho-ził każde lustro z daleka.

Którejś zimy (a każda ma ten pierwszy poranek, kiedy stąpa ę po śniegu, co spadł w nocy) Tomasz widział nad Issą grono-aja czy łasicę. Mróz i słońce, rózgi krzaków na stromym brzegu o drugiej stronie wyglądały na bukiety ze złota, powleczone dzieniegdzie szarą i siną farbką. Zjawia się baletnica niezwykłej :kkości i gracji, biały sierp, co gnie się i prostuje. Tomasz, otwartymi ustami, w osłupieniu gapił się na nią i męczyło go ożądanie. Mieć. Gdyby w ręku trzymał strzelbę, strzeliłby, bo ie można tak trwać, kiedy podziw wzywa, żeby to, co go wywo-ıje zachować na zawsze. Ale co by się wtedy stało? Ani łasicy, ni podziwu, rzecz martwa na ziemi, lepiej, że oczy mu tylko yłaziły i że nie mógł prócz tego nic.

Na wiosnę, w porze kwitnących bzów, zdejmowało się buty wykrzywiało się stopy, bo każdy kamyk kłuł jak gwóźdź. Ale araz skóra grubiała i aż do przymrozków Tomasz obijał gołe ięty po ścieżkach, a w niedzielę trzewiki go piekły i pozbywał ę ich zaraz po kościele.

VII

Nie każdy bywa bohaterem takiej przygody, w jaką trafił 'akienas. Tomasz zawsze zbliżał się do niego z nabożeństwem. 'akienas, podobny do okunia, z ostrym nosem co błyszczał, zaj-ował się tkaniem na wielkim warsztacie i obsługiwał prasę, dzie wkładało się samodziały między dwie tektury — te sczer-

niały od długiego użycia i wchłaniania barwników. Ludzie z
siedztwa przynosili często do dworu swoje sukna do walen
i prasowania. Choć przygoda, o której mowa, miała miej
dawno, została o niej pamięć i żywy dowód, że nie było to c
o czym gdzieś się słyszy, bo Pakienas mógł ją potwierdzić (ch
niechętnie) w każdej chwili.

Łączyło się to z Borkiem, to jest kępą sosen niedaleko Is
W sosnach gnieździły się gawrony i krążyły nad wierzchołka
z krakaniem. Borek nie miał dobrej opinii. W jego środku p
grzebano kiedyś starego skierdzia czyli nad-pastucha, który ud
wił się serem. Jakto udławił się? — pytał Tomasz. No udław
się, jedząc swój obiad na pastwisku i chyba z powodu n
zwykłej śmierci nie złożono go na cmentarzu. Poza tym w Bor
leżała skrzynia, zakopana przez wojsko Napoleona. Podobn
kiedy pracowano nad wyryciem dołu dla skierdzia, natrafiono
żelazne wieko. Ale dlaczego w takim razie nie wyjęto jej? N
można było znaleźć jej brzegu, zabrakło czasu i sił — tłumacz
nia pozostawały niejasne.

Pakienas wracał późno, koło północy, z wieczorynki po dr
giej stronie rzeki. Odnalazł schowane przedtem w krzaka
czółno i przeprawił się. Zaledwie jednak dał kilka kroków pole
od strony Borku zaczął zbliżać się do niego jakby słup pa
Ruszył szybko, słup za nim. Włosy mu się zjeżyły, biegł, a sł
utrzymywał dokładnie taki sam dystans. Pod górę do par
Pakienas skakał jak zając i z rykiem grozy bił w drzwi Szat
bełki, szukając ratunku.

Pewną wstydliwość, z jaką Pakienas o tym wspominał, w
jaśniłyby zajścia na wieczorynce. W zjawieniu się ducha skie
dzia dopatrywał się kary i znaku, czyli, jak to się określ
grzeszył zabobonnością. Gdyby, jak jego brat, wyemigrował
Ameryki i prasował tam spodnie w jakimś zakładzie przy ja
wej ulicy Brooklynu, pamięć o tamtej nocy szybko by się zatar
najpierw przestałby opowiadać o niej innym, a potem sobie.
samo stałoby się, gdyby wzięto go do wojska. To wierzcho
drzew Borku, jakie co dzień widział, idąc ze swojej stan
w świrnie do izby z warsztatem, utrzymywały ciągłość. Prz
pomnijmy zresztą, że do obowiązków kronikarza nie należy d
starczanie szczegółów o wszystkich postaciach, jakie pojawi
się w polu widzenia. Nikt nie przeniknie tego życia i zostaje o
tutaj napomknięte tylko żeby stwierdzić, że istniał Pakienas, r
kiedyś w czasie, o wiele później niż wielu mędrców piszący
traktaty o tym że nie ma upiorów ni bogów. Niech wystarc
informacja, że skrupuły i nieśmiałość zabroniły mu się ożen
a kiedy dziewczęta i Antonina wytykały mu jego starokawal
stwo, pociągał tylko nosem i nic nie odpowiadał.

Między kamizelką trójkąt białej koszuli, zakończonej pod zyją haftowanym czerwono kołnierzem, wyraz twarzy nieobecny rozdrażnienie w ruchach, kiedy rwały mu się na warsztacie itki. Poza tym we władzy Pakienasa zostawał olbrzymi klucz d świrna. Wychodząc chował go w szparę pod drewnianym rogiem. Wewnątrz — kiedy Tomasz nauczył się otwierać drzwi, abijane żelaznymi guzami — stąpało się po rozsypanym ziarnie czarnych szczurzych bobkach, a w zasiekach siadało się w chłodym zbożu i zasypywało się sobie nogi. Na strychu przez małe kienko (wiódł do niego tunel — taka grubość muru) oglądać nożna było widok w dole, całą dolinę. W pokoju Pakienasa tały worki z mąką, łóżko, nad nim wisiał krzyż z ołowianą miską a święconą wodę i zasunięte za ramię krzyża kropidło.

Tomasz, bawiąc się z Józiukiem i Onuté na polu, gdzie pasły ię gęsi, zapędzał się czasem na skraj Borku. Szum wiatru górze, krakanie, w dole cisza, tajemniczo i nieprzyjemnie. Raz, odając sobie nawzajem odwagi, dotarli aż do grobu skierdzia. Rósł na nim gęsty maliniak i pokrzywy. Z tej zieleni dźwigał ię więc, wywabiony światłem księżyca, białawy słup i błądził między drzewami. Czy liście pokrzyw chwiały się wtedy czy nie — zastanawiał się Tomasz.

VIII

Do kościoła chodzono przez Szwedzkie Wały. Ubrany v kurtkę z samodziału, która go kłuła przez koszulę, Tomasz ledził ruchy ministrantów w komeżkach. Wolno im było wstępować na stopnie pod sam ołtarz, co lśnił złotem, chwiali kadzielnicami, nie bojąc się odpowiadali księdzu, podawali mu dzbanki dziobkami podobnymi do księżyców na nowiu. Jakże to jest, e to są ci sami chłopcy, co wrzeszcząc brodzą po wodzie łowiąc aki, tarmoszą się za włosy i dostają paskiem rżniętkę od ojca? Zazdrościł im, że tak raz na tydzień są inni przez to, że wszyscy na nich patrzą.

Kilka razy do roku odbywał się w Giniu kiermasz. Przekupnie z miasta wystawiali swoje budy z płótna w dole koło drogi, tuż przy ścieżce, co schodziła od dębów cmentarza. Sprzedawali pierniki w kształcie serca i gliniane kogutki-gwizdawki, ale uwagę Tomasza przyciągały szczególnie fioletowe, czerwone czarne kwadraciki szkaplerzy i wiązki różańców — i barwa mnogość drobnych przedmiotów.

Żadne święto nie mogło równać się z Wielkanocą, nie tylko dlatego, że wtedy trze się mak w makutrze i wydłubuje się orzechy z mazurków. W Wielkim Tygodniu, w kościele, gdzie

obrazy przesłaniały zasłony z kiru, a kołatki stukały sucho z
miast dzwonków, odwiedzało się grób Pana Jezusa. Przed gro
stała straż w posrebrzanych hełmach z grzebieniami i pióra
uzbrojona w piki i halabardy. Jezus leżał na podniesieniu, t
sam, co na wielkim krucyfiksie, tylko ramiona krzyża zakryte m
liśćmi barwinka.

Czekało się z niecierpliwością na przedstawienie w Wiel
Sobotę. Piętnastoletni i szesnastoletni chłopcy, którzy długo prze
tem zmawiali się i przygotowywali, wpadali do kościoła z wrza
kiem niosąc kije, a na nich przywiązane martwe wrony. Nabożn
stare kobiety modliły się godzinami i wymęczone ścisłym poste
pochylały głowy coraz niżej — budzili je z drzemki, podsuwaj
wronę pod nos, albo bili nią ludzi, przynoszących w węzełka
jajka do święcenia. Na trawniku przed drzwiami odprawiali swo
komedie. Najbardziej Tomaszowi podobało się męczenie Judasz
Uciekał jak mógł, gonili go w kółko obsypując wyzwiskam
wreszcie wieszał się, wyciągając język, zdjęty z drzewa był tr
pem, ale czy można takiemu pozwolić wymknąć się tak łatw
Przewrócony na brzuch, szczypany, wydawał jęki, wreszcie ści
gano mu majtki, jeden z chłopców wsadzał mu w tyłek słom
i przez tę słomkę wdmuchiwał w niego duszę, aż Judasz zryw
się, krzycząc że żyje.

Kiedy Tomasz był trochę starszy, Antonina i babka Su
kontowa zabierały go na Resurekcję. Po smutnych pieśnia
i litaniach buchał chór: Alleluja, ruszała procesja, pchano s
w drzwiach, tam na zewnątrz jeszcze ciemność, wiatr chwiał pł
mykami świec. W górze przesuwają się gałęzie drzew, zimno, ju
zaczyna świtać, mieniące się chustki kobiet i gołe głowy mę
czyzn, pochód naokoło kościelnego budynku, wzdłuż murk
z głazów i to wszystko Tomasz przyzwyczaił się uważać za p
czątek wiosny.

Potem nastawały senne gwary święta, słodycz bułek i k
czanie jajek. Tor dzieci układały z darni, lekko wewnątrz wgięt
wyłożony kawałkami blachy dla rozpędu. Nie ma dwóch jaje
które by toczyły się tak samo, trzeba umieć zgadnąć po kształc
jak pójdzie jeżeli położy się je na brzegu rynienki z praw
strony, jak jeżeli z lewej, jak jeżeli pośrodku. Oto już dobrz
dobrze, już dopędza inne jajka, co leżą rozproszone jak sta
krów, już stuknie i wzbogaci właściciela, ale nie, chybocz
się według jakichś swoich własnych chęci, przebiega obok o pal
albo zatrzymuje się, nim zdążyło dotknąć.

Na Boże Ciało kościół był ozdobiony girlandami z liści d
bów i klonów. Zwieszały się z belek pułapu nisko, tuż n
głowy. Już począwszy od maja ustawiano pod figurą Matki Bo
kiej kwiaty, ale teraz zakrywały cały ołtarz. Dzieci zbiera

zakrystii i dawano im koszyczki z płatkami róży czy piwonii. abka Surkontowa chciała, żeby Tomasz brał udział w prosji. Szło się tyłem przed baldachimem, pod którym ksiądz niósł onstrancję i trzeba było dobrze uważać żeby nie potknąć się kamyk i nie upaść. W Boże Ciało jest prawie zawsze skwar, szyscy są spoceni i przejęci noszeniem feretronów i chorągwi. le to radosne święto: jasność, ćwir jaskółek, brzękadła poczwórch dzwonków, biel, czerwień i złoto.

IX

Światem toczyła się wielka wojna i Kraj Jezior w samym j początku przestał należeć do cesarza rosyjskiego, którego woja zostały pobite. Niemców Tomasz widział tylko raz. Było ich zech, na pięknych koniach. Wjechali w dziedziniec — Tomasz edział wtedy obok Grzegorzunia, który, za stary żeby pracować, ıjmował się pleceniem koszyków. Młody oficer, wcięty w pasie, miany jak panienka, zeskoczył z konia, poklepał go po szyi pił mleko z kwarty. Zebrały się w okół niego kobiety z czeladj, tylko Grzegorzunio został na miejscu i nie odjął nożyka od itki. Żeby mężczyzna nosił tak kolorowe ubranie — jak trawa - już to dziwiło. A miał przy pasie ogromny pistolet w skórzaj pochwie, z niej sterczał metal kolby i w dole długa lufa. omasz prawie zakochał się w jego giętkości i czymś nieznanym. ficer oddał kwartę, wskoczył na konia, zasalutował i ze swoimi łnierzami ruszył z powrotem, koło obory, w lipową aleję.

Co pozostawało do opowiedzenia to jego losy, które nigdy e wykroczą poza prawdopodobieństwo. Obchodził kościół Giniu i, opierając się o murek, rysował zawzięcie w notesie. yć może przypominał sobie podobne drewniane Kirchen oglądne przed wojną w Norwegii. A kiedy podnosił się i opadał na rzemionach, w chrzęście rzemieni siodła, wdychał zapach łąk ad Issą i myślał o potrzaskanej ziemi na froncie zachodnim, we rancji, gdzie bił się jeszcze niedawno. Nie zauważył Tomasza i teraz, ani (czemużby to miało być niemożliwe?) w dwadzieia lat później, kiedy w generalskim samochodzie pełnym pledów termosów, opierając zażywny podbródek o kołnierz munduru, zejeżdżał ulicami jednego z miast Europy Wschodniej, zdoytego właśnie przez armię Führera. Tomasz (załóżmy) zaciskał kieszeniach ręce w pięści i nie rozpoznał w zdobywcy swojej ółkotrwałej miłości.

Wojna miała ten tylko skutek dla Ginia, że nie warto było ździć do miasteczka, bo nic tam nie dawało się kupić. Stąd ynikało wiele czynności blisko obchodzących Tomasza. Na

przykład gotowanie mydła. W sadzie rozpalano ognisko, trójnogu stał kocioł, a w nim mieszano drągiem brunatną br zatykając nosy. Smród smrodem, ale co uwijań się, pokrzykiw i narad czy mydło dobrze wychodzi. Później breja krzepła i kr się masę na kawałki. Albo przyrządzanie świec. Do tego służ obcięte butelki, które napełniało się łojem, a pośrodku wsadz knot. Obciąć butelkę można sznurkiem umaczanym w naf jeżeli ją owinąć i podpalić sznurek, szkło pęknie naokoło dokł nie w tym miejscu. Kupiono też dwie lampy karbidowe, któr kształt i zapach podniecały Tomasza. Na herbatę babka S kontowa suszyła liście poziomek, miód służył zamiast cuk zresztą odkryła wtedy sacharynę i nigdy już odtąd cukru nie u wała, bo tak samo słodko a taniej.

Tomasz powinien był się uczyć, ale w domu nikt tym umiał się zająć i posyłano go do wioski, do Józefa nazwan Czarnym. Czarny naprawdę — miał brwi jak grube krec twarz chudą, a włosy lekko siwiejące na skroniach. Miesz u swego brata i pomagał mu w gospodarstwie, ale parał się n nościami. Dostawał skądś książki, suszył rośliny między kaw kami gazety przyciśniętej deską, pisał ludziom listy i opowia o polityce. Siedział kiedyś w więzieniach za tę politykę i pra wał po miastach, ale nie nosił się z miejska, przez wyszy swoich koszul dawał do poznania, że pozostał chłopem. Nale do tego plemienia, które zyskało u kronikarzy naszych czas tytuł nacjonalistów, czyli pragnął służyć chwale Imienia. I tu kłopot, przyczyna jego żalów. Bo jemu chodziło oczywiście o L wę, a Tomasza miał uczyć czytać i pisać przede wszystkim polsku. Że Surkontowie uważali się za Polaków, traktował ja zdradę, trudno znaleźć bardziej tutejsze nazwisko. I nienaw do panów — za to, że są panami i za to, że zmienili język, że lepiej odgrodzić się od ludu i trudność nienawidzenia Surkon który właśnie jemu powierzał wnuka i nadzieja, że otworzy chł cu oczy na wspaniałość Imienia — ta mieszanina uczuć zaw rała się w jego chrząkaniu, kiedy Tomasz otwierał przed n czytankę. Babka była bardzo niezadowolona z tych lekcji i z b tania się z „chamami", nie godziła się na istnienie jakichś Lit nów, choć jej fotografia mogłaby ilustrować książkę o tym, j ludzie zamieszkiwali Litwę od wieków. Wziąć jednak specjal do domu nauczycielkę — wyglądałoby jej zdaniem na zbytec fanaberię i, mrucząc że dziecko schamią, godziła się z koniecz ści na Józefa. Tomasz tych zawiłości i napięć nie rozumiał a ki zrozumiał, uznał za coś wyjątkowego. Spotykając się z mał Anglikiem, co rósł w Irlandii, albo w małym Szwedem w F landii, odkryłby tam wiele podobieństw, ale ziemie poza dol Issy okrywała mgła i co wiedział, to chyba to, z opowieści bal

: Anglicy jedzą kompot na ranne śniadanie — dlatego czuł do ich sympatię — że Rosjanie wysłali dziadka Artura na Sybir i że owinien kochać polskich królów, których groby są w Krakowie. Kraków dla babki pozostawał najpiękniejszym miastem na wiecie i obiecywała Tomaszowi, że pojedzie tam jak dorośnie. azem, z tego jej patriotyzmu ulokowanego gdzieś daleko, z tolencji dziadka, dla którego sprawy narodowościowe były raczej bojętne i z odezwań się Józefa: „my", „nasz kraj" zalęgło się Tomaszu przyszłe niedowierzanie kiedy w jego obecności ktoś anadto powoływał się na godła i sztandary, rodzaj podwójnoci przywiązań.

Nauki u Józefa zaciągnęły się na długo z powodu chaosu t przejściowych, z których wyłoniła się mała republika Litwy. taraniem Józefa rozpoczęto wtedy w Giniu budowę pierwszej zkoły, gdzie został nauczycielem.

Na razie jednak wojna dopiero wygasała i jej czas wyróżiał się tym, co można było oglądać na drodze w dole, na przyład ze zmurszałej ławki na skraju parku. Przechodzili tam często włóczędzy wędrujący z daleka, zza jezior, od strony miast. Uciekali stamtąd przed głodem. Nieśli przywiązane na plecach worki węzełki, a często ciągnęli w drewnianych wózkach małe dzieci. edna taka rodzina, złożona z matki i dwóch chłopców, przyhoupiła się do dworu z poparciem Antoniny, którą czarował dorosły już Stasiek tym, że pięknie grał na organkach, śpiewał miejkie piosenki a przede wszystkim tym, że mówił po polsku zupełie po mazursku. „On szwapeci!" wykrzykiwała i przymykała czy z lubością. Stasiek, z odstającymi uszami i cienką szyją, nie ociągał Tomasza, choć zrobił mu kuszę, z kolbą jak w prawziwym karabinie. Wieczorem pod lipą rozlegały się chichoty ziewcząt, a kiedy Stasiek siedział sam z Antoniną też Tomasz wiercił się i wreszcie zostawiał ich, znudzony, i nie wiadomo laczego coś mu dokuczało, jak kiedy w południe słońce schowa ę za chmurę.

X

Co do diabłów, to do dręczenia wybrały przede wszystkim altazara. Trudno byłoby tego się domyśleć, bo wyglądał na złowieka stworzonego do radości. Cera cygana, białe zęby, ze wa metry wzrostu, okrągła twarz, na niej zarost — puch na iwce. Kiedy zjawiał się we dworze, w swojej bluzie ściągniętej askiem, w granatowej czapce na bakier spod której sterczał zub, Tomasz biegł pokrzykując na jego powitanie: albo kosz grzybami — borowiki i opieńki z wierzchu tej barwy co przegięta olcha, z boku białawe w kropki — albo zwierzyna —

bekasy czy cietrzew z czerwonym paskiem nad okiem. Balta
był leśnikiem, choć niezupełnie. Jemu nikt nie płacił, on niko
nie płacił, siedział w lesie, na pobudowanie się dostał dar
budulec, swoje kartofle i żyto miał rozrzucone po polanka
doorywał sobie gruntu co roku. Trzaskanie drzwiami i przek
canie kluczy w szafach wzmagało się za każdym jego przyjści
i babka Surkontowa dostawała migreny. Tomasz łowił jej fuka
na dziadka: „Ten twój faworyt! Żebyś mi nie ważył się nic
niego wynosić!"

Baltazarowi wielu zazdrościło i słusznie. Zostając leśnik
nie miał nic, a teraz gospodarstwo, krowy, konie i nie chata a do
z podłogą z desek, z gankiem, z czterema izbami. Ożenił
z córką bogatego gospodarza z Ginia i miał dwoje dzieci. S
kont niczego nie odmawiał czegokolwiek poprosił „Baltazare
i tu już można było pokazywać palcem na czoło. Wrogów so
nie narobił, bo umiał postępować: pilnował, żeby nie ścina
drzew w starej dębinie, ale nie sprzeciwiał się, jeżeli ktoś z wio
Pogiry spuścił świerk albo grab, byle pień dobrze założyć mche
tak żeby nie zostało śladu.

Szczęście. Na swoim ganeczku Baltazar lubił wylegiwać
z dzbanem domowego piwa tuż przy nim na podłodze. Popi
z kubka, mlaskał, ziewał i drapał się. Syty kot — a wtedy wł
nie w nim szalało. Od czasu do czasu dziadek umieszczał T
masza obok siebie na bryczce i jechali do leśniczówki, bo b
dość daleko, za polami nienależącymi do dworu. Ta brycz
służyła do częstego użytku, a także linijka — rodzaj wałka
czterech kołach, na który właziło się jak na konia. W wozow
stały również inne wehikuły, na przykład kareta zarośnięta kurz
i pajęczyną, na płozach, odkryte sanki i „pająk" — jaskra
żółty, długi, przednie koła ogromne, tylne małe i na nich wys
siedzenie dla furmana czy lokaja — a pomiędzy jedną i dr
częścią „pająka" (przypominał raczej osę) tylko deski, które p
bijały do góry jeżeli po nich skakać. Na bryczce dziadek tr
mał Tomasza wpół kiedy przechylali się; za polami zaczyn
się pastwiska i pasieki, czarna woda w koleinach pod nawisaj
trawą kryła dziury, w które zapadało się po osie. Dym na
zwartej grabiny znaczył, że zaraz usłyszy się szczekanie ps
i że ukaże się dach i żuraw studni. Mieszkać tak na odlud
ze zwierzętami, co wysuwają szyje z gąszczu i śledzą r
w obejściu — Tomasz chciałby. Dom pachniał żywicą, drz
nie zdążyło jeszcze poczernieć i błyszczało jak wykute z mie
Baltazar szczerzył zęby, żona ustawiała na stole poczęstu
i wmuszała wędliny ciągłym: „Prosza, prosza zakąsywać". C
da, z wystającą szczęką nie odzywała się poza tym.

Tomasz zostawiał starszych i biegł podpatrywać sójki a

lzikie gołębie, ptactwa tu spotykało się mnóstwo. Raz w kupie kamieni na pasiece znalazł gniazdo dudków — sięgnął ręką i złapał młodego, co nie umiał jeszcze latać, rozkładał tylko wachlarz na głowie żeby straszyć. Zabrał go ze sobą, ale dudek nie chciał nic jeść, przemykał się pod ścianami i trzeba było go wypuścić.

Baltazar na pewno nie Tomaszowi zwierzałby się z tego, co go dręczyło. A zresztą sam nie pojmował, poza tym, że z nim coraz gorzej. Dopóki stawiał dom, szło jako tako. Później zatrzymywał się za pługiem, skręcał papierosa i nagle tracił świadomość gdzie jest, budził się ze ściśniętymi palcami, z których wysypywał się tytoń. Jedynym sposobem było upracować się, ale z lenistwa szybko dawał radę każdej pracy, a kiedy rozwalił się na ławce ze swoim dzbanem piwa, napełniała go obrzydliwa miękkość, obracała się wewnątrz powoli i w odrętwieniu, niby drzemiąc, krzyczał z zaciśniętymi ustami — żeby to mógł krzyczeć, ale nie. Czuł, że czegoś potrzebuje: wyprostować się, uderzyć pięścią w stół, biec dokądś. Dokąd? Szept nawoływał, tworzył jedno z tą miękkością i Baltazar rzucał czasem kubkiem w swojego dręczyciela, który to włazil w niego, to przedrzeźniał z odległości, a wtedy żona ściągała mu buty i prowadziła na łóżko. Żonie Baltazar poddawał się, ale tak jak wszystkiemu, z nudą i z przekonaniem, że to nie jest to, co być powinno. Odpychała go jej brzydota, jeszcze w ciemności to nic, ale w dzień? Sen przynosił ulgę, ale nie na długo, w nocy budził się i zdawało mu się, że leży na dnie jamy z wysokimi ścianami i że nigdy się nie wydobędzie.

Bywało, że bił pięścią w stół i że biegł. Po to tylko, żeby zacząć naprawdę pić. Nie obchodziło się wtedy bez trzech, czterech dni, a pił tak, że raz wódka w nim się zapaliła i Żydówka w miasteczku musiała nad nim przykucnąć i nasikać mu do gęby — ten środek jest znany, ale przynoszący dyshonor. Rozchodziła się szybko wiadomość, że Baltazara znów nosi i jedni mówili, że to z tłuszczu i bogactwa, a drudzy żałowali, że marnieje, ponieważ zadał się z diabłem, co nie było tylko ich wymysłem, bo Baltazar po pijanemu rozpowiadał, płacząc, różne rzeczy.

Dopiero w wiele lat po opuszczeniu Ginia, Tomasz zastanawiał się nad Baltazarem, łącząc w jedno posłyszane o nim baśnie i nie baśnie. Pamiętał wtedy ramię z mięśniem, co naprężał się w kamień (Baltazar był siłaczem) i oczy z długimi rzęsami, sarnie. Żadna udałość ani żadna zabiegliwość nie chronią od choroby duszy — i Tomasz ile razy o nim myślał, niepokoił się o swoje własne przeznaczenie, o wszystko, co jeszcze było przed nim.

XI

Z bródką, z latającym spojrzeniem, składał łagodnie rę
pana z miasta i opierał się łokciami o stół, *Herr Doktor*, Niem
czyk — takim go widywał Baltazar. „Won!" mruczał i próbow
przeżegnać się, ale zamiast tego skrobał się tylko w pierś, a słow
tamtego sypały się z szelestem suchych liści, w tonie perswaz

— Ależ drogi Baltazarze — mówił. — Ja chcę tobie tyll
pomóc, martwisz się ciągle i zupełnie niepotrzebnie. Troszczy
się o gospodarstwo, że ziemia nie twoja, że niby masz ją a raze
nie masz. Lekko przyszła, lekko odejdzie, czy tak? Łaska pańsk
jutro kto inny weźmie Ginie i ciebie wyrzuci?

Baltazar jęczał.

— A czy naprawdę o ziemię tak ci chodzi? No przyzn
się. Nie, ty w głębi serca chowasz coś innego. Teraz, tu, mas
to pragnienie, żeby zerwać się i odejść stąd na zawsze. A, świa
jest wielki, Baltazarze. Miasta gdzie w nocy muzyka i śmiech
zasypiałbyś tam na brzegu rzeki, sam, wolny, nic za tobą, skoń
czone jedno życie, drugie zaczęte. Nie wstydziłbyś się grzech
odkryłoby się przed tobą to, co na zawsze zostanie zakryte. N
zawsze. Bo ty boisz się. Trzęsiesz się nad gruntem, nad swoim
kabanami. Jak to tak, mam znów nic nie mieć — pytasz. Dobrz
w tobie jest jeden Baltazar i drugi i trzeci a ty wybierasz na
głupszego. Wolisz nigdy nie doświadczyć, jaki jest inny Balt
zar. Może nie?

— O Jezu.

— Nic ci nie pomoże. Jesień, zima, wiosna, lato, znów jesie
tak w kółko, złożą ciebie w ziemi, napij się jeszcze, to twój ca
smak. W nocy? Ty wiesz sam. Ale nie ja przecie doradzałe
ci żenić się kiedy brak ci do tego ochoty i wybrać najbrzyds
dziewczynę, bo jej ojciec bogacz. Strach Baltazarze. Wszyst
przez to. Zabezpieczałeś się. A kiedy ci było lepiej, kiedy miał
dwadzieścia lat czy teraz? Przypominasz sobie tamte wieczor
Twoja ręka dobra do siekiery, nogi do tańca, gardło do pieśn
Jak tam dokładaliście drew do ogniska, i tych twoich przyjaci
A dzisiaj jesteś sam. Gospodarz. Choć nie przeczę, mogą ci t
dom odebrać.

Paraliż porażał Baltazara. Wewnątrz worek trocin. Tamt
natychmiast to przenikał.

— Wyłazisz rano przed dom, rosa, ptaki śpiewają, a c
to dla ciebie? Nie, ty liczysz. Dla ciebie to jeszcze jeden dzi
i jeszcze jeden i jeszcze. Byle ciągnąć. Jak wałach. A kiedy
Nie dbałeś o liczenie. Śpiewałeś. Teraz co? Przyglądasz
dębom, ale one jak z pakuł. A może ich nie ma? W książka

ıądrze to opisano. Ty nie dowiesz się jak opisano. Jeżeli kto ı sobie chowa taką kaszę, lepiej, żeby się od razu powiesił, bo rzestaje już wiedzieć, czy jemu się nie śni, kiedy chodzi po iemi. To stoi w książkach. Powiesisz się? Nie.

— Dlaczego innym jest dobrze, a mnie nie?

— Dlatego mój drogi, że każdemu dano taką nitkę, jego ɔs. Albo schwyci jej koniec i wtedy cieszy się, że postępuje jak ależy. Albo nie schwyci. Tobie się nie udało. Ty nie szukałeś łasnej nitki, oglądałeś się na tego i tamtego, żeby być taki ık oni. Ale co dla nich szczęście, dla ciebie nieszczęście.

— Co robić, mów.

— Nic. Za późno. Za późno Baltazarze. Idą dni i noce coraz mniej odwagi. Ani odwagi, żeby się powiesić, ani odwai, żeby uciec. Będziesz gnił.

Piwo lało się mętną strugą z dzbana, pił a wewnątrz ciągle aliło. Tamten uśmiechał się.

— A o ten sekret nie potrzebujesz się gryźć. Nikt nie odryje. To zostanie między nami. Czy nie każdemu sądzona mierć? Czy nie to samo, trochę wcześniej, trochę później? Chłop ył młody, to prawda. Ale długo wojował, już o nim w jego iosce trochę zapomnieli. Żona popłacze jeszcze, pocieszy się. ego synek, tłuściutki, za szyję go obejmował, ale za mały, ojca ie spamiętał. Tylko nie trzeba, żebyś plótł przy wódce ludziom, e jakieś tam zbrodnie masz na sumieniu.

— Ksiądz...

— Tak, tak, spowiadałeś się. Ale taki głupi nie jesteś żeby ie rozumieć, że nic tam przy konfesjonale nie potrafisz wybarıotać. Łgałeś. Pewnie, że przykro nie dostać rozgrzeszenia. Więc gałeś, że on skoczył na ciebie z siekierą i wtedy zabiłeś. Skoczył, ık, ale jak było dalej? No, Baltazarze? Strzeliłeś kiedy siedział krzakach i jadł chleb. Suchary z krwią wrzuciłeś za nim do ımy i tak zakopałeś, prawda?

Wtedy to Baltazar ryczał i rzucał kubkiem. Pojawianie się Iiemczyka tłumaczy też awantury, jakie urządzał po karczmach, rzewracając stoły, zydle i tłukąc lampy.

XII

Miejsce w kotlince między jedliną zabliźniało się łatwo. altazar wyciął wtedy darń łopatą i później założył z powrotem. rzychodził tu zwykle pod wieczór, siadał, słuchał wrzasku sójek myszkowania drozdów. Zmniejszała się dotkliwość, łatwiej to rzychodziło znosić tutaj, niż myśleć o tym z daleka. Zazdrościł

prawie temu, co tu leżał. Spokój, obłoki snujące się nad dr wami. A przed nim, ile jeszcze lat?

Karabinek spuścił w dziuplę dębu i nie tykał go więc Przerobiony z wojskowego, z obciętą lufą, dawał się schow pod świtką i tamten przypuszczał, że Baltazar idzie bez bro Wypadł na niego z gęstwy przy ścieżce z podniesioną siekie krzycząc, żeby podnieść ręce do góry. Ruda broda, podarty ros ski szynel: plennik wędrujący lasami z niemieckiej niewoli. Cze chciał? Zabrać cywilne ubranie, czy zatłuc, a może pomieszan Baltazar podrzucił do biodra karabin i tamten zakręcił, świszcz w krzakach tak uciekał. Ale nie jemu znać wszystkie przesmy i przejścia. Zwierzyna choćby kręciła się w kółko, zawsze opr się tam gdzie powinna. Nie spiesząc się, zaczął obchód. Jeżl plennik pobiegł w tamtą stronę, kombinował, wyjdzie na jelnia i tam odpocznie. Co pchało Baltazara? Mściwość czy strach tamten ma towarzyszy, że napadnie w nocy? Czy po prostu m śliwska żądza? Iść za zwierzem, jak on tak, to ja tak? N garbach skradał się i mignął mu szary szynel tam mniej więc gdzie się spodziewał. Zostawił go i znów okrążył od młodniak którym mógł podpełznąć bliżej. I wtedy muszka na pochylony plecach (siedział od Baltazara bokiem), na szyi, na głowie z cza ką bez kozyrka. Potem starał się ze wszystkich sił przypomni sobie, dlaczego pociągnął za cyngiel, ale raz zdawało mu s że na pewno z takiego powodu, to znów że z zupełnie inneg

Rosjanin padł twarzą w dół. Baltazar czekał, było cich jastrzębie kwiliły wysoko. Nic, żadnego ruchu. Upewnił s i wtedy, zakosem, dosięgnął zabitego. Odwrócił go na wzna Oczy jasno-niebieskie patrzyły w niebo wiosny, wesz pełzła rą kiem płaszcza. Worek z sucharami rozwiązany, na nim plar krwi. Obcasy butów starte do szczętu, maszerował skądź z dalel od Prus. Przeszukał kieszenie, ale znalazł w nich tylko scyzor i dwie niemieckie marki. Wszystko to i siekierę zasunął p jedlinowe łapki razem z ciałem, bo musiał wrócić tu wieczore z łopatą.

Właśnie na tym miejscu, rozmyślając, powziął kiedyś zami żeby szukać pomocy. Prawie pewny był, że to postanowien pochodzi w jakiś sposób od Rosjanina. Może nie darmo go zab Tej nocy spał dobrze. Samym świtem wyruszył w drogę.

Czarownik Masiulis hodował dużo owiec i otwierało wrota za wrotami, żeby przedostać się na dziedziniec. Baltaz wyłożył swoje podarunki: faskę masła i wianki kiełbasy. Sta poprawiał okulary w oprawie z drutu. Skóra jak wędzona, z n drzy, z uszu wystawał puch siwizny. Rozmawiali najpierw o r nych nowinach z sąsiedztwa. A jak dojrzało i wypadało pr stąpić do tego po co te odwiedziny, Baltazar nie umiał wi

siebie wydobyć. Pokazywał tylko na serce, jakby chciał wy-
wać i niedźwiedziowato mruczał: „Męczą mnie". Czarownik
ic, pokiwał głową, wyprowadził go do sadu, za ule i tam między
abłoniami stała dawna kuźnia obrosła trawą. Zdejmował wo-
eczki wiszące na żerdziach, nazbierał w kącie chrustu i ułożył
niego cztery kupki a Baltazara usadził na kłodzie pośrodku.
Chrust podpalił i szepcząc sypał w ogień zioła, które czerpał
woreczków. Dymiło silnie, durzyło, a twarz w okularach poja-
wiała się to z tej to z innej strony i mamrotała niby modlitwę.
Później kazał mu wstać i wziął z powrotem do izby. Baltazar
puszczał oczy pod jego spojrzeniem, jakby już przyznał się do
wielu win.

— Nie, Baltazarze — stary wreszcie powiedział. — Ja to-
bie nie mogę pomóc. Na króla król, na cesarza cesarz. Każda
iła ma swoją siłę, a ta siła nie moja. Trafisz może na kogo co
dostał taką jakiej potrzeba. Ty czekaj.

Tak skończyła się nadzieja. I zęby błyskały, uśmiech pogody
dla tych, co nic nie starali się odgadnąć.

XIII

Ksiądz rzadko wybierał się do dworu i znajomość z plebanią
liczyła się od tego dnia, kiedy Tomasz stał z Antoniną na schod-
kach, patrząc w magiczne szybki, a Antonina poprawiała fałdy
chustki przy policzku ruchem onieśmielenia. Proboszcz, pomięty
zgarbiony, był nazywany „Teigi-Teigi" od słów, które ciągle
wtrącał bez widocznej potrzeby. Kazał mu zmówić Ojcze Nasz,
Zdrowaś Maria i Wierzę i dał mu obrazek. Matka Boska na nim
podobna była do jaskółek, które lepiły gniazda nad stajnią i na-
wet wewnątrz, nad drabinkami do siana. Ciemno niebieska suk-
nia, brąz na twarzy i naokoło niej krąg z prawdziwego złota.
Przechowywał ten obrazek w kalendarzu i cieszył się otwierając
stronice, że zbliża się do miejsca gdzie leżą kolory.

Katechizmu uczył się łatwo, ale swoich sympatii nie rozdzie-
lał na równi. Bóg Ojciec, z brodą, marszczy brwi surowo i unosi
się nad chmurami. Jezus patrzy łagodnie i pokazuje na serce, skąd
idą promienie, ale wrócił do nieba i też mieszka daleko. Co in-
nego Duch Święty. Ten jest wiecznie żyjącym gołębiem i wysyła
snop światła prosto na głowy ludzi. Kiedy przygotowywał się do
spowiedzi, modlił się, żeby nad nim się zatrzymał, bo z grzechami
było trudno. Liczył je na palcach i zaraz gubił, liczył na nowo.
Przytykając usta do wygładzonych kratek konfesjonału i słysząc
sapanie księdza, pośpiesznie wyrecytował swoją listę. Już jednak
na Szwedzkich Wałach ogarnęły go wątpliwości, szedł coraz

wolniej, aż w alei zapłakał i z rozpaczą przybiegł do bab
Misi pytając ją co zrobić, bo zapomniał grzechy. Doradzała że
wrócić, ale wtedy zanosił się jeszcze bardziej płaczem, ze wstyd
Nie było innej rady, Antonina wzięła go za rękę i zaprowadzi
do księdza, a jej obecność jakoś go uspakajała, może nieładn
ale lepiej niż samemu.

Tomasz więc od razu już miał zadatki na to, co teologow
określają jako sumienie skrupulatne, przyczyna, według nic
wielu zwycięstw diabła. Starając się nic nie pominąć, nie włącz
do swoich przewin pewnego sekretu. Nie umiał tego zobacz
z zewnątrz, nie przychodziło mu do głowy, że to jest i tylko je
własne, najwłaśniejsze, jego i Onuté Akulonis — a równocześn
że to istniało poza nimi, że przed nimi wynaleźli to już inni. N
czystość w mowie i uczynkach na przykład to było zupełnie n
to — wymawianie brzydkich słów, podglądanie kąpiących s
dziewczyn, co mają czarną wronę pod pępkiem, albo straszen
ich w sobotę na wieczorynce, kiedy wychodzą w przerwie pom
dzy jednym tańcem i drugim i kucają w sadzie, podnosząc spó
nice.

Z Onuté często gubili gdzieś gromadę innych dzieci i w
mykali się na miejsce nad Issą, które było tylko ich. Dost
się tam nie można było inaczej niż pełzając na czworakach, t
nelem pod nawisłą tarniną, a ten zakręcał i należało dobrze
znać. Wewnątrz, na małym pagórku piasku, bezpieczeństwo zb
żało ich do siebie, rozmawiali przyciszonymi głosami i nikt, ni
ich tam nie mógł dosięgnąć, a oni słyszeli stamtąd plusk ryb
stukanie kijanek, turkot kół na drodze. Goli, leżeli głowa
zwróceni do siebie, cień padał im na ręce i w tym niedostępny
pałacu mieli w ten sposób jeszcze mniejsze schowanie, w który
przebywało się tajemniczo i chciało się szeptem opowiadać
co? Onuté, tak jak jej matka (i tak jak Pola) miała żółte włos
splatała je w warkoczyk. A To było takie: kładła się na wzna
przyciągała go do siebie i ściskała kolanami. Zostawali tak dług
słońce przesuwało się w górze, wiedział, że chce żeby jej dotyk
i robiło się Słodko. Ale to przecież nie była żadna inna dzie
czynka, tylko Onuté i nie mógłby spowiadać się z czegoś,
zdarzyło się jemu z nią.

Rano przyjmując Komunię Św. czuł się lekki, dlatego tak
że na czczo i że ssało go w brzuchu. Odchodził ze skrzyżowany
na piersiach rękami, patrząc w końce swoich bucików. Że pr
lepiony do podniebienia opłatek, który nieśmiało odrywał ję
kiem, jest Ciałem Pana Jezusa, nie umiał sobie przedstawić.
go to zmieniło i że przynajmniej przez cały dzień był cic
i grzeczny, to jednak było widoczne. Szczególnie trafiły do je
wyobraźni słowa księdza o tym, że dusza ludzka jest jak izb

› powinna być uprzątnięta i przybrana na przyjęcie Gościa. lyślał, że może opłatek topnieje, ale tam w duszy znów się rasta i stoi między zielenią w tamtejszym błyszczącym kielichu. ,e on, Tomasz, nosi w sobie taką izbę, napełniało go dumą i zahowywał się tak, żeby jej nie popsuć i nie zniszczyć.

Powoli zbliżał się czas kiedy, według obietnicy, miał zostać ministrantem i zaczął nawet uczyć się niezrozumiałych łacińkich odpowiedzi, ale wtedy odszedł stary proboszcz i zaszły uże zmiany. Nowy ksiądz, młody, postawny, z wystającym podródkiem i brwiami, które zrastały się na nosie, wzbudzał obawę rzez gwałtowność swoich ruchów. Zatrzymał tych ministrantów o byli i nowymi się nie zajmował. Zresztą ważniejsze obowiązki o obchodziły.

Jego kazania w niczym nie przypominały monotonnych gawęd, przeplatanych chrząkaniem i monotonnym „tejgi-tejgi", do akich przyzwyczajono się w Giniu dotychczas. Tomasz, choć ie bardzo zdolny do śledzenia sensu, jak wszyscy zamierał v oczekiwaniu, kiedy ksiądz zjawiał się na ambonie. Najpierw zemrał po domowemu, tak, jak się rozmawia codziennie. Poem co parę zdań wymawiał jedno bardzo głośno i brzmiało to, ak muzyka. Wreszcie podnoszenie rąk, krzyk aż trzęsły się ciany. Piorunował grzechy, jego wyciągnięty palec celował v tłum i każdy drżał, bo każdemu zdawało się, że bije w niego. nagle — cisza. Stał z czerwoną rozgrzaną twarzą i patrzył; wyhylał się oparty o krawędź ambony i ledwo dosłyszalnie, pieszzotliwie, od serca do serca perswadował, roztaczał opisy szczęliwości, jaka czeka zbawionych. Wtedy słuchacze pociągali noami. Sława księdza Peikswy szybko sięgnęła poza Ginie i sąiednie wioski, przyjeżdżano do niego z innych parafii do spoviedzi i zawsze otaczały go chustki, schylające się, kiedy jego vielbicielki usiłowały całować mu stułę, albo ręce.

Wielbiła go Akulonisowa, dziewczęta czeladne, a już rzede wszystkim Antonina („czyści grzechy — i wzdychała — vszystko jedno jak żelazno szczotko we środku drapie"). Nawet abcia Misia, przeciwna z zasady litewskim kazaniom, przekoa'a się do niego, po wysłuchaniu kilku jego przemówień po ol·ku. Cały ten jednak zapał trwał niezbyt długo. Na Ginie padł wielki zaszczyt, tak, to przyznawały jeszcze kobiety wobec bcych, ale już z kwaśnymi minami i zaraz kierowały rozmowę a coś innego. I Tomasz i dzieci z wioski wkrótce już wiedziały, e lepiej jest nie chodzić na plebanię.

XIV

Na kilka dni przed Matką Boską Zielną przywieźli trumn Magdaleny. Leżała na wielkiej bryce wysłanej sianem, przykry wzorzystą derką. Konie, w cieniu co padał od lip, opuszcza nisko głowy, tkwiące w workach i z dna szczupały owies, og niając się sennie od much; drogę odbyły daleką. Wiadomoś rozeszła się tak szybko, że ledwie ten, co z ciałem przyjech zawiązał lejce o płot, już ludzie zaczęli się zbierać i stali gro madą, czekając co będzie. Na górze, na płaskich kamieniac ścieżki ukazał się ksiądz Peikswa. Nieruchomy, jakby zastana wiał się czy zejść, albo zbierał siły. Wreszcie powoli zacza zstępować, znów zatrzymał się, wyciągnął chustkę i gniótł ją skręcał w palcach.

Zgorszenie z Magdaleną trwało jakieś pół roku i powstał z jego winy. Mogłoby się bez niego obejść. Peikswa zastał ją ju jako gospodynię na plebanii i nikomu nic do tego, co tam międz nimi zaszło: ksiądz też człowiek. Zaczęła jednak zachowywa się nieprzyzwoicie. Chodziła, wysuwając naprzód podbródek, ko łysząc się, prawie tańcząc. Sprawiało jej widoczną przyjemnoś tak do niego podejść czy coś powiedzieć, żeby dać wyraźni poznać innym kobietom: wy całujecie jego ręce i szaty, a j mam jego całego. Co prowadziło do wyobrażania sobie jak on ten sam co przed ołtarzem, leży z nią goły w łóżku, jak do siebi przemawiają i co robią. Wiadomo powszechnie, że w tych spra wach wiele można wybaczyć, dopóki nie pojawiają się obrazy dokuczliwe, którym nie można się opędzić.

Rozważając zachowanie się Magdaleny w ogóle (u stareg proboszcza służyła przez dwa lata) mieszkańcy Ginia w długich rozwlekłych rozmowach ustalili, że także poprzednio nie wszyst ko z nią było tak jak należy. Jeżeli małżeństwo nie doszło d skutku i chłopak ożenił się zaraz z inną, stało się to nie tylk ze względu na jej wiek — miała już pewnie ze dwadzieścia pię lat — i może nie tak zupełnie dlatego, że była biedna, córk bezrolnych i że obca. Żadne perswazje nie pomagały i gotów był postąpić wbrew swoim rodzicom — tutaj już wypada za uważyć jej szczególne zdolności. Ale rozmyślił się w ostatni chwili. Przestraszył się: za gorąca, nie znająca miary. Także inn podobne zdarzenia teraz ukazywały się w nowym świetle, uzu pełniały się wzajemnie. A dla kogoś, kto mógłby dotychcza wątpić, teraz ta trumna.

Tomasz, ponieważ Antonina wymawiając jej imię spluwał odnosił się do Magdaleny nieżyczliwie, choć nie miał żadneg powodu. Wabiła go do kuchni i dawała mu ciastka ile raz

rwał na plebanii za księdza Teigi-Teigi. Właściwie podziwiał wtedy i ściskało go w gardle w jej obecności. Jej spódnice umiały, ich zapięcie wcinało ją w pasie, kiedy pochylała się ad płytą i próbowała potrawy z łyżki, kosmyk włosów zsuwał ę koło ucha, a z boku w bluzce dyndała pierś. Łączyło ich to, : on wiedział jak ona wygląda, a ona nie wiedziała, że on wie. powiadał się z grzechu, ale widział. Na pochylone nisko nad odą drzewo można było wleźć i schować się między liśćmi. erce bije: przyjdzie czy nie przyjdzie? Issa już różowieje od chodzącego słońca, ryba buszuje. Zagapił się na przelatujące ıczki, a ona już próbowała stopą czy woda ciepła i przez głowę iągała koszulę. Wchodziła nie tak jak baby, co przysiadają ı kilka razy z pluskiem. Powoli, krok za krokiem. Piersi rozchyły się na strony, a pod brzuchem była nie bardzo czarna; tak bie. Zanurzyła się i płynęła „po psiemu", nogą wzbijając od asu do czasu fontannę, aż do miejsca, gdzie liście lilii wodnych krywały rzekę. Potem wróciła i myła się mydłem.

Co obijało się o uszy Tomaszowi zostawało dla niego niesne, a jednak przerażające. To chyba niemożliwe, żeby ten, óry grzmi o ogniu piekielnym, sam był grzesznikiem. I jeżeli ı, co udziela rozgrzeszenia, jest taki sam jak inni, to co ono arte? Zresztą nie stawiał sobie pytań wyraźnych, a na pewno e odważyłby się nagabywać o to starszych. Magdalena nabrała a niego uroku rzeczy zakazanych. A starsi złościli się na nią. ozdzielali, czego nie umiał Tomasz; ona to było jedno, a ksiądz edy ubrał się w komżę, drugie. Ale zepsuła układ, zamąciła okój i popsuła im przyjemność kazań.

Peikswa schodził w dół i ciekawość ogarniała wszystkich: ı każe zrobić z trumną. Kiedy był już przy wozie, zaczęli odracać głowy. Bo płakał. Łzy ściekały mu po policzkach, jedna ı drugiej, usta drgały, zacisnął je, i otworzył tylko żeby powieieć, że prosi o zaniesienie ciała na górę do kościoła. Samobójyni przygotowywał chrześcijański pogrzeb. Zdjęli derkę i ukaała się trumna z białej sosny. Czterech wzięło ją i wspinali się ı stromej spadziźnie, tak że Magdalena prawie stała.

XV

Żeby otruć się trucizną na szczury, trzeba stracić wszelką adzieję, a również tak ulec własnym myślom, że one przesłonią viat, aż przestanie się cokolwiek widzieć prócz własnego losu. agdalena mogłaby poznać wiele miast, krajów, ludzi, wynazków, książek, przejść przez różne wcielenia, jakie są ludzm istotom dostępne. Mogłaby, ale tłumaczyć jej to, albo poka-

zywać, przy pomocy jakiejś czarodziejskiej różdżki, miliony l
biet do niej podobnych i cierpiących tak samo, byłoby daremn
Nawet jej przeniknięcie w rozpacz tych, co w tej samej chw
kiedy zadawała sobie śmierć, walczyli jeszcze o godzinę, minu
życia, nic by chyba nie pomogło. Kiedy myśli wreszcie ustąp
i ciało znalazło się wobec ostatecznej grozy, było już za późn

Należy zrozumieć, że wpadła w bardzo zły stan na kró
przed tym nim odszedł stary proboszcz. Wtedy właśnie zerw
z nią narzeczony. Po porażce tamtej miłości został w niej chł
i pewność, że nic się nie zmieni, że tak już będzie zaws
Wszystko w niej się skręcało i buntowało, nie mogła tak zost
co począć z tą pewnością, że dzień będzie mijał za dniem, m
siąc za miesiącem, rok za rokiem, i już, patrzcie, jest starą l
bietą? Budziła się o świcie i leżała z otwartymi oczami, a ws
wać i zaczynać codzienną pracę wydawało jej się straszne. Siad
na łóżku i obejmowała piersi dłońmi — jak ona odtrącone,
dzielić z nią miały staropanieństwo i zwiędnąć bezużyteczn
I co dalej? Łapać chłopców na wieczorynkach, żeby chodzili z n
do odryny albo na łąkę i potem się śmieli? Pogrążała się w
w zupełnej beznadziejności kiedy plebanię objął Peikswa.

Na huśtawce jest moment zatrzymania — a potem leci
w dół, aż zapiera oddech. Nagle odmieniła się ziemia i nieb
to samo drzewo na które patrzyła przez okno było inne, obło
nie podobne do dawnych, wszystkie stworzenia poruszały
jakby napełnione żywym złotem, które z nich promieniowa
Nie przypuszczała nigdy, że może być aż tak. Za cierpienie z
stała przygotowana nagroda i jeżeli ma się cierpieć wieki pote
też warto. Nie najmniejszy udział w jej upojeniu przypadał
rozkosz nasyconej ambicji: ją, ubogą, prawie niepiśmienną,
co nie mogła sobie znaleźć męża wybrał on, uczony, które
nikt nie dorównywał.

I wtedy — należy to zrozumieć — została pozbawio
wszystkiego i odtrącona w chłód, tym razem na zawsze. Pejksw
świadomy skandalu i zmuszony do wyboru, oddał ją na gosp
dynię proboszczowi w oddalonych stronach, tak oddalonych,
ostateczność zerwania ukazała się każdemu jasno. W tym do
nad jeziorem, sama ze zgryźliwym starcem, Magdalena nie zab
wiła długo — akurat tyle, żeby wrócić w czarną noc, jaką zna
przed okresem szczęśliwości. Otruła się, kiedy wiatr gwizd
w trzcinach i fala składała płaty białej piany na żwirach, ch
piąc o dno przywiązanych przy kładce łodzi.

Proboszcz tamtejszy nie chciał jej pochować. Wolał d
swój wóz, parę koni i furmana, byle pozbyć się kłopotu.

Ostatnia podróż Magdaleny, zanim weszła w krainy, gd
przywitały ją damy niegdysiejszego czasu — zaczęła się wcześ

no. Strzępiaste baranki szły w górze, konie biegły rzeźkim ıchtem, na otawach mężczyźni ostrzyli kosy i osełki dzwoniły metal. Potem piaszczystą drogą między jałowcami, przez sosno- borki, coraz wyżej, aż do rozstaju, skąd widzi się trzy płasz- yzny wód spięte ze sobą zielenią, jak naszyjnik z jasnych mieni. Wtedy znowu w dół, w lasy i tam, w ulicy wioski, agdalena patrzyła w liście starego klonu przez godziny połud- a, aż do pory kiedy cienie zaczynają się wydłużać, upał koni ż nie zmęczy i można jechać dalej. Na grobli wyłożonej okrą- ymi dylami koła podskakiwały choć konie szły stępa, rozlegał wieczorny koncert drozdów, już otwierało się gwiaździste ebo musujące obrotami sfer i wszechświatów. Ogromny spo- j, granatowa przestrzeń, kto stamtąd patrzy i czy widzi jedną aleńką istotę, co sama umiała zatrzymać ruch swego serca, krą- nie krwi i własną wolą zmienić się w nieruchomą rzecz. Za- ch koni, leniwe gadanie do nich człowieka przy niej i tak do źnych godzin wieczora. A rano, przez pagórki, dąbrowy, już edaleko, już zjazd w dolinę Issy, a tam, mając przed sobą dok na iskry rzeki w łozinach, ksiądz Peikswa odmawia bre- arz.

Latem ciało psuje się szybko i dziwili się czemu zwleka, jak- nie chciał jej oddać ziemi. Jednak kiedy wreszcie ją wynosili, zauważono żadnego przykrego zapachu — ten fakt został źniej przypomniany. Pochował ją na skraju cmentarza, tam zie zaczyna się spadzistość i gdzie korzenie węzłami trzymają pki grunt.

Kazanie w dzień Matki Boskiej Zielnej dał niedługie i rów- m, spokojnym głosem. Przedstawiał jak Ta, co nie zaznała azy, wstępuje do nieba, nie duchem ale całą sobą, taka jak odziła między ludźmi. Jej stopy są najpierw tuż nad trawą nie ruszając nimi unosi się powoli coraz wyżej, powiew igra jej długą suknią — jakie noszono w Judei, aż jest już tylko nkcikiem między obłokami i to, co nam grzesznym jeżeli zasłu- ny będzie udzielone w dolinie Jozafata, ona już otrzymała: ysłami ziemskimi, w wiecznej młodości, ogląda oblicze szechmogącego.

Wkrótce potem Peikswa opuścił Ginie i nigdy o nim odtąd słyszano.

XVI

Rozmawiały o tym sąsiadki, opierając łokcie o płot. Męż- źni milczeli, wzrok mając utkwiony w szczypcie tytoniu, śli- i papierek i udawali, że całą uwagę koncentrują na tej czyn- ści. Powoli wzmagał się niepokój, choć na razie szukano tylko

przyczyn, próbowano utrafić i wystrzegano się niebezpieczny słów.

Do szerzenia plotek przyczyniał się głównie nowy ksią Monkiewicz, okrągły, łysy i nerwowy. Przestraszył się i niedłu potrafił to ukrywać. Żeby odzywało się ciągle to stukan w ścianę (po trzy razy) nie znajdował żadnego przyrodzone powodu. W domu czuł się nieswojo po tym czego się dow dział i źle znosił obecność, jaka zaznaczała się tym właśnie st kaniem albo powolnym przyciskaniem klamki. Zrywał się i otw rał drzwi, ale za nimi nikogo nie było. Miał nadzieję, że objawy ustaną, ale przeciwnie, przybierały na sile. Kościel został wezwany do spania na plebanii i od tej chwili nie m siano ograniczać się do domysłów. Zresztą ksiądz Monkiewi nie mogąc dać sobie rady, wkrótce poprosił gospodarzy o pomo Zbierali się po kilku i w nocy dyżurowali w kuchni.

Biedny duch Magdaleny nie chciał opuścić miejsc, gdz zaznała szczęścia. Niewidzialnym tasakiem rozszczepiał niew dzialne polana i rozpalał ogień, który buzował i trzeszczał j prawdziwy. Przesuwał rondle, tłukł jajka i smażył jajecznic choć płyta pozostawała zimna i pusta. Jakimi narzędziami ro porządzał? Czy to są tylko dźwięki, rodzaj szerokiego rejest szmerów naśladujących dźwięki natury, czy też duchowi da jest cała jakaś druga, inna kuchnia z ogólnym wiadrem, z ogóln patelnią, z ogólnym stosem polan, które są jak ekstrakt wszys kich wiader, patelni, polan, jakie mogą istnieć? Nie da się te rozstrzygnąć, można tylko nasłuchiwać i najwyżej nie wierz własnym zmysłom. Święcona woda nie pomagała. Ksiądz krop przerwa trwała krótko i zaraz znowu odbywała się praca. I z ka dym wieczorem coraz śmielej, z hałasowaniem, przerzucanie rondli, pluskiem wody. Gorzej, że podobna działalność przeni sła się do sypialni. Prócz stuków, ruchów klamką odzywały teraz kroki, papiery i książki zlatywały na podłogę i zalęgło jeszcze jedno — coś jak przytłumiony śmiech. Ksiądz Monk wicz żegnał i kropił jeden kąt, nic, drugi, nic, trzeci, nic, kiedy podchodził do czwartego rozlegał się chichot i gwizdan jak na wypróchniałym orzechu.

Wieść o tych zdarzeniach szybko rozeszła się po sąsiedni wioskach i gdyby ludzie z Ginia nie uważali, że bądź co bą to są ich sprawy i że obcych nie należy do nich dopuszczać, trzech by zasiadało na noc w kuchni, a próbowałoby się ta dostać trzystu. Nie mogąc brać czynnego udziału, przynajmn gadali i parafia trzęsła się od przesadzonych pogłosek.

W stwierdzeniu, że duchowi Magdaleny budynek pleba nie wystarcza pewną rolę odegrał Baltazar. Cała jego przygo zasługiwałaby na śmiech i chyba tylko na tę odrobinę pow

jaką potakuje się opowiadaniom pijaków, żeby ich nie urazić
gdyby nie jeden szczegół. Baltazar twierdził ni mniej ni więj, że zobaczył tylko co Magdalenę jak zjeżdżała na białym niu do rzeki od strony cmentarza. Była goła, i ona i koń yszczeli w ciemności. Kiedy zebrało się w chacie jego teścia elu ludzi, powtarzał w kółko to samo i obrażał się, jeżeli zyciskali go do muru i ostrożnie napomykali, że może mu się zywidziało. Ktoś wtedy wpadł na pomysł, żeby pójść do stajni oboszcza i zobaczyć, czy jest tam jego gniady. Gniady był — spocony, jakby jeżdżono na nim galopem.

We dworze naturalnie kipiało i Antonina co dzień przysiła nową porcję. Babcia Misia powtarzała: „cóś okropnego!" uszczęśliwiona z pozagrobowych figli zaprosiła księdza, żeby wyskarżył. Siorbał herbatę z poziomek i ze strapioną miną zyznał się, że brak mu już zdrowia, że jeżeli to nie ustanie, poprosi o przeniesienie na inną parafię — triumf babcia Misia niosła więc całkowity i w jej okrzykach niedowierzania: „Co ądz mówi!" brzmiał zachwyt, bo trzymała przecież z duchami nie z ludźmi. Wkrótce jednak zaszło coś zupełnie już blisko. maszowi, który został dopuszczony do łóżka Szatybełki, kiedy nu trochę się polepszyło, mrowie przebiegało po skórze. Chory zywał się słabym głosem, broda rozkładała się na kołdrze, a na waniku zwinięty w kłębek leżał Mopsik; ten zachował się niewnie, uciekł wtedy z podwiniętym kawałkiem swego obciętego ona, ale jego pan nie żywił o to urazy. A oto dokładny opis otkania. We dworze młócono wtedy zboże. Lokomobila stała szopie koło stodoły i po zakończeniu pracy drogocenny pas nsmisyjny umieszczano w tej szopie, zamykanej na klucz. atybełko siedział tego wieczora w miękich papuciach w swojej ncji i palił fajkę, kiedy nagle zaniepokoił się: nie mógł sobie zypomnieć — przekręcił klucz w zamku czy nie, i ta niemożść przedstawienia sobie dopełnionego obowiązku bardzo go czyła. Wreszcie, pełen obawy, że ktoś może ukraść pas, wło, gniewnie mrucząc, buty, kożuch, wziął latarnię i wyszedł iepła na chłód i deszcz. Ciemno było zupełnie i widział tylko ile ogarniał krąg latarni. Szopę rzeczywiście zastał niezamętą. Wszedł do środka, ciasnym przejściem pomiędzy ścianą otłem lokomobili i sprawdził; pas leżał na miejscu. Kiedy nak ruszył z powrotem, wylazł na niego potwór. Szatybełko sywał go jako rodzaj grubej kłody, sunącej poziomo, całą swoją rokością. Na niej tkwiły trzy głowy — tatarskie, jak mówił, szczerzające się w ohydnych grymasach. Stwora napierała, n żegnał się i cofał — ale spostrzegł się, że odcina sobie w ten sób drogę ucieczki i machając latarnią próbował się przenąć. Wtedy to stąpnął butem w ciało potwora: miękkie „jak

worek plew". Wydostawszy się na zewnątrz, chciał biec, a nie śmiał się odwrócić. Krok za krokiem, tyłem, przebył całą drogę od zabudowań gospodarskich do swoich drzwi, a trzy potępieńcze głowy cały czas wiły się tuż-tuż na tym niskim korpusie bez nóg. Ledwo łapał oddech i przewrócił się w progu. Dostał zaraz silnej gorączki, a przecież to razem nie trwało dłużej niż kwadrans i niczego dotąd nie brakowało jego zdrowiu.

Możliwe, że, jak przypuszczała babcia Misia, objawił się duch mahometanina pochodzącego z pagórka Tatarski Cmentarz. Pamięć o jeńcach tatarskich, pracujących bardzo dawno temu w Giniu, byłaby zaginęła, gdyby nie pozostała ta nazwa. Dlaczego jednak objawił się właśnie teraz? Ktoś go ośmielił, albo kazał wziąć udział w zakłócaniu porządku. Tylko Magdalena, teraz chyba przełożona podziemnych mocy.

Te wszystkie fakty doprowadziły powoli do zatargu pomiędzy wioską i księdzem Monkiewiczem. Zgodziwszy się co do przyczyny, logicznie rozumowali, że należy przyczynę usunąć. Najpierw napomykali mu nieśmiało, ogólnie, krążąc dokoła sedna, używając porównań i przypowieści. Kiedy to nie odnosiło skutku, mówili wręcz, że trzeba temu położyć koniec i że jest sposób. Machał na to rękami i krzyczał, że on nie zgodzi się na to nigdy, nigdy i wymyślał im od pogan. Uparł się i nie można było go przekonać. Niektórzy radzili, żeby nie pytać go o pozwolenie, ale wiedziano, że również oni się nie odważą. Nic więc nie przedsięwzięto. Tymczasem do proboszcza zjechał na kilka dni drugi ksiądz i odprawiali egzorcyzmy.

XVII

Tomasz bał się biegać po zmroku ale tylko do czasu kiedy miał sen. Był to sen wielkiej słodyczy i potęgi; również grozy i trudno byłoby określić co w nim przeważało. W słowa nie dawał się ująć, ani rano po owej nocy ani później. Słowa nie chwytają mieszaniny zapachów albo tego co nas przyciąga do pewnych ludzi, tym bardziej zanurzania się w studnie przez które przelatuje się na wylot, na drugą stronę znanego nam istnienia.

Widział Magdalenę w ziemi, w samotności olbrzymiej ziemi i przebywała tam od lat i na zawsze. Jej suknia rozpadła się i płatki materii mieszały się z suchymi kośćmi a kosmyk włosów, który wyślizgiwał się na policzek nad kuchenną płytą przylegał do trupiej czaszki. A równocześnie była przy nim taka sama jak wtedy kiedy wchodziła w wodę rzeki i w tej równoczesności zawierało się poznanie innego czasu niż ten jaki jest nam zw

:ajnie dostępny. Uczucie wyrażające się ściskaniem w gardle
·zenikało go na wskroś, kształt jej piersi i szyi trwał niejako
nim i dotknięcia jej przetłumaczały się na skargę, na rodzaj
ıśpiewu: „O, czemu przemijam, czemu moje ręce i nogi prze-
ijają, o czemu jestem i nie jestem, ja, co raz, tylko raz, żyłam
d początku po koniec świata, o, niebo i słońce będą a mnie
ıż nigdy nie będzie, te kości po mnie zostają, o, nic nie jest
ıoje, nic". I Tomasz z nią razem wpadał w ciszę pod warstwami
leby, gdzie obślizguje się kamyk i robaki torują sobie drogę,
n teraz zmieniał się w garstkę spróchniałych piszczeli, on skarżył
ę ustami Magdaleny i odkrywał, sam, te pytania: dlaczego ja
:stem ja? Jak to możliwe żebym, mając ciało, ciepło, dłoń, palce,
ıusiał umrzeć i przestać być ja? Właściwie może to nie był
awet sen, bo leżąc na najgłębszym dnie, pod powierzchnią
ealnych zjawisk, czuł cielesnego siebie, skazanego, rozpadają-
ego się, już po śmierci, a zarazem biorąc udział w tym unicest-
vieniu, zachowywał zdolność stwierdzania że on tu jest ten sam
o on tam. Krzyczał i obudził się. Ale zarysy przedmiotów stano-
riły część koszmaru, nie wydzielały się wcale jako bardziej moc-
e. Zaraz wpadł znowu w to samo odurzenie i wszystko powtarza-
o się w coraz to nowych odmianach. Dopiero brzask go uwolnił,
twierał oczy w trwodze. Wracał z daleka. Powoli światło wy-
obywało poprzeczkę łączącą nogi stołu, zydle, krzesło. Jakaż
lga że świat ten na jawie, składa się z rzeczy z drzewa, z że-
ıza, z ciegieł i że one mają wypukłość i chropowatość! Witał
orzęty które wczoraj krzywdził, ledwie je zauważając. Teraz
ydały mu się skarbami. Wpatrywał się w rysy, w sęki, w pęk-
ięcia. Po tamtym zostawał jednak rozkoszny czad, wspomnienie
rain których nigdy dotychczas nie odgadywał.

Odtąd, jeżeli by Magdalena zbliżyła się do niego w ciemnej
lei, postanowił nie wrzeszczeć, bo nie zrobiłaby mu nic złego.
Jawet pragnął żeby mu się zjawiła, choć dostawał na myśl o tym
ęsiej skórki, ale nie — nieprzyjemnej, takiej jak wtedy kiedy
ładził aksamitną wstążkę. A do snu nie przyznał się nikomu.

XVIII

Czego dokonano, dokonano w tajemnicy i Tomasz niepręd-
o potem dowiedział się o tym czynie, który wzbudził w nim
ielki żal i zgrozę.

Tylko starszyzna wioski, kilkunastu gospodarzy, zostało do-
uszczonych. Zebrali się pod wieczór i pili dużo wódki. Bądź
bądź każdemu z nich było niewyraźnie i starali się dodać sobie
lwagi. Pozwolenie zostało udzielone, ściślej, ksiądz Monkie-

wicz powiedział: „Róbcie co chcecie", ale to stanowiło z je strony dostateczne przyznanie się do porażki środków jakie m w swojej dyspozycji. Wkrótce po wyjeździe jego kolegi — n było tej nocy akurat nikogo na plebanii prócz kościelnego i sta gospodyni, bo zdawało się że Magdalena po egzorcyzmach spokój — rozległ się w sypialni krzyk i Monkiewicz ukazał na progu w długiej nocnej koszuli rozdartej w kilku miejsca tak, że płótno zwisało kawałkami. Magdalena ściągnęła z nie kołdrę i zaczęła drzeć na nim koszulę. Chorobę jego — zach rował na różę — i on sam i wszyscy przypisywali przeleknieni Na różę z przelęknienia nie ma skutecznych lekarstw poza zam wianiem. Sprowadzono więc znachorkę która mruczała nad ni swoje zaklęcia. Wie się o nich że zawierają rozkazy zwróco do choroby żeby opuściła ciało; te są poparte groźbami, strzęp mi chrześcijańskich i jakichś starszych pacierzy, ale słowa, r wyjawione, tracą moc i wolno temu co je zna przekazać prze śmiercią tylko jednej osobie. Ksiądz poddawał się zabiegom ni chętnie. Kiedy chodzi jednak o powrót do zdrowia, nie pora r wątpliwości, spodziewamy się wtedy że może jednak. Podobn osłabienie oporu, wątła nadzieja że nękające zjawiska ustan skłoniła go do udzielenia również tej drugiej zgody.

Powinno się przystępować do tego w ciemności. Może n jest to przepis, ale wypada żeby towarzyszyła temu nabożnoś to jest, przede wszystkim, milczenie. To znaczy bez udzia gapiów, w kręgu ludzi poważnych i pewnych. Próbowali ostr łopat, zapalali latarnie i wymknęli się po jednemu, po dwuc przez sady.

Wiał silny wiatr i dęby chrzęściły suchymi liśćmi. Ogn w wiosce już pogasły i była tylko czarność i ten szum. Kie już wszyscy nadeszli na placyk przed kościołem, skierowali s gromadą na miejsce i ustawili się naokoło jak mogli na zbocz tutaj już stromym. W okrągłych szkłach latarń, za ochroną z m talowych prętów, płomyki skakały, miotały się, ganiane po muchami.

Najpierw krzyż. Postawiony żeby został tak długo jak sta czy siły drewnu, żeby przegnił i zmurszał w swojej zakopan części i pochylił się powoli, po latach; wyjęli go i położyli ostro nie z boku. Następnie, kilkoma pchnięciami, zburzyli pagór grobu na którym nikt nie pielęgnował kwiatów; i zaczęli prac wać, pośpiesznie, bo jednak straszno. Składa się w ziemi czł wieka na wieczność i zaglądać po iluś tam miesiącach co s z nim dzieje jest przeciwne naturze. To jakby zasadzić żołą albo kasztan i rozdrapywać potem grunt żeby zobaczyć czy j kiełkuje. Ale może właśnie sens tego co zamierzali polegał

m że potrzebna jest wola, decyzja żeby działaniem odwrotnym ystąpić przeciwko odwrotnym niż zwyczajne działaniom.

Żwir zgrzytał i zbliżał się moment. Już łopata stuka, zaądają, świecą, nie, to jeszcze tylko kamień. Aż wreszcie są ski, odgrzebują, odsłaniają, tak żeby można było podnieść ieko. Naprawdę wódka przydała się: daje on to wewnętrzne rąco które pozwala przeciwstawić siebie żywego innym, co ydają się wtedy mniej żywi, a tym bardziej drzewom, kamieom, świstowi wichru, widmom nocy.

To co znaleźli potwierdziło wszystkie przypuszczenia. Po erwsze ciało nie było wcale zepsute. Opowiadali, że zachoało się jakby złożone zostało wczoraj. Dowód wystarczający: lko ciała świętych albo upiorów mają tę właściwość. Po drugie, lagdalena nie leżała na wznak, tylko odwrócona, twarzą w dół, również jest znakiem. Nawet jednak bez tych dowodów rzygotowani byli zrobić co trzeba. Ponieważ posiedli dowody, rzyszło to tym łatwiej, bez wątpliwości.

Przewrócili ciało na wznak i najostrzejszą łopatą, uderzając rozpędu, jeden z nich odciął głowę Magdaleny. Zaciosany ół z pnia osiny był przygotowany. Oparli go o jej pierś i wbili, derzając tępym końcem siekiery, tak że przebił z dołu trumnę dobrze się zagłębił. Następnie głowę, biorąc za włosy, umieścili jej nogach, założyli wieko i zasypali już teraz z ulgą i nawet śmiechami, jak zwykle po chwilach dużego napięcia.

Może Magdalena tak bała się fizycznego rozpadu, tak rozaczliwie broniła się przed wejściem w inny, obcy jej czas ieczności, że gotowa zapłacić każdą cenę, zgodziła się straszyć, upując przez ten ciężki obowiązek prawo do zachowania nie-aruszonego ciała. Może. Jej usta, jak przysięgali się, pozostały erwone. Odcinając głowę, miażdżąc żebra, kładziono kres jej elesnej pysze, pogańskiemu przywiązaniu do własnych ust, rąk brzucha. Przybita jak motyl na szpilce, stopami w bucikach óre jej kupił Peikswa dotykając własnej czaszki, musiała już raz uznać że roztopi się, tak jak wszyscy, w soki ziemi.

Niepokoje na plebanii ustały natychmiast i nie słyszano już ltąd o jakichkolwiek popisach Magdaleny. Nie jest nieprawdoodobne zresztą, że skuteczniej niż przez gotowanie na niewiialnej kuchni, niż przez stuki i gwizdy, przedłużyła swoje cie wchodząc w sen Tomasza, który nigdy o niej nie zapomniał.

XIX

Owej jesieni, kiedy straszyła Magdalena, sady nadzwycza
nie obrodziły, a ponieważ nie miano gdzie sprzedawać owoców
karmiono nimi świnie, zbierając na domowy użytek i na prz
chowanie tylko najlepsze gatunki. W trawie gniły stosy jabłe
i gruszek, między nimi bzykały osy a także mnóstwo szerszen
Tomasza ugryzł jeden w wargę i spuchła mu cała twarz; ni
zawsze można było je zauważyć, bo wciskały się w środek sło
kiej gruszki wąską dziurką, dopiero kiedy dobrze się nią po
trząsnęło, wysuwał się pulsujący prążkowany odwłok. Tomas
pomagał w sadobraniu włażąc na drzewa i przyczyniało m
dumy że dorośli nie umieją drapać się jak on po kociemu n
cienkie nawet gałęzie. I ciągle dojrzewały nowe rodzaje: „cu
krówki", „poczciwe", „lipówki", „sapieżanki", „bergamoty".

Letnio-jesienną porą Tomasz dobrał się do biblioteki. Do
tychczas ten narożny pokój z malowanymi olejną farbą ścianam
tak zimny że kiedy na dworze upał, tu się dygotało, nie wyda
wał mu się interesujący. Teraz wyżebrał klucze od szaf i wyciąga
z nich ciągle coś zabawnego. W jednej z tych szaf, oszklone
znalazł czerwono oprawne książki, na okładkach złote ozdoby
a wewnątrz dużo rysunków. Podpisów nie potrafił przeczytać
bo to było po francusku, dziewczynka na tych rysunkach miał
na imię Sophie i nosiła długie majtki zakończone koronką. W in
nej szafie, w ścianie, między pajęczyną i zwojami pożółkłyc
papierów, wygrzebał tom z tytułem „Tragedie Szekspira" i spę
dzał z nim dużo czasu na trawniku, na samym jego skraju
gdzie przy zielonym murze krzaków pachniało mchem i czom
brem. Oprócz niego lubiły ten zakątek duże rude mrówki i niera
wściekle tarł łydką o łydkę, bo kąsały boleśnie. W luce międz
szczytami świerków drgała przestrzeń, maleńkie pojazdy wlokł
za sobą kurz po drugiej stronie doliny. W książce ludzie w zbro
jach albo kuso ubrani (czy te ich nogi są gołe czy w takic
obcisłych majtkach?) krzyżowali miecze, przewracali się przebic
sztyletem, wiało stęchlizną od kartek z plamami rdzy. Prowadz
palcem wzdłuż rządków liter, ale choć pisało po polsku, zniech
cił się i uznał, że dotyczą jakichś spraw dla dorosłych.

Więcej radości dawały mu książki o podróżach. W nic
Murzyni, goli, stali z łukami na łódkach z trzciny, albo ciągnę
na sznurach hipopotama takiego, jak w historii naturalnej. Ic
ciała pokrywały prążki i zastanawiał się, czy ich skóra jest w rz
czywistości pełna linii czy tylko tak ich narysowano. Śniło m
się często, że jedzie z Murzynami wodą w coraz bardziej ni
dostępne zatoki wśród papirusów wyższych od człowieka i ta

uduje sobie wioskę, do której nie trafi nigdy żaden obcy. Dwie tych książek, ponieważ polskie, przeczytał (na nich właściwie zytać się nauczył bo go porywały) i wtedy wkroczył w zupełnie ową fazę.

Na łuki wybierał leszczyny, ale nie te które rosną w słońcu, o są przeważnie krzywe. Wpełzał w cień pod krzakami, gdzie ie ma trawy tylko splątane pokłady suszu, a między nim mysi-róliki przemykają się z trwożliwym czik-czik-czik. Leszczyna nie się tam do góry żeby wyjrzeć na światło i wtedy, zupełnie rosta, bez gałązek, nadaje się najlepiej. W takiej też ciemnej rocie urządził swoją kryjówkę, gdzie umieszczał broń.

Ze strzałami, do których przybijał lotki z indyczych piór żeby lepiej leciały, wybierał się na polowanie, a zwierzynę sam rymyślał, mogła nią być na przykład okrągła kępa agrestu. Prze-adywał na kładce, która służyła do nabierania w konewkę wo-y z sadzawki, nie z tej Czarnej, ale z drugiej, pomiędzy skrzy-łem domu i sadem a zabudowaniami folwarcznymi. Zdawało u się, że płynie i strzelał do kaczek, co raz doprowadziło do edztwa, bo jedną kaczkę znaleziono nieżywą na środku; ale ę nie przyznał. Zresztą może umarła z innego powodu. Indianie olują na ryby z łukiem, więc wypatrywał rybę w rzece na pły-iźnie (tak, żeby strzały nie zgubić) ale umykała zawsze w porę.

Na ganku przy stoliku przymocowanym na głucho do pod-ogi rysował w słotne dnie miecze, włócznie i wędki. Tutaj za-ważmy pewną cechę jego charakteru. Zabrał się raz do rysowa-ia łuków, ale nagle przerwał i papier podarł. Bo łuki kochał jakoś przyszło mu na myśl, że tego co się kocha nie powinno ię przedstawiać, że to powinno zostać zupełnym sekretem.

Babcia Misia wzięła go raz ze sobą na strych i pokazała u skrzynię, wyładowaną po brzegi rupieciami. Wśród nich kładki! I natrafił na przygody chłopca, który zakradł się na okręt, am pod pokładem za pożywienie służyły mu suchary a wielkie iebezpieczeństwo groziło mu ze strony szczurów. Wodę znalazł am w beczkach: słodką wodę. Czy to znaczy, że była z cukrem? ak Tomasz sobie to wyobrażał i tym wyjaśniał sobie radość hłopca, kiedy udało mu się wyświdrować otwór w beczce. Róż-ym marzeniom o przeczytanych historiach sprzyjała szczególnie ygódka. Prowadziła do niej ścieżka, ponad którą nawisały krza-i porzeczek. Drzwi zamykały się od środka na haczyk a przez ycięte w nich serce obserwowało się kto do wychodka zmierza. rzez szpary przeświecało słońce a naokoło grała bezustanna uzyka much, pszczół i trzmieli. Taki włochaty trzmiel bucząc ężko zapuszczał się czasem z tyłu nad dół, smród z którego omasz wciągał w nos z lubością. W kątach pająki rozpinały woje sieci. Na poprzecznej belce zacieki stearyny zostawiały

świece tutaj przylepiane. W bocznych ścianach też otwory, ch
nie widziało się w nich nic prócz liści czarnego bzu.

Jeżeli przez serce w drzwiach Tomaszowi mignęła Antonin
przerywał swoje rozmyślania i szybko zapinał majtki. Na dr
gim końcu ścieżki, przy pomyjnej jamie, Antonina rżnęła ku
Wydymała i zacinała wtedy usta, przygotowując się do uder
nia tasakiem i układając kurę na pieńku; ta, przestraszona a
w miarę, zastanawiała się pewnie co z tego wyniknie, albo mo
nie myślała nic. Błyskał tasak, twarz Antoniny kurczyła s
w bólu (ale również jakby w uśmiechu) i potem łopotanie, po
skakiwanie pierzastego kłęba na ziemi. Tomasza przenikał wt
dy dreszcz i dlatego temu asystował. Raz to odbyło się rzecz
wiście w niezwykły sposób. Kogut — ogromny, najeżony zło
lśniącymi piórami, zerwał się już bez głowy do lotu, nios
na przedzie czerwony kikut szyi. Ten lot bez głosu wart b
otwartych z podziwu ust Antoniny i jakby uznania, k
kogut spadł dopiero uderzywszy się o pień lipy.

Tomasz rzadziej teraz chodził z wędką nad rzekę i rzadzi
biegał do Akulonisów, może z powodu Magdaleny, a może
powodu książek. Ustronia nad Issą zaczęły mu się wydawa
groźne, a co do polowań z łukiem, to jakoś z nikim z dzieci n
miałby ochoty ich dzielić, zaraz wyglądałyby śmiesznie, nie
co poważne zajęcia jak łowienie ryb czy kręcenie dudek z łoz
Wolał także, żeby nikt niektórych jego zabaw nie podglądа
zbyt dziecinnych na dużego chłopca: ustawiał dwie armie z pat
ków wetkniętych w piasek i to był jedną to drugą, bijąc w żo
nierzy przeciwnika artylerią z kamieni.

XX

Na początku zimy przyjechała z Dorpatu w Estonii babk
Dilbinowa i pokój który zajęła bardzo nęcił Tomasza. Nie wie
od niego wyższa, różowa, stanowiła w tym przeciwieństwo bab
Misi, że troszczyła się o wszystko, cerowała Tomaszowi skarpet
i majtki, urządzała z nim lekcje i egzaminowała z religii. Na
ważniejsza jednak była jej inność od wszystkich. Paliła papi
rosy z długim munsztukiem, nauczyła się tego, jak sama mówił
ze zmartwień, papierosy trochę na to pomagały. W kufrze, któ
ze sobą przywiozła, wyjmowało się płaskie pudło, a wtedy otwi
rał się dostęp do skrzyneczek blaszanych i drewnianych, do paki
ków przewiązanych wstążeczkami, różnych małych prze
miotów owiniętych starannie w gazety. Obrządek rozkładania z
wartości kufra nie odbywał się często, zachowywał swoją o
świętność. Zawsze wtedy przypadał Tomaszowi jakiś podarune

a przykład tabliczka prawdziwego chińskiego tuszu; do czego służyła, babka mu wytłumaczyła, ale głównie urzekał go jej kształt, czarność i ostrość kantów.

Nigdy dotychczas nie dowiadywał się o świecie tak wiele jak teraz. Babka młodość spędziła w Rydze i opowiadała mu o wycieczkach do Majorenhofu i o kąpielach w prawdziwym morzu, o tym jak raz o mało nie porwała jej fala, o jej ojcu a jego pradziadku, doktorze Ritterze, który leczył dzieci i nie brał pieniędzy jeżeli ich rodzice byli ubodzy; o tym jak go kochano i jaką sławę miał jako facecjonista, bo często płatał niewinne figle, przebierał się, wyczyniał zabawne miny i raz nawet jej matka wrzuciła mu do kapelusza monetę, myśląc że żebrak — tak dobrze zmienił wygląd. Tomasz usłyszał też o teatrze i operze: na scenę wpływał łabędź, kołysał się a przysiąc można by było, że naprawdę niesie go woda. Babka wymawiała nazwisko śpiewaczki — Adeliny Patti i wzdychała. Wzdychała również kiedy wspominała wieczory w Rydze, gdzie zbierało się dużo młodzieży, grano, śpiewano, urządzano żywe obrazy. I jeszcze wieś: majątek Imbrody pod Dynaburgiem, który należał do Mohlów, rodziny jej matki. Więc podróże karetą, przez lasy pełne rozbójników, odludne karczmy w zmowie z rozbójnikami, łóżko-gilotyna, którego baldachim spadał w nocy i zabijał podróżnego, a wtedy łóżko z ciałem zagłębiało się pod podłogę, taka maszyneria. Kareta przewożona na promie, konie się spłoszyły i wszyscy utonęli. Panna służąca w Imbrodach, którą chłopcy straszyli w ten sposób, że za lustro (bo lubiła się mizdrzyć) wkładali długie cybuchy lulek i znienacka puszczali na nią dym. Kiedyś wynieśli ją z jej łóżkiem i ustawili w jeziorze, a nie przebudziła się — dopiero potem krzyczała, nie rozumiejąc gdzie jest. I spacery po tym jeziorze, w białym baciku z żaglami. To wyławiał Tomasz ze zdarzeń i nazwisk mniej go obchodzących.

Babce też zawdzięczał powiastki o facecjach sławnego na całą Litwę żarłoka i oryginała, Bitowta. Kiedy nastawało lato, Bitowt kazał oporządzać drewnianą brykę i ładować na jej tył obszor dla koni; zasiadał w pudermantlu za furmanem i ruszał w podróż, która trwała kilka miesięcy, bo rzemiennym dyszlem zajeżdżał do wszystkich majątków po drodze, gdzie go podejmowano jak króla, także dlatego że strach budził jego złośliwy język, aby później nie obszczekał. Na tym swoim wozie palił cygara a niedopałki rzucał za siebie i raz ledwo zdążył zeskoczyć, bo siano z tyłu stanęło w płomieniach. Kiedyś na rynku miasteczka podszedł do Żydka sprzedającego pomarańcze i zapytał ile ich go da się zjeść; Żydek na to że pięć, Bitowt że on zje kopę, Żydek że on oddaje darmo temu kto to potrafi. Bitowt skończył pięć dziesiątków a Żydek już w krzyk: „Ratujcie, un zjadł kopę

apelcynów, un zaraz umrze!" U siebie w domu trzymał dosk nałego kucharza, z którym ciągle powtarzały się utarczki. W czorem Bitowt wzywał go do siebie i jęczał: „Łajdaku, ze służ ciebie wyrzucę, znów tak smaczno zrobiłeś, obżarłem się i sp nie mogę". Ale zaraz znów go wołał i pytał co jutro będzie obiad.

Tomasz przez rozmowy z babką uczył się też co nie historii. Wyjęty z kufra wisiał nad jej łóżkiem ryngraf z Mat Boską, a nad stolikiem mały portret pięknej panny z gołą szy nad rozłożonym na dwie strony kołnierzem. Piękna panna naz wała się Emilia Plater i istniało między nią i Tomaszem odleg pokrewieństwo przez Mohlów, z czego powinien był być dumn bo została o niej pamięć jako o bohaterce. W 1831 roku wsiad na konia i dowodziła oddziałem powstańczym w lasach. Umar z ran odniesionych w bitwie z Rosjanami. A ryngraf należał dziadka Artura Dilbina, który w młodości też wybrał las, to b rok 1863 (zapamiętaj Tomasz: tysiąc osiemset sześćdziesią trzeci). Hasło powstańców „Za naszą i waszą wolność" znaczy że walczą też za wolność Rosjan, ale Car był wtedy potężny a o przeciwko niemu mieli tylko dubeltówki i szable. Dowód dziadka Artura, Sierakowskiego, Car powiesił, a jego zesłał n Sybir, skąd dziadek wydostał się dopiero po wielu latach i wte ożenił się. Ojciec i stryj Tomasza są teraz w Polsce w wojs i też biją się z Rosjanami.

Babka Dilbinowa chodziła po pokojach ubrana jak miasta, nawet z bursztynową broszką. Pod spód, jak podpatrz wkładała kilka wełnianych halek, ściskała się też w pasie rodz jem gorsetu z fiszbinami. Jej blado niebieskie oczy płoszyły s w ustach pojawiał się bezbronny grymas, kiedy babcia Mis swoim zwyczajem zadzierała spódnicę pod piecem. Drażniło jej jakby szyderstwo z uczuć ludzkich czy przedrzeźnianie. E na przykład jeżeli mówiła o kimś, że kocha jakąś dziewczyn babcia Misia tarła siedzeniem o kafle pieca i pytała przeciąg jąc z litewska: „A dlaczego, proszę pani, on ją kocha?". I zawsz „A dlaczego?" jakby samo to, że ludzie pragną, dążą i cierp nie wystarczało. Gniewne wzruszenie ramionami, mruczen o „pogańskich obyczajach" — tak, ale Tomasz nie skłaniał s na stronę babki Dilbinowej, bo odgadywał w niej słabość. I pomimo całej jej dobroci. Łamała nad nim ręce że jest zaniedb ny, obdarty i rośnie jak dziczka. Przez to go psuła, bo dotyc czas uważał za zwyczajne, że sam przyszywał sobie guziki nit i igłą Antoniny, a teraz zwracał się o każdy drobiazg, bo już k o niego dbał i był na jego usługi.

W pochyleniu okrągłych pleców babki Dilbinowej, w ż kach na jej skroni kryło się coś kruchego. Przekonał się, że o k

jkolwiek rannej godzinie zajrzeć do jej pokoju, o szóstej czy piątej, zastanie się ją siedzącą w łóżku i odmawiającą modlitwy, głośno, prawie z krzykiem, a spojrzenie obracała nieprzytomne, załzawione i dwie wilgotne strużki żłobiły ślad na policzkach. Babcia Misia w zimie spała do dziesiątej, obudziwszy się, zeciągała się jeszcze rozkosznie po kociemu. Wieczorem długo pokoju babki Dilbinowej rozlegały się kroki. Chodząc paliła oje papierosy. Monotonny tupot rozlegający się w ciszy domu ypiał Tomasza. W dzień na spacery po ogrodzie babka nigdy e wybierała się sama, potrzebowała jego obecności, bo cierpiała zawroty głowy; zatrzymywała się na środku ścieżki z wyągniętymi rękami i wołała, że pada, żeby ją podtrzymał. Kiedy z jechali końmi w sąsiedztwo, tam gdzie droga wiodła skrajem wiska, zamykała oczy i po chwili pytała czy już minęli tę przeaść.

Tomasza korciło, żeby wyrządzać jej przykrości i wystawiać na próby. Na jej wezwania na spacerze, żeby wziął ją pod kę nie odzywał się zaraz, chował się za pniem drzewa i w ogóle k się urządzał, żeby wyrwać z tej okrągłej, różowej kulki lękli skargi: „oje, oje".

XXI

Córka grafa von Mohl wyszła za mąż za doktora Rittera tego małżeństwa urodziło się sześć córek, z których najmłodą, Bronisławę, czas miał zmienić w babkę Dilbinową. Z okresu epła, miłości i szczęścia przed swoim osiemnastym rokiem ży przechowywała w kufrze kajety zapisane drobnym pismem. kładała wtedy wiersze. Kilka zasuszonych kwiatów przetrwało użej niż bliscy jej ludzie.

Konstanty pięknie grał na fortepianie, śpiewał barytonem a wszystkich wieczorkach młodzieży w Rydze słynął jako deklaator patriotycznej poezji. Ale rodzice byli mu przeciwni, bo za ody, zbyt lekkomyślny i w dodatku bez grosza. Wkrótce po waniu zjawił się nowy konkurent i Brońcia zaznała pierwych nocy samotnego płaczu i tej grozy, kiedy rozstrzyga się los. tur Dilbin, wówczas już nie pierwszej młodości a nawet starawy, uchodził za człowieka statecznego, opromieniał go poza n nimb przebytego męczeństwa. Majątek jego został skonfiskony za udział w powstaniu, ale byt miał zapewniony, bo rządzał dobrami swoich krewnych. Przyjęto go i Brońcia opuła miasto swojej młodości, przenosząc się na zapadłą wieś ędzy kłopoty ze służbą i rachunki w milczące wieczory pod szem lampy, za którą Artur palił fajkę.

Oto jego portret: duże czoło, wąska twarz, w spojrzen gwałtowność i duma, policzki wklęsłość których podkreśla ogromne jasno-blond wąsy. Barczysty, suchy, rękę zakłada skórzany pas z klamrą. We dworze trzyma sforę psów i każ wolną chwilę poświęca polowaniu. Przepada też za wyściga tarantasów, tą próbą sił między kierowcą i końmi, kiedy n pięte lejce zdzierają skórę z dłoni. Jest czułym mężem i pew świadczenia dla matek swoich nieślubnych dzieci w okoli przekazuje tak, żeby nie spostrzegała tego żona. Te dzieci p chodzą zresztą przeważnie z jego kawalerskich czasów. Wszys naokoło wiedzą, że Artur Dilbin jako młodzieniaszek uratow pewną arystokratyczną rodzinę od wygaśnięcia odwiedzając hr binę, której mąż był kompletnie zidociały. Te gadania nie prz noszą mu ujmy. Gładzi wąsy i kiedy zdarza mu się go spotka przygląda się spod oka młodemu hrabiemu, który wyrósł na chł pa na schwał.

Rezygnacja i obowiązek. Później dzieci i na dzieci Bronisł wa przenosi całą swoją miłość. Kiedy starszy syn, Teodor, m siedem lat zabiera go ze sobą na lato do Majorenhofu na morze, ale nie odnajduje już tam tego piękna, które znała dav niej. Młodszy syn rodzi się w roku śmierci Artura, który prz ziębił się polując na wilki. Nadaje mu imię Konstanty.

Nigdy, jak daleko sięgnie się wstecz w historię rodu Di binów, Ritterów i Mohlów, nie natrafi się na ślad podobieństw rodzinnego do Konstantego. Oczy czarne, włosy jak smoła zar stające niskie czoło; cera oliwkowa południowca, nos garbat Jest chudy i nerwowy. W dzieciństwie podbija wszystkich, ma złote serce i wystarczy żeby go ktoś o coś poprosił, a natyc miast gotów jest oddać co jego, zdjąć nawet palto i kurtkę. Z powiada się też na genialnie zdolnego chłopca. Kiedy jedn Bronisława przenosi się do Wilna, żeby synów wychować (a prz chodzi to jej z trudem, bo zdana jest tylko na własną przemys ność), okazuje się, że Konstanty nie chce się uczyć. Nuży najmniejszy wysiłek. Matka błaga go, pada przed nim na kol na, przyrzeka prezenty, grozi. On wie, że z gróźb nic nie wyni nie, a co do prezentów, nie ma rzeczy której by nie mógł od mat uzyskać. Wkrótce dostaje się w złe towarzystwo, karciarzy i ro pustników. Pije, zaciąga długi, zadaje się z dziwkami z szan nów. Wyrzucają go wreszcie z czwartej klasy gimnazjum i tym kończy się jego wykształcenie.

Tymczasem starszy, Teodor, studiuje weterynarię w Dorp cie, a po uzyskaniu dyplomu utrzymuje matkę i brata. Podob z twarzy i budowy do ojca, jest łagodniejszy, skłonny do roma tycznych marzeń. Przygniata go odpowiedzialność i własna r telność, ciągnie go do podróży i przygód — wszyscy Dilbin

e byli trochę awanturnicy i jeden z nich służył w wojsku ıpoleona, biorąc udział w kampanii włoskiej i hiszpańskiej. ni się z Teklą Surkont, którą poznaje, kiedy spędza wakacje swoich kuzynów niedaleko Ginia. On jest ojcem Tomasza. 'ybuch wojny wita bez niechęci, jako zapowiedź zmian: jest przepowiadana od stulecia bez mała „wojna narodów", ma-:a zniszczyć potęgę Tyrana Północy.

Łzy Bronisławy Dilbinowej, przełykane najpierw ukradkiem, owały sobie coraz śmielej drogę po policzkach. Modliła się zmiłowanie Boga nad Konstantym i przebaczenie mu jej grze-ów, jeżeli za te grzechy został ukarany. Prośby jej wznosiły się przestrzeń w godzinach świtu, kiedy dowiedziano się, że fał-ıje na wekslach podpis brata i później, kiedy zmobilizowany armii rosyjskiej, dostał przydział do szkoły podoficerskiej tamtąd miał być skierowany na front. Kiedy następnie walczył froncie o niego drżała nie o Teodora, który jako fachowiec zebywał gdzieś na tyłach. Wreszcie otrzymała wiadomość, że ıny, dostał się do niewoli. Odtąd paczki z dykty, obszyte płót-m, adresowane na Czerwony Krzyż. Docierały do niego gdzieś niewiadomym punkcie Niemiec. Dnie liczyła od paczki do czki, szyła woreczki na cukier i kakao, obliczała, żeby jak jwięcej w paczkę wcisnąć. Aż rok 1918 i jego list w którym nosił, że po tamtej ranie od szrapnela zachował tylko bliznę piersiach; że z obozu próbował uciekać podkopem, ale go ıpano; że przebywa już na wolności i wstępuje do polskiej walerii.

Wojna toczyła się tam dalej, między Polską i Rosją, w której bito cara. Teodor z żoną odwiedzili ją w Dorpacie, spod kowa kierując się na południe, ku obowiązkowi patriotyczne-ı. Przesuwała ziarnka różańca, wyobrażając sobie nocne po-ody, Konstantego garbiącego się na koniu w śnieżycy i deszczu, arże z podniesionymi szablami i jego raz już rozdartą pierś stawioną na kule. Prześladowały ją twarze trupów: Niemcy, jąwszy Dorpat, rozstrzelali bolszewickich komisarzy i ciała rzucili na placu, zakazawszy grzebać. Leżały ścięte szronem, kliste.

Błagała o życie Konstantego. Ale w tych godzinach świtu zenikała ją trwoga inna, trwoga czasu, splątanej przeszłości orzyszłości. Wszystkie jego kłamstwa. Wszystkie pochylenia d szufladą Teodora, ukradkowe wyciąganie stamtąd bankno-v, drżenia jej kiedy musiała się zdobyć żeby mu powiedzieć zauważyła. Bladł i rumienił się, było mu jej żal i zawsze tem ta chwila: podrzut głowy do góry, przeskok w bezczelność. vierzył sam w co mówił, kłamiąc, a to było najboleśniejsze. wiła w nim jakaś niezdolność przeżywania świata jaki jest,

ozdabiał go swoimi fantastycznymi pomysłami, zawsze pew że wynalazł nowy sposób zdobycia fortuny, który chwilo podłostki usprawiedliwia. Wiedziała że nie mógł się zmien Zaklęcie, wzywające jego powrotu, nie było czyste. Bez ustan przychodziły obrazy tego co musiało się dokonać, przez je słabość, niezdolność do jakiejkolwiek wytrwałości, brak zawo Jakieś sutenerskie spelunki wielkich miast, mężczyźni graja w karty z prostytutkami opartymi im o ramię, wśród tego on, mały Kostuś. Zaklęcie nie było czyste i czuła się temu win dlatego podnosiła głos i przy słowach litanii kiwała się, t ruchem próbując cierpienie odegnać. Te właśnie „Wieżo z ko słoniowej", „Arko Przymierza" przez drzwi słyszał Tomasz.

Jej grzechy. Tego nikt się nie dowie. Może tylko, wnika w siebie, w ruch swojej krwi, w całą cielesną swojość, której ję nie zdoła innym przekazać, natykała się tam na skazę, na wi samego swojego istnienia i urodzenia dzieci. To też można pr puścić. Sumienie skrupulatne, skłonność do robienia so o wszystko wyrzutów, Tomasz odziedziczył prawdopodobnie niej. Zresztą drażniąc ją mścił się za to że wstyd, jakby o nie samego chodziło, budziła w nim ta skarga: „Oje, oje".

(c. d. n.)

Czesław MIŁOSZ

ilans emigracyjny

(ROZWAŻANIA NOWOROCZNE)

Przed kilku tygodniami spędziłem miły wieczór w ,,Ogni-
ı'' z polskim inżynierem, który buduje drogi w Kenii. Przy-
hał do Londynu na długi sześcio-miesięczny kolonialny urlop
trzech latach pracy. Wielu polskich inżynierów, techników,
ników, lekarzy, weterynarzy pracuje w Kenii, w Tanganayce,
andzie, na Gold Coast'cie.

W pewnym momencie rozmowa zeszła na tematy polityczne.

— Ach, panie to są niepoważni ludzie — uśmiechnął się
błażliwie mój znajomy.

Nagle uświadomiłem sobie z jak różnych perspektyw pa-
ymy na ów londyński tygielek. Mój znajomy dla własnej przy-
nności i wygody przywiózł ze sobą piękny samochód z dru-
go końca świata a przy kawie wyznał mi, że odkłada pienią-
by ,,na starość'' kupić sobie skromną plantację herbaty.

Po moim artykule ,,Polacy i Poganie'' otrzymałem dziesiątki
ów od Czytelników ,,Kultury''. Patrząc na solidnego, dosko-
le ubranego mojego afrykańczyka przypomniałem sobie list
sujący sytuację w Montrealu. W tamtejszych fabrykach i za-
dach przemysłowych pracuje wielu polskich inżynierów i tech-
ów. Wszyscy doskonale zarabiają i nie biorą żadnego udziału
życiu polskim. Jeden z tych panów na zapytanie mojego ko-
ondenta dla czego stroni od życia polskiego odpowiedział
ntycznie jak mój afrykański znajomy: ,,To są niepoważni
zie i niepoważne sprawy''.

Bez względu na to jak ocenimy tego rodzaju postawę —
eba powiedzieć, że nikogo nie można reprezentować wbrew
o woli. Egzekutywa ani rząd p. Mackiewicza nie reprezentują
h tysięcy inżynierów, techników, lekarzy, specjalistów.

Stosując brutalne uproszczenie można przyjąć, że 80% po-
czników rządu i Egzekutywy liczy powyżej 45 lat i zarabia
niżej 500 funtów rocznie. Innymi słowy, zainteresowanie
igracyjną polskością jest funkcją wieku i biedy. Po emigra-
nej Polsce chodzi się piechotą — wyjeżdża się z niej samo-
odem. ,,Polska na obczyźnie'' w odróżnieniu od Polonii —

jest stara i biedna. I tylko ta Polska stara i biedna interes się ,,zamkiem'', orędziami Rady Trzech czy posiedzeniami Eg kutywy.

Owi 100% emigranci polityczni, ów trzon i rdzeń opic jący się już nie tylko naturalizacji, lecz nawet adaptacji z pun widzenia socjologii nie stanowią elementu najlepszego. Niezd ność przystosowania się do nowych warunków nie jest przejaw niezłomnej wierności polszczyźnie, lecz niemal z reguły kons wencją przekroczonej granicy wieku, studiów (humanistyczny niedostatecznej znajomości języka itp.

Owa ,,hard core'' emigracji — jak zwykle bywa w tak wypadkach — przyjęła pewien styl, który jest racjonaliza klęski.

Pewien major, który pracuje w londyńskiej fabryce bisk tów, powiedział mi kiedyś: ,,Nie zmieniam obywatelstwa, pcham się do Anglików, jestem wierny przysiędze''.

Akcent w powyższym zdaniu spoczywa na określeniu: ,, pcham się''.

Polsce nic nie zależy na tym by pan major X wypiekał b kwity. Z punktu widzenia polskich interesów byłoby lepiej, major X ,,pchał się tak jak inni'' i miał dobre i odpowiedzia stanowisko. Ale nasz major jest zawodowym oficerem artyl (konnej!) i minął wiek kiedy można jeszcze czegoś się naucz Jego teoria patriotyczno-moralna, choć pozbawiona podstaw gicznych, umożliwia mu znoszenie deklasacji społecznej jak jest ofiarą. Łatwiej jest bowiem znosić deklasację socjalną w rząc, że jest konsekwencją dobrowolnie przyjętej postawy mor nej, niż przyznać się przed samym sobą do klęski życiowej. J przyjemniej myśleć o sobie jako o niezłomnym charakterze wyznać w skrytości ducha, że nie ma się kwalifikacji do przys sowania się do zmienionych warunków.

Jest rzeczą psychologicznie zrozumiałą, że owa grupa u śledzona materialnie a często zdeklasowana społecznie, otoczo morzem obcości — szuka rekompensaty. Owo dążenie przejav się w różnych manifestacjach. Do formacji rekompensacyjny należy werbalistyczny patriotyzm a przede wszystkim budowa ,,umownej rzeczywistości''.

Przed kilku tygodniami otrzymałem piękny druk, który gło

,,Rektor i Senat Akademicki Polskiego Uniwersytetu Obczyźnie uprzejmie prosi o przybycie...''

Jaki ,,rektor''? Jaki ,,senat''? Tu w Londynie, w centr wolnego zachodniego świata bawić się w ,,podziemne uniwer tety''?

Można jeszcze mówić o ,,rządzie''. Wiadomo, że rząd m być przez jednych uznawany, przez innych nie uznawany, a mi to być rządem. Ale uniwersytet? Po tej stronie ,,żelaznej k tyny'', albo dana szkoła jest uniwersytetem albo uniwersytet nie jest — trzeciej ewentualności nie ma. O ileż prościej, rzec wiej i mniej pretensjonalnie byłoby nazwać zasłużoną uczel na Bolton Gardens — powiedzmy — kursami uniwersyteckimi

Jak kiedyś poruszyłem tę sprawę z jednym z wykładowców
JNO — roześmiał się i powiedział: ,,Panie, dopóki nie wydają
płomów lekarskich pozwólmy im się bawić. Jak zaczną fabry-
wać chirurgów będzie czas podnieść alarm''.

Ilekroć zdarzyło mi się rozmawiać z naszymi dygnitarzami,
żdy z nich (z wyjątkiem Cata-Mackiewicza) na dźwięk lubego
tułu odpowiadał: ,,Ależ panie kolego, niechże pan da spokój
tym ministrem!'' Oczywiście spokoju nie dawałem i ku rado-
mego rozmówcy częstowałem go gęsto ,,panem ministrem''
ale niemniej ta reakcja jest bardzo charakterystyczna. Dany
gnitarz (podobnie jak ów wykładowca PUNO) chciał dać do
ozumienia, że zdaje sobie sprawę z fikcyjności sytuacji. Owa
voistość schizofreniczna manifestuje się wszędzie. Ludzie, któ-
y w Polsce emigracyjnej zajmują dygnitarskie stanowiska
urzędy boją się panicznie by ich ktoś nie posądził, że ,,umowną
eczywistość'' którą żyją — traktują poważnie. Każdy z tych
nów z osobna, w cztery oczy, gotów jest wszystko ośmieszyć
zaprezentować się jako ów jedyny normalny i zdrowy w tym
nigracyjnym zaczarowanym kole.

Proces ,,przystosowania i rozmieszczenia'' by użyć nomen-
atury śp. PKPR'u, dobiegł kresu. Ci, którzy mieli możliwości,
powiedni wiek, przygotowanie zawodowe i energię — opu-
ili zaczarowany krąg. Na dnie sita został element, który z uwa-
na przekroczony wiek i typ studiów nie nadaje się do adapta-
. W ten sposób pomiędzy Polonią a owym ,,hard core'' zary-
wała się wyraźna granica.

Oba ,,państwa na emigracji'' opierają się niemal wyłącznie
,,hard core''. Innymi słowy na elemencie najbiedniejszym,
jmniej aktywnym, którego poczucie rzeczywistości jest często-
oć spaczone.

Nie leży w niczyim interesie, a już na pewno nie leży w inte-
sie sprawy polskiej, by intensywność związku z polskością ro-
ı proporcjonalnie do malejących dochodów, osiągając maksi-
um natężenia u tych, którzy żyją z zasiłku Assistance Board.

Ów proces proletaryzacji polskości musi być zatrzymany.
żeli chcemy prowadzić jakąś politykę nie możemy być sektą ubo-
ch dziwaków.

Ci co pozostali na po-PKPR'owskim placu zbiórki podnieśli
óstwo do rangi narodowej cnoty i synonimu odporności na obce
entury. Z dziadowania uczyniono styl polityczny tworząc emi-
acyjną Polskę à la bohème.

Premier Mackiewicz powiedział mi własnoustnie, że jego
nsja wynosi 5 funtów tygodniowo. Styl Polski à la bohème
ymaga by wszyscy ,,dla Sprawy'' pracowali darmo lub pół-
rmo, by na nic nie było pieniędzy — by wiecznie apelować i że-
ać natomiast nigdy nie ogłaszać sprawozdań finansowych.
tym klimacie jest rzeczą nieprzyzwoitą interesować się bilan-
m takiej czy innej instytucji — lub dochodzić zbyt natarczywie
czyje pieniądze prezes X. wyjechał na trzy miesiące do Sta-

nów Zjednoczonych. O pieniądzach się nie mówi, tak jak nr mówi się o nieboszczyku, który za życia nie cieszył się zb pochlebną reputacją.

Tak jest u nas w romantycznym polskim Londynie. Ale n wszędzie tak jest.

W „Kulturze" Nr 11/85 p. E. Żagiell zamieścił interes jącą korespondencję obrazującą rozwój i rozmach tej innej em gracji, która przed kilku laty opuściła PKPRowski plac zbiórk

W Australii przeciętne konto bankowe emigranta wyno około £ 600. Fundusze Polonii australijskiej ocenia się dziś n 30 milionów funtów — na co składa się około 7 milionów funtó w bankach, około 8 tysięcy własnych domów, setki gospodarst i setki przedsiębiorstw handlowych.

Analizując osiągnięcia Polaków w Australii, w Kanadzi w Afryce, w Stanach Zjednoczonych i tu na wyspach brytyjskic — musi się dojść do wniosku, że ogólnie biorąc Polak jest prze siębiorczy, pracowity i „successful" pod warunkiem, że *obc* robią za niego politykę...

Jeżeli porównać osiągnięcia Polaków w dziedzinie gosp darczej, zliczyć owe tysiące kwitnących firm handlowych, go podarstw, zakładów przemysłowych itp. i tej aktywności i dyna mice przeciwstawić zdziecinniałe, paralityczne niedołęstwo na szych instytucji politycznych to musi się dojść do przekonania że Polacy albo są pozbawieni całkowicie talentu politycznego — albo, że istnieją dwie emigracje i tylko jedna z tych emigrac wyłoniła dotychczas instytucje polityczne na własną miarkę i uży tek.

Dopiero tu na obczyźnie można w pełni wymierzyć braki wy robienia politycznego w następstwie złej szkoły dwudziestoleci Brak nam zmysłu demokratycznego, brak nam elementarneg wyrobienia w szukaniu kompromisowych rozwiązań i w grunci rzeczy nawet partie polityczne z tradycji opozycyjne — instynk townie oglądają się za jakimś nowym syntetycznym Piłsudskim którego autorytet i osoba zastąpiłyby wszystko czego nam ni dostaje.

◆

Mój afrykański przyjaciel wysłuchał bez większego zaint resowania relacji o „kryzysie konstytucyjnym" (o którym ni nie wiedział!), zapalił fajkę i uśmiechnął się pogodnie.

— Niech pan sam powie, czy stateczny gentleman na odpo wiedzialnym stanowisku może traktować poważnie ów cały „za mek", Radę Trzech czy dwoisty Skarb Narodowy? Czy pode muje się pan przekonać mnie, że ci ludzie robią coś rozsądneg lub, że kiedyś w przyszłości coś rozsądnego zrobią?

— Nie zamierzam pana przekonywać. Ale pomówmy szcz rze. Czy na dnie duszy nie jest pan zadowolony, że w tym Lor dynie panuje takie kompromitujące bezgłowie? Fakt, że ni musi pan naszych przywódców traktować poważnie nie tylk

atwia ale w pewnym sensie nawet moralnie rozgrzesza decyzję dwrócenia się plecami od tak zwanej Sprawy polskiej.

Mój afrykańczyk sięgnął do kieszeni i z pliku papierów wydobył arkusz z firmowym nadrukiem. Rozprostował go dłonią a blacie stołu, włożył bez pośpiechu okulary i spojrzał na mnie uwagą.

— Nim pan wyda wyrok czy odwróciłem się od tzw. Sprawy olskiej czy też nie — ustalmy wpierw sens tego terminu. Widzi an, tu leży na stole rozliczenie mojego londyńskiego banku. tego zestawienia wynika że w okresie ubiegłych trzech lat mojego konta wypłacono 960 funtów za paczki wysłane do Kraju. Jan panu się wydaje, kto finansuje tę olbrzymią akcję aczkową do Polski? Kim są ci ludzie, którzy są klientami Hasoby, Tazabu i innych wielkich firm wysyłkowych? Czy sądzi an, że są to poplecznicy p. Mackiewicza czy zwolennicy Rady 'rzech? Zapewniam pana, że ta akcja — jedyna konkretna i poyteczna akcja na Kraj jaką robimy — w 80% finansowana jest rzez Polaków, którzy pracują, zarabiają i już dawno przestali ię orientować czy gen. Anders jest zwolennikiem czy przeciwniiem Rady Politycznej, czy p. Mackiewicz jest prezesem Egzeutywy a gen. Odzierzyński premierem czy też na odwrót. Z całą twartością wyznaję, że jestem zupełnie nie zorientowany w lonyńskich kryzysach konstytucyjnych i z niemniejszą otwartością vyznaję, że do tych intryg i personalnych rozgrywek nie przyviązuje żadnej wagi. Gdyby jednak pan zechciał przeegzaminować nnie z wiedzy o Kraju — to kto wie czy nie okazałoby się, że gzaminowany lepiej jest zorientowany w przedmiocie niż egzaninator. Kupuję stale pisma krajowe, przestudiowałem dokładie komplet krajowych zeszytów „Kultury" i śledzę z największą wagą wszystko co dzieje się w Polsce. Jeżeli więc przez Sprawę olską rozumieć będziemy nie londyński tygielek lecz Kraj — o zarzut pański, że odwróciłem się od polskości jest całkowicie ezpodstawny.

Tak oto wytworzył się typ emigrantów (czy członków Polonii) tórzy czynny ofiarny patriotyzm łączą z zrezygnowanym indyerentyzmem politycznym.

Mojemu afrykańskiemu przyjacielowi mogłem łatwo powiezieć: drogi panie — pomoc materialna dla Kraju i śledzenie rzemian zachodzących w Polsce to wprawdzie wiele ale nie szystko! Pomoc dla Kraju i studium przemian bez czynnej poliyki niepodległościowej — to tak jak samochód bez kierownicy. le nie wysunąłem tej sprawy. Bo gdzież jest owa niepodległociowa polityka?

Dziś jeżeli ktoś wypowiada się za polityką niepodległościoą a w następnym zdaniu nie precyzuje dokładnie co przez to ozumie — tumani siebie i swych słuchaczy.

Celem każdej partii i każdego nowego odłamu partii czy rganizacji politycznej jest „przywrócenie Polsce niepodległości". Ichwaliwszy taką deklarację mogą wszyscy spokojnie wrócić do omu, ponieważ nie leży w mocy zebranych urzeczywistnienie

uchwalonego postulatu. W ten sposób polityka niepodległości wa stała się ,,odpustem zupełnym'', który zwalnia od wszelkieg programu i działania. Gdyby członkowie frakcji Nr 4. Ligi Y uchwalili, że zbiorą 100 funtów na komplet polskich książek d szkoły w Australii czy w Nowej Zelandii — wówczas należałob opracować plan zbiórki, zastanowić się nad tytułami książek źródłami zakupu, sposobem wysyłki — jednym słowem trzeb by coś robić. Polityka niepodległościowa tego rodzaju kłopotó nie nastręcza. Nie potrzeba nic robić wystarczy ją tylko uchwa lić.

Sytuacja emigracyjnych reprezentacji politycznych na prze strzeni ostatnich dziesięciu lat uległa zasadniczej zmianie. W ro ku 1945 na terenie Europy znajdowało się ponad milion mło dych emigrantów z krajów wschodnio-europejskich. Większość z nich posiadała wyszkolenie i doświadczenie bojowe. Wówczas — nie brygadę ale potężną armię wyzwoleńczą wschodnio-euro pejską można było zorganizować w przeciągu kilkunastu miesię cy. Istnienie takiego potencjału siły w zasięgu wpływów poli tycznych ośrodków emigracyjnych nie leżało w interesie Sowie tów. I.R.O. i dziesiątki innych organizacji rozładowało tę poten cjalną armię — wybierając młodych i zdrowych oraz dbając przezornie by ci młodzi i zdrowi wyjechali możliwie jak najdalej Nie idę tak daleko jak pewni politycy wschodnio-europejscy, któ rzy w tym rozładowaniu dopatrują się działania ukrytych ,,sprę żyn'' sowieckich. Faktem jest jednak, że tą operacją kierownic two emigracyjne odcięto od najwartościowszego elementu i de facto rozbrojono.

Równocześnie ulegała zmianie sytuacja międzynarodowa W roku 1948 w jednym z biuletynów wydawanych w Londyni czytałem artykuł w którym autor odradzał Polakom kupowani domów w obliczu zbliżającej się wojny, którą nasi wodzowie wy trwale zapowiadali. Dziś nawet zawodowi pułkownicy pokupo wali domy i osiedlili się na dobre. Nikt nie mówi o wojnie.

Wszystko uległo gruntownej zmianie. Wszystko z wyjąt kiem naszej polityki i polityków. Ci sami ludzie — te same me tody.

Jeszcze rząd gen. Bora-Komorowskiego operował budżetem około 30 tysięcy funtów miesięcznie. Budżet premiera Mackie wicza obraca się w ramach 150 funtów. Skarb Narodowy jeszcz przed dwoma laty przynosił około 40 tysięcy funtów roczni Dziś nie wiem czy przynosi 400 funtów.

Jeszcze pół roku temu spór między opozycją a stronnictwam rządowymi dotyczył tylko interpretacji tzw. umowy paryskie Dziś nikt nawet nie wspomni o umowie paryskiej, gdyż na przywódcy i wodzowie łamią samowolnie Konstytucję gruzy lega lizmu sypiąc pod fundamenty własnych snów o potędze. Doda my do tego sprawę Bergu i obraz tego rumowiska będzie ca kowity.

Gdyby przywódcy emigracyjni mieli jakiekolwiek poczuc rzeczywistości to sporządziwszy bilans swych dokonań na prz

-zeni ostatnich lat winni przyznać się otwarcie do pełnego ban-łuctwa.

Wracam do punktu wyjścia tych rozważań. Istnieją dwie -lskie emigracje : A i B. Emigracja A — to ci, co pozostali na -ndyńskim PKPR'owskim placu zbiórki. Emigracja B — to Po-nia w zamorskich krajach osiedlenia. Oczywiście i w Anglii -nieje emigracja B ale politycznie Wielka Brytania jest głów-m ośrodkiem emigracji A.

Emigracja B straciła całkowicie zaufanie do kierownictwa -litycznego i przestała się tymi sprawami interesować. Zarów- rząd iak i TRJN są formacjami Emigracji A i nie mają żad-go tytułu do reprezentowania Polonii.

Krótko i po prostu: ludzie poważni nie traktują poważnie -szego kierownictwa politycznego. Ludzie, którzy pracują a czę-) zajmują odpowiedzialne stanowiska nie mogą traktować po-ażnie owej ,,Polski à la bohème'' która rozrzewnia londyńskich -arszych panów na zasiłku ,,Assistance Board'', ale nikogo po- tym. Żałosne wierszyki patriotyczne, ,,podchorążówki'' po-iemne (,,Leśne echa''... w Hyde Parku), wieczne składki i gro-e wdowie, akademie i deklamacje — to jest ów egzotyczny kli-at Emigracji A — który odcina nas od reszty świata i Polonii.

A ponad tym wszystkim królują działacze i prezesi, którzy -e uprawiają polityki tylko oddają się ,,robocie politycznej''. Na -ymże ta ,,robota'' polega? Prezes Y. wyjechał na kilku mie-ęczny pobyt do Ameryki. Dawniej tego rodzaju podróże finan-wano z kas partyjnych. Po kilku miesiącach pan prezes Y. wró- na Londynu łono a wówczas w polskiej prasie stołecznej ukaże ę notatka, że ,,...w środę w Ognisku Polskim odbył się wieczór czasie którego p. prezes Y. przy lampce wina podzielił się z za-oszonymi gośćmi swoimi wrażeniami ze Stanów Zjednoczo-ych''.

Obecnie gdy ,,pomoc Marshalla'' ustała, liczyć się należy faktem, że tego typu wycieczki krajoznawcze (których jedynym -zultatem są wieczorki w Ognisku) opłacane będą z kieszeni -atników Skarbu Narodowego.



Na dobrą politykę składają się trzy elementy :

1. Program,
2. Odpowiedni ludzie,
3. Środki finansowe.

Z powyższych trzech elementów najważniejszy jest program, tylko konkretne cele i zadania mogą skupić na sobie uwagę -ołeczeństwa i skutecznie apelować do jego ofiarności.

Programu nie ma ani rząd, ani Egzekutywa. Premier Mac-ewicz w artykule ogłoszonym w londyńskich ,,Wiadomo-iach'' rację stanu na chwilę obecną ujął w łacińskiej dewizie : -zede wszystkim nie szkodzić (primum non nocere). To jest nie-ątpliwie wiele, jeżeli rząd nie szkodzi ani państwu ani obywa-

telom, ale jeżeli jego jedynym zadaniem jest nie szkodzić — n łatwiej wykonałby ów zbożny plan podając się do dymisji. Jed bowiem jest pewne: rząd, który nie istnieje nikomu nie szkod

Programem Egzekutywy jest zmusić p. Zaleskiego do abc kacji. Jednak w moim zrozumieniu prawdziwy dramat dla Eg kutywy zacznie się w dniu w którym p. Zaleski ustąpi. Uważ bowiem za wykluczone by w obecnej sytuacji — kandydaci fo matu gen. Sosnkowskiego czy gen. Andersa zechcieli przyj tak wątpliwą pod względem prawnym i moralnym godność ja stała się emigracyjna prezydentura. Jestem pewien, że gdy któregoś dnia p. Zaleski złośliwie zrezygnował, Egzekuty musiałaby szukać kandydata już nie w Nairobi lecz w Mat Grosso.

Zarówno rząd jak i Egzekutywa głoszą politykę niepodległ ściową. Co to znaczy? W praktyce to nic nie znaczy.

Terminu ,,polityka niepodległościowa" wolno nam używ tylko wówczas jeżeli określa on konkretny, praktyczny progra będący w toku realizacji.

W chwili obecnej mianem polityki niepodległościowej możn określić przede wszystkiem program zmierzający do wzmożen wszystkimi dostępnymi środkami żywotności polszczyzny — jej wyrazie politycznym, kulturalnym i organizacyjnym.

Czy dzięki waszej polityce — panowie prezesi i przywódc po obu stronach londyńskiej barykady — Polacy w Europie i z morzami, którzy stracili kontakt z polszczyzną zostali odzyskan Czy dzięki waszej polityce choćby jeden Polak w Nowej Zeland czy w Australii zaprenumerował polskie pismo i zaczął interes wać się polskimi sprawami? Czy jednym słowem waszą akc wzmogliście potencjał polszczyzny w wolnym świecie?

Odpowiedź na powyższe pytania musi wypaść negatywni Na skutek akcji politycznych ośrodków londyńskich tysiące P laków w świecie odwróciło się od organizacyjnego życia polski go i straciło nie tylko zainteresowanie ale wiarę w jakąkolwie polityczną działalność na emigracji.

Politykę mierzy się wynikami. Wyniki polityki londyński są katastrofalne i w żadnym wypadku nie są godne miana po tyki niepodległościowej.

Powiedziałem powyżej, że na dobrą politykę składają się tr elementy: program — ludzie — pieniądze. Na emigracji nie br ani ludzi, ani pieniędzy. Londyńscy działacze wiecznie załamu ręce i biadają: nie ma odpowiednich ludzi, nie ma ludzi! Na em gracji jest wielu wybitnych i uzdolnionych ludzi, którzy stron od życia politycznego w jego obecnej postaci. Ani rząd, ani E zekutywa nie mają żadnych szans by tych ludzi zjednać i prz ciągnąć.

Na emigracji nie brak również pieniędzy. Jednolity, dem kratycznie zorganizowany Skarb Narodowy mógłby po roku c po dwóch — przynosić 150 tysięcy funtów rocznie a może więc Nie ma żadnych istotnych powodów do dziadowania. Emigrac polską stać na to by budżet jej centralnej politycznej organiza

racał się w granicach 150 do 250 tysięcy funtów rocznie i by
/bieralni funkcjonariusze, którzy pracy organizacyjnej poświę-
libv swój cały czas — byli dobrze zapłaceni.
Ale przyciągnąć zarówno ludzi jak i pieniądze może tylko
ważna organizacja o konkretnym programie.
Przez poważną organizację należy rozumieć organizację opar-
o zasady demokratyczne (wybory) — przez konkretny pro-
am należy rozumieć ustalenie praktycznych celów i zadań.
Najpierw trzeba powołać reprezentację, następnie sprecyzo-
ać program i dopiero ogłosiwszy konkretne cele i zadania wol-
apelować o pieniądze.
Wreszcie naszym zadaniem jest przetrwać — nie topnieć
aktywizować polskość wśród tych którzy są narażeni na wyna-
dowienie. By zrealizować ten cel potrzebny jest wszechstronny
niały i dynamiczny program kulturalny.
Komentując mój artykuł pt. „Polacy i poganie" pewien
edoważeniec londyński napisał: „p. Mieroszewski rezygnuje
wszelkiej akcji politycznej i doradza tylko działalność kultu-
lną".
Oczywiście według naszych polityków kultura jest dobra tyl-
dla tzw. intelektualistów. „Intelektualista w polityce — jak to
yjaśnił nam „Orzeł Biały" (Nr 47/646) — jest rzeczą równie
agiczną jak np. archeolog w finansach, inżynier w administra-
i i klarnecista w laboratorium atomowym".
Jasne ! Polityka jest tylko dla generałów i pułkowników.
Doprawdy czytając tego rodzaju wypowiedzi ogarnia czło-
ieka śmiech pusty a potem litość i trwoga. Ci gentlemeni siedzą
ętnasty rok na Zachodzie. Widzą jakim przepotężnym narzę-
ziem w rękach Sowietów jest wpływ kulturalny i... intelektua-
ści, których mózgi są teatrem operacyjnym Nr 1 w tej wojnie
ezdymnej o panowanie nad światem. Ale dla tych panów kul-
ra to jest jeszcze ciągle „Wydział Kultury i Oświaty" tolero-
any z łaski przy dowództwie.
Czy od tego typu mężów stanu można oczekiwać zrozumie-
a, że w obecnej sytuacji międzynarodowej (a polskiej sytuacji
szczególności) kultura jest jednym z *kardynalnych instrumen-
w polityki?* Być może nie bombie wodorowej lecz kulturze
intelektualistom) przyjdzie zadecydować o zwycięstwie lub
ęsce. Rosjanie w pełni to rozumieją — ale dla naszych wodzów
telektualista w polityce to klarnecista w laboratorium atomo-
ym.
Sytuacja nasza jest bezmiernie, bezprzykładnie trudna. Żeby
zełamać nieufność, indyferentyzm polityczny i olbrzymie prze-
rzenie, które nas dzielą — by przeciwstawić się sile atrakcyj-
j obcych środowisk trzeba nieszablonowej, imaginatywnej
cierpliwej polityki. Stosując świadomie ogromne uproszczenie
e waham się powiedzieć : w obecnym okresie polityka to kul-
ra !
Obok reprezentacji politycznej wyłonionej z wyborów po-
inna powstać instytucja kulturalna. Zadaniem tej instytucji by-

łoby wypracowanie szczegółowego programu kulturalnego i cz wanie nad jego realizacją. To są sprawy zbyt poważne i z punk widzenia polityki niepodległościowej zbyt zasadnicze — by mi o nich decydować generałowie i prezesi. Ten kardynalny dz naszej polityki winien być ustalony i opracowany przez owy ,,klarnecistów'' czyli intelektualistów.

Co stanowi istotę zjawiska emigracji z punktu widzenia p litycznego? Istotą emigracji jest walka kultur. Obumieranie ku tury Kraju pochodzenia i przejmowanie elementów kultury kra osiedlenia. Proces wynarodowienia odbywa się w pierwszym rz dzie na tej płaszczyźnie.

Jeżeli podejmiemy bezkompromisową walkę z kulturami kr jów osiedlenia — przegramy. Trudność emigracyjnej polity kulturalnej polega na tym, że trzeba z góry zrezygnować z atr butu pierwszeństwa i wyłączności. Kultura polska na obczyźn nie może być ani narodowo-endeckim wojującym kościołem, a państwowo-twórczym konkurencyjnym sklepikiem. Musimy nat miast umieć przekonać ludzi, że warto być Polakiem będąc ob watelem brytyjskim, australijskim czy amerykańskim. Ku tura polska musi być narodowa w środkach artystycznej ek presji a humanistyczna, tolerancyjna, ludzka w treści. Musi b bardziej humanistyczna, bardziej tolerancyjna, bardziej ludzk niż narodowe kultury krajów osiedlenia. Tylko wówczas zdo się utrzymać i przetrwać.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

PUBLICYSTYKA EMIGRACYJNA

Istnieją ośrodki badań polityki krajowej. Istnieją również ośrodki b dań polityki międzynarodowej. Natomiast nie ma ośrodka badań polity emigracyjnej.

To samo można powiedzieć o publicystyce. Jedni stoją za ,,zam kiem'', drudzy za Radą Trzech. Nikt jednak nie usiłuje badać bezstronn i niezależnie możliwości, ograniczeń i błędów polityki emigracyjnej.

Nad tym wszystkim ciąży jeszcze odziedziczony po śp. ,,sanacji'' kan ,,krytyki konstruktywnej''. Jeżeli jakiś mąż stanu głosi, że uznaje krytyk ale tylko ,,konstruktywną'' jest oczywiste iż nie życzy sobie żadnej kr tyki. W gruncie rzeczy każda krytyka jest konstruktywna. Jednak w świet obowiązującej tradycji, do krytyki upoważniony jest tylko ten, kto nie tyl dostrzega zło ale mocen jest również objawić co należy zrobić by by dobrze. Krytyka, która nie podaje cudownego lekarstwa i ogranicza s do analizy sytuacji — nie jest ,,konstruktywna'', a nie będąc konstru tywną jest przejawem defetyzmu lub zgoła wrogiej inspiracji.

Jedno z pism emigracyjnych, komentując decyzję Zespołu „Kultury" sprawie czasowego wstrzymania wpłat na (obecny) Skarb Narodowy, ąc nas zgnębić wysunęło pogląd, że Emigracja odrzuciła wszystkie ekty i sugestie proponowane przez „Kulturę".

Czy znaczenie i rolę pisma można mierzyć ilością zrealizowanych iniyw i sugestii ? Jeżeli tak, to należałoby zdykwalifikować te pisma ch publicystów brytyjskich, którzy występowali przeciwko Monachium, ż ich sugestii i rad nie posłuchano. Należałoby potępić tych nielicznych licystów, którzy występowali przeciwko Jałcie.

Teza jest absurdalna, odzwierciadla jednak plastycznie pomieszanie ć jakie panuje u nas w odniesieniu do publicystyki z jednej a praktycz polityki z drugiej strony.

Na Zachodzie od publicysty wymaga się w pierwszym rzędzie wnivej analizy i krytycznej oceny sytuacji. Przepisywanie leczenia nie jest zą publicysty lecz polityków i mężów stanu. Podobnie jak obowiązn lekarza jest trafnie rozpoznać chorobę, nawet wówczas, kiedy nie na nią lekarstwa — podobnie obowiązkiem publicysty jest rozpoznawać nawet wówczas, gdy nie potrafi w danej sytuacji wyciągnąć z rękawa ownego środka zaradczego. Od krytyka teatralnego nikt nie wymaga wskakiwał z widowni na scenę i praktycznie demonstrował aktorowi należy odtwarzać postać Hamleta. Publicysta jest krytykiem teatru tycznego i niczym więcej.

Łączenie publicystyki z aktywną polityką nie wychodzi (na ogół) na re ani publicystyce, ani polityce. Od tej, jak i od każdej innej zasady wyjątki — niekiedy znakomite.

Mackiewicz premier zamordował Mackiewicza pisarza i publicystę. Ale mia próżności ludzkiej jest niezbadana. Puszkin marzył o tytułach rskich; nie wystarczało mu, że był Puszkinem. Cat całe życie marzył m by zostać premierem a już co najmniej ministrem spraw zagranicznych. przecież premierów i ministrów mieliśmy całe kopy a Cata tylko jedo.

Rozpatrując karierę polityczną naszego premiera trudno powstrzymać się refleksji, że spośród licznych błędów jakie popełnił prez. Zaleski — jeden z największych należy uznać fakt, że dopiero w dniu 8 czerwca egłego roku, w wigilię otwarcia kryzysu, zdecydował się zamianować a premierem. Gdyby zrobił go premierem trzy, cztery lata temu acja „zamku" wyglądałaby dziś zgoła inaczej .

Dysponując 10-ma czy 20-ma tysiącami funtów Cat-Mackiewicz byłstworzył doskonałe pismo. Wówczas mógłby oddać na usługi rządu j talent publicystyczny i skupić uwagę społeczeństwa na polityce pana niera. A dziś „zamek" i uwięziony w nim Cat są politycznym nieyą.

Nasi dostojnicy wychowani w tradycji cenzury i konfiskat nie mogli ć, że na Zachodzie nie można prowadzić polityki bez własnego organu owego. Poruszałem ten temat z wszystkimi niemal premierami tłuząc im że niewątpliwie najlepiej jest mieć policję i prasę, ale jak nie policji to trzeba przynajmniej mieć prasę. Ale to byli panowie, którzy li nawet myśleli to niezmiernie wolno i ta czynność wyraźnie ich yła.

Prezydent Zaleski wolał na stanowisku premierów ludzi nie ski nych talentem ani wybitną inteligencją W normalnych czasach (gdy .dysponuje prasą i policją) tacy panowie są bezsprzecznie najodpow niejsi na ministrów i premierów. Na emigracji jednak całkowicie zaw dli. W niezwyczajnych warunkach tylko niezwykła inteligencja może s stać wymogom chwili.

JĘZYKOZNAWCZA DŻUNGLA

Należałoby sądzić, że językoznawcy powinni być na obczyźnie w nie pogotowia i mobilizacji ,bo polszczyźnie zagrażają zewsząd nieb pieczeństwa. Ale naszych filologów nie interesują sprawy bieżące. słyszałem, by któryś z nich poniżył swą akademicką mość do tego s nia by zebrać i opracować „narzecze" londyńskich Polaków. A p na ten temat mogłaby być niezmiernie interesująca.

Językoznawcy milczą — redaktorzy rządzą. Redaktor londyńsk „Wiadomości" ogłosił bullę — dekretując ekskomunikę i stos dla c litanii słów — z matki obcej wprawdzie, ale uczciwie i prawomoc naturalizowanych.

A no — na jego pięknym i skądinąd w wielkiej kulturze utrzy nym folwarku wolno mu wycinać drzewka jakie mu się podoba. dufny, sobiepański i nieznoszący sprzeciwu.

Jak się pewnie łaskawy Czytelnik domyśla — nie jestem język znawcą i zabieram głos mając jedynie do pomocy zdrowy rozsądek, zaciemniony znajomością przedmiotu.

Kiedyś, przed stuleciami, gdy w murach krakowskiej Wyższej Szk Handlowej (tzw. WSH) kładłem podwaliny pod moją znajomość ang skiego — zapytałem prof. Stanisławskiego (autora nieśmiertelnego sło nika) — czym różni się dobra angielszczyzna od złej angielszczyzn

Prof. Stanisławski wypowiedział wówczas opinię, która świadczy, jest autentycznym znawcą języka Sir Winstona Churchilla. „Przez do angielszczyznę rozumiemy angielszczyznę, którą w danym okresie hi rycznym mówi (i używa w piśmie) większość wykształconych Anglików

Proste i jasne — prawda ?

Co należy rozumieć przez dobrą polszczyznę ? Ho, ho, to nie takie proste — polszczyzna to nie angielszczyzna, mości dzieju.

Red. Prof. Dr M. Grydzewski (może już docent PUNO ?) wy swój dekret (w formie orędzia do czytelników) z okazji zamiany „ko zystencji" na „współistnienie" w artykule o St. Mackiewicza — cz wybitny autor poczuł się dotknięty, dowodząc (i słusznie !) że koegzyst cja a współistnienie to nie jedno i to samo.

Pewne słowa obcego pochodzenia usynowiamy — nie dlatego w polskim języku nie mają odpowiednika — ale dlatego, że posiad pewien wydźwięk treściowy ściśle związany z daną epoką, z dan okresem historycznym. Weźmy dla przykładu słowo „kolaborant". Pis opowiadanie nowelę czy powieść z okresu okupacji niemieckiej jest rze niemożliwą słowo „kolaborant" zastąpić czysto polskim słowem „wsp pracownik", gdyż — na tle tego okresu historycznego — „kolabora znaczył zupełnie co innego niż „współpracownik".

W czystej teorii słowa „koegzystencja" i „współistnienie" pok

ą się całkowicie. Mimo to jednak, w obecnej epoce termin koegzys-ja nabrał swoistego wyrazu i tło skojarzeniowe „koegzystynencji" różne od tła skojarzeniowego „współistnienia". Redaktor, który tego wyczuwa nie rozumie współczesności, nie ma poczucia tonacji słów, ymi wyraża swe myśli współczesny Polak.

Kto ma o tym wszystkim wyrokować i kto kogo ma pouczać jak eży a jak nie należy pisać po polsku?

Osobiście przyjmuję z pokorą i wdzięcznością każdą uwagę doty-ą mojej angielszczyzny. Nie mam dziś nawet ambicji na temat mojej nczyzny. Jeżeli jednak chodzi o polszczyznę to przy wrodzonej i na-ej skromności sądzę, że ludzie mojego fachu, którzy od ćwierć wieku ymują się z pisania po polsku — decydują suwerennie o tym co w da-ı okresie i pokoleniu jest dobrą polszczyzną a co nią nie jest. Nie łodzy, nie uchwały akademii, nie przyczynkarze i nudziarze, nie słow- — lecz my, ogół wykształconych Polaków, decydujemy co jest rą a co złą polszczyzną w roku Pańskim 1955.

Dla polskiego dziennikarza, publicysty czy literata nie może być nym autorytetem A. Kryński, który żył 100 lat temu i któremu nawet nie śniło o kolaboracji czy koegzystencji. Dla Polaka przebywającego 15 lat na obczyźnie i piszącego dla Polaków od 15 lat przebywają-h na obczyźnie — nie może być wyrocznią nawet nieśmiertelny prof. sch, który przy całej swej bezsprzecznej znakomitości — nie ma po-a o przemianach jakie dokonują się w polszczyźnie używanej przez aków przebywających niemal od dwóch dziesiątków lat na Zacho-e.

Owe wpływy i przemiany są olbrzymie. Nie tylko usynawiamy pewne ennie angielskie słowa ale i rdzennie polskim słowom i określeniom ajemy odmienny sens. Dla mieszkańca Starego Sącza, który nie umie angielsku i nie słucha audycji zagranicznych — słowo „współpasażer" acza wyłącznie towarzysza podróży w autobusie do Kurowa. Nato-st dla Polaków na Zachodzie — „współ-pasażer" to oczywiście llow-traveller" czyli krypto-komunista.

Tego typu przykładów można by cytować dziesiątki. Oczywiście te wy nie interesują naszych językoznawców bo oni polszczyzną, którą mówimy, zajmą się na swych seminariach dopiero w roku 2549.

Namiętnym puryfikatorom i purystom doradzam zapoznanie się z his-ą „Komitetu zabijania słów" w orwellowskim „Roku 1984".

Czystość i poprawność to są dwie rzeczy różne. Tekst może się od obcych słów a mimo to być w zgodzie z gramatyką. I odwrotnie ty największych purystów pod względem gramatycznym pozostawiają to wiele do życzenia. Dla błędów gramatycznych nie powinno być onu, bo kośćcem polszczyzny jest gramatyka. Jeżeli chodzi o czystość wną" w mojej prywatnej opinii nie wolno jej okupywać zubożeniem azistości tekstu. I w tej sprawie nie ma obiektywnych sprawdzianów. eli autor wyczuwa, że pełniej i dokładniej przekaże swą myśl czytel-wi używając słowa „koegzystencja" zamiast „współistnienie" po-en bez wahania użyć terminu koegzystencja. Wszelka akcja zmierza-do zubożenia siły wyrazu tekstu, do zwężenia tła skojarzeniowego ych słów — jest w gruncie rzeczy akcją *anty-językową* bez względu o co o tym myślą puryści.

O PANU Z. S.

„Kultura" jest jednym z najczęściej cytowanych pism w prasie re[illegible]mowej i jest najzjadliwiej zwalczana przez komunistów. Jako publicy[illegible] „Kultury" jestem przedmiotem stałych ataków prasy komunistycznej [illegible] cenię sobie wysoko z dwóch względów. Po pierwsze jest to dowod[illegible] że „Kultury" przemilczeć nie można. Po drugie — w dzisiejszej syt[illegible]cji publicysta emigracyjny może ożyć w oczach Kraju tylko w atak[illegible] wrogów.

„Orzeł Biały" nie po raz pierwszy drogą insynuacji usiłuje rzu[illegible] cień na „Kulturę" i jej współpracowników.

Pan Z. S. autor artykułu pt. „Dwaj panowie «M»" (Nr 49/6[illegible] pisze dosłownie :

„P. J. Mieroszewski zyskał sobie uznanie komunistycznego dzien[illegible]karza..."

A w innym miejscu p. Z. S. zapewnia swych czytelników, [illegible] p. Arski (dziennikarz komunistyczny) „zachwala p. Mieroszewskiego[illegible]

O tym, że tenże p. Arski nazwał tegoż p. Mieroszewskiego „niepr[illegible]jednanym wrogiem władzy ludowej" p. Z. S. nie wspomina, bo cho[illegible] tu przecież o wywołanie wrażenia, że „Kultura" jest chwalona, cyto[illegible]na, ceniona i ...krypto-komunistyczna.

Ach, znamy te przedwojenne szlachetne metody szlachetnego prze[illegible]wojennego obozu. Krok od insynuacji — ćwierć kroku od prowoka[illegible] a w sumie anonimowy donos. Czym się ci panowie różnią od donosici[illegible] typu p. Arskiego ? Chyba tylko tym, że p. Arski jest niepomiernie b[illegible]dziej inteligentny.

Na dnie tej obrzydliwej notatki pełga tłumiona zawiść. „Orła Bi[illegible]łego" nikt, nigdy, nigdzie ani nie cytuje ani nie zwalcza; pana Z. [illegible] również. Ale to jest zwykły los nudnych zer — z czym pan Z. S. i [illegible] współpracownicy „Orła" winni się wreszcie pogodzić.

LONDYŃCZYK

Wolna Trybuna

Na marginesie artykułu p. Hrabyka pragniemy zaznacz[illegible] co następuje: Jak p. Hrabyk słusznie zauważa — polityka je[illegible] sztuką przewidywania. „Kultura" swoich przewidywań [illegible] opiera na „pobożnych życzeniach", tylko na założeniu, że [illegible] dłuższą metę współistnienie świata komunistycznego z świate[illegible] Zachodu nie jest możliwe. Mimo ciągłych zmian taktyczny[illegible] „rewolucja światowa" jest zawsze głównym celem do które[illegible] dąży i dążyć będzie Związek Sowiecki. Okres koegzystencji mo[illegible] trwać 10 czy 15 lat — nikt jednak ani w Moskwie ani w W[illegible]szyngtonie nie łudzi się, że jest to rozwiązanie ostateczne.

Jeżeli chodzi o Kraj — obecnej sytuacji nie można poró[illegible]nywać z sytuacją sprzed pierwszej wojny światowej. Polacy [illegible] są obecnie podzieleni na „orientacje" — nie dzielą ich równi[illegible] przeciwieństwa politycznych koncepcji typu Piłsudski cont[illegible]

nowski. Dziś nie ma ani ugodowców ani lojalistów. Można iektywnie przyjąć, że 98% Polaków w Kraju — choć z podzi- godnym uporem i żywotnością rozbudowuje byt narodu wszystkich dostępnych dziedzinach — nienawidzi zarówno osji jak reżymu. Nie ma żadnych różnic pomiędzy koncepcją lityczną Kraju a Emigracji; walczymy przeciwko temu same- u wrogowi choć różnymi metodami.

Dla każdego, kto obserwuje Stany Zjednoczone bez uprze- eń jest oczywiste, że świadomość zasięgu i znaczenia obecnego nfliktu pogłębia się stale wśród społeczeństwa amerykańskie- , choć proces ów postępuje wolno. Jeżeli przewidywania nasze ieramy na przekonaniu, że konflikt jest nieuchronny i nadejdzie oment w którym Stany Zjednoczone będą musiały powziąć za- dnicze decyzje — to w konsekwencji, jest obowiązkiem Emi- acji politycznej oddziaływać na Zachód, a w szczególności na nerykę, by — w miarę naszych możliwości — przyspieszyć olucję poglądów, które muszą dojrzeć i upowszechnić się, nim mą się fundamentem polityki amerykańskiej.

U podstaw filozofii politycznej p. Hrabyka tkwi przekona- , że obowiązkiem Amerykanów jest wyprzeć Rosję z Europy schodniej. Jedynym natomiast naszym zadaniem jest oburzać że jeszcze tego nie zrobili. Wszystko ma robić Zachód, z któ- m p. Hrabyk wprawdzie się nie solidaryzuje (jeżeli przez Za- ód rozumieć Amerykę) rezerwuje sobie natomiast prawo kry- ki. W tej koncepcji, Emigracja jest już nie tyle na marginesie chodu, ile w ogóle, poza nawiasem wolnego świata.

Jeżeli Amerykanie nie zamierzają w najbliższym czasie wy- zeć Sowietów z Europy wschodniej — p. Hrabyk radzi byśmy nyli ręce i oświadczyli, że nasze interesy nie mają nic wspól- go z interesami amerykańskimi.

„Kultura" stoi na stanowisku (czemu dawaliśmy wyraz dziesiątkach artykułów), że Emigracja nie jest politycznym o-man's land", lecz jest częścią Zachodu i przynależy w pełni koalicji wolnego świata. W proporcji do naszych możliwości naszej liczebności jesteśmy współodpowiedzialni za przemiany konywujące się na Zachodzie.

Polityka amerykańska nie jest tylko polityką amerykańską; pewnym sensie jest również polityką brytyjską, francuską, bel- ską, holenderską, duńską i... polską. Co to znaczy? Oznacza że nawet państwa kalibru Wielkiej Brytanii są w pewnym pniu zależne od Stanów Zjednoczonych. Głoszenie w tych wa- nkach całkowitej niezależności polityki polskiej od Ameryki ezależności nie w sensie finansowym lecz ideologiczno-politycz- m) jest całkowitym nonsensem. Zarówno my, jako Emigracja, i państwa Zachodu jesteśmy związani z Ameryką zarówno wczas kiedy polityka amerykańska jest słuszna i celowa, jak otedy, kiedy polityka ta jest błędna. Po tej stronie barykady ajdujemy się wszyscy na pokładzie jednego okrętu. Jeżeli ktoś godzi się z polityką kapitana może opuścić statek... skacząc morza. To jest wyjście, które sugeruje p. Hrabyk.

Po tej stronie „żelaznej kurtyny" możemy współpracow tylko z Stanami Zjednoczonymi i decyzję w tym względzie ka dy z nas powziął w dniu, w którym postanowił nie wracać Kraju i pozostać na Zachodzie. Współczesna polityka — ch w bogactwie form i zagadnień jest procesem złożonym — u d sprowadza się do prostej alternatywy: albo z Ameryką, al z Rosją. Ci, którzy głoszą, że polskie interesy są sprzecz z sowieckimi a nie mają punktów stycznych z interesami amer kańskimi — propagują polityczny nihilizm, wyłączają bowie Sprawę polską z układu realnej polityki. Polityka polska — wr ga w stosunku do Sowietów a neutralna w stosunku do Zacho i Ameryki w praktyce równałaby się stwierdzeniu, że na Spraw polską nie ma miejsca na tej planecie.

Polityka jest istotnie sztuką przewidywania i dla tego nas koncepcję opieramy na przekonaniu, że walkę o hegemonię n światem narzuconą Ameryce przez Sowiety — Ameryka p dejmie i wygra, choć zarówno formy tej walki jak i dzień zw cięstwa trudne są do przewidzenia. Ci polscy politycy, którzy w zwątpili marnują czas przebywając na Zachodzie.

REDAKTOR

◆

Dobre samopoczucie jest podobno połową zdrowia nie tylko ludzi a i wydawnictw. P. Juliusz Mieroszewski w swoim artykule „Budujem dom" wykazał niewątpliwie pomyślne samopoczucie, opierając je na ró nych przesłankach uzasadniających nieprzerwaną ciągłość „Kultury".

Wśród nich zwróciła moją uwagę zasada — jak to stwierdza aut — przestrzegana przez „Kulturę", że „jeśli czytelnik ma być przekona o słuszności tezy, musi brać udział w dyskusji i być aktywnym świadkie krystalizowania się danego poglądu. Nie ma dyskusji tam, gdzie oponen pozbawieni są głosu.

Należę do opozycjonistów niektórych teoryj wypowiadanych prze p. Mieroszewskiego i dlatego pragnę skorzystać z atmosfery „całkowite liberalizmu" na łamach „Kultury".

Mój opozycyjny stosunek do poglądów rozwijanych przez p. Mier szewskiego, głównego publicystę „Kultury", dotyczy stosunku, jaki wyzn cza on poglądowi polskiemu na politykę amerykańską i rolę Stanów Zjedn czonych. Problem ten posiada zupełnie zasadniczy charakter, ponieważ poglądów na to zagadnienie zależy właściwie wszystko, na co składa s wysiłek, teraźniejszość i przyszłość emigracji, a z nią również sprawy po skiej.

Jak dalece ta sprawa waży na tym wysiłku wskazuje generalna pomył polityki polskiej w czasie ostatniej drugiej wojny światowej, gdyśmy wszyst bez reszty postawili na Zachód i prawie wszystko przegraliśmy. Polity jest wymierną sumą skutków działania ludzkiego, a nie ludzkich założe które mogą być trafne lub nie, ale liczą się tylko ich rezultaty. Polity polska w czasie pierwszej wojny opierała się równocześnie na dwu złoż niach,, z których jedno było na pewno trafne, a drugie błędne. Natomiast mimo to — prawidłowość obu tych założeń polegała na tym, że polity

ska postawiła wówczas na dwa konie, z których jeden musiał wygrać. czasie drugiej wojny postawiliśmy na jednego konia, który wprawdzie grał, ale kasa toru wyścigowego, w której wykupiliśmy karty naszego ı, nie wypłaciła nam wygranej. Można odpowiedzialnością za tę niesumienć obciążać dysponentów tej kasy, ale nie należy również pominąć okoliczści, żeśmy sami nie zabezpieczyli swojej wypłaty w taki sposób, aby nie ć ofiarą oszustwa.

Po takim doświadczeniu powtarzanie z naszej strony analogicznej procey byłoby niewybaczalną lekkomyślnością.

Byłaby ona tym bardziej niewybaczalna, że — oprócz doświadczenia lrugiej wojny — mamy za sobą już dalsze elementy uzasadniające jak najdziej ostrożność w stosunku do powtarzania tej samej metody.

Pierwszym z nich — to doświadczenie z ostatniego, już powojennego esu dziesięciolecia, który obalił całkowicie nasze założenia sformułowane Jałcie. Wedle niemal powszechnego przekonania Polaków nie tylko na igracji, ale i w Kraju umowa jałtańska była tylko pomyłką ze strony chodu. Jej niemoralność, jak chcieli jedni, albo niewykonanie, względnie lużycie jej ze strony Rosji, jak twierdzili inni, miało w krótkim czasie prowadzić do gwałtownego spięcia między Moskwą i Zachodem, w wyu czego powinna nastąpić trzecia wojna, klęska Rosji i wyzwolenie jów przez nią opanowanych. Na tej teorii opierała się nie tylko polska dzieja, ale niemal pewność, że wojna wybuchnie „z najbliższą wiosną". tym w głównej mierze oparte było również przekonanie o przydatności alizmu na emigracji, stąd także zrodziła się koncepcja „państwa na czyźnie", plany tworzenia armii polskiej na emigracji, postulat „przetwa-" Kraju — i cała atmosfera tymczasowości naszego położenia i sytuacji.

Polityka jest sztuką przewidywania. Polityka, która przewiduje mylnie, t złą polityką, albo nie jest nią w ogóle.

Gdyby zatem założyć, że trzeba przekonywać Amerykanów, aby jęli przywództwo, to należałoby przyjąć, że się ich prawdopodobnie przela. Nie trzeba przy tej okazji odkrywać jednak Ameryki, bo przecież co mniej od lat kilku — wolny świat nie robi nic innego, jak przekonuje nerykę, aby przywództwo objęła. Taki jest tenor wszystkich, bezustanch apelów z całego świata, co najmniej jego większości nie podlegająblokowi komunistycznemu. Do tego dołożyć trzeba głosy napływające le zza żelaznej kurtyny, z których każdy rozpoczyna się od sakramentalgo już apelu, że ludzie oczekują tam na przewództwo Ameryki i na tym erają całą swoją nadzieję i przyszłość. To wszystko jest w Stanach ednoczonych notowane i dokładnie znane.

Jakież są rezultaty tych nawoływań i tej „wojny psychologicznej"?

Rezultatem tej kampanii były znane wydarzenia na Korei, które głęko wstrząsnęły autorytetem Stanów Ziednoczonych co najmniej w Azji; em była sprawa Indochin, do których nie wysłano armii amerykańskiej, przynajmniej uniemożliwić sukces komunistów; potem nastąpiła konfecja genewska, na której kapitulacja Francji odbyła się przy biernym nowisku amerykańskim, potem była sprawa EDC i znanego obrotu czy, który co najmniej zredukował rolę Stanów Zjednoczonych w Euro- na rzecz Wielkiej Brytanii. A przedtem, blisko już dwa lata temu, a sprawa zarzucenia nawet hasła „liberation" w stosunku do krajów ranych przez Rosję.

Nie można jednak ograniczyć się tylko do tego, co było, bo trzeb wiedzieć także to, co jest i co nadchodzi. Nadchodzi z nieubłaganą kon sekwencją era koegzystencji, w której — wbrew wszystkim nadziejom po godnych optymistów — Stany Zjednoczone wezmą udział na równi z Wie ką Brytanią i innymi krajami Zachodu.

Trzeba się zatem umówić, czy polityka polska ma hołdować pobo nemu życzeniu, aby Stany Zjednoczone przyjęły przywództwo i — wbre wszystkim faktom — opierać się na tej nadziei tak samo, jak opieraliśm naszą politykę wojenną na nadziei, że Zachód i Stany Zjednoczone po zostaną wierne zasadom Karty Atlantyckiej i innych wzniosłych idej — czy też mamy rozpoznać sytuację w jej realnej postaci i choćby była on najbardziej dla nas nieprzyjemna, sformułować nasze dalsze stanowisk w oparciu o prawdziwą rzeczywistość?

Nie należy zaś ukrywać faktu, że czas pracuje stale i wytrwale n rzecz bloku komunistycznego, a nie Zachodu i że każdy rok zwłoki w jedy nie możliwej decyzji, jaką może być wojna, sprawę przyszłości losów Za chodu złowrogo zaciemnia. A właśnie w tej jedynej i najważniejsz sprawie Stany Zjednoczone wyraźnie uchylają się od przywództwa, t znaczy nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności za wywołanie zbrojneg starcia z blokiem komunistycznym. Mogą mieć do tego słuszne przyczyn ze względu na swoje własne interesy, przyczyny te można uznać nawet z obiektywnie uzasadnione, ale w żadnym razie nie uzasadnia to niczyje nadziei, aby swoją politykę budować na przekonaniu, że Stany Zjedno czone obejmą przywództwo świata, bo go objąć nie chcą i nie obejmą

P. Mieroszewski może przytoczyć dość bogaty repertuar różnych argu mentów, które będą mu służyły do podważenia tej tezy. Ale z tymi argu mentami, szczególnie w dziedzinie politycznego przewidywania, jest n ogół tak, jak z sentencjami wielkich proroków wszystko można przy pomoc ich cytowania udowodnić.

Jesteśmy wszyscy pod wrażeniem, że dotychczasowe poglądy, metody formułki i slogany nie wystarczają już na dalszy okres, którego dotychcza sowy ciąg kończy się dla nas zupełnym niepowodzeniem. Wszystko w świe cie odbywa się inaczej niż założyliśmy. Tym się tłumaczy podświadomy niemal owczy pęd ku zjednoczeniu sił, bo to jest pierwszy odruch instynkt samozachowawczego każdego żywego środowiska ludzkiego w chwili jeg zagrożenia. Kto inaczej rozumie tę reakcję, jest albo cynikiem, albo igno rantem, który nie rozumie niczego.

Celem ostatecznym dzisiejszej polityki polskiej jest wyzwolenie państw polskiego. spod wpływu i przemocy Rosji. Polityka polska w ciągu osta nich lat dziewięciu i na progu dziesięciolecia stanu wytworzonego po dru giej wojnie światowej okazuje się dlatego bezskuteczna, ponieważ nie n obecnie warunków na wyzwolenie państwa polskiego z rejonu wpływó Rosji i każda polityka zdążająca bezpośrednio do realizacji tego ce musi w tym i w dalszym, na razie nieokreślonym okresie skończyć się niepo wodzeniem. Jako emigracja nie możemy bowiem celu tego osiągnąć sam dzielnie, a siły, które mogłyby w tym pomóc — nie zamierzają obecn podejmować inicjatywy zdążającej do wykonania tego planu.

Dotychczasowy błąd polskiej polityki na emigracji polega więc na tyr że od roku 1945 do dnia dzisiejszego formułujemy nasz cel polityczn w sposób nie znajdujący żadnego praktycznego oddźwięku w reszcie świ

Polityka, która nie znajduje żadnego echa u nikogo — nie jest na
ıo polityką ani celową ani odpowiedzialną. Może być mniej lub więcej
czną propagandą, ale czysta propaganda nie jest polityką.

Jeżeli zatem nie ma szans realizacji głównego i pełnego celu politycz-
, trzeba inicjatywę polityczną podjąć w takim kierunku, który wpraw-
nie będzie zdążał do bezpośredniej realizacji głównego celu, ale stworzy
enty zbliżające nas do niej, względnie przygotowujące nas do okresu,
tórym realizacja celu okaże się możliwa. Krótko mówiąc — polityka
a musi zakreślić sobie cele zwężone, choć utrzymane w ramach naczel-
celu.

Sformułowanie celu zwężonego winno się oprzeć na szczegółowej i zu-
ie beznamiętnej analizie położenia sprawy polskiej w obecnym okresie.

Głównym jego elementem jest fakt istnienia państwa polskiego na zie-
h Polski, zajmowanych przez zwartą masę polskiego narodu, który żyjąc
ranicach tego państwa, chociaż rządzonego przez czynniki narzucone
siłą i utrzymywane przemocą — uznaje stan faktyczny, żyje w nim,
je, wykonuje w jego ramach swoje obowiązki narodowe i państwowe,
sta ze swoich ograniczonych praw. Uznawanie tego stanu przez naród
i nie oznacza z jego strony aprobaty. Historia zna okresy, w których
ly żyjąc w narzuconym im porządku — rozwijały w nim swój byt,
aż nie aprobowały formy narzuconego im ustroju. Taki stan rzeczy
je również dzisiaj w Polsce.

Istnieje on oczywiście w obecnej chwili. Gdyby sytuacja obecna
a dłużej i przedłużyła się na lat kilkadziesiąt — prawdopodobnie
eśni Polacy aprobowaliby istniejący stan jako normalny i wtedy mie-
ny do czynienia z nowym zjawiskiem, wobec którego należałoby zająć
stanowisko. Na razie jednak można bez obawy o pomyłkę stwier-
że co najmniej większość narodu polskiego, uznając istniejący stan
y w Polsce, nie udziela mu aprobaty i byłaby gotowa go zmienić,
y powstały do tego odpowiednie warunki.

Drugim elementem położenia sprawy polskiej w obecnym okresie jest
orny fakt, że — niezależnie od panującego w Polsce porządku i ustro-
- istnieją zagadnienia wspólne wszystkim bez wyjątku Polakom, które
gają w obecnej sytuacji wspólnego ich poglądu i wysiłku.

Do takich zagadnień należy na przykład problem Ziem Zachodnich
i, sprawa odbudowy i wzmocnienia Polski pod względem biologicznym,
darczym, czy kulturalnym. Do tego rzędu zagadnień należy również
nanie państwa polskiego choćby w obecnych, ograniczonych formach
ności, jak nie leży w interesie polskim włączenie Polski do Związku
eckiego. Rzeczą dyskusji pozostaje zagadnienie sił zbrojnych w Polsce.
iście sądzę, że wbrew niektórym opiniom, w interesie polskim leży,
becne siły zbrojne w kraju były jak największe i jak najlepiej wypo-
e i oby Polska reprezentowała pod tym względem możliwie największy
cjał.

uż te przykłady, a nie są one jedyne, są dostatecznie szeroką platformą,
órej realizować można politykę polską w zwężonym zakresie, chociaż
na założeniach ostatecznego jej celu. Na ogół emigracja rozumie tę
notę interesów polskich obowiązujących zarówno ją jak i Kraj, ale
zeba ukrywać, że — rozumiejąc to — nie wyciąga z tego właściwych
ych konsekwencyj.

Trzecim elementem położenia sprawy polskiej, coraz bardziej wido nym i pęczniejącym, jest sprzeczność polityki polskiej z polityką Zach nie tylko w dziedzinie polskiego celu naczelnego, jakim jest wyzwole Polski spod przewagi rosyjskiej, ale także w zakresie wielu celów zwę nych.

Ten element sprzeczności ciąży coraz bardziej na zagadnieniu polit polskiej na emigracji, która — nie należy tego taić — wchodzi w co ciaśniejszy potrzask. Tym się tłumaczy jej stałe niepowodzenie na chodzie, powodujące wśród nas wszystkich uczucie zmęczenia i bezcelow ści wysiłku.

Z potrzasku jednak można się wydobyć, jeżeli przestawimy nasze za żenia i z pryncypializmu zasad zejdziemy do granicy realnych, osiągalny celów, zgodnych z interesem Kraju.

Jedną z głównych tajemnic niepowodzenia polityki emigracji jest bo ta właśnie łatwość, z jaką ofiarujemy Zachodowi naszą współpracę, p kreślając z nim solidarność względnie unikając określania odrębności nas go stanowiska, a nie uzyskując wzamian za to żadej rekompensaty. Jes śmy wskutek tego coraz bardziej w położeniu strony, z którą nie warto liczyć, skoro i bez tego uzyska się od niej wszystko, co jest potrzeb kontrahentowi. Nie jesteśmy w stanie niczego ani wytargować, ani wym sić od Zachodu, ponieważ nie mamy w dyspozycji żadnych z naszej stro ustępstw potrzebnych w każdym przetargu. Emigracja polska, zapatrzo w pewne, tradycyjne slogany, jest wiernym strażnikiem łączności polsk z Zachodem, ale to właśnie sprawia, że nikt już zabiegać o naszą wiern nie potrzebuje. Nasza solidarność z Zachodem jest tak duża i absolutn że nie przedstawia dla nikogo żadnej ceny.

Ten stan rzeczy może nas wpędzić w poważny konflikt z Kraje który jest jedynym realnym podmiotem sprawy polskiej i bez którego wsz ka nasza działalność i inicjatywa na emigracji staje się fikcją.

Jeżeli świat zachodni zdąża do koegzystencji z Rosją, to bez wzglę na nasz stosunek do tego zagadnienia — nie możemy przybierać pozy D Kichotów i kontynuować polityki pryncypialnych zasad w stosunku do gadnień, które dotyczą interesów Kraju. Odpowiedzią na koegzysten Zachodu z Rosją, może być ze strony polskiej emigracji tylko wzmoż i wszechstronna współpraca z Krajem w tych dziedzinach, które stano wspólnotę interesu polskiego na wszystkich odcinkach świata, gdziekolw znajdują się Polacy.

Krótko mówiąc — skoro nie ma na razie warunków zrealizowa naczelnego celu niezależnej polityki polskiej, należy z jej strony doło wszystkich możliwych starań, aby potencjał polski w Kraju, bez wzgl na istniejący tam stan rzeczy, rozbudował się do rozmiarów stwarzając we właściwym momencie możliwość użycia karty polskiej jako czynn rozporządzającego możliwie największą ilością atutów.

Ta postawa odbuduje zaufanie Kraju i jego społeczeństwa do roli i z czenia emigracji. Zaufanie to, jak to powszechnie wiadomo, w ci ostatnich lat dziesięciu zostało w bardzo poważnym stopniu nadwerężo jeśli nie zburzone. Nie stało się to przypadkowo i muszą być tego ja przyczyny. Przyczyną główną jest sztywne stanowisko emigracji w stosu do nieosiągalnego celu naczelnego i jej lekceważący, a co najmniej bie a często negatywny stosunek do wiekiego procesu odbudowy Kraju

nym, potężnym wysiłkiem. Ten stosunek musi ulec radykalnej zmianie, i mamy się odnaleźć i nie zagubić. Często powtarzane wśród nas hasło atu Kraju nie może ograniczać się do sloganu, ale musi znaleźć realny z w praktycznej działalności Polaków na obczyźnie.

W mocnym oparciu o Kraj, jego tętno i wysiłek, można będzie dopiero zować plany polityczne na Zachodzie, obliczone w czasie i okolicznoś-ı. Emigracja posiadająca żywą łączność z Krajem, rozumiejąca jego esy wewnętrzne, wysiłki i tendencje, będzie ośrodkiem reprezentują-inną cenę polityczną aniżeli środowisko składające stałe, choć bez emności przysięgi wierności dla ideałów Zachodu. W takiej postawie ıa zejść z tego świata wprawdzie z chwałą właściwą niezłomnym ryce-ı, ale nie można wykonać roli przedstawicieli słusznej i celowej polityki dowej w czasach tak trudnych, jak obecne.

Klaudiusz HRABYK

Handel Polski z Zachoden

Nie zamierzamy tu pisać o wartości i tonażu handlu Pols
z poszczególnymi krajami Zachodu : na tych łamach byłyby
wywody zbyt specjalne. Chodzi nam raczej o ogólne zjawisk
które rozgrywają się na terenie, określonym przez tytuł teg
artykułu. Obecne rządy w Polsce głęboko przeorały całą stru
turę, i odwróciły kierunek, gospodarstwa polskiego. W związk
z tym nasuwają się następujące pytania : Czy istnieje możliwo
rozszerzenia handlu Polski z Zachodem ? Jeżeli tak — to w jaki
zakresie ? Czy powiększenie handlu Polska-Zachód jest w obe
nych warunkach wskazane z punktu widzenia ekonomicznych i p
litycznych interesów narodu polskiego ? Jaki, z punktu widzen
tych interesów, powinien być nasz stosunek do problemu hand
Wschód-Zachód w ogólności ?

PUNKT WYJŚCIA

Przedwojenna Polska należała — można powiedzieć : org
nicznie należała — do zachodnio-europejskiego obszaru gosp
darczego. W roku 1938 eksport Polski na Zachód wynosił 91
procent całego naszego eksportu, import polski z Zachodu w
nosił 92,2 % całego naszego importu. O ogromie przemian, któ
nastąpiły po wojnie, może świadczyć to, że w roku 1949 ekspo
polski na Zachód wynosił już tylko 57,2% całego eksportu, po
czas gdy import polski z Zachodu wynosił tylko 51,5% całego i
portu. Ale dalsze lata jeszcze bardziej oddaliły gospodarstwo p
skie od Zachodu. Miarą tego oddalenia może być fakt, że po
czas gdy w roku 1937 tylko 7% polskiego handlu zagraniczne
przypadało na blok sowiecki, to w roku 1952 cyfra ta podsk
czyła aż do 67%.

Spojrzyjmy teraz na sprawę przesunięć w kierunku hand
zagranicznego Polski nie pod kątem stosunku do bloku sowie
kiego, jako całości, ale pod kątem stosunku do samej Ros

zez szereg lat powojennych udział Rosji w handlu zagra-
:znym Polski wynosił 33%. W lipcu br. Minc napisał w ,,Praw-
ie'', że w tym roku udział ten wyniesie blisko 40%.
Przed wojną udział Rosji w handlu zagranicznym Polski
/rażał się po stronie eksportu mniej niż jednym procentem,
ś po stronie importu tylko nieco więcej niż jednym procentem.
st przy tym rzeczą istotną, że zakres handlu polsko-rosyjskiego
/kazuje obecnie tendencję stale na ogół wzrastającą. Jeżeli plan
: rok 1954 zostanie wykonany handel ten dojdzie do poziomu
7% w stosunku do roku 1947. Dr A. Zauberman oblicza, że
v porównaniu z 1953 rokiem całość obrotów zagranicznych
olski wzrosła o jakieś tylko 5% a obrotów z ZSSR — o niemal
%''. Warszawska ,,Trybuna Ludu'' z 20 kwietnia 1954 podaje
,,obroty polskiego handlu zagranicznego z krajami kapitalis-
cznymi wykazały w roku 1953 wzrost o 2% w stosunku do
52''.
Tak więc Polska z państwa organicznie zachodniego w sensie
:onomicznym stała się częścią składową sowieckiego obszaru
ospodarczego. Fakt ten ujawnia się coraz bardziej w całej poli-
ce gospodarczej rządu warszawskiego i jest ze swej strony
ódłem dalszych doniosłych skutków natury ekonomicznej i po-
:ycznej. Skutki te można najogólniej scharakteryzować w ten
osób, że w Warszawie realizowane są plany, wynikające z wiel-
ch linii polityki gospodarczej obszaru sowieckiego, jako całości,
zy czym motyw polski ustępuje miejsca ogólno-sowieckiemu
wypadkach, gdy z nim koliduje. Dzieje się to zwłaszcza w tych
rawach gospodarczych, które mają szczególnie wielkie znacze-
e polityczne : z nich najjaskrawsze było bodaj odrzucenie przez
ąd warszawski *Marshall Aid* dla Polski.
Mamy więc przed sobą proces konsekwentnego włączania
olski do sowieckiego obszaru gospodarczego, którego integracja
st wyrazem podstawowej polityki ZSSR w skali światowej. Nie
aczy to oczywiście, że polityka ta nie pozostawia żadnego
ola do handlu z Zachodem dla nierosyjskich członków tego blo-
ı. Choć bowiem sam ZSSR reprezentuje 30% handlu pomiędzy
uropejskim Blokiem Sowieckim a Zachodem, to przecież reszta
go handlu wciąż jeszcze przypada na pozostałych członków.
le z drugiej strony ta reszta rozłożona na szereg państw, daje
emal każdemu z nich mniejszy udział w handlu z Zachodem niż
n, który by przypadał w układzie stosunków, niedyktowanych
ntralnie z Moskwy. Te różnice, na niekorzyść poszczególnych
ıństw podsowieckich, powiększają z reguły rosyjski udział
handlu z Zachodem. Tak też jest w wypadku polskim. Ana-
:a powodów bierności polskiego bilansu handlowego w pewnych
:resach prowadzi do potwierdzenia faktu, że zasadniczy kieru-
:k polskiego handlu zagranicznego zależy w ostatniej linii od
:cyzji moskiewskich, pobieranych z punktu widzenia interesów
ıdź samego ZSSR, bądź też interesów bloku sowieckiego, jako
łości.

CZY MOŻNA ROZSZERZYĆ HANDEL POLSKI Z ZACHODEM?

Pierwsza trudność, związana z jakimś znaczniejszym po większeniem zakresu tego handlu, wynika z faktów, które przy toczyliśmy powyżej. Skoro Polska stanowi dziś część sowieckie go obszaru gospodarczego, skoro proces integracji bloku wschod niego postępuje wciąż naprzód, skoro np. w roku 1953 wzros obrotów handlowych pomiędzy Polską a Zachodem nie przekro czył 2% mimo, że obie strony wyraźnie i stanowczo wysuwaj dezyderat ożywienia stosunków handlowych — to trudno oprze się wrażeniu, że właściwie cała sprawa obraca się jakby w sztyw nych niemal granicach, bez możności wyjścia poza nie. Czy wra żenie to jest słuszne?

Wyobraźmy sobie, że w danym roku miał miejsce w Polsc wielki urodzaj, że ilość zboża przekracza zapotrzebowanie we wnętrzne i że w tymże roku inne kraje bloku sowieckiego ni potrzebują polskiego zboża. Albo, że amerykańska nadprodukcj jakiegoś towaru, nieobjętego embargo, skłania USA do sprzeda nia nadwyżek tego towaru komukolwiek. W tych i temu podob nych wypadkach oczywiście dojdą do skutku dodatkowe tran zakcje Wschód-Zachód. Ale z punktu widzenia długofalowej poli tyki rozszerzania handlu nie jest to istotne. W tej polityce chodz bowiem nie o dorywcze czy chwilowe możliwości, ale o podnie sienie obrotów handlowych w jakimś dłuższym okresie czasu i d poziomu, który miałby poważne znaczenie gospodarcze dla ob stron. Chodzi o stworzenie, choćby w pewnym stopniu, poczuci stabilizacji rynków zbytu, możności liczenia na nie. To ze sw strony może powstać tylko w tym wypadku, jeżeli świadczeni handlowe oparte są na *strukturalnej* niejako możności wytwarza nia, przez obie strony, odpowiednio wielkich nadwyżek eksport wych. Zachód potrzebuje polskich produktów rolniczych i po skiego węgla — przede wszystkim, jeżeli nawet nie w sens absolutnie ciągłym, to jednak z reguły. Tu dochodzimy do isto nego pytania: czy Polska ma możność — ową strukturalnie r zumianą możność — dostarczania Zachodowi towarów, których on potrzebuje? Czy Polska ma dostateczne nadwyżki eksportow żywności, węgla, budulca itd.?

Przed wojną twierdząca odpowiedź na to pytanie nie ulega żadnej kwestii. Artykuły rolne stanowiły wielką pozycję nasze eksportu. W książce „Dorobek gospodarczy Polski 1918-1938 Roman Górecki podaje, że artykuły produkcji rolniczej stanowi np. w okresie 1936-1937 44% całego naszego eksportu, a w okr sie 1937-1938 — 39%. Dziś obraz jest zupełnie inny. I nie o chodzi, że np. „Trybuna Ludu" z pogardą pisze o znaczny udziale produktów rolnictwa czy leśnictwa oraz surowców i pa wa w przedwojennym eksporcie polskim. Pogarda pod adrese przeszłości nie wyjaśnia faktów teraźniejszości. A faktem je że dziś, na ogół, Polska nie ma, a w każdym razie nie ma w i

łostatecznej, dóbr eksportowych, które byłyby potrzebne dla 'noważenia pożądanego przez rząd warszawski importu z Za- .u. Analiza przyczyn, dla których Polska nie ma tych nad- :k, warunkujących poważniejsze powiększenie importu z Za- u, przekracza ramy tego artykułu : tu chodzi tylko o fakt, że właśnie jest.

W latach bezpośrednio-powojennych, a nawet w roku 1948, Polska miała deficyt zbożowy (skompensowany przez Rosję aje południowo-wschodniej Europy), można było tłumaczyć ·kolicznościami okresu powojennego. Gdy jednak w pierw- ı czy drugim kwartale 1954, a także w innych okresach u, Polska — podobnie jak Czechy i Niemcy Wschodnie — i kupować duże ilości ziarna zbożowego zagranicą, ma to oką wymowę : musi nawiązywać do przyczyn strukturalno- ›odarczych. ,,Trybuna Ludu'' pisała przed kilkoma miesią- i, że przeciętna produktywność spółdzielni rolniczych jest niż- od przeciętnej produktywności gospodarstw indywidualnych, ęsto skarży się, że obowiązek dostaw spółdzielni na rzecz stwa nie jest należycie wykonywany. Zresztą nawet na pod- vie przemówień wysokich osobistości rządowych w Warsza- można stwierdzić, że Polska nie jest zbożowo samowystar- na, a co najmniej, że nie wykazuje owego na ogół równego nu samowystarczalności, jaki cechuje kraje rolnicze czy pół- icze w okresach choćby przeciętnych urodzajów. Skoro tak to tym trudniej o rolnicze nadwyżki eksportowe, warunku- powiększenie zakresu handlu Polska-Zachód. Jeszcze w lu- 1950 londyński *Economist*, z okazji omawiania traktatu han- vego polsko-angielskiego, stawiał pesymistyczny na dłuższą ę horoskop, że w ogóle kraje wschodniej Europy nie wrócą swej przedwojennej roli żywiciela Zachodu, i polityka bry- ka powinna się liczyć z prawdopodobieństwem, że z roku na będą się stawały coraz słabszymi eksporterami produktów vch. Tak więc można powiedzieć, że losy handlu Polski z Za- łem rozgrywają się — w znacznej jeżeli nie głównej mierze na terenie rolnictwa. Przedsmak tej prawdy o ważności rol- wa dla harmonijnego rozwoju gospodarstwa polskiego miał, e się, w roku 1948, Gomułka m. in. w swym sporze z Mincem erunek pewnych inwestycji : Gomułka chciał inwestować ka- ły w fabrykach nawozów sztucznych, Minc natomiast za waż- sze wtedy uważał inwestycje w łódzkim przemyśle włókien- ym.

Wydaje nam się, że i w przyszłości nieprawdopodobna jest ına w powiązaniach funkcjonalnych rozwoju rolnictwa i han- zagranicznego Polski. Według stwierdzenia Bieruta produk- rolna wzrosła od roku 1949 tylko o 9% — dodajmy : przy ście w tym czasie ludności o podobny procent. Przy dalszej nsywnej rozbudowie ciężkiego przemysłu, która jest zamie- a, przy — z konieczności — stosunkowo małych inwestycjach paracie technicznym rolnictwa i wreszcie przy oporze chłop- ı, które dotkliwie odczuwa słabą zdolność nabywczą złotego

— trudno sobie wyobrazić czynnik, który by zdołał spowodować jakiś silniejszy wzrost ogólnej wydajności rolnictwa; zwłaszcza, że Polska nie ma ani możności rozszerzenia swej powierzchni uprawnej, ani — wobec biernego oporu chłopów — możności istotnego powiększenia wydajności z hektara. Przy gwałtownym procesie uprzemysławiania kraju, które jest podstawowym kanonem polityki gospodarczej komunizmu, działa „żelazne prawo niedostateczności rozwoju rolnictwa". Odpowiednikiem skoku rocznej produkcji stali z 1,5 miliona ton przed wojną na dzisiejsze 4 miliony ton, odpowiednikiem wzrostu ogólnej produkcji przemysłowej ostatniego czterolecia o 115% — jest właśnie ów dziewięcioprocentowy wzrost produkcji rolnictwa... przekreślony przez takiż wzrost ludności. Z punktu widzenia troski o harmonijny rozwój całości gospodarstwa nasuwa się pytanie: co będzie z rolnictwem polskim w roku np. 1960, o ile dzisiejsi planiści będą jeszcze rządzili, a planowana na ten czas produkcja stali istotnie dojdzie do 8 czy 10 milionów ton rocznie? Jest też rzeczą interesującą, jaka *wtedy* będzie „strukturalna" zdolność gospodarstwa polskiego do handlu z Zachodem.

Obraz ten byłby jednak jednostronny, gdybyśmy nie wspomnieli o czynniku, który w pewnym stopniu może być moderatorem tendencji powyżej opisanych. Tym czynnikiem jest godna uwagi elastyczność w taktyce kolektywizacji, przeprowadzanej przez Bieruta i Minca. Ich polityka gospodarcza, choć w pewnych okresach bezwzględna, liczy się jednak z wpływem kolektywizacji na ogólną wydajność rolnictwa: w każdym razie o tyle, o ile doktryna komunistyczna na to pozwala. Toteż widzimy, że na ogół tempo kolektywizacji w Polsce jest znacznie powolniejsze niż w innych krajach, należących do sowieckiego obszaru gospodarczego. Przejawem tej pewnej ostrożności w podchodzeniu do sprawy kolektywizacji jest fakt, że po jej pierwszym okresie 1949-1954 tylko 8,5% ziemi jest w kolektywach i tylko 12% w gospodarstwach państwowych. Nic, zdaje się, nie wskazuje na to, że w najbliższych latach kolektywizacja w Polsce nabierze np. „tempa bułgarskiego". Przeciwnie — jak powiedział przedstawiciel reżymu, Zenon Nowak — proces kolektywizowania wsi polskiej będzie „aktualny przez cały przeżywany przez nas okres historyczny". Przy tym założeniu uda się, być może, rządowi warszawskiemu uniknąć nadmiernych klęsk na terenie ogólnej wydajności rolnictwa, co — w związku z rozpatrywaną tu sprawą — oznacza, że strukturalna niezdolność obecnej Polski do handlu z Zachodem może w pewnym stopniu zostać pomniejszona.

Chciałbym podkreślić, że mówiąc o tej niezdolności mam na myśli w całym tym artykule brak zdolności do powiększenia obecnego małego handlu w jakimś stopniu *istotnym*, że nie przypuszczam, aby — przy danej, ogólnej polityce gospodarczej, w danej sytuacji rolnictwa polskiego — mógł się rozwinąć między Polską a Zachodem handel *na poważną skalę*, odpowiadającą natężeniu sloganów propagandowych. Ale pewne, niezbyt wielkie, czy do-

rywcze powiększenia handlu oczywiście i dziś mogą wchodzić w rachubę.



Należy tu jeszcze poruszyć sprawę węgla. Charakteryzując strukturę przedwojennego eksportu polskiego, prof. Zweig podaje w swej ,,Poland between two wars'', że łączna pozycja eksportowa węgla, budulca i produktów drzewnych wynosiła 1/3 całego polskiego eksportu, przy czym węgiel stanowił połowę tej pozycji. O ile zaś chodzi w szczególności o rok 1938, to według Romana Góreckiego ,,grupa węgiel, koks, oleje mineralne'' była drugą z kolei pozycją w naszym eksporcie, przy czym w tej grupie węgiel i koks stanowiły 90,2% wartości a 97,1% tonażu. Węgiel był zatem bardzo poważnym artykułem eksportowym, który — szedł na Zachód.

W Polsce nie ma dużych ilości węgla, które można by eksportować do krajów zachodnio-europejskich. Polski eksport węglowy na Zachód wykazuje w pewnych okresach tendencje malejącą. Eksport ten (i koksu) do krajów zachodnich, który np. w roku 1948 wynosił 13,4 miliona ton, spadł w roku 1951 do 10,2 miliona, podczas gdy do krajów wschodnio-europejskich wzrósł w tymże czasie z 8,6 miliona ton do 11 milionów. Dziś polski węgiel eksportowany jest przeważnie do ZSSR. Do bloku sowieckiego idzie 20 milionów ton, na Zachód 7 milionów ton rocznie. Trudności eksportowe w stosunku do Zachodu polegają jednak nie tylko na braku dostatecznych nadwyżek węgla, ale także czasem na niekonkurencyjności cen polskich, który to czynnik w pewnym momencie skłonił Szwecję, starego odbiorcę węgla polskiego, a także Austrię, do zmniejszenia ich importów węglowych z Polski. Nie bez przyczyny żali się Bierut, że produkcja węglowa, choć uczyniła Polskę piątym co do wielkości producentem węgla w świecie, nie rozwija się dostatecznie nie tylko w stosunku do potrzeb Polski, ale także w stosunku do potrzeb innych ,,demokracji ludowych'', zależnych od polskiego paliwa.

Jak widać z tego wszystkiego, produkty rolne i węgiel — te filary przedwojennego eksportu polskiego — przestały być atutami eksportowymi Polski dzisiejszej w tym sensie, że nie stanowią odskoczni do dalszego istotnego rozwoju handlu Polski z Zachodem. Jest to jeden z najjaskrawszych wyrazów olbrzymich przemian, które w gospodarstwie polskim nastąpiły.

CZY NALEŻY POWIĘKSZAĆ HANDEL WSCHÓD-ZACHÓD?

Odpowiedź na to pytanie — z punktu widzenia interesów Zachodu, jako całości — daliśmy w poprzednich artykułach (,,Kultura'' Nr 79 i 85.) Była to odpowiedź pozytywna, uwarunkowana całym szeregiem momentów. Dziś chodzi nam o odpowiedź

z punktu widzenia interesów polskich. Rozróżnijmy tu dwie sprawy: 1) nasz stosunek do ogólnego problemu, tj. handel Wschód-Zachód; 2) nasz stosunek do specjalnego problemu, tj. handel Polska-Zachód.

Powiedzieliśmy w poprzednich artykułach, że Zachód ze wzmożenia handlu ze Wschodem może mieć pewne, choć ograniczone, korzyści ekonomiczne i że przy odpowiedniej polityce może uniknąć związanych z tym niebezpieczeństw. Te korzyści ekonomiczne polegają m. in. na ułatwieniu utrzymania zdolności wytwórczej Zachodu na poziomie, którego inaczej może nie udałoby się osiągnąć, zwłaszcza w krajach z deficytem dolarowym. Utrzymanie zdolności wytwórczej na pewnym poziomie jest dla Zachodu korzyścią nie tylko ekonomiczną, ale także polityczną. Prawda, że Wschód ze wzmożenia omawianego handlu też wyciąga korzyści ekonomiczne i polityczne. Z tego dodatkowego handlu wyłania się dla każdej strony pewna szeroko rozumiana wypadkowa, którą można by nazwać ,,zyskiem netto''. Jeżeli wypadkowa dla Zachodu jest lepsza, a co najmniej niegorsza niż dla strony przeciwnej, to handel dla Zachodu jest wskazany. Ale co to ma wspólnego z interesami polskimi? Nasuwa się tu istotne pytanie: czy korzyść Zachodu jest naszą korzyścią?

Przy założeniu, że stosunek państw zachodnich do sprawy wolności Europy środkowo-wschodniej będzie trwale taki, jak dziś, odpowiedź musi być negatywna. Przy założeniu, że stosunek ten może w przyszłości zmienić się na naszą korzyść, odpowiedź musi być pozytywna. Jedyną praktyczną ,,tezą roboczą'' polityka polskiego może być drugie założenie i przekonanie, że na wzmocnieniu świata zachodniego w obliczu dalszej czy bliższej, czy może bardzo nawet dalekiej rozgrywki ostatecznej — Polska może tylko zyskać. Dlatego trudno byłoby zrozumieć obojętność polityki polskiej wobec problemu, który musi nas pośrednio interesować. Dlatego uważamy za rzecz słuszną, że przedstawiciele Polski wzięli udział w pracach Komisji Wschodniej Ruchu Europejskiego i opracowali tezy w sprawie handlu Wschód-Zachód.

O ile chodzi o ,,zainteresowanie bezpośrednie'' tj. o sprawę dążenia do wzmożenia obrotów handlowych pomiędzy Polską a Zachodem, widzimy tę sprawę w świetle uwag następujących, z których żadna, jak sądzimy, nie jest sprzeczna z tezami Ruchu Europejskiego, niektóre są wyraźnie z nimi zbieżne, a Nr 4 jest z nich wzięty.

1) Zasada embargo na eksport dóbr strategicznych do Polski winna oczywiście mieć zastosowanie w tym samym zakresie, co ma zastosowanie w ogóle.

2) Jest ważne, żeby eksport polski nie dotyczył artykułów pierwszej potrzeby w czasie gdy w kraju jest ich *niedomiar*. Szkodliwe jest nie tylko powiększanie, ale nawet kontynuowanie na dotychczasowym poziomie eksportu tych dóbr. Węgiel jest tu głównym niebezpieczeństwem. Węgiel, jako podstawowe źródło walut dla bloku sowieckiego, był i jest w pewnych okre-

sach forsowany w eksporcie polskim na Zachód w stopniu, kolidującym z dobrem konsumenta krajowego: takim eksportem nadmiernym jest niewątpliwie wywóz 7 milionów ton rocznie na Zachód przy konsumpcji krajowej 62 miliony i wywozie 20 milionów do bloku sowieckiego(*). Polskim punktem widzenia musi być stanowcza opozycja przeciwko eksportowi żywności i węgla czy to na Wschód, czy na Zachód, jak długo nie ma tych dóbr dosyć na potrzeby ludności w kraju. Pośrednie wzmocnienie sprawy polskiej przez gospodarcze wzmocnienie Zachodu dobrami polskimi musi być w każdym czasie porównywane z ujemnymi stronami tego rodzaju eksportu polskiego na Zachód. Ocena wypadkowej jest rzeczą polityków, nie ekonomistów.

3) Eksport do Polski artykułów konsumpcyjnych w tym lekarstw oraz dóbr kapitałowych, wyraźnie przeznaczonych do rozwoju przemysłu lekkiego, jest jak najbardziej pożądany — nawet przy założeniu, że część tych dóbr może zostać reeksportowana przez Polskę do innych części bloku sowieckiego.

4) Należy unikać przyczyniania się do stwarzania w bilansie handlowym Polski nadwyżek ze względu na możliwość zużycia ich w sposób niepożądany.

5) Nie należy łudzić się, że powiększenie handlu Zachodu z Polską wzmocni idee demokratyczne w Polsce. Teza dyrektora US Foreign Administration Operations, Stassena, że handel z blokiem sowieckim służy idei demokracji, jest kompletnie błędna.

6) Również nie należy łudzić się, że gospodarcze — poprzez handel — wzmocnienie krajów sfery sowieckiej, uczyni ich rządy bardziej niezależnymi od polityki ZSSR i przyczyni się w ten sposób do poprawy doli ludności. Stopień zależności tych krajów od ZSSR jest determinowany momentami czysto politycznymi i nie ma nic wspólnego z handlem.

7) Nie jest wyłączone, że rozszerzenie handlu Zachód-Polska może ewentualnie mieć pewien wpływ zwalniający tempo kolektywizacji w Polsce albo łagodzący sposób jej przeprowadzania. Dotyczyć to może zwłaszcza wypadków, gdy przedmiotem kontraktów handlowych są produkty hodowli żywca. Te pozycje hadlowe przede wszystkim bowiem padają ofiarą zatargów chłopa z władzami komunistycznymi, a więc władze są zainteresowane w zmniejszaniu płaszczyzny tarć w tym względzie.

W sumie stwierdzić należy, że z punktu widzenia interesów polskich nie ma powodu do zwalczania dzisiejszej tendencji do powiększania handlu Zachodu ze Wschodem w ogólności, a z Polską w szczególności, jeżeli rozwój tego handlu oparty zostanie na podstawie zasad-aksjomatów powyżej sformułowanych w punktach 1-4. Wielka trudność sprawy polega jednak nie na ustaleniu zasad, ale na tym, czy znaleziony zostanie sposób przyczynienia się do ich realizacji.

Stanisław ZARZEWSKI

(*) Cyfry wzięte z obliczenia A. Zaubermana.

Narody Związku Sowieckiego

Dla przeciętnego Polaka — jeszcze bardziej w Kraju niż na Zachodzie — Związek Sowiecki jest nienawistnym monolitem nie tylko politycznym ale i narodowym. Czas już sobie uświadomić, a z tego uświadomienia wyciągnąć praktyczne wnioski polityczne, *że Sowiety są mozaiką uciśnionych, tak jak i my, narodów, które dotąd nie zrezygnowały z walki o wolność. W tej walce mogą być one dla nas najcenniejszym sojusznikiem.*

Dla zorientowania więc naszych czytelników rozpoczynamy druk studium, dotyczącego kompleksów narodowościowych Rosji, opracowany przez p. Wł. Bączkowskiego, jednego z najwybitniejszych znawców tych zagadnień. Po Kaukazie będzie omówiona Ukraina, Białoruś, Turkiestan (5 republik związkowych), Obszar Wołgo-Uralski (5 republik autonomicznych) itd.

Uwagi o Kaukazie

Od najdawniejszych czasów Kaukaz był siedliskiem wielu ludów i miejscem styku kilku zwalczających się cywilizacyj. W tym kłębowisku różnych składników występował jednak wspólny, łączący je, mianownik : przynależności do świata klasycznego Orientu oraz, pośrednio, do cywilizacyj Morza Śródziemnego.

Mitologia grecka w opowieściach o Złotym Runie i Argonautach, o Medei, Jazonie i Prometeuszu — odzwierciadla związki świata helleńskiego z gruzińską Kolchidą jeszcze w czasach przedhistorycznych. Mezopotamski epos o potopie każe arce Ziugiddu-Noego lądować na zboczach Araratu. Państwo Urartu powstałe w 10-ym wieku przed Chrystusem, graniczyło i toczyło zacięte boje z Assyrią, a z różnych jego elementów plemiennych wywodzą się dzisiejsi Ormianie i Gruzini.

(*) Dane liczbowe o republikach i narodach Kaukazu zostały podane w tabelkach na końcu artykułu.

Na wschód od Urartu, w klasycznej Antropatene a dzisiejszym Azerbajdżanie urodził się około 1000 r. przed Chrystusem Zaratustra. Naukę o czterech żywiołach łączył on z kultem ognia, zrodzonym zapewne na wybrzeżach kaukaskich, gdzie gorejące nieprzerwanie źródła ropy czy gazów sprawiały wstrząsające wrażenie nawet na współczesnych. Sir Percy Sykes, zwiedzając na początku bieżącego wieku okolice Baku, pisze w swej ,,History of Persia'' : ,,I arrived at the place at sunset to find it covered with snow, and yet flames were springing out of the ground, the whole scene being impressive and weird beyond description.'' Należy dodać, że jeszcze w końcu ubiegłego stulecia świątynia czcicieli ognia w miasteczku Surachany koło Baku, nawet z dalekich Indii przyciągała wyznawców tej starożytnej religii.

Od czasów Sassanidów utrwalają się na Kaukazie wpływy perskie. Imperium Sassanidów sięgało chwilami wybrzeży Morza Czarnego jak i wschodnich krańców Kaukazu. W Dagestanie, w okolicach Derbentu, zachowały się resztki potężnych murów sassanidzkich, zamykających najdogodniejsze przejścia wzdłuż wybrzeży kaspijskich. Aż do ostatnich czasów wpływy perskie występują w sztuce, literaturze, językach i składzie rasowym większości plemion Kaukazu.

Chrześcijaństwo dotarło na Kaukaz bardzo wcześnie, bo już w pierwszym i drugim stuleciu. W 301 roku w Armenii, a w 324 roku w Gruzji — stało się religią państwową. Od soboru w Chalcedonie w 451 roku kościół ormiański przyjąwszy zasadę monofizytyzmu odciął się od Konstantynopola i Zachodu, stając się kościołem narodowym. Gruzja, nie tracąc więzi z greckim chrześcijaństwem, od 493 roku wywalczyła autokefalię z własną narodową hierarchią kościelną.

Najazd Arabów, którzy w 640 roku po raz pierwszy wdarli się na wyżynę armeńską, zapoczątkował nowy okres w dziejach Kaukazu, a mianowicie jego islamizację. Język arabski opanował poezję i naukę a na północnych stokach Kaukazu stał się ,,lingua franca'' elity. Ostatni wybitny pisarz, myśliciel i historyk dagestański, piszący w klasycznej arabszczyźnie, Hassan-al-Alkadari, umarł w Dagestanie w 1910 roku. Biblioteki w Tyflisie, Baku i w mniejszych nawet miastach na północnym Kaukazie zawierają sporo materiałów w języku arabskim, zaś spotykane tam nazwiska pisarzy, geografów i historyków, piszących po arabsku, nieznane są Brockelmanowi i innym badaczom zachodnim.

Z językiem arabskim współzawodniczył na Kaukazie język perski. W Azerbajdżanie wyparł on w znacznym stopniu wpływy arabszczyzny, stając się językiem poezji i warstwy oświeconej tego kraju. Z czasem, po upadku Bizancjum, przenikać począł na cały Kaukaz język turecki. Cała zaś persko-arabsko-turecka wielojęzyczność Zakaukazia, od chwili jego podboju przez Rosję w 18-19 wiekach, zaczęła się kurczyć na rzecz nowej ,,lingua franca'' — języka rosyjskiego. Język rosyjski nie zdołał jednak wyprzeć poprzednich naleciałości lingwistycznych i za-

jąć ich miejsca, gdyż od początku 19-go wieku fala nowoczesn go nacjonalizmu wydźwignęła miejscowe języki — turecko-aze bajdżański, gruziński i ormiański — na szczyty najwyższyc wartości kulturalnych.

Niezależnie od wymienionych — oddziaływały na cały Ka kaz wpływy nomadycznych szczepów mongolskich i tureckic Od 5-go do 15-go wieku przewalały przez Kaukaz hordy środkowej i północnej Azji, a ostatnie wędrówki związane z imieniem Czingiza i Tamerlana. Część plemion tureckich, z pchnięta ze swych siedzib stepowych, osiedliła się w Azerbaj żanie i na niektórych obszarach północnego Kaukazu, zmieni jąc etnograficzny charakter zajętych terenów.

Dotychczas mówiliśmy prawie wyłącznie o Zakaukazi czyli o obszarach położonych na południe od głównego pasm gór Kaukazu. Przyjrzyjmy się obecnie części leżącej na półno Jak poprzednio wspomniano, na Północnym Kaukazie, a zwłas cza w przykaspijskim Dagestanie, oddziaływały silnie wpływ Persji. Islam zaczął się tu szerzyć już w 8-ym wieku, doprow dząjąc do żywego rozwoju życia umysłowego i ruchów społec nych w 16-ym wieku. Sztuka ludów Dagestanu wyrosła w ci niu perskiej i arabskiej i do ostatnich czasów utrzymywała s na wysokim poziomie.

Drugim ośrodkiem kulturalnym Północnego Kaukazu je kraj Osetynów, wywodzących się z pnia indo-irańskiego. Os tyński epos bohaterski i wyjątkowo wysoki poziom sztuki lud wej świadczą o pradawnych związkach tego obszaru z wielki ośrodkami cywilizacji wschodnich.

Zachodni kraniec Północnego Kaukazu, zamieszkały prz drobne plemiona czerkieskie, jest bogaty w różne pokłady cyw lizacyjne od prehistorycznych dolmenów począwszy. Na wybrz żach czarnomorskich kwitły ongiś kolonie greckie. Chrześcija stwo dotarło tu w 6-ym wieku, lecz wyparł je z czasem Isla który umocnił się na tym terenie dopiero w 18-ym wieku, prz nikając w tym czasie już do najbardziej zapadłych zakątk górskich. W tymże 18-ym wieku zrodził się na tym terenie d namiczny muzułmański ruch *miuridyzmu*, który głosił koniec ność oczyszczenia Islamu z naleciałości pogańskich, demokrat zację stosunków społecznych oraz — akcydentalnie — wal z niewiernymi, w tym okresie z Rosjanami, podbijającymi Ka kaz.

W pierwszej połowie 19-go wieku ruch miuridyzmu opan wał prawie cały Północny Kaukaz i doprowadził do zjednocz nia wszystkich jego plemion pod wodzą Imama Szamila (179 1871).

Od najdawniejszych czasów Północny Kaukaz pozostaw w zasięgu kulturalnym Zakaukazia. Pasmo Wielkiego Kauka nie stanowiło nieprzebytej zapory między obu krajami i łączy je szlaki nadbrzeżne i żegluga wzdłuż wybrzeży, jak i kilka prz łęczy górskich. Wiele szczepów osiedlało się na obu stoka głównego pasma.

Przytoczone dwa momenty: powszechnej islamizacji Północnego Kaukazu, oraz prastare związki z Zakaukaziem, zwłaszcza w prowincjach nadmorskich, posiadają zasadnicze znaczenie dla oceny kultury ludów Północnego Kaukazu. Mimo rozbicia na różnojęzyczne plemiona, niekiedy liczące zaledwie kilka tysięcy dusz, nie można porównać ich z prymitywnymi szczepami Euroazyjskiej północy, gdyż od najdawniejszych czasów pozostawały w bezpośrednim zasięgu wysokich cywilizacyj Wschodu, a z chwilą utrwalenia i pogłębienia wiary muzułmańskiej — stały się częścią składową społeczeństwa Islamu.

◆

Najbardziej znamiennym zjawiskiem w życiu duchowym Kaukazu jest nieustanny, potęgujący się zwolna, proces homogenizacji cywilizacyjnej. Od mnogości kultur kraj ewoluuje ku jedności duchowej. Etapami tego rozwoju był kompletny ongiś rozkład mezopotamskich, hetyckich, staroperskich i innych składników i niepodzielne wybicie się w pierwszych dziesięciu wiekach naszej ery, dwóch tylko form cywilizacyjnych: islamickiej i wschodnio-chrześcijańskiej. Wewnętrzne linie podziałów, wyrosłe z czasem w łonie tych dwóch cywilizacyj, również nie były długotrwałe. Fanatyczne zatargi między sunnitami i szyitami w 19-ym wieku zaczęły stopniowo zanikać pod wpływem pantiurkizmu, panislamizmu oraz nacjonalizmu i oddziaływania zachodniego. Kościoły ormiański i gruziński przybrały charakter instytucji narodowych a dzielące je dogmatyczne różnice ustąpiły pierwszeństwa momentom rywilizacji politycznej obu narodów.

W tym samym czasie zanika również wzajemne zwalczanie się Chrześcijaństwa i Islamu pod wpływem załamania wschodniego Chrześcijaństwa, jak i skamienienia Islamu, ustępując miejsca potęgującym się z każdym pokoleniem wpływom sekularnej kultury zachodniej. Kształtująca się w tej atmosferze inteligencja kaukaska zaczyna odwracać się od związków kulturalnych z uciskającymi społeczeństwami perskim, osmańskim i z czasem rosyjskim, poddając się całkowicie urokowi republikańskiej Francji, parlamentarnej Anglii, wysoko uprzemysłowionych Niemiec. Głęboka podskórna europeizacja Kaukazu, zapoczątkowana w 19-ym stuleciu, ujawniła się w całej pełni w latach 1917-1921. Zrzucając krępujące więzy imperium rosyjskiego trzy główne narody Zakaukazia: Azerbajdżanie, Gruzini i Ormianie wprowadziły jednakowe ustroje republikańskie, według przyjętych na Zachodzie wzorów, a więc z powszechnym głosowaniem, równouprawnieniem kobiet, laicyzacją oświaty, powołaniem do życia uniwersytetów w Baku i Tyflisie, itd. I tak Kaukaz przy pierwszej okazji swobodnego wypowiedzenia się zdeklarował wolę przebudowy życia według zasad ustrojowych i kulturalnych, jakie cechują społeczeństwa Zachodu.

NARODY KAUKAZU

Homogenizacja i europeizacja Kaukazu odsłania (znamien również i w zachodniej Europie) zjawisko sprzeczności międz wprowadzeniem uniwersalnych zasad zachodnich i równoległy rozwojem poczucia odrębności u poszczególnych narodów hist rycznych. Już od początków 19-go wieku przebiega na Kaukaz proces odrodzenia narodowego Azerbajdżanów, Gruzinów i O mian rozwijającego się w dwóch kierunkach :

(a) Rozszerzenia i pogłębienia samej idei narodowej. Pr stara tradycja plemienna, utrzymana przy życiu odrębnością j zyka i religii, przeistacza się w pojęcia historyczno-polityczn i gospodarcze. Nie tylko wolność wiary i zwyczajów, lecz i z sada niepodległości politycznej i wolnego rozwoju gospodarcz go stały się wytycznymi nowoczesnego separatyzmu narodow go nawet w szerokich masach.

Ta nowa wiara narodowa propagowana była przez kauk skie partie polityczne, powstałe na Kaukazie w drugiej połow 19-go wieku. Należy zaznaczyć, że z biegiem czasu partie te prz kształciły się nieomal w monopartie, ograniczone do ram etnic nych poszczególnych narodów. Były to, *istniejące zresztą dotyc czas na emigracji,* azerbajdżańska partia *Musawat* (Równoś ormiańska *Dasznak-Ciutun* i gruzińska socjal-demokracja. I socjalistyczny internacjonalizm był (i pozostał) powierzchown zaś ich charakter narodowy, a nawet nacjonalistyczny, jest i niezaprzeczalną cechą. Wynika to stąd, że socjalizm kaukask w przeciwieństwie do zachodnio-europejskiego, zrodził się z d żeń niepodległościowych a nie z przyczyn socjalnych. Pier szymi promotorami socjalizmu była głównie patriotyczna eli i miejska inteligencja i półinteligencja, a nie słaba jeszcze i ni liczna warstwa robotnicza.

Nawet związane z rosyjskim podziemiem skrajne odłamy r wolucyjne na Kaukazie zdradzały głęboko ukryty kompleks n rodowo-wyzwoleńczy. Ich dynamiczna rola w rewolucji ros skiej była wynikiem nie tylko poczucia konieczności socjaln przebudowy imperium rosyjskiego, lecz wypływała równi z głębszego jeszcze, organicznego poczucia konieczności znis czenia reżymu, który podbił ich ojczyste strony. W tym świet zasady tak zwanej leninowskiej polityki narodowościowej, weług których Rosja przebudowana została w rodzaj federacji r publik, nasuwają przypuszczenie, iż narzucone zostały dość wcz śnie przez nierosyjskie odłamy podziemia rewolucyjnego w Ros a nie zostały podyktowane Moskwie przez ruchy odśrodkowe kresach w latach 1917-1920.

Rola Kaukazczyków w tej przebudowie była decydując Faktem jest, iż przede wszystkim Stalin-Dżugaszwili, komisa spraw narodowościowych w pierwszym rządzie leninowski (1917-1923) stał się inicjatorem całego sowieckiego prawoda

stwa narodowościowego i głównym fundatorem sowieckich republik związkowych, autonomicznych oraz obszarów narodowych.

b) Drugim przejawem odrodzenia narodów jest integracja ich etnicznych obszarów, wyrażająca się w zanikaniu dawnych feudalnych i prowincjonalnych różnic. Proces ten ma duże znaczenie, jeśli się weźmie pod uwagę ogromne zróżniczkowanie dialektyczne, zwyczajowe i tradycyjne poszczególnych księstw i chanatów dawnej Gruzji, Azerbajdżanu i Armenii. Zjawisko to przebiegało stopniowo od chwili podboju Kaukazu przez Rosję w 18-ym i 19-ym wieku i zakończyło się po podboju komunistycznym. W tym ostatnim okresie potrzeby sowietyzacji i uprzemysłowienia, jak również zasady tzw. leninowskiej polityki narodowościowej, podyktowały władzom sowieckim administracyjne scalenie obszarów Azerbajdżanu, Gruzji i Armenii w zwarte jednostki narodowo-administracyjne z centrami stołecznymi w Tyflisie (dla Gruzji), w Erywaniu (dla Armenii) i w Baku (dla Azerbajdżanu). W stolicach tych zaczęto masowo wydawać gazety, pisma i książki w jednolitym głównym dialekcie danego narodu, narzucając go w ten sposób obszarom etnicznym o odrębnym dialekcie. Języki narodowe w jednolitej, określonej formie dialektycznej wprowadzono do miejscowych szkół, uniwersytetów, teatrów, itd.

Ostatnim przejawem integracji jest zanikanie drobnych mniejszości ongiś gęsto rozsianych na etnicznych obszarach trzech głównych narodów Kaukazu. Proces ten toczy się od stuleci, lecz w ostatnich kilkudziesięciu latach przebiega w przyśpieszonym tempie.

KONSOLIDACJA POLITYCZNO-NIEPODLEGŁOŚCIOWA

Ujednolicanie cywilizacyjne Kaukazu oraz scalanie etniczne jego ludów posiada odpowiednik w konsolidacji polityczno-niepodległościowej. Zjawisko to śledzić można w dwóch płaszczyznach: (a) w długiej i mozolnej ewolucji kaukaskiej myśli niepodległościowej, która doprowadziła do przyjęcia przez prawie wszystkie odłamy polityczne zasady niepodległości, oraz (b) w powszechnym uznaniu zasady konfederacji kaukaskiej, jako metody realizacji ideału niepodległości. Przyjrzyjmy się kolejno obu tym procesom.

Muzułmańska część Kaukazu (Azerbajdżan i Północny Kaukaz) nigdy nie pogodziła się z dominacją Rosji. Inaczej układały się stosunki w chrześcijańskiej części Kaukazu. Ormianie i Gruzini, mając żywo w pamięci rządy muzułmańskie, odnosili się i odnoszą najbardziej niechętnie do dominacji perskiej czy tureckiej. Ponadto liczyli się z faktem, iż zajęcie Kaukazu przez wielkie chrześcijańskie mocarstwo może przynieść korzyści dla ich krajów.

Rzeczywistość sprawiła zawód przewidywaniom obu narodów i z czasem tak Ormianie jak i Gruzini przyjęli zasadę nie-

podległości politycznej, stając w jednym szeregu z muzułmana- mi, a nawet przelicytowując ich w aktywizmie.

W świetle tych uwag jasne jest, iż silny opór naporow Rosji pierwsze stawiły muzułmańskie plemiona Północnego Kau kazu, najbardziej wysunięte na północ i najsilniej zagrożon w swym bycie. Górski charakter kraju, ułatwiający obronę, i uta lentowani przywódcy przysporzyli szereg sukcesów taktyczny góralom Północnego Kaukazu, zmuszając Rosję do dużego wy siłku na tym, pozornie trzeciorzędnym, obszarze operacyjnym W pewnych okresach walk w połowie ubiegłego wieku straty ro syjskie wynosiły około 12.000 rocznie. Po 1840 roku Rosjani zastosowali oblężenia całych obszarów górskich, skupiając n Kaukazie przewagę swych sił zbrojnych. W czasie kampani krymskiej (1854-1856) armia rosyjska na Północnym Kaukazi liczyła 200.000 ludzi i 200 dział, zaś na samym Krymie tylk 150.000, podczas gdy połączone siły koalicji zachodniej doch dziły do 180.000. Wojna z Północnym Kaukazem pochłonęł główne rezerwy rosyjskiego dowództwa i w dużej mierze wpły nęła na niepowodzenia rosyjskie w wojnie wschodniej 1853-185

Walki plemion kaukaskich z Rosją w latach 1839-1859 skon czyły się przegraną i w 1864 roku Rosja zajęła cały kraj, lec opór górali nie został złamany i sporadyczne powstania oraz akt terroru trwały aż do wybuchu rewolucji w 1917 roku.

Pod koniec 19-go wieku wrogie ustosunkowanie do domina cji rosyjskiej zarysowuje się wśród prorosyjsko dotychczas na strojonych Gruzinów. Zmiana ta wypłynęła ze świadomości, rosyjsko-gruzińska umowa z 1783 roku, na mocy której Ros wzięła Gruzję pod swój protektorat gwarantując jej wewnętrzn samodzielność, została w 1801 r. arbitralnie złamana, zaś kr lestwo gruzińskie sprowadzone do roli zwykłych administracy nych jednostek. Rządy rosyjskie między innymi skasowały st rożytny patriarchat gruziński, mianując kierownikami Kościo gruzińskiego rosyjskich egzarchów, wykonawców zarządzeń S nodu. Kilku biskupów gruzińskich, stawiających opór, wywi ziono do Rosji. Stosowanie tego rodzaju polityki doprowadzi do konfliktu psychologicznego i politycznego i dawne sympat do jedynowierczego mocarstwa straciły w Gruzji grunt pod nog mi.

Nieco później i Ormianie przeszli podobną drogę doświa czeń. W 1897 roku, w okresie, gdy aktywiści ormiańscy prow dzili akcję na rzecz współdziałania z Rosją w wyzwoleniu pr wincyj ormiańskich Turcji, rząd rosyjski zarządził zamknięc narodowych szkół ormiańskich, oraz — w 1903 roku — konfi katę dóbr Kościoła ormiańskiego. Zarządzenia te stały się gr mem z jasnego nieba i w większości społeczeństwa ormiańskie obudziły nastroje antyrosyjskie, zaś partia Dasznak-Ciutun z reagowała aktami terrorystycznymi przeciwko przedstawiciel administracji rosyjskiej. Nieco późniejszy zwrot majątków k ścielnych nie wpłynął wiele na poprawę nastrojów i jedynie ob wa przed jeszcze większym (według oceny ormiańskiej) niebe

pieczeństwem ze strony Turcji nie pozwoliła źle ukrywanej niechęci wylać się w otwarte i bezwzględne stanowisko wobec Rosji.

Rewolucje w Rosji w 1905 roku, w Persji w 1906 roku oraz w Turcji w 1908 roku, jeszcze bardziej podnieciły nastroje na Kaukazie i spotęgowały dążenia wolnościowe, przygotowując kraj do wydarzeń 1917 roku. Niemniej jednak horoskopy polityczne układały się niepomyślnie dla Kaukazu w związku z wieloletnimi przygotowaniami Rosji do ewentualnej wojny z Turcją. Rosjanie liczyli na współdziałanie Ormian i po części Gruzinów z armią rosyjską przy „wyzwalaniu" prowincyj ormiańskich Turcji i, pociągając znaczne odłamy chrześcijan kaukaskich, hamowali dojrzewanie niezależnej myśli politycznej Zakaukazia. Względy te, jak również obawy Ormian i Gruzinów przed muzułmańską większością Kaukazu oraz popierającą panislamizm i pantiurkizm Turcją, spowodowały, iż oba narody nie przestawały liczyć na współdziałanie z demokracją rosyjską, wierząc nadal w przetworzenie Imperium w federację wolnych ludów. Lecz przewrót bolszewicki i rosnąca anarchia jak i konieczność odebrania Turkom wygodnego argumentu traktowania Kaukazu jako części terytorium wrogiego państwa — zmusiły wszystkie trzy narody Zakaukazia do ogłoszenia niepodległości. Pierwszy krok uczyniono w lutym 1918 roku. Powołana w tym czasie do życia Federacyjna Republika Zakaukazia (Azerbajdżan, Armenia i Gruzja) była tworem przejściowym, prowadzącym do indywidualnego ogłoszenia niepodległości przez te narody. Północny Kaukaz w myśl tradycji walk z Rosją w 19-ym wieku — 11 maja 1918 roku proklamował suwerenność zjednoczonych plemion; 26 maja 1918 roku ogłosiła niepodległość Gruzja, zaś 28 maja 1918 roku — Azerbajdżan i Armenia.

Niepodległość tych republik trwała krótko. Już 9 stycznia 1919 roku Denikin podbił Północny Kaukaz po to, by po kilku miesiącach ulec przeważającym siłom czerwonych. Oddziały bolszewickie okupowały Północny Kaukaz, zaś w kwietniu 1920 roku dotarły do Baku, zajmując wkrótce cały kraj. W maju 1920 roku Sowiety próbowały po raz pierwszy zaatakować Gruzję, lecz próby komunistycznego przewrotu zawiodły, ataki zbrojne odparto i 16 czerwca 1920 roku Sowiety podpisały umowę pokojową z Tyflisem. Mimo uznania niepodległości Gruzji w siedem miesięcy później lepiej przygotowane czerwone oddziały, rozpoczęły systematyczny podbój republiki i w okresie od 11 lutego do 18 marca 1921 roku okupowały cały kraj. W międzyczasie zjednoczonym wysiłkiem oddziałów tureckich i czerwono-rosyjskich złamany został opór niewielkiej armii ormiańskiej.

Po okupacji Kaukazu Sowiety zastosowały z początku metodę cukierka : powołały do życia republiki kaukaskie nadając im wszelkie pozory suwerennych członków sowieckiego związku ludów. Czerwony Kreml w pełni popierał apolityczne przejawy kulturalnego życia narodowego, lecz w dziedzinie gospodarczej i politycznej stosował bezwzględną, potęgującą się z latami, ak-

cję scalenia Kaukazu z całością sowieckiego mocarstwa. Również i koncesje kulturalne, datujące się z pierwszego okresu, z czasem sprowadzały się coraz bardziej do czczych form, do tolerowania przede wszystkim folkloru i miejscowych języków, wszystkie zaś głębsze narodowo-kulturalne przejawy życia spychane były na plan trzeci lub zwalczane. Opór ludności, które ambicje polityczne rozbudziły wypadki 1917-1921 roku, nie ustawał; wybuchały powstania, likwidowane przez rządy komunistyczne terrorem i represjami.

Oparciem władz sowieckich na Kaukazie stają się oddziały wojskowe, stacjonowane w punktach strategicznych oraz policja polityczna. Stosunkowo nieliczne kadry miejscowych komunistów składały się z oportunistów, większość zaś ideowych zdradzała niezwalczalne „odchylenia nacjonalistyczne" i tylko nieliczni fanatycy nowej wiary ulegli całkowicie dyrektywom Kremla. W ten sposób pod reżymem komunistycznym cała ludność Kaukazu zjednoczyła się w swej postawie wobec władzy i w swych ukrytych dążeniach do wyzwolenia.

Równolegle z konsolidacją nastrojów na Kaukazie — utrwalało się zbliżenie między poszczególnymi grupami emigracyjnymi Kaukazczyków, w wolnym świecie. By zrozumieć wymowę tego faktu należy uzmysłowić sobie skłócenie i zadawnione nienawiści plemienne, które raz po raz wyładowywały się we wzajemnych walkach. Na większą skalę rozruchy rasowe i rzezie ormiańsko-azerbajdżańskie wybuchły po rewolucji 1905 roku, oraz powtórzyły się w 1918 roku na terenie Baku. Konflikty te czasami przybierały charakter otwartych wojen. I tak już po ogłoszeniu niepodległości w 1918 roku, oddziały ormiańskie zaatakowały Gruzję, pragnąc przyłączyć do swej republiki niektóre obszary przygraniczne, posiadające znaczny odsetek ludności ormiańskiej (październik-grudzień 1918). Dopiero interwencja angielsko-francuska załagodziła ten konflikt.

Czołowi działacze kaukascy zwalczali ostro przejawy nienawiści rasowo-plemiennej; musawatyści, dasznacy i gruzińscy socjal-demokraci głosili hasło bratniego współżycia ludów jednej wspólnej ojczyzny i tłumaczyli rozruchy działaniem wrogiej inspiracji. Te tendencje znalazły wyraz w konstytucjach, które gwarantowały prawa polityczne mniejszościom. Tak np. w Azerbajdżanie, parlament obrany w wyborach powszechnych i zwołany w Baku w grudniu 1918 roku — obok przedstawicieli większości rządzącej — musawatystów, posiadał 21 posłów Ormian, 10 Rosjan, a nawet przedstawiciela kolonii polskiej oraz europejskich Żydów. Udział w tych wyborach — po raz pierwszy w dziejach świata Islamu — wzięły również kobiety.

Wróćmy jednak do zagadnienia pracy zjednoczeniowej wśród grup emigracyjnych w wolnym świecie. W czerwcu 1921 i w październiku 1924 roku politycy kaukascy na emigracji oraz kierownicy delegacji zagranicznych Armenii, Azerbajdżanu i gruziński minister pełnomocny w Paryżu (rząd niepodległej Gruzji uznany został przez Francję) podpisali dwie deklaracje, przyjmu-

jąc zasadę geograficznej i politycznej jedności czterech republik (Gruzji, Armenii, Azerbajdżanu i Północnego Kaukazu) i zobowiązując się drogą arbitrażu rozstrzygać spory. W deklaracji z 1924 roku dodano, iż prowadząc walkę o wyzwolenie — Kaukaz dąży do zgodnego współżycia z narodem rosyjskim, którego interesy gospodarcze na Kaukazie będą odpowiednio zabezpieczone. Równocześnie stworzona Rada Czterech Republik miała powierzoną sobie obronę wspólnych interesów i prowadzenie propagandy niepodległości Kaukazu.

W lipcu 1934 roku podpisany został w Brukseli Pakt Konfederacji Kaukaskiej, będący dalszym krokiem w kierunku zjednoczenia polityczno-niepodległościowego.

W strukturze tej umowy powstała jednak rysa w postaci odmowy Ormian przystąpienia do Paktu. Historia ustosunkowania się polityków ormiańskich do zjednoczenia Kaukazu łączy się z dużym rozprzestrzenieniem ludności ormiańskiej na Kaukazie i w Turcji i trudnościami uzgodnienia granic republiki ormiańskiej z innymi narodami. Jeszcze w 1925 roku Ormanie wycofali się z udziału w Radzie Czterech republik na tle sporu w określeniu przyszłej granicy konfederacji kaukaskiej z Turcją. Ormianie domagali się włączenia w granice przyszłej Konfederacji części Armenii, odstąpionej Turcji przez Sowiety w umowie karskiej z października 1921. Ze stanowiskiem Ormian nie mogli pogodzić się Azerbajdżanie, Gruzini i Górale Północnego Kaukazu, obawiając się konfliktu z Turcją.

Wycofanie się Ormian podyktowane było w pewnej mierze względami taktycznymi : partia Dasznaków mogła utrzymać pod swymi wpływami uchodźców z Turcji jedynie przez stosowanie ostrego kursu wobec Turcji.

Z czasem postawa Ormian uległa rewizji. W związku z narastaniem koniunktury wojennej, Ormianie postanowili we wrześniu 1939 roku przystąpić do Paktu Konfederacji. Przy tej okazji ustalono granice państwowe przyszłej Konfederacji Kaukaskiej, przyjmując na południu istniejące granice sowiecko-turecką i sowiecko-perską i na północy — wzdłuż biegu rzek Kubań i Kuma. Ogólna powierzchnia tego obszaru wynosi około 355.000 km. kwadr. Po innych mniej istotnych poprawkach podpisano w Paryżu 28 maja 1940 ostateczny tekst Paktu.

Pakt ten przewiduje prowadzenie wspólnej i jednolitej polityki zagranicznej oraz zniesienie wszelkich wewnętrznych barier celnych i komunikacyjnych. Obrona powierzona jest armii konfederacyjnej, złożonej z oddziałów narodowych, pod wspólnym dowództwem. Mniejszości narodowe na obszarach państw konfederacji mają pełne prawa wolnego rozwoju kulturalnego.

W dniu podpisania Paktu Rada Konfederacji wydała deklarację, w której streszczono zasadnicze cele polityki zagranicznej a więc : walkę o wyzwolenie Kaukazu spod dominacji Sowietów, oraz utrzymanie przyjaznych stosunków z Turcją i Persją.

Sformułowanie i podpisanie Paktu w 1940 roku podyktowane zostało przewidywaniem zasadniczych zmian na terytorium

Sowietów w wyniku drugiej wojny światowej. Hitlerowskie Niem
cy zawiodły jednak politycznie, gdyż potraktowały zagadnieni
narodów Rosji (nie wyłączając rosyjskiego) wbrew wszelkim za
sadom rozumu politycznego, w ślepym egoizmie dążąc do za
miany podbitych obszarów we własne kolonie.

Niemniej jednak sygnatariusze Paktu w 1940 roku mie
pierwotnie na myśli wybuch wojny między blokiem niemieck
sowieckim a mocarstwami demokratycznymi. Żywiąc w zasadzi
niechęć do bloku faszystowskiego, liczyli oni przede wszystki
na pomoc demokratycznego Zachodu. Tym bardziej zrozumiał
staje się rozczarowanie i zawód, jakie politykom kaukaskim spra
wiły demokracje zachodnie, które po skończonej wojnie poszł
na liczne ustępstwa wobec Kremla.

Pewna liczba nowych emigrantów z Kaukazu zasiliła sze
regi dawnych, z okresu po pierwszej wojnie światowej i okupa
cji Kaukazu w 1920-1921. Nowi emigranci z jednej strony zdy
namizowali myśl polityczną, z drugiej zaś wnieśli wiele anarch
w stosunki, gdyż na ich mentalności zaciążyły ślady wpływów
sowieckich oraz współpracy z czynnikami hitlerowskimi. Cech
te jednak powoli zanikają i następuje zbliżenie między emigra
cją starą i nową.

Obecny ciężar pracy politycznej emigracji kaukaskiej stresz
cza się do znalezienia wspólnej platformy z innymi emigracjam
z Rosji. Porozumienie to nie nastręcza trudności na odcinku nie
rosyjskich emigracji. Współpraca z rosyjską emigracją antykc
munistyczną idzie opornie ze względów zasadniczych. Emigracj
kaukaska, niezależnie od kierunków i radykalizmu niepodległc
ściowego, stoi *w zasadzie* na stanowisku suwerenności swyc
krajów, zaś wszystkie główne ugrupowania rosyjskie — dążą d
utrzymania imperium w tej czy innej postaci ustrojowej. Pewn
grupy emigracji kaukaskiej i rosyjskiej znalazły przejściow
wspólną platformę w postaci ,,niepredreszenstwa'' ,to jest nie
wypowiadania się na temat przyszłego ustroju Rosji i charakte
tu stosunków między Rosją a Kaukazem aż do chwili pokona
nia wspólnego nieprzyjaciela — komunistycznego reżymu. O
ganizowane na tej zasadzie rosyjsko-kaukaskie organizacje pc
rozumiewawcze były mało atrakcyjne zarówno dla Rosjan ja
i Kaukazczyków, oraz nie mogły znaleźć trwałych form progra
mowych.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

REPUBLIKI KAUKASKIE

Republiki (SSR), Autonom. Rep. (ASSR) Okręgi Autonom. (OA)	*Ludność w tys. w/g spisu z 1939 r.*	*Powierzchnia w klm. kw. w tysiącach*	*Stolice i główne miasta*
	(Zakaukazie)		
Azerbajdżańska SSR.	3.209,7	85,7	*Baku*
Nachiczewanska ASSR.			Nachiczewan
Górno-Karabachski OA			Stepanakert
Gruzińska SSR.	3.542,3	69,5	*Tyflis* (Tbilisi)
Abchazska ASSR.			Suchumi
Adżarska ASSR.			Batumi
Południowo-Osetyński OA.			Staliniri
Ormiańska SSR.	1.281,6	29,8	*Erevan*
	(Północny Kaukaz po II. wojnie światowej)		
Dagestańska ASSR.	930,5	34,7	Machaczkala
Północno-Osetyńska ASSR.	328,9	6,2	Dzaudżikau
Kabardyńska ASSR.	?	?	Nalczik
Czerkieski OA.	92,5	3,3	Czerkiessk
Adygejski OA.	241,8	3,9	Majkop

NARODY KAUKASKIE

1. W Sowietach znajdowało się według spisu ludności z 1939 roku :

(Główne narody):	*Azerbajdżańczycy*	2.274.805
	Gruzini	2.248.566
	Ormianie	2.151.884
(Szczepy):	Dagestańskie plemiona	857.371
	Czeczeni	407.690*
	Osetyni	354.547
	Kabardynowie	164.106
	Ingusze	92.074*
	Plemiona czerkieskie	87.973
	Karaczaje	75.737*
	Abchazowie	58.969
	Balkarczycy	42.666*

2. Kaukazczycy poza granicami Sowietów (**):

Azerbajdżańczycy w Persji, około ..	3.000.000
Ormianie w świecie, około	1.000.000
Północno-Kaukazczycy, około	700.000
Gruzini w Turcji, około	500.000

(*) Ludy zaznaczone gwiazdką oskarżono o masowe sympatie do Niemców i deportowano do Syberii, Kazachstanu i obozów pracy przymusowej pod koniec i po zakończeniu drugiej wojny światowej.

(**) Wielu przedstawicieli plemion kaukaskich zamieszkuje na obszarach Sowietów poza obrębem ich narodowych republik sowieckich.

Najnowsza historia Polski

W ciągu stycznia reżym warszawski organizuje uroczystości z okaz ,,dziesięciolecia uwolnienia Warszawy przez bratnie wojska radzie kie". Trzeba było aż dziesięciu długich lat terroru i gleichszaltowani społeczeństwa, by podobna uroczystość mogła być obchodzona ta jawnie.

Pragnąc ze swej strony przyczynić się do ,,uczczenia" tej roczni drukujemy wiersz Zb. Jasińskiego, napisany w dzień kapitulacji War szawy, i dotąd nigdzie w całości nie drukowany. Wiersz ten, z po żytkiem zresztą, powinien być przeczytany i przez sfery polityczn emigracyjne. Przypominamy, że Zb. Jasiński, pseudonim ,,Rudy" by redaktorem dziennika radiostacji AK. ,,Błyskawica" w czasie Powsta nia i jest autorem wiersza — ,,My chcemy amunicji", który stał s symbolem walczącej Warszawy.

Pieśń o Powstaniu

To wam, żołnierze Krajowej Armii,
dla was ta pieśń wypruta z trzew.
Niech mocą ją wasz gniew nakarmi
i świst ! — i błysk ! — i huk ! — i krew —



Huraganowym
zrywem
szarpnęło
i poderwało
i ogarnęło
i uskrzydliło
całą
Warszawę :

— Chłopcy :
Treblinka !
Majdanek !
Wawer ! —

Patrzcie :

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialno autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Jak nawet, drobni i słabi,
szczeniaki, których przerasta karabin,
już się zza rogu składają w niemca
za powieszone dzieci od Siemca,
za wszystkie zbrodnie z Alei Szucha,
za dno zwyrodnień, Pawiak, Oświęcim —
patrzcie :
tajona zaciekłość głucha
runęła śpiewem jak zawierucha
i pomstę święci ! — wolność święci ! —
patrzcie :
truchleją bladzi żandarmi
i — trup za trupem, czaszką w bruk !
A my, żołnierze Krajowej Armii,
naprzód ! — i świst ! — i błysk ! — i huk —

Patrzcie :

Z balkonów, z okien kamienic
ludzie zdumieni, ludzie wzruszeni
rzucają kwiaty ! — i kule tańczą,
gwiżdżą, ćwierkają, śpiewkę powstańczą,
i szyby dzwonią, drżą kamienice,
patrzcie :
umyka esesmanów banda,
w Pałacu Bruhla wścieka się hycel,
w głośniki rzęzi, łże propaganda,
a na ulicach, a nad Stolicą
biało-czerwony wykwita sztandar ! —

Naprzód, żołnierze Krajowej Armii !

Już nas nie będą łowić bezkarnie,
osaczać, wieszać, katować, deptać :
kulą spłacamy każdy policzek,
konspiracyjnych dosyć nam szeptań :
możemy śpiewać ! — możemy krzyczeć ! —

Naprzód, żołnierze Krajowej Armii !

— Zadudnił bruk tysiącem nóg
i szczęście wolny okrzyk barwi
i świst ! — i błysk ! — i trzask ! — i huk —

Patrzcie :
Tak walczą nasi żołnierze :
słońcem sierpniowym lśnią pistolety,
matki po bramach szepcą pacierze,
kwiaty rzucają z okien kobiety,
kule śpiewają, kule świergocą,

strzaskane szyby w słońcu się złocą,
i zadyszane biegną łączniczki,
rozpromienione mają policzki,
uradowane pędzą z meldunkiem
że już — na Poczcie padł pierwszy bunkier !
A tu — wciąż bliżej trzepią granaty,
roztterkotały się rozpylacze,
kobiety z okien rzucają kwiaty :
będzie swobodniej ! — będzie inaczej ! —
patrzcie :
W Pałacu wścieka się junkier,
czołgi w ulicę strzelają z armat,
śliczne panienki biegną z meldunkiem,
każdy ich uśmiech wolności żar ma,
patrzcie :
tak walczą nasi żołnierze :
pamięć zaginie o Arbeitsamt'cie,
piersiom swobodniej będzie i szerzej :
jutro nas pomoc przyślą alianci ! —



Wami, żołnierze Krajowej Armii,
zdumiał się świat, gdy wrogom wbrew
rozkaz poderwał was w alarmie
i świst — i błysk ! — i krzyk ! — i śpiew ! —
i duma ! — szczęście ! — bo „sumieniem świata"
was okrzyknęły głosy bratnich nacji
i świat się nagle z Warszawą pobratał
w komunikatach wolnych radiostacji :

— Hallo, hallo, hallo :
Tu mówi do was Lublin :
Proletariackie pozdrowienia
ślemy niezawisłym !
Męstwa, ludu Stolicy :
nim wróg was uszczupli,
armia sowiecka ruszy
w odsieczy zza Wisły !

— Hallo, hallo, hallo :
Tu mówi do was Londyn :
Amunicja w drodze,
pomoc wam niesiemy !
Poruszyliśmy wszystkie
sprężyny i rządy.
Z nieba — jak srebrne orły
na wroga runiemy !

— Hallo, tu Krym.
— Hallo, tu Rzym.
— Tu Pernambuco.
— Tu New York.
— Tu robotnicy.
— Tu lotnicy.
— Tu kler.
— Tu rząd.
— Tu hrabstwo Cork.
— Hallo, wytrwajcie.
— Jeszcze tydzień.
— Pomoc nadejdzie.
— Pomoc idzie.



Roztańczyła się Warszawa :
jak zabawa — to zabawa !
Świszczą kule promieniście,
ryją ziemię, tną po liściach,
trzepią w tynk i sypią gruz.
Wpoprzek ulic lecą cegły,
złomy, domy wpoprzek legły,
w niebo męstwa pomnik wrósł,
w niebo rośnie wał poległych,
świst ! — i błysk ! — i tryska bruk !
świszczą zgliszcza, gruz opada,
rośnie, rośnie barykada,
świst — i błysk ! — i jęk ! — i huk !
bomba w złom za bombą pada,
i grom w dom — i lecą piętra,
chylą się kościelne wieże,
gromów tłum ! — i w gruzach Centrum,
ale będzie jaśniej ! — szerzej ! —

Naprzód, lwy Krajowej Armii !
Twierdzą naszą każdy próg !
Wir historii nas ogarnia,
świst ! — i błysk ! — i dym ! — i huk ! —

Tu nas w kawały rwą granaty,
w bryzgi rozsadza grad kartaczy !
Na grobach tu zakwitną kwiaty,
będzie swobodniej nam, inaczej !

Tu zęby wilcze, kły lamparcie,
miasto szalone — wspaniałe miasto !
Tu za natarciem przeciwnatarcie :
Aleje, Poczta, atak pod Pastą !

Piekłem rzygają ognia miotacze,
pali się Chłodna, dogasa Wolska,
ale już jutro będzie inaczej :
niech spłonie miasto — urośnie Polska !



Atak za szturmem, szturm za natarciem !

— Ach, gdyby tylko przysłano pomoc,
ach, gdyby tylko było wiadomo
że nam alianci nadeślą wsparcie
nim wystrzelimy pocisk ostatni :

Głód bohaterom kiszki skręca,
sennieją oczy, słabną ręce,
słania się, ściele żer armatni,
las krzyży rośnie wokoło strzelnic,
wróg nasze matki pędzi na czołgi,
za Wisłą milczy swołocz znad Wołgi,
przywarły działa czerwonych sotni,
i coraz więcej spalonych dzielnic,
i coraz czarniej, coraz śmiertelniej,
coraz samotniej...



Wtem :

Wieść gruchnęła w płonącym mieście :
— Są ! — Amunicja ! — Zrzuty ! — Nareszcie ! —
Nie zapomnieli o nas alianci
Już nam nie groźne salwy armatnie,
Warszawo, zęby drapieżne zatnij !

Ranni, do broni ! — Polegli, wstańcie ! —
Naprzód, żołnierze upiornej Armii !
Na barykady ! — Krew za krew !
Szaleni, straszni i cmentarni,
naprzód ! — i świst ! — i huk ! — i śpiew !

Nad nimi — skrzydła :

Szlakiem podniebnym
sto ptaków leci, sto ptaków srebrnych :
sto zenitówek ogniem je wita,
sto pióropuszy w niebo zakwita,
sto spadochronów jak białe dzwony,
jak lilie płyną w dół spadochrony,
huragan męstwa nimi kołysze,
orkan wybuchów po niebie pląsa,

spadochronami miota, potrząsa,
powietrze pęka, morderstwem dyszy,
narasta wściekły szrapneli poryk,
warczą motory, huczą motory,
i płyną, płyną w dół spadochrony
do stóp Warszawy bojem szalonej,
śmiercią pijanej, uszczęśliwionej,
bo już wiadomo ! — już wiadomo :
jest amunicja ! — nadeszła pomoc !

Słońce przez dymy świeci pogodnie,
śmieją się zgliszcza spalonych dzielnic,
jaśniej, weselej w ruinach strzelnic :
piersiom żołnierskim lżej i swobodniej.



Dosyć ! —

Dosyć grzecznej pieśni !

Niechaj zawyje świstem chłosty !
Niech posłuchają radcy niewcześni
słów nieporadnych, rozpaczą prostych :

Nasza, żołnierze okłamanej Armii,
nasza to pieśń, wypruta z trzew.
Wściekłością ją nasz ból nakarmił.
Ofiarna śmierć. Daremna krew.

Niech słyszą pieśń klakierzy owi,
deklamatorzy, zapewniacze.
Niech cały świat się wreszcie dowie,
że trzeba śpiewać ją inaczej :



Rzucone hasło. Poszli żołnierze...

Sierpniowym słońcem lśnią pistolety,
matki żarliwie szepcą pacierze :
...może zza Wisły ruszą Sowiety ?...

Poszli żołnierze dzielni i młodzi
bez karabinów, bez karabinów,
a przeciw czołgom — tylko benzyna.

— Żywiej, klakierzy ! Klaskać na podziw !
W oczach im płonie zapał bezmierny,
bo karabiny sami zdobędą.

Przeciw dywizjom poszli pancernym
i to w historii liczyć im będą :
warci, by łatwy przesłać im podziw
i obietnicę : „Pomoc nadchodzi"...

Pogodne było niebo sierpniowe,
gdy wyglądano przylotu ptaków.
Żołnierzyk młody, raniony w głowę,
bez amunicji szedł do ataku,
a wróg nas raził z wylotów strzelnic
i huk moździerzy po mieście dudnił,
i coraz więcej spalonych dzielnic,
i coraz ciężej, i coraz trudniej...

— Patrzcie, klakierzy :
Już czwarty tydzień,
zwyciężyliśmy wroga pod Pastą !

— Klakierzy, oto :

Cztery tygodnie,
wróg atakuje już Stare Miasto...
Rwą nas w kawały bomby i czołgi,
słońce przez dymy świeci pogodnie,
milczą zdradzieckie działa znad Wołgi,
a wasza pomoc idzie, wciąż idzie,
i zgodnie radzą, radzą alianci :
czyśmy bandyci, czy kombatanci...?
A w nasze piersi — salwy armatnie.
W gruzach Starówka, płonie Śródmieście,
świszcze po zgliszczach piekło granatów.
Czy amunicję nadeślą wreszcie ?...

I jeszcze jeden upływa tydzień,
już nikt nam z okien nie rzuca kwiatów,
i tylko pomoc — idzie, wciąż idzie,
i tylko rosną mogiły bratnie,
tylko te krzyże, krwi hekatomby,
te ponad nami bomby ! — te bomby !
bomby i bomby !...
Płonie Powiśle,
jutro z kolei padnie Czerniaków,
kto nam i kiedy tę pomoc przyśle ?...

Próżno skazańcom wyglądać znaków :
wrzesień już wrzesień spłynął pogodnie,
dogasa miasto, huczą moździerze,
pokotem giną bezbronni, głodni,
brudni, zawszeni, ranni żołnierze...

— Dmijcie, klakierzy, w pochwalne trąby,
gdy ponad nami bomby i bomby,
bomby i bomby, bomby i bomby !...
nic, tylko bomby, bomby, bomby !...

Twarze kochane, twarze wybladłe
pod barykadą czyjeś się kładły,
główki dziecięce, oczy zdziwione,
usta kochane, nieporuszone,
słowa ostatnie, mogiły bratnie,
samolot, bomby, salwy armatnie,
słowa zamarłe, gwiazdy dalekie,
serca zacichłe, trzewia wyprute,
domy spalone, drzewa kalekie,
krzyże sterczące w niebo kikutem,
a w cieniu krzyży pod barykadą
twarz nowa ziemi kłoni się blado,
tlą się ulice, gaśnie Stolica,
samolot, bomby, huk, błyskawica,
ruiny wyżej i coraz wyżej
krzyże drewniane, dymiące krzyże,
a w pogorzeli pod barykadą
trupy się nowe kładą i kładą...

Ostatnie strzały obrońców głuchną,
szczury tłuścieją na polskim ścierwie.

— Klakierzy, dosyć ! Dłonie was spuchną !
Pobożny podziw płuca wam zerwie !



Wiemy :

Słów naszych czarną wściekłość
dostojne zmilczą znów regiony.
A nami targa wzgarda, piekło
na śmierć skazanych, opuszczonych :

Przywarł za Wisłą mur swołoczy,
zęby sowiecka hiena szczerzy.
A nam — nam tylko piachem w oczy,
nam tylko czekać, w pakty wierzyć.

Na skandal — jedno słowo : Skandal !
Słów nie dobierać — elokwentnej bandzie.
Długo trąbiła nam ich propaganda,
dziś odśpiewamy wiernej propa-grandzie :

Niech słyszą pieśń klakierzy owi,
gwaranci właśni i alianci
dyplomatyczni, traktatowi,
kart atlantyckich kant na kancie.

Nie ! —

To zbyt grzecznie ! za słabo ! za mało !
Bomby tu jeszcze nie wszystkich wytłukły !
Kto żyw, niech piersią huknie całą,
by usłyszały nas niemrawe kukły,
rządy nierządne, ministrowie,
premierzy, durnie i krętacze,
ojce ludzkości zawodowi,
działacze ważni i partacze,
szuje, kramarze i wygłupki,
deklamatorzy, naciągacze,
cezary i żołędne bubki
udrapowane w cnoty sztandar :
— nim się wytleje do cna bitwa,
niechaj się dowie zacna sitwa,
jak śpiewa nasza propaganda :

Tu krwią rzygamy ! tu konamy w boju !
tu się historię targnęło za rogi !

— A tam w barchanach ciepłych olabogi
fotele grzeją, knocą świczki z łoju,
i radzi, kadzi zbieranina wszawa,
przyrzeka, zwleka i przesyła brawa...

Tu — amunicji ! Broni ! Broni trzeba !
Giniemy ! Chryste ! Broń nam rzućcie z nieba !
Tu śmierć zatłukła sto tysięcy
w kanałach, bunkrach, kazamatach !
Wytłucze więcej ! jeszcze więcej !
i pójdą straszne niedobitki
w kacety, piece i kibitki !

— A tam się szczwane wychytrzają panki,
ślinią, seplenią o ,,sumieniu świata'',
dyplomatyczne rozkładają ręce...
A jakieś inne odjajone mydlki
cedzą cacanki słodkie, obiecanki,
łezki, westchnienia, rzewne ptysie z pianki...

Nie nas pomadą. Nie nas wazeliną.
Tu umieramy w glorii, nie w cykorii.
Bracia ! Niech ryknie ta pieśń skurwysynom,
by razem z nami weszli do historii !

Niech ich po nocach koszmarami dławi,
niech wzgardą wolnych smaga ich jak biczem,
niech się do szczętu rozpaczą wykrwawi,
niech poza groby sięga i skowycze :

Pieśń o Powstaniu w samotnej Warszawie.

Warszawa, w ostatniej siedzibie radiostacji A.K. „Błyskawica", wrzesień 1944 r.

Zbigniew JASIŃSKI

Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953)

2

4. POSZCZEGÓLNE ZIEMIE „NIEMIECKIEGO WSCHODU".

W zakresie regionalnym opracowań ziem wschodniego granicza bibliografia niemiecka szybko nawiązała do przec jennych tradycyj. W latach 1949 do 1953 opublikowano bi grafie wszystkich niemiecko-polskich terenów spornych czy nicznych, a więc Sudetów, Śląska, „Prus Zachodnich", Wschodnich i krajów bałtyckich.

Podobnie jak przed rokiem 1939, specjalną uwagę poś cono Śląskowi. Podstawową bibliografię tego regionu oprac z polecenia Instytutu Herdera, *Herbert Rister* (29), opierają na zbiorach silesiaców, będących w posiadaniu zachodnio mieckich instytucyj naukowych, głównie wykorzystując mat zorganizowanej przez siebie biblioteki Instytutu Herdera w burgu. Pracę wydano sumptem Rady Naukowej tejże instyt jako piąte kolejne wydawnictwo nowozorganizowanej Histo nej Komisji dla Śląska. Książka zawiera 3.196 pozycji wy nych spośród 5.500 tytułów literatury czasopiśmienniczej i k kowej, ogłoszonej na temat Śląska w językach niemieckim, skim, czeskim a także angielskim, francuskim i in., w la 1941-1952. Rister uwzględnia literaturę z zakresu fizjografii cjologii, historii, polityki, ekonomii, z zakresu prawa, ję znawstwa i krytyki literackiej, jak również tematykę z

29 RISTER, Herbert: *Schlesische Bibliographie 1942-1951.* Im trage der Historischen Kommission für Schlesien bearbeitet von H Rister. Johann Gottfried Herder-Institut, Marburg/Lahn, 1953. Str. 2 -J.G. Herder-Institut, Marburg/L. Wissenschaftliche Beiträge zu schichte une Landeskunde Ost-Mitteleuropas, Nr. 5. Eizelschrifte Historischen Kommission für Schlesien, I.

religijnego, kulturalnego i sztuki. Nacisk położono jednak na tło polityczne i dzieje Śląska (przeszło 1/3 ogólnej liczby); szczególnie drobiazgowo opracowano najnowsze dzieje Wrocławia, Brzega, Kłodzka, Gliwic, Opawy, a także Katowic, Cieszyna, Bielska i Jabłonkowa, i innych miast śląskich.

Specyfikacja terenowa, przeprowadzona w tej bibliografii według pojęć politycznych z okresu Pokoju Cieszyńskiego uwzględnia cztery zasadnicze działy: A) Śląsk w ogólności (2.413 poz.), B) Śląsk Dolny (227 poz.), C) Górny Śląsk (183 poz.), wreszcie D) Śląsk Austriacki (370 poz.).

Około 50% zbioru stanowi piśmiennictwo polsko-języczne. *Prof. H. Schlenger*, inicjator i wydawca bibliografii, tłumaczy ten stan rzeczy następująco: „...diese Bibliographie ist eine wissenschaftliche. Deshalb wurde Wert darauf gelegt, nicht nur das in deutscher Sprache veröffentlichte Schrifttum über Schlesien zu erfassen, das im Zeitraum von 1942-1951 erschienen ist, sondern — vor allem von 1945 an — auch das fremdsprachige. Dass Schlesien seit 1945 unter polnischer Verwaltung steht und dass die polnische Wissenschaft und Publizistik sich die von Polen verwalteten deutschen Ostgebiete mit fieberhaftem Eifer anzueingnen sucht, erklärt die verhältnismässig grosse Anzahl nichtdeutscher Veröffentlichungen über unsere Heimatprovinz. Aber auch diese müssen ja von der deutschen Landesforschung gekannt werden, will sie den Anschluss an die wissenschaftliche Arbeit über ein Gebiet nicht verlieren, aus dem sie durch zahlreiche Massnahmen der derzeitigen Verwaltungsmacht verdrängt werden soll".

„Ortsregister" zamieszczony na końcu książki, objaśnia co do tego, jak prof. Schlenger pojmuje „unsere Heimatprovinz". W jej skład wchodzi Oświęcimskie, Wadowickie, Zywiecczyzna, Cieszyńskie, Zaolzie, Morawy i Sudecczyzna.

Drugą z rzędu publikacją bibliograficzną dotyczącą Śląska jest „Schlesisches Schrifttum seit 1946" *Joachima Herrmanna i Dietera Wurmsa* (30). Podjęta z myślą dostarczenia przewodnika do pracy polityczno-kulturalnej wśród śląskich towarzystw wysiedleńczych, chce być zarazem pierwszą próbą przeglądu mającego „wykazać w jakim stopniu niemiecki krajobraz Śląska, śląska świadomość i śląska nadzieja wyrażają się we współczesnym piśmiennictwie" niemieckim. Wbrew tym zapowiedziom, autorzy, skompletowali jedynie pozycje dotyczące literatury pięknej, ubocznie tylko zwracając uwagę na folklor, historię, oraz śląską prasę wysiedleńczą. Polonica znajdują się tu głównie w pierwszych pięciu rozdziałach, są jednak lepiej bibliograficznie opracowane już w innych źródłach.

---

30 HERRMANN, Joachim Dr. und Dieter WURMS: *Schlesisches Schrifttum seit 1946*. Bibliographie einer deutschen Landschaft. 1. Folge 1953. Mit Unterstützung des Kulturwerks Schlesien Neumarkt/Opf. Hrsg. vom Schlesier-Verband Bayern, München. Kommissionverlag Bergstadtverlag, W.G. Korn, München (1953). Str. 67.

Stosunki społeczne i historyczno-gospodarcze są tema
chronologicznie pierwszej bibliografii silesiaców, broszury z
nego nam już *H. Ristera,* pt. ,,Bibliographie zur Sozial-
Wirtschaftsgeschichte des gesamtoberschlesischen Indust
gebietes 1935-1951'' (31). Rister nawiązuje w tej pracy
,,Oberschlesische Bibliographie'' *H. i L. Bellée,* spisując za
wojenne jedynie wydawnictwa samodzielne oraz artykuły z
sopism, po roku 1945 natomiast, uwzględniając również waż
sze przyczynki z prasy codziennej. Jego selektywny i rektros
tywny indeks obejmuje międzynarodowe piśmiennictwo spo
nych i ekonomicznych zagadnień związanych ze Śląskiem
mieckim, polskim i czeskim, w znanym nam już historycz
zróżnicowaniu ziemi śląskiej na Śląsk Górny, Wschodni G
i Śląsk austriacki. Jeśli chodzi o druki polskojęzyczne w tej
cy, to porównanie ich ze ,,Śląską biografią'' Brożka, jedyni
okres lat 1945-1946, wykazuje w pracy Ristera luki.

Wartość źródłową posiada śląska bieżąca bibliografia,
dagowana przez *R. Maia,* począwszy od roku 1950, w czas
śmie wysiedleńczym ,,Die Schlesierwarte'' (32).

Z regionalnych powojennych opracowań dotyczących ,,
mieckiego wschodu'' najpoważniejszym wydaje się ,,Biblio
phie der Geschichte von Ost- und Westpreussen'', *Er*
Wermkego (33). Autor nawiązując do własnych prac pr
wojennych, zgromadził w niej 4.538 tytułów przeważnie
miecko-polskiego piśmiennictwa z lat 1939-1951, klasyfikują
bardzo szczegółowo, a zarazem czytelnie.

Jak już z tytułu wynika, Wermke nie liczy się z istnie
niepodległej Polski i państw bałtyckich międzywojennego o
su, i w specyfikacji nawiązuje świadomie do podziału polit
nego oraz nomenklatury z czasów rozbiorów Polski. Pod t
kątem widzenia rozplanowano również podrozdziały, np. ,,W
preussen unter der Fremdherrschaft'', albo w ,,Geschichte
Landschaften'': ,,Dobriner Land, Ermland, Kaschubei, Ko
neiderei, Kulmerland, Lauenburg und Bütow, Litauen, Masu
Memelland'', a nico dalej, ,,Weichselland, die Weichsel, Gr
mark-Posen-Westpreussen, Bialystok'', itp.

---

31 RISTER, Herbert: *Bibliographie zur Sozial- und Wirtsc geschichte des gesamtoberschlesischen Industriegebiets 1935-1951.* F ,,Oberschlesische Studienhilfe'' Walleshausen Kreis Landsberg am Neumarkt Opf., Verlag des Kulturwerks Schlesien e.V. (1952) Str

32 (MAI, Richard): *Schlesische Bibliographie.* Neuerscheinunge Schlesiern über Schlesier. -Schlesierwarte, 1950-1953.

33 WERMKE, Ernst Dr.: *Bibliographie der Geschichte von Ost Westpreussen für die Jahre 1939-1951 nebst Nachträgen aus den frü Jahren.* Bearbeitet im Auftrage der Historischen Kommission für ost westpreussische Landesforschung von Dr. Ernst Wermke. Johann fried Herder-Institut, Marburg/Lahn, 1953. Str. 294. 4° -J.G. H Institut, Marburg/L. Wissenschaftliche Beiträge zur Geschichte und La kunde Ost-Mitteleuropas, Nr. 11.

Słabo opracowano rozdziały z zakresu demografii historycz-
ej, szczególnie podrozdział trzeci, pt. ,,Deutsch-polnischer Na-
onalitätenkampf'', któremu autor poświęcił zaledwie 25 pozy-
ji, w tym pięć polskich.

Z dalszych opracowań rejonu wschodnio-prusko-bałtyckiego
ależy wymienić *Ernsta Thomsona* ,,Baltische Bibliographie
945-1953'' (34). Zebrano w niej prace bałtycko-niemieckich au-
orów, oraz piśmiennictwo dotyczące regionu bałtyckiego. Z ob-
zernym opracowaniem literatury książkowej i czasopiśmienni-
zej, dotyczącej historii kościelnej Pomorza wystąpił *Helmuth*
Ieyden (35). Piśmiennictwo dotyczące Gdańska opracowuje
Ioffmann (36), jak to wynika z danych Ristera. Najsłabiej opra-
owaną jest, o ile nam wiadomo, Sudecczyzna. Jedyna, jak do-
ychczas, monograficzna próba bibliografii rektrospektywnej, po-
więcona Sudecczyźnie, podjęta przez *Preidela i Schreibera*, opu-
likowana w ,,Stifter-Jahrbuch 1949'' (37), obejmuje czasowo
aledwie okres 1945-1948, natomiast terytorialnie, także rdzenne
zechy. Przypadłej Polsce części Sudecczyzny bibliografia nie
względnia, choć w Polsce na ten temat niejedno napisano, po-
aje natomiast literacko-historyczne prace *prof. Mariana Szyj-*
owskiego, dotyczące polskiego udziału w życiu duchowym na-
odu czeskiego, przy równoczesnym pominięciu szkicu tegoż au-
ora pt. ,,Polacy w Karlowych Warach''. Bieżący rejestr pi-
miennictwa sudeckiego, i o Sudetach, prowadzi *R. Mai* w mie-
ięczniku ,,Christ Unterwegs''.

5. RUCHY UCHODŹCZO-PRZESIEDLEŃCZE.

Pozbawienie w związku z ostatnią wojną światową kilkudzie-
ięciu milionów ludzi ich ojcowizny, wywołało obszerną między-

34 THOMSON, Erik: *Baltische Bibliographie, 1945-1953.* Verzeichnis
er in Jahren 1945-1953 erschienenen selbständigen Veröffentlichungen
eutschbaltischer Autoren und der im gleichen Zeitraum veröffentlichen
chriften über Balten und das Baltikum. Lüneburg, Selbstverlag, 1953.
tr. 40. 4°.

35 HEYDEN, Helmuth: *Verzeichnis von Büchern und Aufsätzen zur*
irchengeschichte Pommerns mit einem Anhang: Literatur zur Kultur-,
andes- und Stadtgeschichte. Hrsg. Archivamt der Evangelischen Kirche
eutschlands. Blomberg/Lippe. 1952. Str. 112.

36 HOFFMANN, F.: *Polen (und Freie Stadt Danzig)* -Naturforschung
nd Medizin in Deutschland 1939-46. Bd 47. Geogr. T. 4. Str. 91-150.
według danych Ristera w ,,Schrifttum über Polen'').

37 PREIDEL, H(elmut) und R(udolf) SCHREIBER: *Bibliographie*
er Sudetenländer 1945-1948. -Stifter-Jahrbuch, 1949. Hrsg. von Helmut
reidel. Gräfelfing b. München, E. Gans Verlag, 1949. Str. 130-163. Jahr-
ücher der wissenschaftl. Abteilung des Adalbert-Stifter-Vereins e.V., Mün-
hen.

narodową literaturę. Udział Niemców w rozwoju tego piśmi
nictwa dotyczy w głównej mierze dziejów i losu ich własn
,,Flüchtlinge'' i ,,Heimatvertriebene''. Zrazu jest to piśmi
nictwo samych wysiedleńców, a więc opisy przeżyć wojenny
relacje z wysiedlenia czy ucieczki, apologetyczno-wspomink
ska literatura o utraconej ojczyźnie, i reminscencje na te
ducha i misji ,,niemieckiego wschodu''. W miarę wzrastania
interesowania wysiedleńcami ze strony społeczeństwa, oraz
gerencji władz poszczególnych krajów związkowych, a wres
i rządu centralnego w Bonn, powstaje także piśmiennictwo o
siedleńcach. Są to w pierwszym rzędzie prawno-polityczne o
społeczno-gospodarcze dyskusje co do sposobu rozładowania p
blemu wysiedleńczego w ramach możliwości Republiki Związ
wej, oraz literatura urzędowa : memoriały, deklaracje, usta
dawstwo, i dane statystyczne.

Jeśli chodzi o ośmiomilionową rzeszę nie-niemieckich disp
ced persons i refugees, to piśmiennictwo niemieckie na ich te
jest ubogie, i za wyjątkiem kilku pozycyj książkowych (Ja
Möhring, Frings etc.) przez bibliografie niemieckie pomija
Przytacza się natomiast pozycje obcojęzyczne, szczególnie zach
nio-europejskie. Polsko-języczna literatura wysiedleńcza, kra
wa, jak i emigracyjna, w tym liczne publikacje wydane w
mych Niemczech (1945-1949), nie są uwzględnione w żad
z niemieckich bibliografij.

Znaczna część literatury ,,flüchtlingowskiej'' dotyczy
średnio lub bezpośrednio Polski : stwierdza jej współud
w wysiedleniach, zajmuje się historią, geografią i folklorem
ziem, zarówno tych w granicach przedwrześniowych, jak i
tańsko-poczdamskich, przynosi wierne na ogół, aktualne rep
taże z życia poza tzw. żelazną kurtyną, i projektuje przyszłe
życie sąsiedzkie z Polską. Nie na tym koniec : zasadniczą t
dencją tego piśmiennictwa jest umiędzynarodowienie proble
niemieckich wysiedleńców, oraz organizowanie powrotu t
ludzi, przez utrzymywanie ich w stanie pogotowia moralne
przy czym zwraca się szczególną uwagę na młodzież, jako p
legającą już procesowi asymilacji.

Zbieraniem piśmiennictwa wysiedleńczego zajął się zaraz
wojnie *Göttinger Arbeitskreis* (Herbert Marzian : Ostdeuts
Bibliographie, Dział C), oraz *Richard Mai*, który od wiosny 1
roku kontynuuje w piśmie ,,Christ Unterwegs'' rejestr piśm
nictwa wysiedleńczego i o wysiedleńcach. Także w ogóln
bibliografiach znajdujemy rozdziały poświęcone temu zagad
niu.

Jeśli chodzi o piśmiennictwo specjalne, to pozycje wcho
ce w zakres nauk społeczno-gospodarczych notowane są w ,
bliographie der Sozialwissenschaften'' (38), wydawanej p

---

38 *Bibliographie der Sozialwissenschaften* (Bibliographie der St
und Wirtschaftswissenschaften). Internationale Dokumentation der B

Schaedera i *Curtha*, oraz w ,,Bibliographischer Index und Literaturbericht des Institutes für Raumforschung'' redagowanym przez *Beyera* i *Irmgard Koppe* (39). Oba wydawnictwa uwzględniają piśmiennictwo międzynarodowe, z tym, że to ostatnie grupuje je także według państw. To co znajdujemy w rubryce ,,Pole'' jest jednak znikome. Wspomniany już *,,Institut für Raumforschung''* wydał w roku 1950 specjalny numer swojego pisma, poświęcony problemowi wysiedleńczemu, w którym znajdują się trzy wartościowe przyczynki bibliograficzne: ,,Beschlüsse und Protokolle über Verhandlungen zum Flüchtlingsproblem'' (40), ,,Die Heimatvertriebenen in der Statistik, insbesondere in der Bundesstatistik'' (41), i ,,Die Flüchtlingsfrage in den deutschen Zeitschriften'' (42).

W formie monograficznej opracowano bibliografię wychodźczą po raz pierwszy w roku 1949 w związku z kongresem frankfurckiego *,,Institut bur Förderung öffentlicher Angelegenheiten''* (43). Na spisie tym oparta jest praca *W. Möhringa* ogłoszona w książce ,,Millionen ohne Heimat'' (44). Materiał tam zebrany dotyczy wyłącznie wysiedleńców niemieckich (około 580 pozycyj), i ujęty jest w trzynaście rozdziałów, z których najszczegółowiej opracowany jest rozdział o ,,włączeniu wysiedleńców w organizm społeczeństwa niemieckiego''. W wydawnictwie zbiorowym ,,Europa und die deutschen Flüchtlinge'', wydanym w roku 1952 we Frankfurcie, Werner Möhring, opublikował jeszcze

---

und Zeitsschriftenliteratur des Gesamtgebietes der Sozialwissenschaften. Hrsg. von Prof. Dr. K. Schaeder in Verbindung mit Dr. H. Curth. Göttingen. Vandenhoeck u. Ruprecht, 1951-. -Jahrbuch für Sozialwissenschaft.

39 BEYER, Eduard Dr. und Irmgard KÖPPE: *Bibliographischer Index und Literaturbericht des Instituts für Raumforschung*, Juli 1951. Heft 1. Institut für Raumforschung Bonn, Bad. Godesberg, 1951. Str. 151. 4°.

40 GRANICKY, Günter und Georg MÜLLER: *Beschlüsse und Protokolle über Verhandlungen zum Flüchtlingsproblem.* Dokumentarisches Material zu dem Aufsatz ,,Die Flüchtlinge in Westdeutschland''. -Das deutsche Flüchtlingsproblem, Sonderheft der Zeitschrift für Raumforschung. Str. 14-25.

41 REICHLING, Gerhard: *Die Heimatvertriebenen in der Statistik insbesondere in der Bundes statistik.* -Das deutsche Flüchtlingsproblem. Sonderheft der Zeitschrift für Raumforschung. Str. 41-45.

42 BEYER, Eduard: Die Flüchtlingsfrage in den deutschen Zeitschriften. *Das Problem der Heimatvertriebenen und die Sozialwissenschaft.* Das deutsche Flüchtlingsproblem, Sonderheft der Zeitschrift für Raumforschung. Str. 134-140.

43 FRANKFURT am Main. Bibliothek des Instituts zur Förderung öffentlicher Angelegenheiten: *Bibliographie zur Flüchtlingsfrage. Stand vom 1. 6. 1949.* Nachtrag: Stand 15.7.1949. Frankfurt/Main (1949).

44 MÖHRING, Werner Dr.: *Schriften und Stimmen zur Vertriebenenfrage.* Eine bibliographische Zusammenstellung (Stand 15.11.1949.) -Millionen ohne Heimat. Eine Studie zur Vertriebenenfrage. Frankfurt/Main, Wolfgang Metzner Verlag (1950). Str. 53-110.

jedną „Bibliographie der Flüchtlingsliteratur" (45), obejmują tym razem także piśmiennictwo dotyczące uchodźców nie-niemi kich. Zbiór około 470 tytułów podzielono na dwie odrębne częś A. „Die Flüchtlinge der Welt" (około 170 pozycy)j, i B. „D Flüchtlingsproblem in Deutschland" (około 300 pozycyj).

W części A zebrano sprawozdania i dokumenty U.N., I.R.O U.N.R.R.A., publikacje dotyczące uchodźców z Bliskiego Wsch du, Palestyny, Indii, Pakistanu, Korei (Chiny pominięto), a t że Displaced Persons, wreszcie piśmiennictwo dotyczące spec nych zagadnień, jak : sytuacji prawnej uchodźców, ruchów gracyjnych, i przyczynków do rozwiązania światowego proble wysiedleńczego.

Część B zawiera piśmiennictwo m. in. do historii ucho ctwa, problematyki włączenia uchodźców w organizm społecz gospodarczy Zachodnich Niemiec (93 poz.), prawodawstwa wysiedleńców (30 poz.), oraz rozdział najobszerniejszy : spraw zdania i opisy dotyczące sytuacji wysiedleńców (117 pozycyj).

Piśmiennictwo zebrane przez Möhringa w dziale A pocho z lat 1945-1951, i obejmuje większość zasadniczych publika angielskich, francuskich i niemieckich. Wyjątek stanowią n działy dotyczące „displaced persons" oraz „U.N.R.R.A.", kt potraktowano bardzo powierzchownie.

W bibliografii Möhringa brak piśmiennictwa o polsk displaced persons. Trzy i pół milionom Polaków, wysiedlon w czasie wojny z Polski do Niemiec, poświęcono jedną pozy Jest to artykuł szwajcarskiego autora Frumesa : „Probleme Rück- und Weiterwanderung der Polen". Pożytecznym przycz kiem do międzynarodowej bibliografii o displaced persons w Nie czech, opracowanym z punktu widzenia prawno-politycznego, bibliografia *Eberharda Jahna* w książce „Das D.P.-Proble (46), wydanej w roku 1949 w Tübingen przez „Institut Besatzungsfragen". Na zakończenie wymienić można także p cę *Essen* i *Pfeilowej*, pt. „Zusammenstellung der grundleg den Flücktlingsliteratur".

Najświeższą datą jest broszura *Herberta Marziana* „O literatur" (47), wydana przez Göttinger Arbeitskreis, będąca dzajem popularnego przewodnika po literaturze wysiedleń

45 MÖHRING, Werner Dr.: *Bibliographie der Flüchtlingsliter (Stand vom 15. Mai 1951)*. A. Die Flüchtlinge der Welt B. Das Fl lingsproblem in Deutschland. -Europa und die deutschen Flüchtlinge. Fr furt/Main, Institut zur Förderung öffentlicher Angelegenheiten e. V., 1 Str. 109-135.

46 (JAHN, Eberhard): *Bibliographie (zum DP-Problem)* -Das Problem. Eine Studie über die ausländischen Flüchtlinge in Deutschl Institut für Besatzungsfragen Tübingen, Tübingen, Verlag J.C.B. (Paul Siebeck), 1950. Str. 106-111.

47 ((MARZIAN, Herbert): *Ostliteratur*. Schicksal, Probleme Beitrag der deutschen Heimatvertriebenen. Ein literarischer Wegw überreicht vom Göttinger Arbeitskreis. Göttingen, Der Göttinger Arb kreis (1951). Str. 16.

iemieckich. Polski dotyczą szczególnie rozdziały ,,Granica Odry-Nysy'', ,,Ojczyzna i sąsiedzi'', oraz ,,Prawo do ojczyzny''.

Wzorową bibliografię specjalną opracowali wysiedleni dziennikarze niemieccy w postaci ,,Handbuch der Presse der Heimatertriebenen'' (48), zredagowanej przez *prof. Kurtha*. Książka ta awiera nie tylko szczegółowo opracowane listy prasy poszczeólnych grup wysiedleńczych, wydawanej w Niemczech i zagraicą po roku 1945, ale naświetla w zwięzłych rozprawach przedvojenne dzieje niemiecko-językowej prasy w Polsce i krajach ąsiednich. Szczegółowe opisy bibliograficzne każdej pozycji, doyczące składu wydawców i redakcji, wysokości nakładów, porycia terenu, dodatków oraz wydawnictw ubocznych, jak rówież tendencyj i kierunku pisma pozwalają na zorientowanie się v organizacji i znaczeniu politycznym tej nadspodziewanie rozudowanej prasy.

Aczkolwiek większość podanych w bibliografii tytułów to femerydy, powstałe podobnie jak powielaczowa prasa dipisowka na tle specjalnych warunków powojennych, niemniej cyfra rzeszło 320 tytułów ma swoją wymowę; najwięcej czasopism vykazują Sudeccyzna (87 poz.) i Śląsk (70 poz.), poczem w pewiej odległości idą: Pomorze Wschodnie (24 poz.) oraz Prusy Wschodnie i ,,Zachodnie'' (21 pozycyj).

Polskiego badacza dziwią nakłady niektórych z tych pism: rankfurcki dwutygodnik ,,Wegweiser für Heimatvertriebe'' drukuje 180.000 egzemplarzy, ,,Ostpreussenblatt'' 100.000 egz., a niesięcznik Referatu Duszpasterskiego księży-wysiedleńców, ,Königsteiner Rufe'', 85.000 egzemplarzy. Uwagę zwracają też vysokie nakłady bojowych organów (Kampfblätter) prasy wyiedleńczej, uprawiających rewizjonizm w stosunku do Polski: ,Die Stimme-Ostdeutsche Zeitung'' (75.000 egz.), i ,,Ost-West-Kurier'' (86.000 egz.). Ciekawym psychologicznie zjawisiem jest partykularyzm tej prasy. Okazuje się, że własne organy prasowe posiadają nawet tak drobne grupy regionalne, ak: Pszczyniacy, Bytomiacy, Katowiczanie, Bielszczanie, mieszkańcy Kłodzka, Jeleniej Góry czy Oławy; sami tylko gdańscy vysiedleńcy i uchodźcy posiadają na terenie Niemiec Zachodnich siedem różnych pism, a Niemcy ,,nadwiślańscy'' i małoolscy, cztery.

6. NIEMIECKO-POLSKIE STOSUNKI.

Ważny temat stosunków niemiecko-polskich doczekał się v powojennej bibliografii niemieckiej dwu opracowań ,,150 ahre deutsch-polnische Freundschaft und Nachbarschaft'', opulikowanego we wschodnich Niemczech staraniem Towarzystwa

48 KURTH, Karl O., Prof. Dr.: *Handbuch der Presse der Heimatertriemenen (nach dem Stand vom Dezember 1952).* Kitzingen/Main, Verlag Holzner, 1953. Str. 300.

Pokoju i Dobrosąsiedzkich Stosunków Niemiecko-Polsk
w formie dodatku naukowego do czasopisma uniwersytecki
„Forum" (49), oraz fragmentu większej całości, pt.: „Geschi
der deutsch-polnischen Beziehungen", ogłoszonego przez Ri
ra w „Zeitschrift für Ostforschung" (50). Pierwsza z tych bil
grafii oparta jest na zbiorach poloniców uniwersytetu w Je
i pomyślana jako przewodnik dla studentów. Wyboru mater
dokonał kierownik poradni naukowej tej biblioteki, *Othmar F*
a uczynił to, jak w przedmowie zaznacza, z partyjno-polityczn
punktu widzenia; to samo dotyczy komentarzy, którymi opat
broszurę. Materiał bibliograficzny usystematyzowano wed
poniższego podziału rzeczowego: 1. Dzieła o charakterze o
nym i podręcznym. 2. Dzieła dotyczące zagadnień gospodarcz
i społecznych z zakresu historii Polski i niemiecko-polskich
sunków. 3. 1830/31 - 1848/49: Rozkwit postępowej, ale niek
sekwentnej burżuazyjnej przyjaźni względem Polski w Ni
czech — a) dzieła naukowo-polityczne; b) kulturalno-literac
4. Wykaz rozpraw doktorskich odnoszących się do Polski i
laków. 5. Informacje o ważniejszych publikacjach dotycząc
dawniejszej niemiecko-polskiej przyjaźni, znajdujących się p
Biblioteką Uniwersytecką w Jenie. 6. Konsekwentne pogłębi
postępowej niemiecko-polskiej przyjaźni oraz ugruntowanie
przez klasyków marksizmu-leninizmu. 7. Gospodarcze i polit
ne podstawy niemiecko-polskiego pokoju i umocnienie oraz
głębienie niemiecko-polskiej przyjaźni od 1945 roku. — U
pełnienia.

Polska krytyka krajowa (*Wł. Chojnacki,* Przegląd Zach
ni, nr 4/5, 1953, str. 661-664), jak również niemiecka (*K*
mann: „150 Jahre deutsch-polnische Freundschaftsbeziehunge
Neues Deutschland z dn. 28. 8. 1951) przyjęły pracę Feyla p
chylnie, zapewnie z uwagi na jej linię partyjną, i dla jej
wątpliwych walorów pionierskich. W gruncie rzeczy jest to bib
grafia zestawiona przypadkowo, a z uwagi na wyjście poza
teriał biblioteczny uniwersytetu w Jenie, wykazująca powa
braki. Dotyczą one w pierwszym rzędzie powojennej literat
na temat polsko-niemieckich stosunków, opublikowanej tak
Polsce, jak i w Niemczech Zachodnich, nie mówiąc już o inn
krajach europejskich. To samo da się powiedzieć o końcow
„Uzupełnieniach redakcji", które nie wytrzymują porówna
z materiałem rejestrowanym przez lipską bibliografię bieżą
Zasługą autora jest zestawienie obszernej, choć wbrew temu
twierdzi Chojnacki, dalekiej od skompletowania listy dyserta
oraz podanie pełnej listy poloniców marksistowskich.

49 (FEYL, Othmar Dr.): *150 Jahre deutsch-polnische Freundsc und Nachbarschaft.* Wissenschaftliche Beilage des „Forum" (Berlin) 1 Str. 23. -Gesellschaftswissenschaftliche Spezial-Bibliographien der Un sitätsbibliothek Jena, Nr. 1.

50 RISTER, Herbert: *Schrifttumsverzeichnis der deutschen Ostgeb 1945-1951.* -Zeitschrift für Ostforschung, 1952, 4. Str. 625-640.

Bibliografia *Ristera* ,,Die deutsch-polnischen Beziehungen'' rzynosi ilościowo mniej materiału jest natomiast gruntowniej pracowana, i obejmuje większość zasadniczego piśmiennictwa głoszonego na temat polsko-niemieckich stosunków w latach 945-1951. Gros materiału stanowią polskie krajowe tytuły, sporo :st pozycyj niemieckich, uwzględniono również piśmiennictwo ' innych europejskich językach.

Zastrzeżenia budzi sposób ugrupowania materiału, w połoie chronologiczny (rozdz. I-VI) a w połowie tematyczny (rozdz. 'II-XI). Niektóre z tych ostatnich rozdziałów, obejmujące za:dwie kilka tytułów, nie zasługiwały w ogóle na wyodrębnienie, atomiast rozdziały ,,niemiecko-polska granica'' i ,,polska nniejszość narodowa w Niemczech'' opracowane zostały bardzo owierzchownie. Uderza również słabe wykorzystanie polskiej liteatury emigracyjnej, szczególnie czasopiśmienniczej.

(Ciąg dalszy nastąpi.) *Jan KOWALIK*

Książ

Filozofia gwałtu

Zagadnienie deformacji charakteru człowieka, występu wskutek działania systemu społecznego opartego na ucisku i rorze nie należy do najnowszych odkryć socjologii. Pewne pc cie tego zagadnienia, występujące np. w przypadkach walk towych, klasowych, negrofobii czy antysemityzmu, od dawna pojawiały się jako temat rozważań socjologów i psycholog Dopiero jednak ubiegła wojna i bezpośrednio poprzedzając lata doprowadziły zjawisko ucisku społecznego do takiego n żenia i objęły nim takie masy grup społecznych, że zagadni to wysunęło się na jedno z czołowych miejsc tematyki soc gicznej, stając się zagadnieniem ,,palącym'' zarówno z teoret nego, jak i praktycznego punktu widzenia pedagogów, krym logów, socjologów itp.

Do szeregu naukowych opracowań, które usiłują atako różne aspekty tego, niestety wciąż jeszcze niedostatecznie finiowanego zagadnienia przybywa obecnie obszerna i źró wa praca Tadeusza Grygiera (*).

Książka dra Grygiera musi wzbudzać najwyższe zainter wanie i stanie się dziełem, bez którego nie potrafi obyć się n kto w przyszłości zechce zajmować się naukowo zjawisk ucisku społecznego. Jest ona oparta na materiale zebra w czasie dwumiesięcznych studiów psychometrycznych, prze wadzonych w roku 1946 na terenie południowej części ameryk skiego obszaru okupacyjnego w Niemczech nad liczną gr uratowanych właśnie byłych więźniów hitlerowskich obo eksterminacyjnych, byłych jeńców wojennych i wysiedleń uwolnionych z niemieckich obozów pracy przymusowej, zna

(*) OPPRESSION. A study in social and criminal psychology Tadeusz Grygier. (Str. 362). Cena 28 sh. Routiedge and Kegan Paul London 1954. The International Library of Sociology and Social Recons tion. Founded by Karl Mannheim. Editor W.J.H. Spratt.

ących się pod opieką szeregu alianckich instytucji społecznych jako tzw. „displaced persons".

Do szczególnych kwalifikacji autora należy nie tylko to, że mając za sobą studia prawnicze i kryminologiczne w Polsce, podjął studia socjologiczne na uniwersytecie w Anglii i badania o których mowa, przeprowadzał w ramach swej pracy doktoryzacyjnej, ale także i to, że badane zagadnienie poznał również i od innej strony, przeszedłszy sam poprzez obozy pracy przymusowej w Rosji Sowieckiej.

Planowana i wykonana jako rozprawa doktorska, praca dra Grygiera została w wydaniu książkowym znacznie rozszerzona, przez uzupełnienie materiału ściśle obserwacyjnego teoretycznymi spekulacjami psychologicznymi. Fakt, że autor wydaje się posiadać nieco przesadną ufność do teoretycznych koncepcji pomocniczej dlań dyscypliny naukowej, jaką jest psychologia, nie umniejsza w niczym wartości jego źródłowego materiału obserwacyjnego. W zebranie tego materiału włożył on rzetelną i sumienną pracę, gruntowne opanowanie wybranej przez siebie metody i techniki badań socjologicznych, głęboką erudycję, wielki talent i prawdziwą pasję uczonego.

W wyniku swych starań ujawnienia mechanizmu przemian psychicznych wywołanych przez wpływ ucisku, autor dochodzi do wniosku, że metody społecznego terroru prowadzą do nieuchronnego wzrostu przestępczości, wywołując w indywidualnych psychikach tendencje agresji i oporu przeciwko jakimkolwiek postaciom kontroli społecznej. Równocześnie rozwija się poczucie osamotnienia, beznadziejności i winy. Wynikający stąd konflikt emocjonalny prawie uniemożliwia osiągnięcie jakiejkolwiek równowagi psychicznej.

Stąd, zdaniem autora, w społeczeństwach których system kontroli oparty jest na ucisku i terrorze rozwija się kultura nieustabilizowana, kaleka i stale szarpana przez wewnętrzne kryzysy.

Książkę dra Grygiera angielska krytyka fachowa przyjmuje z dużym uznaniem, jako wybitny wkład do współczesnej wiedzy socjologicznej, a szczególnie kryminologicznej. Autor zdaje się traktować ją również, jeśli nie przede wszystkim, jako przyczynek do psychologii wychowawczej i polityki społecznej.

Praca ta pozostawia czytelnika pod wrażeniem wielkiej sprawności nowoczesnych metod badawczych w zakresie psychologii społecznej, oraz imponuje lotnością intelektualną autora. Nie jest to jednak lektura łatwa i właściwie dość trudno jest sobie wyobrazić dla jakich sfer czytelniczych ma być ona przeznaczona. Dla zawodowego psychologa lub socjologa książka dra Grygiera jest zbytecznie przeładowana materiałem nieistotnym, jak długie opisy stosowanych testów, ogólnie i dobrze znanych, jak dygresje natury opisowej, nie mające bezpośredniego związku z istotą prowadzonych badań itp. fragmenty, interesujące może dla szerszej warstwy czytelników, ale w rozprawie naukowej zbyteczne i nadające jej objętość nieproporcjo-

nalnie wielką do zawartości. Z drugiej zaś strony, całe rozdzi podane są w terminologii ściśle fachowej, której treść jest oc wiście poza zasięgiem intelektualnym zwykłego czytelnika, na jeśli jest dobrze obznajmiony z popularyzacyjną literaturą psyc logiczną. Na przykład podawanie zestawień statystyki psyc metrycznej z zastosowaniem sprawdzianu „chi-kwadrat" stanowić musi nierozwiązalną zagadkę dla czytelników, wś których trudno spodziewać się wielu, którzy by wiedzieli co z czy „chi-dystrybucja" i jakie ma znaczenie „chi-sprawdzian". też jeżeli ma to być próbą napisania książki, która byłaby r nocześnie rozprawą naukową, przeznaczoną dla specjalistów, c lekturą dostępną dla ogółu inteligentnych czytelników, interesu cych się zagadnieniami socjologii, to trzeba wynik uznać rozwiązanie niewłaściwe.

Konkluzje pracy, do których całe to olśniewające bogac naukowego aparatu socjologicznego prowadzi, sprawiają spodziankę swą nikłością. Nie tylko dlatego, że wydobyte p pomocy skomplikowanej techniki badawczej wnioski m być i niejednokrotnie bywały formułowane, nieomal identycz na podstawie zwykłych laickich obserwacji, ale że nawet stop pewności tych wniosków fachowych nie przewyższa de facto p ności wrażeń i spekulacji bystrego laika. Ta oczywista d proporcja pomiędzy potencjalnymi możliwościami naukowej te niki badań socjologicznych i nikłością pozytywnych konkluzji uderzająca. Warto by się może zastanowić, czy nie da się wyk jej przyczyn.

Przede wszystkim jednak parę uwag, które się narzuc na temat testów psychometrycznych, stosowanych przez dra C giera. Dobór tych testów, aczkolwiek są one opisywane d szeroko, nie jest w książce dostatecznie uzasadniony, a nie daje się całkiem szczęśliwy. Najpierw test „Otisa". M. A. C opracował swe testy dla badania sprawności umysłowej dz amerykańskich. Argumentacje, uzasadniające stosowanie tes „dziecięcych" do osób dorosłych nie są dostatecznie przekc wujące. Poza tym, dr Grygier, mimo opisu testu nie podaje k ry z trzech różnych testów Otisa stosuje. Można się tylko myślać, że prawdopodobnie chodzi tu o tzw. „self-administerir test, lub jakąś jego odmiankę. Sprawa nie jest bynajmniej c jętna, gdyż stopień wiarygodności tych testów jest różny. Pc jając wszelkie teoretyczne zastrzeżenia jakie bardzo poważny łam psychologów stawia przeciwko traktowaniu wyników dobnych testów jako miary „inteligencji", sam wybór te można by kwestionować. Dr Grygier zupełnie słusznie podkre że nie mógł stosować testów wyrazowych, gdyż niejednolity ziom znajomości języka wśród badanej grupy odebrałby w kom testu cechę porównalności. Niemniej, test Otisa ope wizerunkami przedmiotów, z których wiele, acz powszednie dzieci amerykańskich, są bądź niezwykłe, bądź po prostu znane w użytku dla osób dorosłych z Europy środkowo-wsch niej. Test znormalizowany dla osób, mających pewien określ

tosunek do przedstawionych przedmiotów może być nie znor-
nalizowany, lub wręcz niewłaściwy dla osób z innego środo-
iska cywilizacyjnego. To sprawia zresztą, że testy Otisa, dość
opularne w Ameryce, nie są na ogół stosowane w Europie, a
awet w Wielkiej Brytanii. Prawdopodobnie odpowiedniejszy
nógłby być np. test „mozajkowy" bardzo szeroko stosowany
rzed paru laty w armii i służbach pomocniczych Wielkiej Bry-
anii. Korelacja tego testu z czynnikiem inteligencji ogólnej („g")
raz jego „wiarygodność" (reliability) przewyższają testy Otisa.

Dwa pozostałe testy stosowane przez dra Grygiera, miano-
vicie obrazkowy test Rosenzweig'a i test Murray'a, jak zresztą
am autor przyznaje, nie należą do zakresu testów diagnostycz-
ych, ani też nie dają się łatwo dostosować do techniki psycho-
netrycznej, wymagającej skomplikowanych interpretacji psycho-
nalitycznych. Interpretacje zaś takie są, niestety, zawsze bar-
ziej pomysłowe niż ścisłe.

W rezultacie, badania dra Grygiera mogły dać wyniki od-
owiednie do oceny, mniej lub więcej dokładnej, dwóch podsta-
vowych czynników osobowości (charakteru), mianowicie B i E
według klasyfikacji Cattell'a. W dawniejszym systemie Spear-
nana czynnik B jest zwany „g"). Ponieważ zaś wszystkich
ozpoznanych czynników podstawowych jest dwanaście (od A
o L) przeto zebrane dane trudno jest uznać za dostateczne do
ełnej oceny charakteru badanych osób. (Tym bardziej, że nie
ostał określony żaden z czynników, których zależność od wpływu
rodowiska jest notoryczna, jak czynniki C, G, I, J lub K).

Uzupełnienie tych brakujących danych autor zastępuje skom-
likowaną analizą psychoanalityczną, opartą głównie na wynikach
estu Murray'a, a częściowo Rosenzweig'a i własnych wraże-
iach. Nie wchodząc w bliższe rozważania, czy takie dane mogą
yć dostateczną podstawą do rzetelnej analizy psychicznej, na-
eży podkreślić że dr Grygier posługuje się wyłącznie analizą
vedług systemu freudowskiego. W tym punkcie można zgłosić
dziwienie, jeżeli nie zastrzeżenie natury zasadniczej. Nie tylko
latego, że koncepcja mechanizmu osobowości postulowana przez
reudystów jest kwestionowana jako błędna zarówno przez myśli-
ieli katolickich jak i przez marksistów, ale przede wszystkim
latego, że z punktu widzenia psychologii naukowej jest to kon-
epcja i niewystarczająca i nieuzasadniona i nie jedyna. Jest to
ystem postulatów i spekulacji jeden z wielu możliwych i bynaj-
nniej nie wyróżniający się spośród innych cechą naukowej ści-
łości. Wystarczy przypomnieć istnienie wcale żywotnych kon-
epcji psychoanalitycznych opartych na teoretycznych założe-
iach Junga, Adlera, Perlsa czy Pawłowa (refleksologiczna) aby
vymienić tylko najważniejsze. Mogłoby być nawet interesującą
ozrywką intelektualną przeanalizowanie danych zgromadzo-
iych przez dra Grygiera w systemach koncepcji innych niż freu-
lowska. Wnioski, jakie by z tych analiz wynikły muszą być od-
nienne, niekiedy jak na przykład przy użyciu koncepcji reflekso-

logicznych bardzo odmienne od tych, do jakich dr Grygier s się czytelnika swej pracy przekonać.

Toteż trzeba uznać za usterkę części spekulacyjnej ksi to, że autor nigdzie wyraźnie nie stwierdza, że posługuje wyłącznie koncepcjami freudystów, że istnieją koncepcje inne wybór jego jest poparty jakąś przekonywującą argumentacj

Drugim punktem o bardziej jeszcze zasadniczym charakte który musi nasuwać wątpliwości jest traktowanie kultura go podłoża zjawisk społecznych. Tego punktu albo nie nale wcale poruszać, albo trzeba go było opracować gruntow Wszystkie zjawiska stanowiące teren badań socjologiczn łącznie, oczywista, z tymi, których analizie poświęcona jest p dra Grygiera, poza ich uzależnieniem od procesów psychiczn są funkcjonalnie związane z tym, co nazywamy kulturą i c lizacją.

Prawdą jest, jak dr Grygier stwierdza, że różni myślic rozmaicie, i nie zawsze zadowalająco, definiowali kulturę i wilizację, nie jest to jednak dostatecznym powodem aby p mować oba te terminy za równoznaczne i używać je synonim nie. Czy cywilizacja będzie pojmowana jako pewien aspekt ku ry, jak chce Malinowski (między innymi), czy też odwrot kultura jako pewien aspekt cywilizacji, jak wywodzi Weber, też jeszcze jakoś inaczej, to pojęcia te mogą i powinny być roz niane, gdyż bez takiego rozróżnienia liczne koncepcje socj giczne ulegają beznadziejnemu zaciemnieniu.

Jasne jest, że kultura i cywilizacja to nie są zjawiska, procesy lub stany wyznaczalne empirycznie, lub postulow konwencjonalnie, lecz są to koncepcje teoretyczne.

Koncepcje teoretyczne są w każdej nauce niezbędne aby sze doznania rzeczywistości uporządkować w system, a prze udostępnić dla ścisłego rozumowania. Fakt, że koncepcja ku ry, czy cywilizacji może być definiowana rozmaicie nie zmie teoretycznej wagi koncepcji. Podobnie koncepcją teoretyczną pojęcie atomu materii, czy grawitacji, nikt jednak nie zec utrzymywać, że bez tych koncepcji można skutecznie badać r czywistość materialną. Koncepcje atomu, czy grawitacji m być i są również definiowane rozmaicie: atom, na przyk może być pojmowany jako grupa cząsteczek w pewnym ukła wzajemnych ruchów, albo też jako wiązka fal w pewnym sy mie względnych częstotliwości; grawitacja jest definiowana j przyczyna ruchów ciał materialnych, albo też jako charakte styka (krzywizna) continuum przestrzenno-czasowego. Ka z tych definicji jakkolwiek są one różne, prowadzi do rów uporządkowanego i konsekwentnego systemu opisu rzeczy stości.

Podobnie koncepcje kultury i cywilizacji są niezbędne stworzenia konsekwentnego systemu socjologii, mimo że mo we są różne tych koncepcji definicje. Mimo rozmaitości istnie cych definicji nie ulega wątpliwości, że są to koncepcje r ne, choć pozostające w jakimś stosunku zależności wzajem

'nikanie zdefiniowania tych koncepcji, czy też konsekwentnego tosowania któregoś z istniejących systemów definicji niejako awiesza całe rozumowanie w próżni. Zjawiska społeczne, wys-ępujące w badaniach dra Grygiera, jak opresja, terror, wolność, samotnienie itd. mogą przybrać konkretną postać (nie psycho-ogiczną, lecz właśnie socjologiczną) jedynie w formie funkcjonal-ego związku z podstawowymi koncepcjami teoretycznymi kul-ury, lub cywilizacji, lub może obu razem. Jeżeli te nie zostały kreślone definicją, to i wnioski z badań muszą pozostać jedynie v formie zupełnych ogólników. Tu zatem leży przyczyna dys-roporcji pomiędzy technicznym aparatem badań socjologicznych, nikłością osiągniętych wyników, o której wspominaliśmy przednio. Dysproporcja ta może, choć nie powinna zamaskować nacznych wartości jakie praca dra Grygiera posiada, przede vszystkim w zakresie zgromadzenia danych obserwacyjnych pierwszorzędnym znaczeniu. Jej słabości w części spekulacyj-ej są udziałem całej prawie współczesnej naukowej literatury ocjologicznej. Można spodziewać się, że będzie to słabość prze-ijająca i że uczeni o tak szerokim przygotowaniu fachowym tak wybitnym talencie jak dr Grygier zwrócą swą uwagę na eoretyczne podstawy socjologii, które od dawna już czekają na runtowną rewizję.

J. HORZELSKI

?rzewodnik amerykański

Napisana po francusku przez Johna Browna książka o lite-aturze amerykańskiej (*) cieszy się powodzeniem we Francji otrzymała nagrodę Krytyki. Dobre przyjęcie tłumaczy się za-ówno tym, że książka odpowiada potrzebie jak i zaletami autora. 'owieść amerykańska zdobyła rynek zachodnio-europejski, ale rak jest przejrzystych wprowadzeń w to, co można nazwać hie-archią znaczenia pisarzy. Co do poezji amerykańskiej, to zna-omość jej w Europie pozostaje nikła, chociaż, jak słusznie zau-aża Brown, jest ona dzisiaj być może bardziej interesująca iż powieść.

Zaletą Browna jest umiejętność jasnego określenia celu do akiego dąży. Nie stara się pisać historii literatury, układa po rostu przewodnik, notuje pozycję poszczególnych pisarzy ' obecnej chwili, świadomy, że każdy okres wysuwa na pierw-zy plan inne wartości i inne nazwiska, że inaczej porządkuje ównież przeszłość. Swoją wiedzę przedstawia w skrócie, stąd apidarność jego stylu. Wobec wielu uznanych nazwisk bezlito-

(*) John Brown. *Panorama de la littérature contemporaine aux Etats-Unis.* Gallimard, 1954.

sny, mówi co myśli, powstrzymując się od zbyt ogólnych są
o ,,kryzysie cywilizacji'', który w amerykańskiej literaturze z
duje wyraz bardziej jaskrawy niż w jakiejkolwiek innej,
dobrze widzi. Czyli jego przewodnik daje pojęcie o tym jak
literaturę swego kraju patrzy inteligentny Amerykanin w r
1954.

Z 648 stron książki, 334 przypada na ,,Wprowadzen
reszta na ,,Ilustracje'', czyli wybór tekstów poezji i prozy.
czynając od tła, Brown nie zapomina podkreślić znaczenia p
tanizmu, bez którego klimat tej literatury byłby niezrozumi
,,Świat purytański — mówi — był to świat grozy, gdzie c
wiek był sam w obliczu straszliwego Boga. Wraz z upadk
wiary religijnej w XIX wieku, ów Bóg zniknął, ale groza c
wieka, postawionego sam na sam ze swoim przeznaczeniem,
większa niż kiedykolwiek. Pozostałości purytańskie wyjaśn
częściowo wagę jaką przywiązuje się do problemu zła, co
tematem obsesjonalnym literatury amerykańskiej, i to u pis
tak różnych jak Herman Melville, Henry James czy Will
Faulkner''.

Wielcy poprzednicy w dziedzinie prozy to dzisiaj M
Twain, do renesansu którego przyczynił się Hemingway (Tw
jest dziś uważany za pisarza tragicznego, nie tylko za hum
stę); Nathaniel Hawthorne; Herman Melville, wielbiony p
całe młodsze pokolenie (i obficie tłumaczony na języki euro
skie; z zadowoleniem należy odnotować że jego ,,Moby Di
ukazał się wreszcie w Polsce); Henry James, nazywany p
niektórych (może nieco przesadnie) Szekspirem powieści.
kład tendencji wspierających się na materializmie i scienty
XIX wieku a także zwiększenie wymagań artystycznych do
wadziły do znacznego obniżenia notowań takich pisarzy jak Fr
Norris czy Teodor Dreiser, również ich następców, jak U
Sinclair i Sinclair Lewis. Brown może niedostatecznie ośw
sens tych dwuch faz w Ameryce — pierwszej od 1929 roku
lat drugiej wojny, kiedy to w wychowaniu wszechwładnie p
wał John Dewey a w literaturze niebezpiecznie było przyzna
się że nie jest się marksistą — i drugiej, obecnej — pod znak
komplikacji psychologicznych, wpływów Kafki i ucieczki do kl
torów to jest uniwersytetów. Obserwator z zewnątrz skło
jest w licznych bzdurstwach, rzekomo głębokich, jakimi w
młodych autorów amerykańskich spłaca dziś dług modzie,
patrywać się skutku tamtej poprzedniej fazy: analiza społe
była wtedy pojmowana za płytko, kto nie był naiwnie mate
listyczny i postępowy bywał wyklęty przez krytyków, stąd
przerzucenie się w drugą skrajność. Impas twórczy w jakim
leźli się dzisiaj pisarze tamtej fazy — Dos Passos, Steinb
Caldwell — co Brown słusznie odnotowuje — przypisać tr
ich małej samodzielności myślowej — płynęli z falą a tej
dzisiaj zabrakło.

Trzy dominujące postacie dzisiaj: Faulkner, Hemingw
Henry Miller. Wszyscy trzej pesymistyczni: n a d a — ni

[H]emingwaya przezwyciężana przez wojnę, polowanie, twórczość; [w]italizm Faulknera; ,,wizja w stylu Tertuliana'' Stanów Zjedno[c]zonych u Millera. Że ci właśnie autorzy zdołali zachować swoją [w]italność (Hemingway po słabej powieści ,,Across the river and [a]mong the trees'' dał ,,The old man and the sea'') jest wymowne. [J]est w nich bądź co bądź pochwała życia, element dionizyjski. [R]ealizm socjologiczny zdaje się być bardziej podminowany nihi[li]zmem (np. u Nelsona Algrena w jego powieściach o Polakach [w] Chicago czy u Normana Mailera). Powieść ,,problemowa'' też [p]rzybiera na sile w Ameryce (,,The Outsider'' Richarda Wrighta [j]est tu raczej ambitną porażką. Ta historia Murzyna który zmie[n]ia swoją identyczność dzięki katastrofie kolejki podziemnej [i] wplątując się przez to w tryby fatalności morduje pięć osób — [w] tym jednego faszystę i jednego komunistę, dla symetrii, jako [p]rotest przeciwko tym co chcą panować nad człowiekiem — mo[g]łaby być równa napięciem ,,Winie i karze'' Dostojewskiego, [a]le jest przerysowana). W każdym razie chyba tylko stawiając [c]zoło problemom współczesnym można wydostać się z zaklętego [k]oła. Mówiąc to, należy wystrzegać się rozpowszechnianego błę[d]u: przyglądania się powieści amerykańskiej jako ,,odbiciu spo[ł]eczeństwa'. To nie jest powieść rosyjska ubiegłego stulecia, [m]iejsce pisarza jest całkiem inne. Ton goryczy u pisarzy występ[uje] stale od chwili rozpadu patriarchalnej Ameryki i początku [r]ewolucji przemysłowej, ale równocześnie rósł ślepy optymizm [c]odziennego życia, towarzyszący potędze technicznej. Jak zaw[s]ze kiedy rozprawia się o Ameryce, grozi tu pułapka analogii [k]tóre są zwodne i zdradliwe.

Brownowi da się zarzucić pewne pominięcia, które wiernie [il]ustrują obecną skalę wartości. Wspomina o Uptonie Sinclairze [a]le go nie omawia usuwając go pomiędzy autorów drugorzęd[n]ych. Za mało miejsca poświęca samemu z j a w i s k u Jacka [L]ondona — choć surowy osąd jego dzieła jest trafny. Wreszcie, [d]ostosowując się do europejskich czytelników, za mało uwzględ[n]ia humorystów. Czy np. O'Henry był całkowicie bez war[t]ości?

Ogromne polepszenie się sytuacji poety (dyplom uniwersy[t]ecki za tom wierszy, instytucja ,,poetów rezydentów'' na uni[w]ersytetach które grają rolę dawnych dworów książęcych; sty[p]endia) zbiega się z odwrotem od poezji ,,rdzennie-amerykań[s]kiej'' wywodzącej się z Whitmana i nigdy zresztą nie dorów[n]ującej Whitmanowi. Spomiędzy tych ,,rdzennych'' ceni się [d]ziś właściwie tylko Roberta Frosta. Wieloletnie burze i walki, [a]wangarda ,,zbiegów do Europy'' (T.S. Eliot, Ezra Pound) owo[c]ują dzisiaj w intelektualnej, ,,trudnej'' sztuce związków słow[n]ych, w której niewybaczalnym grzechem jest jakikolwiek pociąg [d]o retoryki. Dwaj poeci szczególnie cenieni: Wallace Stevens [i] William Carlos Williams (tom prozy tego ostatniego, ,,In the [A]merican grain'', jest jednym z najlepszych utworów o przesz[ł]ości Ameryki i szkoda że nie znajdujemy próbki w antologii [B]rowna). Z młodszych: Lowell, Shapiro, Roethke, Viereck.

Europejczyk ma skłonność do nieco innej oceny i tego momentu i przeszłości poezji w Stanach. Doceniając to, co się dzisiaj robi dla uściślenia środków wyrazu, szukałby wierszy bardziej krwistych i bezpośrednich. Nie zgodziłby się też może z odsunięciem w niepamięć pełną respektu takich autorów jak Edgar Lee Masters.

Dla teatru, a raczej jego żałosnej sytuacji (właściwie tylko New York) Brown ma ostre słowa. Tak samo dla dekadencji Hollywoodu. Nie zapomina również o kryzysie powieści (na listach best-sellerów ostatnio figuruje głównie non-fiction). Być może szczególną zasługą amerykańskich autorów jest rzeczowy styl dobrych reporterów zastosowany do wszelkich dziedzin doświadczenia, który sprawia że amerykańskie książki popularyzacji naukowej są najlepsze. I może zainteresowania raczej naukowe niż literackie czytelników (w tej formie Ameryka dojrzewa) świadczą, że nadziei szukają oni na pograniczu nauki i filozofii. „Odczuwa się wyraźnie, i w Stanach Zjednoczonych jeszcze bardziej niż w Europie, że świat nowoczesny wypracowuje *nowy model człowieka,* a tego modelu nie dałoby się określić wychodząc z założeń humanizmu pochodzenia grecko-łacińskiego, choć ten kształtował myśl zachodnią od Renesansu aż po koniec dziewiętnastego wieku. Konieczność *humanizmu naukowego* pojawia się wyraźnie w Stanach Zjednoczonych gdzie tacy uczeni jak Robert Oppenheimer, Norbert Wiener czy James Conant kładą podeń podwaliny" — powiada Brown. Wiener — to twórca cybernetyki, a więc nowej nauki której nie dałoby się zamknąć w żadnej ze znanych dyscyplin.

Szkoda że książka Browna nie dotrze do czytelników w Polsce. Dałaby im ona sporo użytecznego materiału znacznie mniej apokaliptycznego niż książki do których są przyzwyczajeni.

L.

Kontrola polityczna

Teza doktorska młodego socjologa I. Gadourka (uniwersytet w Leydzie) „The political control of Czechoslovakia", ukazał się jako pierwszy tom Library of the Czechoslovak Foreign Institute in Exile(*). Jesteśmy tutaj daleko od emocjonalności emigrantów i daleko od ich marzeń o powrocie do tego co było. Co prawda trudno pod chłodnymi zdaniami naukowca, budującego z mozołem swój aparat (samych przypisów źródłowych 40 stron) i rozpatrującego dzisiejszą Czechosłowację jakby chodziło o społeczeństwo Azteków, nie dostrzec uczuciowego ładunku. Ów ładunek nie ma jednak cech syntymentalno-wspomnieniowych. Przedmio-

(*) H.E. Stenfert Kroese N. V., 1953, Leiden.

tem jest dziś, a pióro wyrywa się w jutro, powstrzymuje się, hamowane wolą konkretu. Ta właśnie walka jest ciekawa dla czytelnika i niektóre zdania w socjologicznym narzeczu (można co do niego mieć zastrzeżenia, na ogół jest tu pożyteczne jako kryształ załamujący promień) zawierają bogactwo spostrzeżeń wręcz zdumiewające. Najcenniejszą chyba częścią książki są rozdziały zajmujące się diagnozą chorób właściwych typowi omawianego społeczeństwa i ta diagnoza jest celna, a równocześnie wykazuje że instrumenty badań, tam, to jest w krajach wschodniego bloku dozwolone, są całkowicie niewystarczające.

Podstawę kontroli Gadourek widzi w małej grupie u samego dołu piramidy (,,face-to-face group''), a więc w komórce Partii, w komitecie akcji, oddziale czy sekcji Związku etc. Członkowie tej małej grupy, poddani ścisłej obserwacji swoich kolegów w każdym szczególe ich osobistego życia, są rozszczepieni wewnętrznie (poczucie wagi swojej osoby gdyż udział w dyskusji reżyserowanej i kierowanej daje złudzenie własnego wkładu; poczucie nicości swojej osoby przy zabieraniu głosu tylko w granicach z góry przepisanych). W tej grupie trzeba szukać przyczyn jednej z najgroźniejszych chorób systemu: apatii, jak też zjawiska samotności, które przybiera postać zamknięcia się w sobie, w drugim ,,ja'', aż do różnych typów mistycyzmu włącznie, albo rzutuje się w praktycyzm. (,,To wszystko bzdury. Mnie obchodzi forsa, mieszkanie, kariera''.) Gadourek, bardzo krytycznie odnoszący się do ekonomiczno-politycznego systemu krajów zachodnich, zestawia ten rodzaj samotności z izolacją jednostki na Zachodzie, w ogóle pozbawionej grupy, najczęściej nawet nie rozumiejącej procesów produkcyjnych w których uczestniczy. Grupa w Czechosłowacji decyduje o tym, że mamy tu do czynienia z czymś innym niż państwo policyjne: właśnie najmniejsza grupa (ci którzy są w niej i którzy ją nadzorują) dostarcza informacji przekazywanych w górę piramidy, w ten sposób aparat rozporządza bez porównania większą liczbą danych niż tam gdzie nadzór pozostaje wyłącznie w rękach policji. Racjonalizacja kontroli pozwala na określenie momentu, w którym należy uciekać się do pewnych słów i pojęć zaopatrzonych przez tradycję znakiem plus, a kiedy można je odrzucić (niszczenie legendy niektórych osobistości też może być poprzedzone stosowaną naukowo prowokacją, ta pozwala stwierdzać klimat psychiczny, np. według Gadourka tak postępowano zanim Benesz został nazwany urzędowo reakcjonistą). Gadourek zdaje się być zafascynowany materiałem który bada, jest w nim pasja uczonego dla preparatu pod mikroskopem. Na pytanie o metody działania, odpowiada: ,,najpierw poznać i zrozumieć''. Z jego niedopowiedzeń wyłuskać można następujące przekonanie: jeżeli w Czechosłowacji odbywa się walka ,,nowego'' ze ,,starym'', to ,,nowe'' poddane jest ruchowi unoszącemu wszystkie ludzkie rzeczy i pełne zrozumienie mechanizmu (gdyby stało się udziałem większej liczby ludzi w nim zamkniętych) oznaczałoby że ,,nowe'' przekształciło się z kolei w ,,stare''. Zalążki z których może wyło-

nić się roślina rozsadzająca ciasną budowlę zawarte są w sa
mym systemie (wprawa w organizowaniu pracy, oswojenie ludz
z książką, contra nieokreślony, celowo mglisty sens terminów
,,socjalizm'', ,,komunizm'').

Na dnie tych rozważań odkryje się inne zagadnienie: do
tychczasowe środki kontroli jednostki, nawarstwiające się w cią
gu wieków (religia, moralność, prawo) są niszczone, na ich miej
sce przychodzi kontrola-aparat i używa podniet czy zakazów
wciąż innych, dla realizacji celów które wymykają się wszelkie
kontroli. Pozostałoby zbadać bardziej wszechstronnie (Gadou
rek to tylko sugeruje) w jakim stopniu aparat, manewrując sta
rymi wzorcami etycznymi jak marionetkami, przyczynia się do ic
przetrwania, tak więc np. przejmujące opisy cierpień w obozac
hitlerowskich mogą gruntować wstręt do wszelkich obozów
choćby te służyły rządzącym, obrona godności człowieka na pa
pierze, zwrócona tylko przeciwko diabłu zachodniemu, moż
wzmacniać stare rozróżnienia dobra i zła. Tak samo wydawan
w wielkich nakładach dzieła klasyków literatury odwołują się d
sympatii jaką budzi szlachetność, przyzwoitość osobista i w ko
lizji z nimi pozostaje urzędowa gloryfikacja sędziów śledczyc
czy denuncjatorów. Nawet w malowaniu ,,wrogów'' (Slanski
Clementis) na potworów dałoby się dopatrzyć trudności na jaki
natrafia każdy kto wzorce etyczne traktuje tylko jako środek
musi się do nich odwołać żeby zabójstwo usprawiedliwić. Swoje
go czasu ktoś zwrócił uwagę na zbawienne skutki faryzeizmu
biali w krajach kolonialnych głosząc jedno, a robiąc drugie, by
jednak nieraz powściągani przez uznawane głośno normy. Po
dobnie użyte z wyrachowaniem hasła braterstwa, pokoju, szczę
ścia ludzi, podporządkowane machinie która działa samoczynnie
wyłącznie według prawa potęgi i walki o potęgę, mogą obróci
się przeciwko niej w umyśle mas. Istotne niebezpieczeństwo gro
ziłoby systemowi w takim wypadku ze strony tych którzy prze
żywają hasła głęboko i szczerze. Analiza słowa drukowaneg
Czechosłowacji (czy Polski) z tego punktu widzenia byłaby przed
sięwzięciem bardzo pouczającym.

L.

Slavistica

Niedawno sygnalizowaliśmy ukazanie się pierwszego tomu *Harvar
Slavic Studies*, a już wyszedł drugi tom (1), poświęcony sześćdziesięciolec

---

(1) *Harvard Slavic Studies*, Managing Editor Horace G. Lunt, Associa
Editors: Michael Karpovich, Jacob B. Hoptner, Albert B. Lord, Wikt
Weintraub, Hugh McLean. Volume II. Harvard University Press, Can
bridge, Mass. 1954. Stron VI + 390.

urodzin ks. F. Dvornika, wybitnego czeskiego historyka, znajdującego się obecnie w Ameryce, autora kilku podstawowych dla historii środkowo-wschodniej Europy książek, z których ostatnia *The Making of Central Europe* ukazała się w roku 1949. Większość prac w tomie poświęcona jest więc bądź problemom bizantyjsko-słowiańskim, bądź czeskim. Z polskich rzeczy warto zanotować, obok artykułu o Żeromskim Jana Lechonia, studium W. Weintrauba o „Spartakusie" Norwida i zwrotce onieginowskiej. Prof. Weintraub odkrył, że „Spartakus" napisany jest tym samym rytmem i zwrotką, co „Oniegin" Puszkina. Gdyby ograniczył się tylko do podania tego faktu, mielibyśmy jeszcze jeden przyczynek wpływologiczny. Wychodząc jednak z tego odkrycia, szkicuje on zdarzenia literackie, które do niego doprowadziły i nadaje temu drobiazgowi właściwe znaczenie. Oto w 1857 Lenartowicz został zaatakowany przez Klaczkę za napisanie słowianofilskiego poematu „Gladiatorzy". Norwid miał dawne porachunki z Klaczką, ale — choć żył w przyjaźni z Lenartowiczem — uważał poemat za słaby. Klaczko zaatakował również rytm Lenartowicza. Odpowiedzią Norwida było przejęcie tego rytmu w „Spartakusie" i ujęcie go w ramy zwrotki onieginowskiej. Norwid nie był słowianofilem, choć nie był też „zoologicznym rusożercą, toteż przejmując zwrotkę onieginowską zaznaczył w ten sposób swe uznanie dla Puszkina i dla tego co wartościowe w literaturze rosyjskiej, ale było to jedyne ustępstwo na jakie się zgodził, toteż w tekście poematu nie ma żadnych aluzji słowianofilskich.

Praca uczonego szperającego nad starymi tekstami miewa i chwile wytchnienia. Na kartach ksiąg spotyka się nie tylko traktaty filozoficzne, ale też notatki o charakterze lżejszym, jak choćby ta propozycja na rękopisie z XV wieku : *czalujze ty rogowsky w rzyc*, podpisana przez baccalaureata czyli bakałarza, stopień uniwersytecki odpowiadający dzisiejszemu magistrowi (2). Przeglądając rękopisy zajął się między innymi prof. Kot wynajdywaniem opinii, żartobliwych lub pogardliwych, które jedne narody Europy miały o drugich. Owocem tego jest studium „Old international Insults and Praises", z którego wynotujemy kilka obelg i pochwał dotyczących Polski. Tak więc ów bakałarz podpisujący się tak nieprzyzwoicie na pięknym gotyckim rękopisie, przepisał też wielki poemat o wszystkich niemal narodach Europy, który tak mówi o Polakach :

Quantum in Polonia copia de plumbo ac sale
Pulcra gens sed ebria in hoc facit male

(Ile jest w Polsce ołowiu i soli
Przystojny naród lecz pijacki, w tym źle czyni)

Inny autor późniejszy chwali piękne Ślązaczki

Silesitae amatores
His formosae sunt uxores

ale twierdzi, że Polacy są *ad furandum valde proni* — wielce skłonni do kradzieży.

(2) Tak przynajmniej odczytał to prof. Kot: *czalvysze thy rogowszky rzicz baccala...* Ale myli się on sądząc, że rękopis ów nigdy nie był drukowany. Odkrył go już bowiem Brückner i ogłosił w roku 1895 w swym studium „Średniowieczna poezja łacińska w Polsce" (Rozprawy Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności, XXII, str. 56-62). Otóż Brückner odczytał ostatnie słowo *biccaka* czyli „byczaka", co jest bardziej prawdopodobne, zwłaszcza że poprzedni wiersz brzmi *Explicit satira comica*, a więc mamy tu rodzaj rymu czy raczej asonansu (podobnie jak i wyżej: *Ludunt : retradunt*).

Zabawniejsze są formułki dające wzór piękności kobiecej : głow
z Czech, piersi z Francji, rączki z Brabantu, pieśń trubadurów (*minne*
sanck, bo wierszyk jest po niemiecku) ze Szwabii, serce z Siedmiogrodu i..
ein ars von Polan.

Inny, późniejszy tekst wynosi ironicznie Włochów za czystość obycz
jów, Francuzów za stałość, Niemców za trzeźwość, Polaków za porząde
(*propter bonum ordinem*).

Inny rodzaj wierszyków wyśmiewających rzekome cechy narodowe z
stał przyjęty w Polsce i dostosowany do warunków lokalnych. Pisano więc

Castitas in Bavaria
Veritas in Silesia
Ruthenorum consilia
Pruthenorum homagia
Pons in Polonia
Formosa mulier in Ethiopia
Nihil valent omnia.

(Czystość obyczajów w Bawarii
Prawda na Śląsku
Rady Rusinów
Hołdy Prusaków
Most w Polsce
Piękna kobieta w Abisynii
Nic nie są warte).

Pewien manuskrypt niemiecki wyraził to nieco drastyczniej :

Ieiunia italica
Glosa iudaica
Merdam valent omnia.

(Post włoski
język żydowski
g.... są warte).

Ale nie-Niemcy przypisywali ogólnie lekceważenie postów właśn
Niemcom :

Jako Polskie mosty
Tak Niemieckie posty...
Wszystko to błazeństwo.

Albo też :

Polski most, z Rakus żołnierz, Pruskie nabożeństwo,
Mnich czeski, Mniszka szwabska, Wszystko to błazeństwo.

Obok mostu wyrzeka się jeszcze w Polsce na polski rząd :

Złe są rządy i złe drogi w Polszcze, złe i mosty.

O sąsiadach też opinie były różne. Tak więc już w początku XV
wieku piszą :

Moskiewskie słowo
Tureckie małżeństwo
Wołoska wierność

(Wołosi byli w pewnym sensie spadkobiercami Bizancjum i odzied
czyli widać tradycyjną w średniowieczu opinię o „fides graeca").

A Lubieniecki pisze nieco inaczej (zachowując „moskiewskie słowo" i „tureckie małżeństwo"):

Wołoskie Państwo
Kozackie Hetmaństwo
Węgierska służba
Żydowski Posag
Litewski Most
Niemiecki Post
Mazurska Biesiada
Podolskie Gospodarstwo
Nie stoją szeląga dobrego.

Gdzie indziej znów mamy

Cygańskie pomieszkanie
Żydowskie swatanie
Moskiewskie słowo
Litewska panna
Ruski most
Niemiecki post...

Prof. Kot zauważa, że złe mosty przesunęły się bardziej na wschód, zgodnie być może ze stanem faktycznym. O moskiewskim słowie mówiono też na pewno na podstawie autopsji. Czy również i obyczaje zmieniły się na Litwie pod wpływem Zachodu (przedtem oskarżano o rozpustę tylko Francuzów lub Włochów), nie odważam się sądzić.

✦

W tomie IV Oxford Slavonic Papers ukazało się studium prof. Kota poświęcone opozycji przeciw papieżowi w latach 1557-1560. Opierając się na trzech odkrytych przez siebie drukach polskich z XVI wieku (jeden w Bodleian Library, drugi w Bibliothèque Nationale, trzeci w Bibliotece Narodowej w Warszawie) prof. Kot rekonstruuje wydarzenia związane z krytyką, jakiej podlegali polscy biskupi ze strony sympatyków Reformacji, głównie spowodu przysięgi na wierność papieżowi.

Na sejmie w 1559 roku H. Ossoliński zaatakował w imieniu szlachty biskupów jako zdrajców i agentów obcego mocarstwa. Dyskusja trwała dwa tygodnie, niewielka część biskupów skapitulowała zresztą i złożyła przysięgę na wierność królowi, ale sam król nie stanął po stronie oskarżycieli, choć z drugiej strony zamianował biskupem kujawskim J. Uchańskiego (który uważany był za zwolennika reformy), mimo że papież odmówił mu zatwierdzenia. Uchańskiego wezwano do Rzymu przed Trybunał Inkwizycyjny oskarżając o herezję i grożąc, że o ile się nie zjawi, zostanie ekskomunikowany jako zatwardziały heretyk. Uchański odpowiedział w druku, występując dość ostro przeciw papieżowi i apelując do synodu. Poparł go wybitny publicysta (czy pamflecista) Orzechowski, który nie wahał się w swym pamflecie nazwać papieża Diabłem rzymskim i wilkiem w owczej skórze. Wszystko to rozbudziło wielkie nadzieje wśród protestantów całej Europy. Uchański otrzymał nawet list od Kalwina i od teologów z Zurychu i kto wie jakby się skończyło, gdyby Rzym był w dalszym ciągu bezkompromisowy.

Na szczęście, papież Paweł IV umarł, a nowy papież Pius IV wybrał drogę tolerancji, zwołując m. in. Sobór Trydencki. Zmieniono też i nuncjusza w Polsce, a nowy nuncjusz szybko doszedł do porozumienia z Uchańskim.

Za jego radą Rzym uznał w 1561 Uchańskiego biskupem kujawskim i cho
tem nie zerwał osobistych stosunków z protestantami (jak np. Frycz), to jedna
nie stawał już otwarcie po stronie reformy. Nowy nuncjusz ,,kupił" też Orze
chowskiego. Na synodzie w 1561 Orzechowski wygłosił przemówienie bro
niąc praw papieża a nazywając dla odmiany wilkami protestantów. Proc
Kot widzi jedną z przyczyn niepowodzenia Reformacji w Polsce w brak
polskiego Cranmera, to jest biskupa o silnej indywidualności, który b
otwarcie przeszedł na protestantyzm.

Prof. Kot drukuje, w dodatku na str. 56-70, trzy teksty, które odkr
i na których oparł swe studium. Niestety, transkrypcja tekstów polskie
wywołuje duże zastrzeżenie. Prof Kot opiera się na zasadach przyjęty
przed przeszło 50-ciu laty przez PAU dla publikacji tekstów literackic
Ale o ile publikacja literacka może być dowolna, to publikacja naukow
tekstu z połowy XVI wieku powinna być możliwie dokładną kopią oryg
nału (o ile oczywiście nie zamieszcza się obok fotografii tekstu). Otóż pro
Kot tekst modernizuje, i to w sposób dowolny i, co gorsza, niekonsekwentn
Tak więc — sądząc po podobiźnie okładki, którą zamieszcza prof. Kot -
tekst nie zna *o* kreskowanego. Mimo to prof. Kot modernizuje *kthory*
który (zapewne też *wilkow* na *wilków*), ale zostawia słowa *prożnowan*
obrocić, kościol. Poprawia *tudziesz* na *tudzież,* ale zostawia *prętko,* ch
i jedna i druga pisownia są dowodem, że autor (lub zecer) w pewnych w
runkach wymawiał dźwięczne spółgłoski bezdźwięcznie (tak jak wymaw
my dziś). Przykłady można by mnożyć. Wszystkie te niekonsekwencje spr
wiają, że tekst jest nie do wykorzystania dla językoznawcy. Jest to wi
sui generis egoizm historyka, zresztą nieraz szkodliwy i dla niego, bo
przykład przestudiowanie ortografii może nieraz dopomóc w zidentyfikow
niu jeśli nie autora to drukarni (każdy drukarz miał w tym czasie swoją ort
grafię). A właśnie broszurka przeciw Orzechowskiemu, którą przedrukow
prof. Kot, spłonęła wraz z Biblioteką Narodową w 1944 i — jak pisze sa
— notatki jego nie pozwalają na identyfikację drukarza. Ostatecznie moż
by machnąć ręką, gdyby chodziło tylko o te 10 stron druku, ale nieste
zwyczaj modernizowania tekstów staropolskich jest rozpowszechniony wśr
naszych historyków, prawników i nawet historyków literatury i każda okaz
aby z tym walczyć, jest dobra. Wiele tomów wydanych w ten sposób prz
wojną jest straconych dla historii języka polskiego, bo nikt nie wyda prz
cież po raz drugi jakichś rozpraw sądowych czy rachunków z XV wiek

(*AV*)

"Żydostwo Polskie"

Nakładem Centralnego Związku Żydów Polskich w Argentynie ukaz
się doskonała seria książek pn. ,,Dos Poilisze Judentum" — ,,Żydost
Polskie". Wydawnictwo to, największe dziś bodaj na świecie w języ
żydowskim, powstało w roku 1946. We wstępie do pierwszego tomu
,,Małka Owsiani opowiada...", czytamy :

,,Zadaniem tej serii książek będzie zbliżenie szerokich mas czytelnik
żydowskich rozsianych po całym świecie do tych wszystkich problemó
które miały jakikolwiek związek z rozgromionym życiem żydowskim w Pols

Świadomy swej wielkiej odpowiedzialności za przeprowadzenie t
zadania, Centralny Związek Żydów Polskich w Argentynie dążyć będ

do tego, aby wydawnictwo dało wszechstronny, ściśle obiektywny obraz Żydostwa polskiego we wszystkich jego poczynaniach w jakiejkolwiek dziedzinie społecznej, politycznej czy kulturalnej".

Przyrzeczenia dotrzymano. Przed kilkoma tygodniami ukazał się setny tom tej serii (*) pióra Marka Turkowa, który był dziennikarzem i działaczem społecznym w Warszawie, w latach 30-tych sekretarzem generalnym Centralnego Komitetu Anty-hitlerowskiego, a obecnie jest niezmordowanym współpracownikiem i redaktorem tego wydawnictwa. W niełatwych warunkach materialnych Turkow potrafił dokonać wydawniczego cudu — zachować ciągłość, poziom i charakter tego zbioru. Warto podkreślić że przy tak absorbującej pracy Turkow potrafił jeszcze znaleźć czas na działalność pisarską, dziennikarską i społeczną we wszystkich ośrodkach żydowskich Ameryki Południowej. Obecnie jest kierownikiem biura Żydowskiego Kongresu Światowego w Buenos Aires. Dyrektorem administracyjnym wydawnictwa jest Abraham Mitelberg, który poświęcił się tej pracy bez reszty.

Seria „Dos Poilisze Judentum" nie ogranicza się do rzewnych wspomnień i opisów życia w „starym domu". Obok monografii o Warszawie, Lwowie, Wilnie, Lublinie, miastach, miasteczkach, domach, znajdujemy tam tomy poezji oraz powieści zarówno nowe jak i przedruki starych, cennych, dawno już wyczerpanych utworów. Wspomnienia pisarzy, działaczy społecznych, aktorów, rewolucjonistów dają fascynujący wgląd w życie które minęło już na zawsze. Studia poświęcone pisarzom żydowskim (np. J.L. Perec), polskim (Dr Janusz Korczak), zbiory pieśni ludowych, opracowania socjologiczne. Znaczna część serii poświęcona jest okresowi wojennemu, martyrologii żydowskiej w okresie drugiej wojny światowej. A więc zbiory dokumentów zbrodni i męczeństwa („Martyrologia Dzieci"), sprawozdania, pamiętniki z obozów śmierci, z ghett, jak np. Jonasa Turkowa, znanego polskiego i żydowskiego aktora, który przebył wojnę w ghetcie warszawskim : „Było to tak...", Dr Hillela Seidmana „Dziennik z Ghetta warszawskiego", Dr Filipa Frydmana „Oświęcim", wojna partyzancka, np. Kaganowicza „Partyzanci idą"...

◆

Ostatni tom Turkowa stanowi zbiór szkiców biograficznych. W szeregu rozdziałów, na szerokiej kanwie historycznej, przeplatanej wspomnieniami osobistymi, kreśli autor dzieje wybitnych rodzin żydowskich w Warszawie. Oto Eigerowie, wielka, bogata rodzina wywodząca się od rabina poznańskiego Akiby Eigera (1761-1837), znakomitego talmudysty i duchowego przywódcy żydowstwa środkowo-europejskiego. Drugie, trzecie pokolenie zupełnie już spolonizowane, zasymilowane, w większości katolickie, chociaż tu i ówdzie przebija jeszcze ślad żydowskości, czy to w działalności charytatywnej, czy polityczno-społecznej. Konsulowa Diana Eiger, czynna i ofiarna działaczka społeczna, zmarła w nędzy i zapomnieniu, ukryta po „aryjskiej stronie" w czasie okupacji w Warszawie. Inż. Antoni Eiger, czynny w akcji bojkotowej w latach 30-tych skierowanej przeciwko reżymowi hitlerowskiemu, który jako oficer W.P. znalazł się w Kozielsku i został zamordowany w Katyniu. Kuzyn jego, Stefan Eiger-Napierski, pisarz, poeta, tłumacz, redaktor „Ateneum" zabity w roku 1940 w Warszawie. Ostatni przedstawiciel tej rodziny, Karol, znajduje przystań i schronienie

(*) Mark Turkow: „Di lecte fun a grojsn Dor" — „Ostatni z Wielkiego Pokolenia", nakładem Centralnego Związku Żydów Polskich w Argentynie. Buenos-Aires, 1954.

w Szkole Jezuickiej w Bogocie. Od talmudysty poznańskiego do jezuick go nauczyciela...

Oto rodzina Wawelbergów. Od bogatego kupca warszawskiego, Hers poprzez synów Hipolita i Samuela, milionerów petersburskich, patriot polskich, działaczy pozytywistycznych, szczodrych fundatorów społeczny aż do wnuka, Wacława, cichego, ofiarnego społecznika, kontynuującego t dycję rodzinną. Żyjący wspomnieniami wielkiej przeszłości, sterany niewierką sowiecką, zmarł w kwietniu tego roku w Sao Paulo. W szk o Wawelbergach wspomniana jest bolesna sprawa „ghetta ławkowego" Wyższej Szkole Technicznej im. Wawelberga i Rotwanda, która odb się głośnym echem w latach poprzedzających drugą wojnę światową.

Rodzina Toeplitzów. Założyciel Tewele Toeplitz, który przybył Warszawy w pierwszej połowie XIX wieku i uzyskał monopol na han ...koszernym mięsem, wzbogacając się na tym niepomiernie. Syn jego, w chowany w Instytucie marymonckim, był jednym z założycieli polskie przemysłu cukrowego, pierwszego bodaj założonego na zasadach wiel kapitalistycznych. Drugie i trzecie pokolenie kompletnie już zasymilowa katolickie. Dziwną koleją losów w rodzinie Toeplitzów ścierały się rów miernie dwa prądy : wielkokapitalistyczny i... socjalistyczny. Turkow pr pomina wydarzenia z lat 20-tych o zabarwieniu naprawdę komediowy Teodor Toeplitz, znany działacz P.P.S. i Związków Zawodowych, wsp pracownik „Robotnika", ławnik warszawski miał syna, Leona, stude Uniwersytetu warszawskiego, komunistę. Osadzony w więzieniu za dz łalność wywrotową, Leon odmawia repatriacji do Z.S.S.R., tłumacząc że jest komunistą polskim, ideowym i bezpartyjnym, a nie rosyjskim. kilku miesiącach zostaje zwolniony z więzienia dzięki interwencji swe wuja, brata Teodora, wielkiego bankiera włoskiego, który osiedlił się w M diolanie, był poplecznikiem faszyzmu i negocjował cały szereg pożycz międzynarodowych dla Polski.

Bergmanowie. Sebastian-Szabatai Bergman, przybyły do Warsza z jakiegoś małego miasteczka litewskiego, był jednym z założycieli Wi kiej Synagogi na Tłomackiem, spalonej przez Niemców w przede dniu w buchu powstania w ghetcie w kwietniu 1943 roku. Zarówno Sebasti jak i żona jego, pochodząca z Pińska, mówili po polsku ze wstrętnym „ wackim" akcentem, ale mimo to byli gorącymi patriotami i szermierza polonizacji życia żydowskiego w Polsce. Mała dygresja. Dzienniki an semickie wytykały Żydom zawsze „litwaków", tj. Żydów przybyłych Polski z terenów rosyjskich, którzy w pierwszych latach swego pob używali jeszcze języka rosyjskiego (obok oczywiście żydowskiego) w m wie potocznej. Spośród nich jednak rekrutowali się w następnym już po leniu, a często i w pierwszym, najgorętsi patrioci mowy polskiej. D powiedzieć, że Julian Tuwim należał do drugiego pokolenia rodziny litw kiej, osiadłej w Łodzi. Synowie Bergmanów należeli do czynnych działac asymilatorskich, zwłaszcza Leon, legionista i piłsudczyk, który jeszc w latach 30-tych próbował wskrzesić zupełnie już zamarły polityczny ru asymilatorski w wyborach do gminy wyznaniowej w Warszawie.

A oto Szereszewscy, Dawidsonowie, Zeitlinowie — nie wymienię wszystkich ciekawych osobistości, wypadków wesołych i smutnych, tragi nych i rzewnych, burzliwych, jak burzliwą była historia Żydów polski Cóż pozostało ?

◆

Historyk polski, który zajmie się kiedyś w sposób poważny i obiekty ny historią Żydów polskich znajdzie w serii „Żydostwo Polskie" wi materiału o dużej wartości historycznej.

P. GLIKSON

"Polonia Restituta"

Pod tym patetycznym tytułem ukazał się artykuł pióra Graeme Shanklanda w kwietniowym wydaniu *The Architectural Review*, jednego z najstarszych i najbardziej reprezentacyjnego angielskiego pisma architektonicznego. Artykuł ten, będący reportażem z podróży autora do Polski, zawiera sporo ciekawych wiadomości na temat odbudowy kraju, jest przy tym na łamach tego pisma zjawiskiem niezwykłym, gdyż *Architectural Review* nie jest wolna od tak powszechnej u Anglików cechy snobizmu i reprodukuje tylko prace „architektów uznanych" i krajów, które mają ustaloną reputację w świecie architektonicznym zachodnim. Polska — szczególnie dzisiejsza — do takich krajów nie należy, to też w tym wypadku głównym motywem zainteresowania wydaje się swoisty egzotyzm przedmiotu, co też wynika z wstępnych słów autora: „Miasta Polski podobnie jak innych zacofanych krajów Europy środkowej i wschodniej pozostających tak długo pod panowaniem Romanowych i Habsburgów leżą poza utartymi szlakami wielkiej turystyki — wzgardzone przez Baedekera i Bannistera Fletchera. Nic też dziwnego, że piękno ich bajecznej architektury mało jest znane za granicą". Dalej autor wspomina o zniszczeniach, jakim Polska i Warszawa ulegały w swojej historii, szczególnie najnowszej, po czym przechodzi do opisu obecnych prac rekonstrukcyjnych: „Co roku z okazji święta narodowego (mowa o obowiązującym obecnie święcie 22-go Lipca) nowa część zrekonstruowanej stolicy formalnie ofiarowywana jest narodowi. Może nią być nowe zupełnie założenie jak Plac Konstytucji wykończony w 1952 roku, albo wspaniale zrekonstruowany fragment architektury historycznej, jakim był oddany do użytku w 1953 roku rynek staromiejski". Fasady kamieniczek, które otaczają ten plac odbudowano ściśle według pierwotnych wzorów. Posiadają one jednak unowocześnione plany, a w swych malowniczych poddasznych facjatkach mieszczą pracownie artystów. Wiele kamieniczek ozdobiono popularną tu techniką sgraffito.

Następnie autor mówi z uznaniem o odbudowie historycznych ulic Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu, gdzie zachowano wiernie pierwotną ich architekturę 18-go i 17-go wieku i o sposobie w jaki rozwiązano zagadnienie skrzyżowania tej arterii ze szlakiem WZ drogą podziemnego tunelu.

Warszawa — kontynuuje — posiada również swoje wielkie budowle neoklasyczne. Jednym z najwybitniejszych spomiędzy nich to Teatr Wielki, zbudowany wedle projektu Corazziego. Obecnie odbudowa jest w pełnym toku i odbywa się wedle planów prof. Pniewskiego. Rysunki te autor artykułu oglądał w pracowni profesora i na ich podstawie ocenia przyszły Teatr Wielki jako „budowlę imponującą i oryginalną". Z artykułu dowiadujemy się również, że na warsztacie Pniewskiego znajdują się plany nowego gmachu sejmowego — rzecz mnie osobiście dotychczas nieznana. Szkoda, że autor nie podaje żadnych szczegółów położenia i architektury tego gmachu.

,,Fałszywy byłby jednak wszelki opis odbudowy Polski, który sp wiałby wrażenie, że prace na wielką skalę wykonywane są jedynie w W szawie. Poza nowymi zupełnie miastami jak Nowa Huta i Nowe Tych (?) duże prace prowadzone są przy odbudowie wielu najwybitniejszych dynków historycznych Polski, jak średniowieczny ratusz we Wrocław renesansowy ratusz i zabytkowe domy w Stargardzie na Pomorzu, odbu wa ulicy Długiej oraz piętnastowiecznego ratusza w Gdańsku, z j smukłą wieżą wyjętą jakby z bajki i ukoronowaną statuą króla Zygmu założyciela polskiej floty handlowej".

Dalej autor mówi o niezliczonych kościołach, które uległy zniszcze w czasie ostatniej wojny na obszarze całej Polski. Spomiędzy tych całkowicie odbudowało, względnie odrestaurowało Państwo. Wszystkie dano do użytku kościoła katolickiego ,,gdyż w oczach Ministerstwa K tury i Sztuki nie zmniejsza to ich wartości jako cennych przykładów tury narodowej".

Shankland kończy refleksją, że ,,Dla wielu musi wydać się parad salne, iż Państwo, które tak radykalnie zerwało ze swoją bezpośrec przeszłością, poświęca tyle starania i środków dla utwierdzenia swej hi rycznej kultury, odzwierciadlonej w starych kościołach, pałacach, pomnik i domach miejskich. W Polsce dzisiejszej nie akceptuje się teorii, że no potrzeby i idee wymagają całkowitego zerwania z tradycyjnymi środk ekspresji .. Czy oznacza to, że nowa Warszawa zamienia się w mar muzeum historycznych rekonstrukcji i nowych naśladownictw przeszłości Na to pytanie autor nie daje żadnej odpowiedzi — przypuszczalnie z przyczyny, że mimo optymizmu z jakim odnosi się do współczesnej Po nie wypadłaby ona całkiem zadawalająco. Faktem jest bowiem, że dzisie Państwo nie tylko stara się odtworzyć pomniki przeszłości, co w p zasługuje na uznanie, lecz współczesną architekturę wtłacza w wą ramy historycyzmu narzucone z zewnątrz. Przykładem oddziaływania wpływów mogą być losy tzw. ,,Powszechnego Domu Towarowego" w W szawie. Projekt na tę budowę wybrany został w wyniku konkursu powsze nego w roku 1948, a więc w okresie kiedy istniała jeszcze względna s boda w tej dziedzinie. Był to projekt o koncepcji śmiałej i zdecydow zachodniej, choć mogący budzić pewne zastrzeżenia z punktu widz polskich warunków klimatycznych. W czasie kongresu architektonicz w Warszawie spotkał się on z bardzo ostrym potępieniem ze strony r skiego delegata Własowa, który wyraził się o tym budynku jako o ,, dusznym szklanym pudle". Odtąd był on wielokrotnie krytykowany w skiej prasie zawodowej, a niektórzy gorliwcy zaczęli się nawet zast wiać nad tym ,,co robić z budynkiem P.S.T.". Pewnego dnia moż więc dowiedzieć się, że ,,ozdobiono" go koryndkimi kolumnami lub p budowano w stylu tak popularnej dziś w Polsce architektury 18-go wi

Tych cieniów współczesnej architektury polskiej autor zdaje się widzieć. Przeciwnie mówi o nowych gmachach Warszawy, że ,,są ginalne i posiadają duże walory architektoniczne" i zastanawia się tym, dlaczego tak mało dotychczas wzbudziły zainteresowania na Za dzie.

Graeme Shankland nie po raz pierwszy zajmuje się architekturą i sz zza żelaznej kurtyny. Sprawy te stanowią od dawna przedmiot jego za resowań w tej dziedzinie może uchodzić za eksperta wśród architek

angielskich — dodajmy eksperta, którego stosunek do tych zagadnień podobny jest do tego jaki p. Attlee zajmują w sprawach politycznych. Brał on między innymi pośredni udział w kontrowersji jaka wynikła w latach 1947-1948 między redakcją *Architectural Review*, a trzema architektami sowieckimi, którzy w piśmie tym ogłosili artykuły na temat prac rekonstrukcyjnych w Związku Sowieckim. Epilogiem tej polemiki był obszerny artykuł Shanklanda w którym jako „strona trzecia" starał się wyjaśnić sowieckie poglądy na sprawy sztuki i architektury, cytując gęsto rosyjskich teoretyków i przewódców politycznych.

Reportaż Shanklanda z Polski ilustrowany jest rysunkami P. Hogartha i nielicznymi fotografiami. Hogarth jest rysownikiem o dużym wyczuciu historycznych form architektury i wyrobionej technice. Posługuje się on głównie piórkiem i tuszem i za pomocą tych prostych środków daje interesujące impresje gotyckiej architektury kościoła Mariackiego w Krakowie, warszawskiego rynku staromiejskiego, ulicy Długiej w Gdańsku z rusztowaniami kamieniczek w odbudowie na pierwszym planie i wieżą ratuszową w tyle, sylwety Warszawy z wybrzeża praskiego itd. Swoje uliczki, place i zaułki zaludnia typowymi postaciami ludności miejskiej, co bardzo dodaje im atmosfery lokalnej. Szkoda, że obraz jest jednostronny i ogranicza się wyłącznie do architektury zabytkowej i historycznej. Ilustracje nie ukazują ani jednego z nowoczesnych budynków, o których Shankland wyraża się z takim uznaniem.

Stanisław *PIOTROWSKI*

"Ślad bosej nogi"

Trzecia z kolei książka Tadeusza Zajączkowskiego (*) zasługuje na życzliwą uwagę przede wszystkim dlatego, że stanowi pierwszą na emigracji próbę epickiego ujęcia polskich przeżyć wojennych z lat 1939-1945 i to na wielkiej przestrzeni od Wilna poprzez Rosję, Persję, Irak i Palestynę aż do Włoch. W swych reportażach i wspomnieniach *Od Ostrej Bramy do Ósmej Armii* zanotował Zajączkowski ważniejsze wydarzenia na tym szlaku, obecnie spróbował ująć je powieściowo. Pod względem zakresu czasowo-przestrzennego niezwykle ambitny zamiar artystyczny autora porównać można tylko ze słabymi skąd inąd *Najeźdźcami* Jana Dobraczyńskiego. Z pisarzy emigracyjnych nikt dotąd nie odważył się na coś podobnego, choć powstało poza krajem przynajmniej kilka autentycznych powieści wojennych, by wymienić

(*) Tadeusz Zajączkowski. *Ślad bosej nogi*, powieść. Biblioteka Polska, Veritas, Londyn, 1954, str. 256.

tylko *Zmowę nieobecnych* M. Kuncewiczowej, *Tyfus, teraz sł wiki* Mariana Czuchnowskiego, czy *Sprawę Józefa Mosta* H. N glerowej.

Drugi powód, uzasadniający jak najżyczliwsze zajęcie s książką Zajączkowskiego, to rzadka uczciwość autora w posz kiwaniu przyczyn naszych klęsk i upadków, to czysta atmosfe utworu i jego zacne tendencje, w treści swej z pewnością blisk każdemu myślącemu i czującemu chrześcijaninowi. Cokolwiek się powiedziało o artystycznym poziomie książki Zajączkowsk go, każdy przyzna, że lektura pozostawia wrażenie obcowan z człowiekiem szlachetnym, bezinteresownym i szukającym sw prawdy w gmatwaninie twardego — czasem silnego i wielkieg częściej podłego życia.

Pierwszy ślad ,,bosa noga polskiego żołnierza'' (o której sał Żeromski) w książce Zajączkowskiego zostawia w kawiar Rudnickiego w Wilnie w roku 1940. Utwór zaczyna się ciekaw i w atmosferze powieściowej. W opisach pierwszych rozdział autor tu i ówdzie błyska trafnymi metaforami — czytelnik zda się wchodzić w aurę fikcji powieściowej i w tok rzetelnej proz wykazującej wprawdzie wpływy Żeromskiego (ciążące zresz nad większością polskich prozaików), ale żywy i obiecujący

Niestety, dalsze partie utworu przynoszą rozczarowan a w połowie książki staje się jasne, że mamy do czynienia z powieścią, lecz ze zbeletryzowanym reportażem, tak bujnie r rosłym w całej powojennej literaturze polskiej. Także faktu dzieła psuje się wyraźnie w drugiej połowie. Nie jest chyba pr padkiem, że pierwsze potknięcia i błędy językowe pojawiają dopiero na stronie 164 (,,gdybyż to tak mogliśmy strzelać''), potem zagęścić się trochę niepokojąco (,,przysłuchuję się terkotu szmajsera'' — str. 176, albo ,,Szałajda sapał *astmicz* — zamiast astmatycznie — str. 215).

Ślad bosej nogi nie posiada integralności wizji będącej dajże główną *diferentio specifica* powieści. Nie jest to świat s w sobie, świat fikcji, zorganizowanej przez autora według jaki uchwytnej zasady. Kompozycja utworu jest luźna, wymyka spod oceny — obawiam się, że wymknęła się samemu autoro Nie wiadomo dlaczego pewnym etapom swej akcji (jak np. ok sowi rosyjskiemu — z najlepszym bodaj w książce opisem śmi ci starego Pauszy) poświęcił bardzo mało miejsca, inne zaś n proporcjonalnie rozbudował. Technika rzutowania wstecz przeważnie zręczna, miejscami pomysłowa — zdaje się lubow w samej sobie. Tak np. charakteryzując swego radcę Wykręt autor wsadza obszerny *passus* o jakichś profesorach w Kołon — zupełnie niepotrzebny w toku utworu. Poszczególne wą i osoby pojawiają się i giną bez spięć, czy jakichś zakończ pozostawiając tzw. frendzle (Oszkałło, Wykrętek, Galwasiński Brak celowych a w każdym razie w pełni przekonywujących ształceń i kondensacji — bez czego nie ma prozy artystycz ani sztuki powieści.

Nie mając kręgosłupa powieściowej konstrukcji, utwór

jączkowskiego wykazuje wszystkie cechy tzw. pseudopowieści: nadmiar publicystyki i komentarza odautorskiego (często niezręcznie wkładanego w usta bohaterów), reportażowość polegającą na dosłownym wyzyskiwaniu wszelkiego materiału faktycznego, jaki autorowi wydaje się ciekawy, szkicowość, ogólnikowość i płaskość postaci i sytuacji. By nie być gołosłownym przytoczę tylko dwa przykłady sięgania żywcem po materiał własnych przeżyć. Opisując wspomnienia Zbyszka Pauszy autor każe mu pamiętać w Warszawie (w sklepie na Świętokrzyskiej) jakiś rosyjski hełm wojskowy (zresztą nikomu tu niepotrzebny), którego bohater, urodzony w roku 1920-1923 nigdy nie mógł tam widzieć — choć widział go na pewno autor, pamiętając zapewne czasy rosyjskie. Na str. 215 — w utworze, w którym każdy bohater ma określone nazwisko — pojawia się nagle oficer oświatowy „porucznik-profesor M." — z pewnością wierna kopia niesympatycznego autorowi (i recenzentowi) osobnika. Ale dlaczego nie dano mu nazwiska — choćby „Makowski", czy „Matołkowski"?

Nieraz zastanawiałem się nad przyczynami powstawania pseudopowieści. Czy winien tu brak dystansu? Czy nieumiejętność wyjścia z siebie i spojrzenia na rzeczywistość oczami innych ludzi? Czy nadmierna chęć pouczania — tam, za kurtyną, propagandy, tu — pedagogiki? Czy lęk przed odkształceniem, kondensacją, tasowaniem i tworzeniem nowych faktów, nowych — prawdziwszych, bo syntetycznych — ludzi? Czy fałszywy wstyd pisania prostych i szczerych pamiętników i chowanie się za pseudobohaterów? Czy wreszcie z gruntu fałszywe mniemanie o tak wielkiej ekspresji samego życia, że nie warto, czy nie podobna zagęścić go fikcyjnym przedstawieniem? (Celowo abstrahuję tu od siły talentu, bo pseudopowieści pisali i piszą także ludzie utalentowani — jak sam autor *Bosej nogi,* jak Gustaw Morcinek, czy nawet Ksawery Pruszyński, albo Żukrowski.)

Myślę, że działają tu po troszę wszystkie wymienione przyczyny, ale najgorszy jest rak dziennikarstwa i publicystyki. Gdyby ktoś chciał spisać księgę zbrodni dziennikarskich przeciw literaturze — byłaby to praca olbrzymia i przerażająca. Pisarze zapominają, że ich zadaniem jest *pokazanie* ludzi i zdarzeń, a nie ich komentowanie. Gdyby Zajączkowski zamiast rozwlekle narzekać na zachowanie się Polaków w więzieniach sowieckich, albo wkładać w usta szofera Buły najsłuszniejsze zresztą, ale dość jałowe tyrady o demoralizacji tyłów wojskowych we Włoszech — po prostu pokazał jedną celę więzienną albo jedną pijaną „Pestkę", czy jednego ohydnego kombinatora, wtedy spełniłby poprawnie zadanie powieściopisarza.

Nie znaczy to, by autor nie pokazywał tego i owego lub nie usiłował pokazać. Owszem, próbuje to czynić, ale zwykle zadawala się jednym czy paroma krótkimi nie zawsze plastycznymi obrazkami, a najważniejsze sprawy i problemy załatwia w rozmowach bohaterów. Jest to lepsze od bezpośrednich komentarzy odautorskich, bardziej „literackie", ale jeszcze nie powieściowe.

Gdy mowa o ,,literackości'' i wpływach literackich — trzeba powiedzieć, że u Zajączkowskiego jest ich aż za wiele. N wydaje mi się, aby wystarczyło powołać się na Leona Bloy, all przytoczyć słowa Wyspiańskiego, Wierzyńskiego, czy Berent by osiągnąć oryginalność i zbliżyć się do artystycznej i myślow prawdy.

Prawda, o którą chodzi Zajączkowskiemu, jest mi symp tyczna i bliska, lecz autor wypowiedział ją nieśmiało, jakby wst dliwie, z niedomówieniami i nadmierną dyskrecją dziewiętnast wiecznego liberała, czy indyferenta religijnego, który już c szedł do przekonania, że tylko chrześcijaństwo daje treść i se życiu, ale jeszcze nie umie, czy boi się stanowczo to powiedzi Tej postawie autora odpowiada oleodrukowa, grzeczna i gładk ale nieżywa postać świątobliwego księdza Lelka. Tej niepewn ści, czy ,,wypada'' mówić o sprawach religijnych (co nie uchyl głębokości przekonań autora, której nie kwestionuję) odpowia też mgliste zakończenie powieści.

Wszystkie te uwagi nie zmieniają faktu, że Zajączkow pierwszy na emigracji podjął odważną próbę szerokiej ep wojennej, że nie cofnął się przed surową i miejscami udatną k tyką ciemnych stron życia wojska na obczyźnie, a nawet prz — już bardziej nieśmiałym — postawieniem pytań w rodza ,,czy potrzebne było Monte Cassino?'' Etapami w rozwoju li ratury mogą być nie tylko osiągnięcia, ale i próby, choćby n udane. Za podjęcie takie rzetelnej próby należy się Zajączkc skiemu szacunek i wdzięczność.

Pod względem technicznym *Ślad bosej nogi* nie stanowi n lepszej pozycji Veritasu. Doskonała i wyrazista jest natomi barwna obwoluta Zygmunta Turkiewicza. Oby więcej takich ol dek na polskich książkach!

J. JASIEŃCZYK

Notatki wydawnicze

Grudzień, miesiąc paryskich nagród. ,,Prix Goncourt'' przypadł Sir de Beauvoir za ,,Les Mandarins'', które omawiałem w zeszłym num Jakiekolwiek by się miało zastrzeżenie co do stylu p. de Beauvoir, c ściśle ,,literackich'' zalet jej powieści, nie ulega wątpliwości że je najbardziej ważka książka wydana w roku 1954. Tylko że Edmond Goncourt żądał w testamencie aby nagrodę przyznawano ,,młodości, ginalności talentu, nowym i odważnym doświadczeniom myśli i form ,,Les Mandarins'', ciekawa i inteligentna książka, pierwszorzędne

dectwo, nie spełnia ani jednego z tych warunków... Za jednym zamachem Akademia Goncourt wybrała następcę Colette : jest nim Jean Giono, niewątpliwie jeden z najlepszych powieściopisarzy francuskich. Giono po wojnie odnowił się zadziwiająco. Jego dawne powieści, to pean na cześć śródziemnomorskiej ziemi, Knut Hamsun wśród oliwnych drzew i winorośli. Idealny bohater przedwojennych powieści Giono — to stary Gustave Dominici, „patriarcha" z Grande Terre. Po wojnie, w „Le Hussard sur le Toit", Giono podjął tradycję Stendhala. Już przez dwie powieści prowadzi on swego Angela, potomka Fabrizia del Dongo. Tym razem sceptycyzm, elegancja, siła, poezja sceny, wycyzelowany styl — rzadko się zdarza aby jeden pisarz dał tak odmienne i tak udane dwa „dzieła".

◆

„Prix Renaudot" przyznano Jean Reverzy za *Le Passage* (Juillard, 1954). Książka lekarza, o lekarzach, ale bynajmniej nie „świadectwo". Reverzy jest literatem, interesuje go słowo i to co można słowem przekazać. „Prix Goncourt" przypadł książce w której „literatura" służy myśli i etyce. „Prix Renaudot" przywraca równowagę w kierunku literatury „czystej".

Prawie nic się nie dzieje w tej powieści. Umierający człowiek powraca z wysp Pacyfiku. Mówi o nich swemu lekarzowi. Gorycz agonii, uciekającego życia i obrazy „wysp szczęśliwych", pięknych i łagodnych kobiet, zatrutego czaru. Jakby marzenie Baudelaire'a : *Là, tout n'est qu'ordre et beauté, luxe, calme et volupté...* widziane przez odwrotną, oddalającą stronę lunety. Mit podróży, egzotyki, „raju ziemskiego", przerzucony w przeszłość i przez to samo unicestwiony, rozbity na ten szereg nic nie znaczących chwil z których składało się życie. A teraz i życie się kończy...

◆

Nigdy przyznanie wielkiej nagrody literackiej nie wywołało takiej burzy we Francji jak tegoroczny „Prix Femina". Egerie konkurentki Goncourtów wybrały książkę Gabriel Veraldi, *La Machine Humaine* (Gallimard, 1954). Często zdarza się we Francji, że młody pisarz debiutuje ciekawą książką. Nagrodzić ją ? Za młody, poczekajmy. Ale pozostaje jakby wyrzut sumienia. Pisarz dostaje nagrodę w roku następnym, za znacznie gorszą powieść, dlatego że jury żałuje trochę swej poprzedniej decyzji. Pierwsza powieść Veraldi, „A la Mémoire d'un Ange" była, jak pisałem rok temu w „Kulturze", ciekawym zestawieniem ezoterycznej i naukowej erudycji. Wydała mi się powierzchowna. *La Machine Humaine* potwierdza tę obawę. Veraldi żongluje mistycyzmem, biologią, cybernetyką, jak modnymi „articles de Paris". Dorzuca międzynarodowe szpiegostwo i narkotyki. Inteligencja jest niezaprzeczalna. Ale tym razem ma się wrażenie, że fenomenalnie zdolny młody student robi zręczny „pastiche" Huxleya, Orwella ... Dekobry. Szkoda, także dlatego że wśród młodych pisarzy francuskich Veraldi jest jednym z nielicznych, którzy namiętnie i celnie atakują sowiecki totalitaryzm.

◆

Tegoroczna nagroda ,,Femina" jest pięćdziesiątą z kolei. W roku 190(Akademia Goncourt nie przyznała nagrody pięknej Myriam Harry... z po wodu jej płci. Literackie feministki ufundowały wówczas ,,swoją" nagro dę. Album pięćdziesięciolecia (,,*Le Prix Femina*, 1904-1954", Le Nou veau Femina, 1954) zawiera biografie wszystkich przeszłych i obecnyc uczestniczek jury. Jedną z założycielek nagrody była Marguerite Poradow ska żona Polaka, zapomniana dziś, ale sławna na początku wieku autork szeregu powieści na tle polskiego życia (,,Yaga", ,,Maryla" itd.). Trzeb przyznać że panie z ,,Femina" często trafiały celnie. Wśród ich laureató jest Romain Rolland, Edmond Jaloux, Bernanos, Chadourne, St. Exupery...

◆

Nic smutniejszego od purytańskich kultów ,,wielkich ludzi", którz byli swobodni, sceptyczni, ironiczni. Taki właśnie los przypadł pamię Moliera. W krytykach i profesorach poświęcających poważne i pedantyczn rozprawy człowiekowi który tak kpił z wszelkiej pedanterii rozpoznajem często Pana Jourdain, Pana de Pourceaugnac, w najlepszym razie Alcest nieraz śmieszne ,,Précieuses". A w Polsce do krytyki Moliera zabiera s jego najsłynniejszy bohater : przecież te tyrady o ,,postępowości", te nadę polityczne bzdury wypowiada nie kto inny jak współczesny Tartuffe.

Dlatego nowy *Molière* Jacques Audiberti (L'Arche, 1954) jest ni tylko fajerwerkiem stylu, poetyckiej krytyki, ale także odełganiem legend mozolnie faszerowanej w klasach, na katedrach, czy ad usum masoweg Delfina w demokracjach ludowych. I niech nie myślą redaktorzy ,,Now Kultury" (jeśli czytają te słowa), że chodzi o krytykę ,,reakcyjną". K lekcja w której Audiberti wydaje swego *Moliera* jest patronowana prz Théâtre National Populaire. Tyle że Molier przestał być na chwilę pr tekstem a stał się celem. Że Audiberti rozumie prostą, zdawałoby się, pr wdę : Molier nie jest filozofem, który swoje ,,idee", czy ,,plany reform dziwacznie rozbija na dialogi. Molier — to teatr. Audiberti nakreśla rod wód, ustawia Molier na pół drogi między Komedią ,,Dell' Arte" i Chapl nem (inną ofiarą wszechpolitycznego banału). Molier, widziany prze Audiberti ?

— ,,Wdrożony we wszystkie doświadczenia, o bijącym sercu, stały oddechu, ma jeden tylko własny pomysł. Nawet nie pomysł, tendencj Linię. Przyzwyczajenie. Jakie ?

Prawa niedowiarstwa są równe prawom wiary.

Oto jego doktryna. Sceptycyzm bezwarunkowy".

◆

Londyński ośrodek PEN Clubu pisarzy na uchodźstwie wydał ant logię emigracyjnej prozy i poezji w tłumaczeniu angielskim (*The Pen Exile*, an anthology edited by Paul Tabori, published by the Internatior P.E.N. Club Centre for Writers in Exile, 67, Hatton Garden, Lond E.C.1). Antologia wydana dla czytelnika obcego. Należałoby zapomni znajome twarze autorów, echo ich rodzimej sławy, dźwięk stylu w or ginale aby móc ocenić tę książkę z punktu widzenia celowości. Trudne z danie. Chodzi właściwie o to czy angielski, amerykański, francuski wyda

ca biorąc do ręki *Then Pen in Exile* powie sobie : „To ciekawe. Może by poprosić tego pisarza o rękopis ?" Albo, bardziej bezinteresownie, czy obcy czytelnik pomyśli : „A jednak ta część Europy oddana w obce jarzmo wydaje talenty tej miary." Niestety wątpię by ta antologia mogła wzbudzić prawdziwe zainteresowanie. Są w niej teksty pisarzy znanych zagranicą, ale należących do kategorii „popularnych wielkości". Ałdanow, Goetel, Kossak-Szczucka — to kaliber Duhamela, Mazo de La Roche, Pearl Buck : wytrawni technokraci piśmiennictwa. Spośród opowiadań pisarzy nowszych dla obcej publiczności, dwa wydały mi się ciekawe : „Murder on the Waka" Józefa Mackiewicza, którego poetyckie wyczucie ziemi i dramatyczne napięcie zawsze zachwyca, nawet jeśli tłumaczenie zniekształca magię jego stylu. I „The Commissar of Trash", drapieżna satyra polityczna Węgra Zoltana Szabo — orwellowska wizja zaprawiona humorem Zoszczenki. Nowelka Mircea Eliade ciekawa dla kogoś kto zna i podziwia jego wspaniałe dzieło naukowe. Ale to tak jakby w antologii angielskiej Bertrand Russell figurował jako autor jednego ze swych opowiadań. Reszta, to poprawne nostalgie do brzozy i jeziora i — przyczynek do asymilacji pisarzy — parę ultra angielskich nowel które wydają się wyjęte z jakiegoś „Omnibus Book of Short Stories".

Gorzej z wierszami. Dla angielskiego czytelnika, przyzwyczajonego od trzydziestu lat do poezji będącej magią słowa i kondensacją myśli czy intuicji, te wiersze muszą pachnąć wyblakłym sztambuchem. Wydawać by się mogło, że za „żelazną kurtyną" nie wyszło się poza Konopnicką. Wyjątkiem jest oczywiście „Psalm" Józefa Wittlina i kilka wierszy tradycyjnego, ale rzetelnego poety estońskiego Bernarda Kangro. A przecież nie brak na emigracji właśnie prawdziwych poetów. Choćby z Polaków, najszerzej i alfabetycznie : Baliński, Brzękowski, Czuchnowski, Iwaniuk, Lechoń, Miłosz, Pankowski, Wierzyński...

Wśród eseistów, jak zawsze bystry i efektowny Salvador de Madariaga. Na marginesie : wielką zaletą tak uchodźczego P.E.N. Clubu jak antologii jest uczestnictwo Hiszpanów republikańskich. Wychodzi to książce na dobre : teksty hiszpańskie — Barea, Ramon Sender — należą do najlepszych. Pozostałe szkice mierne.

W przedmowie do książki Tabori wyraża zamiar P.E.N. Clubu wydawania podobnego zbioru corocznie. Byłaby to doskonała inicjatywa — i łatwiej by było wybaczyć niedociągnięcia pierwszego numeru literackiego rocznika niż jednorazowej i definitywnej „antologii uchodźczej". Miejmy nadzieję, że na przyszły rok *The Pen in Exile* przyniesie teksty pisarzy, którzy mogą najbardziej zainteresować obcego czytelnika, jak choćby Matila Ghyka i Aleksander Marai, Cioran i Miłosz, Eugène Ionesco i Gombrowicz Jan Cep i Straszewicz — i essay Mircea Eliada, nowelę Kuncewiczowej.



Po likwidacji I.R.O. pozostaje jeszcze w obozach w Niemczech, Austrii, Włoszech, Grecji, Turcji, Syrii, Iranie, Chinach i Kaszmirze blisko pół miliona uchodźców. Wysoki Komisarz od spraw uchodźców, który przejął ten problem, nie dysponuje już żadnym kapitałem międzynarodowym na utrzymanie obozów i emigrację. Rola jego ograniczona jest do prawnej opieki : jest on adwokatem bezbronnej grupy ludzkiej i musi

kołatać do rządów zachodnich, zabiegając o pracę dla ludzi w pełni s
o przytułek dla tragicznego „hard-core". Książka węgierskiego pisar
Arpad Szelpal *Les Sans-Patrie* (Collection „Le Poids du Jour", Editio
du Centurion, 1954), stanowi obiektywną i wyczerpującą analizę p
blemu. Jest napisana z pasją. Szelpal próbuje też nakreślić właściwą mis
uchodźcy we współczesnym świecie. Ciekawa jest duchowa ewoluc
pisarza, który z humanitarnego socjalisty staje się czynnym chrześcijanine
Szelpal omawia szeroko Konwencję Genewską o uchodźcach politycznyc
ratyfikowaną przez rząd francuski i która weszła prawnie w życie
Francji 22 września 1954.

(j)

Przegląd miesięczników

Charles-Albert Cingria, zmarły w lipcu 1954, był jednym z najwię
szych pisarzy francuskich. Francuskich ? Cingria był Europejczykiem pis
cym po francusku. Urodzony w Konstantynopolu, Lewantyńczyk po miec
(krew włoska i grecka), z matki Polki (z domu Stryjeńska : Cingria mów
mi często o swoich polskich kuzynach, malarce Zofii, jej synach), nikt tak
on nie potrafił zespolić w swym dziele organicznym odczuciem różnych, a je
nak pokrewnych prądów cywilizacyjnych. Proza Charles-Albert Cing
jest trudna, misterna, barokowa, kapryśna. Niestety przeważnie rozrzuco
w ciągu pięćdziesięciu lat — po różnych literackich miesięcznikac
„Nouvelle Revue Française", „Mercure de France", ostatnio „Parisienne
Co za wspaniała postać clocharda, włóczęgi i zarazem „wielkiego pana
Życie tak go cieszyło i bawiło (przejeżdżając na rowerze całą Euro
rozmawiając, jak nikt inny, nad butelką starego wina, jedząc soczy
brzoskwinie nad rękopisami w bibliotekach całego świata), że był
twórcą „mimowoli". Nie dbał o sławę, wydania, krytyków. Ale wi
jego była tak błyskawiczna, był on tak wolny od jakichkolwiek przesąd
od myślowego lenistwa, że każda jego uwaga (jakże drobną ich cz
zapisał na skrawku gazety, pudełku od papierosów) odkrywała no
prawdę, prześwietlała rzeczywistość jak promień Roentgena. Zmarł w ki
dni po Colette. „Oficjalny" świat nie złożył mu hołdu (może to i lep
mało było ludzi i pisarzy równie „prywatnych"). Ale w prasie francus
i szwajcarskiej ukazują się teraz wspomnienia dowodzące ilu znanych i n
znanych przyjaciół miał Cingria : François Sentein w *La Parisienne*, J
Paulhan w *N.R.F.* (która zapowiada specjalny numer poświęcony j
pamięci), Edmond Humeau w *Preuves*. Chciałbym aby o Cingria ukaz
się polskie studium (lubił on Polskę i jakże trafnie wyczuwał jej at
sferę, przez pryzmat turecczyzny). Ale któż mógłby je napisać ? Ch
jeden Jerzy Stempowski...

✱

W *Express* (4. 12. 1954), jeden z czytelników zapytał Jean Vi
(członka stałego „forum" tygodnika) czy w ciągu swej ostatniej podr

lo Polski w charakterze kierownika Théâtre National Populaire nie był zmuszony do zajęcia stanowiska w sprawie „realizmu socjalistycznego", obowiązującego w krajach komunistycznych. „Chciałbym wiedzieć — pisze en francuski czytelnik — czy mógł Pan swobodnie dyskutować i co Pan myśli o tej dążności do upaństwowienia sztuki, która wydaje mi się zaprzeczeniem wszelkiej twórczości artystycznej ?"

Odpowiedź Vilara dowodzi jego sympatii dla Polski, całkowitej nieznajomości podstaw „socrealizmu", zupełnego braku zainteresowania zagadnieniem twórczości artystycznej w kraju totalitarnym. I wystawia on mimowoli na sztych swoich polskich kolegów, rzekomo całkowicie sceptycznych wobec marksistowskich teorii:

„Nie wydaje mi się, drogi Panie — odpowiada Vilar — żeby „realizm socjalistyczny" był z entuzjazmem stosowany w Polsce („fasse fureur en Pologne"). Na przykład : odbudowuje się Warszawę na podstawie sztychów Canaletta (XVIII wiek). Skądinąd, w czasie mego krótkiego pobytu, nie miałem okazji „zajęcia stanowiska" w tej dziedzinie : nasi gospodarze byli nader uprzejmi. Ale przedyskutowaliśmy obszernie to zagadnienie w czasie spotkania polskich reżyserów teatralnych i filmowych z T.N.P. Tak oni, jak my, zdaliśmy sobie sprawę z próżności słów stosowanych przez teoretyków zachodnich i marksistowskich. Nie ma się doprawdy o co brać za łby. I niech mi Pan wierzy, że nikt tam nikogo z tego powodu za łeb nie bierze.

1) Z polskiej strony przyznano nam :

„Wy z T.N.P., mamy do was pretensje (śmiechy) : wasze przedstawienia są podporządkowane prawom realizmu, a jednak pociągają nas przez swoją poezję".

2) Co do mnie, przyznałem im :

„Wszystko to co nie ma związku z rzeczywistością, jest fałszywe. wy, artyści socjalistyczni, macie całkowitą słuszność, przynajmniej w dziedzinie teatru, wymagając jak najwięcej prawdy, realizmu w... realizacji".

Wreszcie, aby odpowiedzieć na Pana ostatnie pytanie : z pewnością niebezpiecznie jest upaństwowić sztukę. Ale czy państwo może tego dokonać ? Każdy minister dość szybko zrozumie że to nie jego sprawa („que ce ne sont pas là ses oignons"). Ważne jest żeby artysta nie zdychał z głodu, żeby go nie naciągano ze wszystkich stron. Wydało mi się że artysta w Polsce cieszy się w swej sytuacji materialnej braterską pomocą swoich rodaków, a wie Pan, przypuszczam, że smak artystyczny jest również powszechny w Polsce jak we Francji."

Vilar kończy odsyłając swego korespondenta do sceptycznego „Stella" Alfreda de Vigny : „Każde państwo, w jakiejkolwiek formie, popełnia zawsze szereg błędów..."

◆

Omawiając, w grudniowej *Nouvelle N.R.F.*, francuski tom wierszy Mariana Pankowskiego, „Poignée du Présent", Jean Grosjean z upodobaniem cytuje te same wiersze które wybrał Czesław Miłosz w swej recenzji w „Kulturze". Pankowski, zdaniem francuskiego krytyka, jest jednym z tych młodych poetów których najlepsze osiągnięcia wypływają z odczucia przyrody.

(j)

W dwóch słowach

FRANCJA :

Paul Rivet. *Cité Maya* (Albert Guillot, 1954).
Najpełniejsza książka dotycząca cywilizacji Majów. Obraz codzienne
życia, religii, sztuki, nauki, Bogate ilustracje.

Antoine Goléa. *Esthétique de la Musique Contemporaine* (Press
Universitaires de France, 1954).
Nietyle ,,estetyka'', co panorama szkół muzycznej ,,awangardy''. I
tym dytyrambie na cześć awangardy (zresztą ciekawym), rozumie się jeszc
lepiej artykuł Regameya o Panufniku.

Gabriel Germain. *Génèse de l'Odyssée* (Presses Universitaires
France, 1954).
Zastosowanie systemu mitów indoeuropejskich do Odyssei. Proter
— to rodzaj ,,guru''; Cyrce — odmiana Isztar.

Emile Mireaux. *La Vie Quotidienne au Temps d'Homè*
(Hachette, 1954).
Nowość w słynnej serii ,,codziennego życia'', w której Carcopino c
znakomitą książkę o Rzymie.

WIELKA BRYTANIA :

Julian Huxley. *From an Antique Land* (Parrish, London 195
Wielki biolog opisuje swe podróże na Środkowy Wschód, które odb
jako dyrektor UNESCO. Książka bogata w ciekawe informacje historyczn
archeologiczne, naukowe.

D. W. Brogan : *An Introduction to American Politics* (Hami
Hamilton, 1954).
Brogan jest najlepszym znawcą współczesnych instytucji politycznyc
Opisuje on amerykańską scenę polityczną — i wpływy poza sceną.

P. G. Wodehouse. *Performing Flea* (Herbert Jenkins, 1954).
Autoportret seniora angielskich humorystów.

U.S.A. :

Gardner Murphy. *In the Minds of Men* (Basic Books Inc., N
York, 1954).
Wyczerpujące studium wszystkich wewnętrznych konfliktów we wsp
czesnych Indiach.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

AMES (Henry). *Les dépouilles de Poynton*. Traduit de l'anglais par Simone David. Pp. 241. (Ed. Calmann-Lévy, Uaris, 1954, frs. 320).

TÉPHANE (Roger). *Fin d'une jeunesse*. Pp. 261. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1954).

VIECHERT (Ernst). *La grande permission*. Roman. Traduit de l'allemand par Henri Thies. Pp. 227. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).

ROWN (John). *Panorama de la littérature contemporaine aux Etats-Unis*. Pp. 653 avec introduction, illustrations, documents. (Ed. Gallimard, Col. Le point du jour. 'aris, 1954, frs 1.350).

OOLEN (Antoon). *Un village au bord de l'eau*. Traduit de néerlandais par G.S. Solpray. Pp. 283 (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).

VEIDLÉ (Wladimir). *Les abeilles d'Aristée*. Essai sur le destin actuel des lettres et des arts. Pp. 343. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 990).

AVIN (Maurice). *Le verseau*. Roman. Pp. 492. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 990).

ZAJĄCZKOWSKI (Tadeusz). *Ślad bosej stopy*. Str. 255. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn, 1954. Cena 15 sh.).

KUNCEWICZOWA (Maria). *Dwa księżyce*. Stron 237. Okładka i rysunki wyk. przez Tadeusza Terleckiego. (Wyd. Księgarnia Polska „Orbis", Londyn, 1954 jako Tom I. Biblioteki autorów polskich).

WAŃKOWICZ (Melchior). *Tworzywo*. Str. 434. (Wyd. Roy Publishers, New York, 1954, cena dol. 4 (w opr.), dol. 3 (w brosz.).

MOURGUES (Odette de). *Le jugement avant-dernier*. Roman. Pp. 239. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).

WITTLIN (Józef). *Sól ziemi*. Powieść o cierpliwym piechurze. Wydanie piąte. Str. 284. (Wyd. Roy Publishers, New York, 1954, cena dol. 3,50 (w oprawie), dol. 2,80 (w broszurze).

DOKUMENTY CHWILI

Zbiór dokumentów w sprawie Bergu. Str. 23. (Wyd. Ministerstwa Sprawiedliwości R.P., Londyn, październik 1954).

BARTON (Paul). *Prague à l'heure de Moscou*. Analyse d'une démocratie populaire. Pp. 355. (Ed. Pierre Horay, Paris, 1954, frs 900).

TYCHOTA (K.). *Ostatni Raport*. Str. 57. Powielacz. (Nakł. autora, Weissenburg-Bawaria, cena DM 0,50).

STROGOFF (Stéphan). *Le journal d'un jeune homme soviétique*. Pp. 311. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 650).

POEZJE

CZUCHNOWSKI (Marian). *Dama w jedwabnym płaszczu deszczowym*. Poezje. Str. 47. Okładka: J. Faczyński. (Wyd. Londyn 1954)

BUJNOWSKI (J.). *Lipowy witraż*. Poezje. Str. 39 (Nakł. Caucasus Press, Londyn, 1954).

BOHDANOWICZOWA (Zofia). *Ziemia miłości*. Wiersze wybrane. Str. 183. (Nakł. Społeczności Akademickiej Uniw. Stefana Batorego na Obczyźnie, Londyn, 1954, cena 12 sh. 6 d.).

BEDNARCZYK (Czesław). *Ziemia trudna*. Poezje. Str. 20. (Okładka i ozdobniki: Krystyna Sadowska. (Nakł. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1954).

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 195

Spis autorów

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

Utwory poetyckie

Najnowsza historia Polski

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

Kronika kulturalna

Sprawy krajowe

Sprawy i troski

Tłumaczenia

Z języka angielskiego:

Z języka francuskiego:

Listy do Redakcji

Różne

Noty biograficzne autorów

Wydawnictwa książkowe

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do twierdzenia p. Zofii Wańkowiczowej (Nr 10/84 artykuł „Kombatantki") jakoby „autorytety moralne milczały" wówczas gdy kombatantki we wrześniu 1944 roku radiowały do Ojca św. o swym groźnym położeniu podczas powstania warszawskiego, pragnę wyjaśnić, że Ojciec św. w telegramie do niżej podpisanego, opublikowanym w „Osservatore Romano" zwrócił uwagę całego świata na ciężki los Warszawy nawoływał „wszystkich ludzi dobrej woli do modlitwy za walczącą Polskę".

Również podczas audiencji do żołnierzy polskich, na której wówczas obecni byli p. Ambasador R.P. Papée i niżej podpisany, zwrócił Ojciec św. w dłuższym przemówieniu uwagę na ciężki los krwawiącej się w powstaniu Polsce, zapewniał o Swoich modlitwach i nawoływał narody do sprawiedliwości, „która by respektowała prawo Polaków". Przemówienie opublikowane w „Osservatore Romano".

Obszerniejszymi cytatami mogę służyć w każdej chwili, lecz sądzę, że te manifestacje Ojca św. są znane Emigracji polskiej, gdyż kilkakrotnie podawała je prasa.

Łączę wyrazy czci.

Józef GAWLINA,
Arcybiskup.



Szanowny Panie Redaktorze !

Do artykułu mojego o Nitschu („Kultura" nr 84) wkradł się błąd druku, wypaczający sens jednego ustępu. Zdanie na stronie 25 : „*Od czasu do czasu omawiał w krótkich notatkach krytycznych technikę przekładów w zorganizowanym swego czasu przez Borowego dziale krytycznym „Przeglądu Współczesnego" notatki te są najcenniejszą w naszej literaturze krytycznej dyskusją* (...)", powinno w rzeczywistości brzmieć : „*Od czasu do czasu omawiał w krótkich notatkach krytycznych technikę przekładów. Obok omówień przekładów różnych piór w zorganizowanym swego czasu przez Borowego dziale krytycznym „Przeglądu Współczesnego notatki te są najcenniejszą w naszej literaturze krytycznej dyskusją* (...)". Nitsch nie był współpracownikiem „Przeglądu Współczesnego". Jego notatki o przekładach drukowane były w „Języku Polskim".

Witold WEINTRAUB

Szanowny Panie Redaktorze,

Niedawno przypadło mi w udziale korygować informacje p. Ka Zbyszewskiego zawarte w artykule jaki pojawił się na łamach Pańsk doskonałego miesięcznika; dzisiaj muszę poprawić Jego starszego br W.A. Zbyszewskiego, który w artykule „Rządy Pana Premiera" (ze listopadowy „Kultury") czyni zastanawiające odkrycia geograficzne. P on mianowicie o swojej znajomej, która nazajutrz po przyjeździe na Ma kę „pędzi do Vallombrozy oglądać pamiątki po Chopinie". Na pe by tam ich nie znalazła, albowiem Vallombrosa, jak wiadomo dobrze m śnikom Włoch, leży w Toskanii — natomiast miejscowość na Majo gdzie znajdują się pamiątki po Chopinie, zwie się Valldemosa, jak to w domo jest tym, co zwiedzali to miejsce i opisywali je nawet w sw i obcym języku.

W cyklu swoich prowokujących powiedzeń, którymi W.A. Zbysz ski pobudza nas do myślenia, znalazłem w wspomnianym właśnie arty stwierdzenie, że gentleman (chyba tak właśnie, a nie „gentlemen" jak f ruje w artykule?), nie zmienia m. in. nazwiska. (Dodajmy, że autor m z dumą o swoim „nansenowskim paszporcie" co jest nieścisłe, albow paszporty te wydawane przez Ligę Narodów i wiodące swe miano wielkiego Nansena nie są identyczne z travel documents wydawan przez zespół państw po drugiej wojnie.) Jest to sąd pochopny. Jos Conrad, który był gentlemanem w każdym calu zmienił swoje nazwis ale wszystkim jest dobrze wiadomo, że był z pochodzenia Polakiem, j herb, Nałęcz, widnieje na grzbietach jego książek, a na liście jego wa ści moralnych pojęcie honoru, i to o zabarwieniu bardziej polskim angielskim, znajduje się bardzo wysoko — chyba najwyżej. Inny emig polski osiadły we Francji zachował swój przydomek de Wyzewa jako wiejszy do wymówienia i oswojenia się wzrokowego aniżeli jego pe szlacheckie nazwisko.

Ale skoro już jesteśmy przy Zbyszewskich — dziwi mnie nie że Witold Gombrowicz tak bardzo się przejął artykułem Karola Zbysz skiego w „Kulturze", jak się przyznaje do tego w swoich „Fragm tach z dziennika" (zeszyt listopadowy). Karol Zbyszewski w swo uwagach o szansach literatury polskiej na rynku światowym „chlapną jak to jest w jego zwyczaju, rozmaite trzeźwe prawdy pomieszane z wierzchownością. Niedawno słuchałem polskiej dyskusji radiowej z chodu, poświęconej temu tematowi (i z udziałem m. in. Karola Zbysz skiego), dyskusji ciekawej, ale nie rozprawiającej się zasadniczo z tez K. Zbyszewskiego. To co było istotnego w artykule K. Zbyszewskie celowo chyba prowokującym i przejaskrawionym, to stwierdzenie, istnieje związek między potęgą państwa i języka a sukcesami literatury nego kraju. Warto jest tę tezę przedyskutować, odrzucając jaskraw i cały żargon dziennikarski, w który Karol Zbyszewski przybrał swoje ważania. Byłoby to ciekawsze aniżeli utyskiwania na brutalność jego st czy dyskusje idące obok właściwego tematu.

Zbigniew GRABOWSKI



Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Podpisuję się oburącz pod słowami p. Mieroszewskiego w ostat numerze „Kultury". Nic co niemieckie nie powinno nam być oboję Chwali się tym bardziej „Kulturze", że nie poprzestała na słowach wprowadza to hasło *od razu* w czyn, umieszczając w tymże numerze art

o Saarze i bibliografię p. Kowalika. Ważniejsze jednak w piśmie noszącym szczytne miano „Kultura" są chyba sprawy ściśle kulturalne, zwłaszcza w stosunku do kultury niemieckiej, z którą łączą nas związki tysiącletnie, bliższe i bardziej nieprzerwane niż z jakąkolwiek inną kulturą Zachodu.

Tymczasem w tym samym numerze Czesław Miłosz drukuje ciekawe zresztą notatki o przekładach, w których omawia obszerniej przekłady na język polski i rosyjski, wzmiankuje przekłady na francuski i angielski, a przekłady z niemieckiego na polski zbywa jednym zdaniem, w dodatku niesłusznym („Goethe po polsku jakby nie istniał — „Faust" Zegadłowicza to chyba próba a nie żaden wynik"). Co do przekładów na inne języki, to Miłosz twierdzi z wielką pewnością siebie, że „w żadnym chyba kraju nie ma tak wielu i tak dobrych tłumaczeń w literatur obcych" jak w Rosji. Przypuszczam, że p. Miłosz mówiąc o „żadnym kraju" ma na myśli wyłącznie kraje naszej malutkiej Europy, gdyż nie zna zapewne ani japońskiego, ani chińskiego, choć wie niewątpliwie, że chińska tradycja przekładowa ma nie sto czy dwieście lat, ale bodaj dwa tysiące lat i że na japoński przekładani są również współcześni pisarze europejscy. Ale nawet w owych prowincjonalnych granicach europejskich Miłosz nie dostrzegł właśnie naszego najbliższego sąsiada.

Niemiecka tradycja przekładowa sięga co najmniej Średniowiecza (Pieśń o Rolandzie), a ilość tłumaczeń z języków obcych w języku niemieckim jest prawdopodobnie większa niż we wszystkich innych językach na kontynencie europejskim razem wziętych. Wystarczy wspomnieć, że istnieją co najmniej dwa przekłady „Pana Tadeusza" (w tym jeden, znakomity, Lipinera), że są przekłady „Chłopów" Reymonta (dzięki czemu Reymont otrzymał nagrodę Nobla), Żeromskiego, Wyspiańskiego, Kochanowskiego czy nawet „Dworzanina" Górnickiego (sic!). Niemiecki jest jedynym zapewne niesłowiańskim językiem Europy, w którym istnieją doskonałe przekłady z rosyjskiego. Dostojewski i Tołstoj dzięki nim stali się znani światu. A wreszcie, jeżeli rzeczywiście Pastiernak postawił sobie za cel zrobienie z Szekspira autora rosyjskiego, to poszedł niewątpliwie za przykładem Niemiec, gdyż tam Szekspir jest od stukilkudziesięciu lat (w przekładzie Schlegla) pisarzem równie narodowym jak Goethe. Niejeden przeciętny obywatel myśli całkiem serio, że Szekspir był Niemcem. Na koniec to wielki Niemiec i wielki Europejczyk Goethe stworzył samo pojęcie literatury światowej „Weltliteratur", które stanowi niejako podstawę filozoficzną i usprawiedliwienie dla wszelkich poczynań na polu tłumaczeń.

Warto dodać, że w przeciwieństwie na przykład do Francji i Polski przekłady w Niemczech i są i były robione zawsze przez ludzi znających zarówno język oryginału jak i swój język ojczysty, toteż są one na ogół bardzo dobre.

Nie wątpię, że poeta i znawca tego kalibru co Czesław Miłosz, który ponadto już od roku 1947 przebywa na Zachodzie, jest równie dobrze obeznany z literaturą niemiecką, jak z angielską czy francuską. Toteż to zlekceważenie Niemiec przypisać należy zapewne nie ignoracji, która jest zawsze wybaczalna, lecz wspomnieniom cierpień wojennych, a może odblaskom zawiści narodowej, którą jednak potrafił w godny pochwały sposób przezwyciężyć w stosunku do Rosji.

Nadmienię, skoro już o tym mowa, że chyba tylko wrodzonej skromności Czesława Miłosza należy przypisać, iż analizując rosyjski przekład „Otella" nie wspomniał nawet, że sam jest autorem (doskonałego zresztą) przekładu „Otella", który był drukowany przed kilku laty w „Twórczości".

Zechce Pan przyjąć, wielce Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Andrzej VINCENZ

Monsieur le Rédacteur en Chef,

La presse polonaise en exil fait périodiquement appel à notre émi-gration pour l'aide en faveur des écoles, collèges ou universités polo-nais à l'étranger. J'ignore les échos que rencontrent ces appels, bien q-je ne doute pas qu'ils procèdent d'un noble sentiment.

Or, je tiens à vous signaler qu'en février 1947, alors que j'appartenai-à l'armée Anders, ou exactement au P.K.P.R., j'avais été admis, ap-examen écrit, au „Kurs Handlowy" — Cours de Commerce à High B-net, dans la banlieue de Londres.

Le jour de l'ouverture du cours, j'étais avisé par le „wydzial oswi-towy" d'avoir à quitter le Collège, mon diplôme français de bachelier 1re partie — n'ayant pas été reconnu valable. Par contre, des élèv-évadés de Pologne après 1945, étaient admis à ce même cours, en l'a-sence de tout diplôme. Le colonel Ruchalowski — je n'ai pas à cach-le nom — à l'époque directeur du wydzial oswiatowy, auprès de q-j'avais vigoureusement protesté, me répondit textuellement que j'ét-inutile en Angleterre et que je pouvais retourner „là d'où je venai-c'est-à-dire en France.

Je vous livre ce fait sans autre commentaire. J'ajouterai toutefois q-le Directeur du Cours, un célèbre juriste — magister praw — av-épousé ma cause et était intervenu en vain auprès de ce colonel. ne me souviens malheureusement plus de son nom. Qu'il en soit remer-ici !

Déjà en Italie, j'avais rencontré les mêmes difficultés et après ê-sorti de la „Szkoła Podchorążych", je n'avais pas été reconnu dans m-nouveau grade. Cette situation fut régularisée par la suite. Mais persiste à croire, et je ne suis pas le seul, que les volontaires polon-de France, ont été particulièrement brimés au sein de l'armée polona-en Occident.

Dans ces conditions, il nous est difficile parfois d'appuyer les p-jets ou réalisations du Gouvernement polonais en exil, et nous préfér-nous cantonner dans un strict neutralisme, ou alors nous fondre avec masse de la nation qui nous a accordé son hospitalité. Il n'est pas agr-ble de ne rencontrer que déboires chez nos compatriotes, hélas!

Je vous prie de croire, Monsieur le Rédacteur en Chef, à l'assuran-de ma distinguée considération.

Mieczysław RUDŹ

Château-Renault.

◆

P. Józef Mackiewicz pisze : „przeciętna opinia polska tonęła w ko-pletnej ignorancji pomawiając Litwę o fantastyczne aspiracje do Grod-do Białegostoku, do Brześcia, czyli podsuwając jej dążenia, przed któr-ta właśnie najbardziej się wzdragała i broniła" (str. 88, „Kultura" z lis-pada 1954 r.).

Każda przedwojenna mapa litewska podawała te granice Litwy, kt-ustalił na papierze traktat litewsko-sowiecki z lipca 1920 roku, z tym, m. in. tereny Grodna, Lidy, Oszmiany, Święcian i Wilna na tych map-nazywały się „Litwą okupowaną przez Polaków".

W numerze 4/5 z roku 1954 wydawanego w Londynie czasopis-litewskiego „Santarvé" ukazał się artykuł redaktora, p. Fabiana Neve-viciusa, pt. „Wilno", w którym autor pisze m. in.: „Nasza koncep-może być tylko jedna : granice Litwy ustalone przez pokojową umo-moskiewską z lipca 1920 roku" (str. 119).

Zarzut, który p. Mackiewicz wysuwa pod adresem opinii polskiej, braca się przeciw niemu samemu. To, że „granice" owego papierowego raktatu nie obejmowały ani Białegostoku, ani Brześcia, nie zmienia istoty zeczy w sposób zasadniczy.

Nb. mimo że ze sprawami litewskimi miałem w ten czy inny sposób o czynienia od roku 1930 do 1945, nigdy nie spotkałem Polaka, który by ądził, że Litwa chciałaby panować nad Białymstokiem i Brześciem.

Stanisław WESTFAL

Dublin.

◆

Szanowny Panie Redaktorze !

Warunki obiektywne składają się na to, że nie mam stałego i regu-arnego dostępu do Pańskiego pożytecznego pisma. Z tegoż źródła techniczych niedociągnięć płynie też opóźnienie mych reakcji.

Otóż one :

Począwszy od pewnego czasu „Kultura" wzbogaciła się o nowy, wielce pożyteczny dział („„ABC instytucji międzynarodowych").

Godzi się więc równolegle do czułego przytaknięcia inicjatywie Redakcji, wytknąć też pewne braki i sprostować niejasne sformułowania.

1. Pan Jerzy Rencki w 6/80 numerze „Kultury" pozwolił sobie na dowolne przetłumaczenie angielskiego pojęcia : Trusteeship Council na Radę Mandatową. Czytelnik polski, wprowadzony w błąd mylną nomenklaurą nie pojmie zasadniczej różnicy istniejącej między Komisją Mandatową będącą instytucją doradczą byłej Rady Ligi Narodów, a Radą Powiernicwa (lub Powierniczą) będącą jednym z sześciu stałych organów O.N.Z. Różnica nie jest jedynie formalna, ponadto prawo narodów jak i każda inna dyscyplina prawnicza rości sobie słuszne pretensje do przestrzegania słownictwa zawodowego, tym bardziej, że w danym wypadku pojęcia są powszechnie znane i autor bez potrzeby trudził się tłumaczeniem.

2. W imię źle zrozumianej zwięzłości autor nie wspomniał o Sekretariacie przy wyliczaniu organów O.N.Z.; a szkoda, bo przeciętny czytelnik nie zorientuje się, że Sekretariat jest również stałym organem.

Niedawny wybór nowego Sekretarza Generalnego, jak również jego szerokie kompetencje w myśl paragrafu 99 godne były przynajmniej tego by zaznaczyć przynależność Sekretariatu do O.N.Z.

3. Dobrze by było to małe abecadło poszerzyć i dać czytelnikowi obraz instytucji międzynarodowych na ich historycznym czy też współczesnym — politycznym tle.

Życząc pomyślności Pańskiemu pismu łączę wyrazy poważania.

Jerzy HALECKI

Jerozolima.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11/85 „Kultury" w liście do Redakcji pan Stanisław Chromiński z Australii żali się na „niestosowną" treść listu otwartego skierowanego przez pana Janusza Kowalewskiego po Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Pan Chromiński pisze: „Zdaniem moim, zarówno poziom artykułu jak jego ton stanowią przeciwieństwo tego co czytelnicy „Kultury" przyzwyczaili się w niej znajdować, a w związku z tym również od niej oczekiwać".

Lubię polemikę i każdemu wolno w niej mieć swoje zdanie, ale tego rodzaju chwytów nie lubię!

Właśnie wprost przeciwnie, w „Kulturze" przyzwyczailiśmy się zı dować prawdziwie męską polemikę i listy wolne od prowincjonalnej fałs wej grzeczności i wszelkich pozorów kultury.

„Kultura" różni się od innych pism tym, że służy istotnej kultu i prawdzie. Gdyby w tym sensie „Kultura" miała się zmienić, natychm przestałbym być jej czytelnikiem.

Artykuł p. Kowalewskiego nie „roi się" od „niewybrednych pov dzonek i wątpliwego smaku dowcipów", ale zawiera przemyślane i dobr epitety, których pan Chromiński nie ma potrzeby się wstydzić.

Była to jedyna forma pełna gorzkiej ironii, w której p. Janusz Ko lewski mógł się wypowiedzieć. Ale nie tylko on został tak potraktowa tak potraktowano i — wszystko inne.

Gdyby „Kultura" stosowała się do recepty zalecanej przez p. Cl mińskiego zeszłaby niewątpliwie do rzędu pospolitych prowincjonaln pism i niewątpliwie straciłaby czytelników.

Ale abstrahując od osoby Prezydenta, o którą p. Chromińskie głównie chodzi, chcę stwierdzić, że o powadze ludzi decydują nie urz i piastowane godności, a po prostu czyny osób piastujących urzędy. Odw canie tych rzeczy daje zawsze rezultaty jak najgorsze.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Józef JENNE

Szwecja.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Marian Pankowski w październikowym numerze „Kultury" (10/ w artykule „Mowa bez ziemi", dotyczącym poezji emigracyjnej, omaw jąc tomiki poezji Józefy Radzymińskiej, jedyną piękną ich stronę odkry w „prześlicznych linorytach Krystyny Herling-Grudzińskiej". Cała tw czość tej młodej poetki w mniemaniu pana Pankowskiego zamyka się wami : „bez artystycznego przetrawienia", „formalnie blade", „humo tyczny anachronizm", „niepotrzebnie zaplute". Cieplejsze zwroty na ja zdobył się recenzent dotyczą jedynie „Dzikiej Perły".

Wolno panu Pankowskiemu oceniać czyjąś twórczość pisarską wec swojego „widzi-mi-się", ale winą redakcji jest publikowanie recen utrzymanych w tonie, nie odpowiadającym poziomowi, na jakim „Ku ra" chce stać. Sądzę, że budowanie autorytetu recenzenta drogą odbi nia walorów literackich takim czy innym osobom czy utworom jest met prymitywną, zwłaszcza jeśli recenzent sam potyka się co krok, wyrywa z utworów cytaty, świadczące o tym, że chyba nie czytał tego, o cz z takim znawstwem wyrokuje, używając słów nie literackich i nie „ku ralnych" w rodzaju „*zaplute*" (sic), wreszcie — wyliczając ilości w wierszu, czy stosując tak niemiłe chwyty, jakimi jest wytykanie błę ortograficznych (jak to ma miejsce przy omawianiu poematu Iwaniuka).

Dziwną drogą kroczy „Kultura". Linią przewodnią jest propago anarchii pojęć, dyskredytowanie wszelkich autorytetów i ustalonych wier przekreślanie lub lekceważący stosunek do twórczości i pracy innych. „obrazoburcza" akcja, jeśli nie jest podpartą wizją pozytywnych wart — nie jest służbą dla „kultury", nie jest postępem, jest akcją rozkłado anarchizującą nasze życie emigracyjne.

Nie wiem czy Pan Redaktor zechce opublikować mój list, zawi jący może zbyt ostre słowa i krytykę. Jest on jednak wyrazem uczuć nego ze stałych czytelników i sympatyków miesięcznika.

Buenos Aires.

Zbigniew ŻARNOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

W wrześniowym numerze „Kultury" p. Mieroszewski poruszył sprawę pierwszorzędnej wagi, to jest sprawę sytuacji wewnętrznej emigracji politycznej Drugiej Wojny Światowej, która wynikła z opanowania poprzez komunistów Polski w oparciu o sowieckie bagnety. Będąc bowiem w obozie zwycięzców zostaliśmy pokonani, gdyż nie pozwolono nam urządzić swego państwa według naszych zasad a narzucono nam, wrogie, obce zasady państwa bolszewickiego. W tej paradoksalnej sytuacji pół miliona obywateli polskich szuka nowej siedziby poza granicami Państwa Polskiego i dołącza się do dawnej emigracji w przeważnej części zarobkowej. Emigrację polityczna Drugiej Wojny Światowej można socjologicznie ugrupować w trzy pokolenia, a nie w dwa jak to czyni p. Mieroszewski. Pierwsze pokolenie, to to pokolenie, które walczyło o niepodległość lub też brało w czasie niepodległości czynny udział w życiu politycznym, gospodarczym, społecznym i kulturalnym. Temu pokoleniu jest niezmiernie trudno dostosować się do nowej rzeczywistości i żyje ono do pewnego stopnia w odosobnieniu w morzu amerykańskim, angielskim, afrncuskim itd.

Drugie pokolenie, to pokolenie urodzone w niepodległej Polsce, a wychowane w swej masie poza granicami Polski, do którego się sam zaliczam. Charakterystycznym objawem wśród tego pokolenia jest silne przywiązanie do polskości z jednej strony, lecz z drugiej strony jest silne wchłanianie w społeczności, wśród których żyje, kształci się, pracuje i wśród których stara się zdobyć pewną pozycję społeczną.

Wreszcie trzecie pokolenie, to pokolenie zrodzone już poza granicami Polski, wychowane zagranicą, które bez reszty żyje w otaczającej go społeczności.

Zarówno z dawna osiadła Polonia jak i te trzy pokolenia emigracji politycznej mogą wspólnie pracować, i to pracować pozytywnie dla Polski, gdyby po temu istniały odpowiednie warunki. Ale tych warunków dla pomyślnej pracy nie ma, bo :

Po pierwsze — hasłem i celem ogólnym jest koncepcja państwa na emigracji, państwa zamkniętego w sobie w pewnego rodzaju obozie przejściowym, które w chwili nastania odpowiednich warunków może być bez reszty przeniesione do Polski, państwa emigracyjnego utrzymywanego w nadziei powrotu. Lecz od „Żagwiącego Września" 1939 upłynęło już lat piętnaście, a od zawieszenia broni w Drugiej Wojnie Światowej już lat dziewięć. Pokolenie pierwsze się kruszy i wymiera, pokolenie drugie coraz silniej usadawia się wśród społeczeństw obcych, skąd trudno byłoby je wyrwać; zaś dla pokolenia trzeciego pojęcie państwa na emigracji jest mym zdaniem fikcją. Sumując, koncepcja ta nie wytrzymuje próby czasu. Dochodzi do tego jeszcze rozbicie na trzy ośrodki polityczne, z których żaden nie ma patentu na reprezentowanie Narodu Polskiego, ani też żaden z ośrodków nie ma w tej chwili zupełnego i bezspornego prawa reprezentowania zorganizowanej emigracji politycznej, nie mówiąc już o masie emigracyjnej, którą te sprawy mało obchodzą. Po drugie — nie ma opracowanych metod działania politycznego. Nie można bowiem akcji składania wizyt różnym urzędnikom federalnym w Waszyngtonie, czy też akcji składania protestów i memoriałów w ministerstwach państw zachodnich, nazwać metodą działalności politycznej emigracji politycznej. Nie można rozgrywek politycznych wśród samej emigracji nazwać metodą akcji politycznej. Można jednak na terenie Stanów Zjednoczonych A. P. prowadzić pewną dość ograniczoną rozgrywkę parlamentarną na rzecz Polski, poprzez posłów polskiego pochodzenia do Izby Reprezentantów w parlamencie amerykańskim. Można też prowadzić nieograniczoną działalność polityczną wśród społeczeństwa amerykańskiego, korzystając ze swobód politycznych gwarantowanych w konstytucji amerykańskiej. Jedna-

kowoż akcja ta nie może być i nie może mieć charakteru tymczasowości, le musi mieć charakter trwały, długofalowy, który zapewni jej powodzenie. D takiej pracy politycznej można wprząc całą Polonię, nawet w dziesią pokolenie bez reszty. Bo trzeba mieć na uwadze, że w obecnej chwili inter Polski pokrywa się w przeważającej części z interesami Stanów Zjednocz nych A.P. Po trzecie — musimy sobie zdać sprawę, że istnieją dziś dw ośrodki polityki światowej, a mianowicie Moskwa i Waszyngton. Sprzec wiając się Bolszewizmowi kierowanemu z Moskwy musimy starać się uzysk wpływy w Waszyngtonie, by naszego wkładu do walki z międzynarodowy komunizmem nie pominięto i by nie decydowano wciąż o Polsce wbrew jej i teresom państwowym. A cóż my robimy. Zamykamy reprezentację politycz emigracji Drugiej Wojny Światowej w londyńskim ghetcie, przyjeżdżając Waszyngtonu na wywczasy, a nie do rzetelnej pracy. Wielu reprezentant emigracji politycznej zapomina zupełnie, że na całej emigracji spoczywa zadania oraz obowiązki występowania w obronie interesów Państw Polskiego na Zachodzie, w obronie narodu polskiego, tak niesłusznie naz wanego satelitą Moskwy. Cała emigracja polityczna musi sobie wreszc uprzytomnić, że jej zadaniem jest:

1. Działanie na rzecz Państwa Polskiego, wciągając w to całą Poloni
2. Stworzenie reprezentacji politycznej opartej o zasady demokratyczn która by była zdolna do działania na rzecz Polski;
3. Zapewnienie reprezentacji politycznej odpowiednich środków ma rialnych w postaci Skarbu Narodowego, by mogła wypełnić spoczywają na niej obowiązki;
4. Opracowanie metod działania politycznego, które by wytrzyma próbę czasu;
5. Przeniesienie centrów działania politycznego do Stanów Zjednocz nych, które są jednym z dwu ośrodków polityki światowej.

Emigracja polityczna musi sobie, mym zdaniem, uświadomić, że polity nie jest dziedziną rozwichrzonych sentymentów, ale dziedziną rachunkowoś i wszystko gojącego czasu. Chcąc więc politykę prowadzić w myśl tej tez a zarazem chcąc naszą rachunkowość zamknąć saldem dodatnim w bilans historii, musimy mieć trzy elementy tejże polityki zawsze na widoku, o kt rych uprzednio wspomniałem, mianowicie:

1. Konkretne cele i na czasie,
2. Odpowiednio opracowane metody działania,
3. Właściwe miejsce do działania.

Niech mi będzie wolno Zespołowi „Kultury" pogratulować odwa w wydrukowaniu artykułu p. Mieroszewskiego, a p. Mieroszewskiemu pogr tulować śmiałości i trafności oceny niektórych procesów zachodzących wśr emigracji, o których tak wstydliwie się nic nie pisze i nie mówi.

Serdecznie pozdrawiam.

Bronisław S. WOJTUŃ

Philadelphia (USA).



Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z „oświadczeniem" Zespołu Kultury (Nr 11, 1954) w daje mi się nie od rzeczy określić stanowisko zwykłego współpracowni tego pisma: sądzę mianowicie, że nie może go obciążać w żadnej mier odpowiedzialność za takie zbiorowe enuncjacje i że zachowuje on peł swobodę swego odmiennego zdania.

Nie zamierzam wszczynać polemiki o treść odnośnego oświadczen Chcę jedynie zaznaczyć, że wyrażona w nim teza — „nie posiadamy emigracji warunków, by nadal kontynuować ustrój państwowy w opar

o Konstytucję z 1935 roku" — jest co najmniej kontrowersyjna. A dalej: zdanie, że „jest obowiązkiem (*sic*) każdego logicznie myślącego emigranta wstrzymać się z płaceniem jakichkolwiek opłat na Skarb Narodowy" stanowi wezwanie do określonej politycznej akcji.

Będąc w obu przytoczonych wypadkach wprost przeciwnego zdania, czuję się zmuszony, jako zwykły współpracownik „Kultury", do stwierdzenia mego niezależnego i niezwiązanego żadnymi „oświadczeniami" stanowiska.

Michał SOKOLNICKI

Stambul w listopadzie 1954.

◆

Drogi Redaktorze,

Szkoda, że nie spełnił Pan prośby O. Szymusiaka i nie sprostował Pan „przeoczeń czy omyłek", jakie zaszły w zeszycie listopadowym. Pozwoli Pan więc, że Pana wyręczę.

W istocie, mój list nie był „artykułem", ale zaczynał się i kończył jak list niniejszy. Opuszczając wstęp i zakończenie, stworzył Pan pozór, że chciałem Panu okazać lekceważenie przez pominięcie zwykłych formułek grzecznościowych. Tej machinacji domyślił się O. Szymusiak i słusznie ją Panu wytyka. Czego jednak nie mógł się domyślić, to że nie poprzestał Pan na tym.

Bo oto jedno ze zdań tego listu zmienił Pan w taki sposób, by nie mogło powstać podejrzenie, że i innych czytelników „Kultury" interesują przesłanki pesymizmu pp. Hostowca i Mieroszewskiego. Intencja tej zmiany wydaje mi się ważniejsza od samego faktu, dosyć zresztą niepokojącego (cóż to bowiem za zwyczaje, by zmieniać list do redakcji bez wiedzy autora?)

Dziwiłoby mnie bardzo, gdyby przesłanki pesymizmu pp. H. i M. nie interesowały innych czytelników „Kultury", świadczyłoby to bowiem o tym, że są oni wszyscy zgodni z Panem co do konieczności przemilczania tych przesłanek. Wątpię, czy ma Pan prawo imputować czytelnikom „Kultury" tego rodzaju solidarność z Panem. Dziś o tych przesłankach — które pragnąłem wydobyć na światło dzienne — mówią już jawnie i nie krępując się pp. Eisenhower i Dulles.

Ale gdy oni przechodzą jak najoficjalniej na koegzystencjalizm „Kultura" każe nam rozpatrywać zagadnienia międzynarodowe „pod kątem widzenia polityki wyzwolenia", a więc polityki ostatecznie porzuconej przez Stany Zjednoczone, a równocześnie pociesza nas, że „kolos sowiecki" sam się „rozłoży" na skutek buntu rosyjskiej inteligencji.

Ja to nazywam rozsnuwaniem zasłony dymnej. Dla czego zależy Panu na tym, by inteligencja polska nie widziała, co się na prawdę dzieje? Czyżby jej Pan nie ufał?

Po grudniowym zeszycie „Kultury" rozumiem, dla czego nie ogłosił Pan odpowiedzi pp. Hostowca i Mieroszewskiego. Być może, oni sami uznali, że lepiej nie odpowiadać. Czyż jednak w odezwie do czytelników, która otwierała składkę na dom „Kultury" p. Mieroszewski nie pisał: „Gotowe rozwiązanie można narzucić albo zadekretować. Ale narzucić i przekonać, to nie jest jedno i to samo. Jeżeli czytelnik ma być przekonany o słuszności tezy, musi brać udział w dyskusji i być aktywnym świadkiem krystalizowania się danego poglądu".

O nic innego mi nie chodziło. Ale dopraszam się o to daremnie. Zamiast dyskusji widzę nielojalność.

Racz przyjąć, Drogi Redaktorze etc.

Jan ULATOWSKI

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Andrzej PANUFNIK, l'excellent compositeur polonais qui a choi l'exil en juillet 1954, décrit le système adopté par le régime communis en Pologne pour asservir la vie artistique à des fins politiques, pour rend impossible toute création libre et pour isoler les artistes polonais l'Occident.

Marian PANKOWSKI nous donne une analyse de la poésie écrite Pologne entre 1944 et 1954. Après une période initiale de liberté (194 1946), la poésie devient enrégimentée dans l'étape du « chemin vers socialisme » (1947-1950), et elle finit par être réduite, depuis 1950, à mode d'expression du communisme bureaucratique.

Pawel HOSTOWIEC a tenu un journal pendant son récent voyage Vestphalie. Il commente la prospérité de l'Allemagne occidentale, l'év lution de l'attitude des Allemands envers le réarmement, l'étonnant lib ralisme économique, les conditions de vie des étrangers et des réfugie

Kultura publiait récemment une analyse des troubles politiques Guatemala. Andrzej Bobkowski, qui habite le Guatemala depuis pl sieurs années, s'élève maintenant contre l'interprétation que cet artic donnait aux événements. Bobkowski maintient que Costello Armas éta l'artisan d'une « libération » authentique.

Stanislaw Zarzewski, l'auteur de l'article discuté, admet que M. Bo kowski peut avoir raison quant aux faits, mais il ne place pas le problèm dans son contexte international.

Nous inaugurons une série de pastiches de la presse polonaise de l'ém gration. Le premier est naturellement consacré à notre confrère *Wiad mosci*, l'hebdomadaire littéraire publié à Londres.

Kultura commence la publication du nouveau roman de Czesla MILOSZ, *La Vallée de l'Issa*. Un coin perdu de la Lithuanie vers 191 Autour de l'enfant Thomas, les adultes vaquent à leurs occupations quot diennes et participent de loin à la vie de l'histoire. Mais ils sont aus liés — et Thomas le ressent d'une façon puissante, quoique imprécise à une autre vie située hors de l'histoire qui est celle de l'être profon et de la nature dans ce terroir où le mythe païen est encore viva sous ses accomodements avec la chrétienté.

Juliusz MIEROSZEWSKI reprend le thème de « l'émigration A (les politiciens âgés qui se perdent dans leurs jeux anachronique et « l'émigration B » (la masse des exilés polonais qui s'intègre activeme à la vie sociale et économique des pays de l'Occident). Tant qu'on trouvera pas le moyen d'intéresser « l'émigration B » à une politiq polonaise en exil, il n'y a pas d'espoir de sortir de l'impasse présen des crises futiles.

Klaudiusz HRABYK polémise avec un article récent de Juliu Mieroszewski qui liait les buts de l'émigration polonaise à la politiq américaine. Il maintient que si les Etats-Unis épousent la thèse de « coexistence », il ne reste aux exilés polonais que de resserrer leurs lie avec la Pologne, de façon à ce que leur appui reprenne quelque vale aux yeux des occidentaux.

Le Rédacteur de *Kultura* répond à M. Hrabyk en disant qu'entre une signation à un monde communiste et une solidarité avec le monde cidental, même si l'on désapprouve sa politique, il n'y a pas d'autre ioix réaliste.

Le commerce entre la Pologne et l'Occident est-il désirable du point : vue polonais ? demande Stanislaw ZARZEWSKI. Il répond affirativement à cette question, pourvu que certaines conditions soient)servées.

Kultura continue l'étude de bibliographies allemandes consacrées à Pologne entre 1944 et 1953.

Le régime communiste organise en janvier 1955 une célébration du xième anniversaire de la « libération » de Varsovie par l'armée soviéque. C'est la première fois qu'on ose célébrer cet anniversaire — tel est ressentiment des Polonais envers cet épisode de l'histoire qui rappelle ie les Russes ont attendu la fin de l'insurrection et la destruction de capitale avant d'y entrer. *Kultura* publie dans la section de « la plus cente histoire de Pologne » un long poème inédit de Zbigniew Jasinski : Le Chant de l'Insurrection » qui fut diffusé par la radio des insurgés dernier jour de leur lutte.

Il est temps de se rendre compte que l'U.R.S.S. n'est pas un monolithe qu'elle comprend des nations asservies qui sont nos alliés naturels. *ultura* entreprend la publication d'un cycle d'études sur « Les Nations : l'Union soviétique » par Wladzimierz BACZKOWSKI, un des meilleurs écialistes dans ce domaine. Dans le présent numéro : « Le Caucase ». Des revues de livres polonais et étrangers complètent le numéro.

ENGLISH SYNOPSIS

Andrzej PANUFNIK, the excellent young Polish composer who chose cile in July 1954 describes the means adopted by the communist regime Poland in order to make all free artistic creation impossible, and to olate Polish artists from the West.

Marian PANKOWSKI gives an analysis of the poetry written in Poland tween 1944 and 1954. After an initial period of freedom (1944-1946), etry becomes a tool in the intermediary stage of the «road to socialism» 947-1950), and it is finally reduced — since 1950 — to a mode of pression of bureaucratic communism.

Pawel HOSTOWIEC kept a diary during his recent journey to Westialia. He comments the prosperity of Western Germany, the evolution German opinion towards the problem of rearmament, the astonishing onomic liberalism, living conditions of refugees.

Kultura published recently an analysis of the political troubles in uatemala, Andrzej BOBKOWSKI who lives there since several years now protesting against the interpretation given to events by this article. e maintains that Costello Armas is an authentic «liberator».

Stanislaw ZARZEWSKI, the author of the controversial article, points it that Mr. Bobkowski may well be right in his factual statements, but ides the issue of the international context of these events.

Kultura begins the publication of a new novel by Czeslaw MILOS «The Valley of the Issa». A small country house, a village in Lithua about 1914. Around Thomas, a small boy, the grown-ups go around th daily work and participate at a distance in the life of history. But tl are also bound — and Thomas feels it very strongly — to another l situated outside history, which is the life of man's deep being and nature in this valley where pagan myth is still alive under accommodations with Christianity.

Juliusz MIEROSZEWSKI deplores the division of Polish emigrat into two categories: «A», consists of elderly politicians who untirin play the game of cabinet crises; «B» — are those young Polish technici specialists, professional people who become socially and economic integrated in their countries of resettlement. Camp «B» has by no me lost interest in Poland and in Polish affairs. But it has no use for ca «A». And there cannot be any Polish policy in exile without the participation of «B» Poles.

Klaudiusz HRABYK has sent us a polemical article in which criticises a recent article of Mieroszewski's, who was roughly saying t any Polish policy in exile must be closely tied to the U.S.A. Mr. Hral maintains that if American policy embarks on a period of «coexistan there is no use for Poles in exile to offer their unwanted servi Mr. Hrabyk suggests that Polish exiles should in this case strengthen tl ties with Poles in Poland, and become the «interpreters» of their coun in the West. The Editor of *Kultura* answers Mr. Hrabyk's article saying that there are only two possible choices for us: either to beco resigned to a communist world, or to remain *part* of the Western wo whether we agree or not with its immediate policy. Any other solut is merely a version of either of these.

Stanislaw ZARZEWSKI studies the question of Polish trade with West.

We continue the publication of Polish bibliographies in Germany a the last war.

The communist regime in Poland is organising in January 1 celebrations of the tenth anniversary of the «liberation» of Warsaw by Red Army. It is the first time that the regime dares to celebrate anniversary — so strong was the resentment of the Poles after the So forces let the Warsaw rising be defeated. *Kultura* publishes in its sect of the «Recent Polish History» a poem of Zbigniew JASINSKI wh was broadcast from Warsaw on the last day of the Rising.

Kultura inaugurates a series of studies of the peoples of the So Union, by Wlodzimierz BACZKOWSKI, one of the best specialists these questions. In this issue — Caucasus.

Korespondent londyński ,,Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI, 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-(IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 1er Trimestre 1955

LTURA REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
KA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria , Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
RALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
IA I KONGO BELG.: Janina Korab wska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles- Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
ZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia ka,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de , oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, a, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiarâ a Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
T. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany- nda), Roman Królikowski, POBOX 5979, , Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
NCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Ile, (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
ADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Ja- Trading Co.,** 835 Queen St. W. Toronto 3, **it. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Win- Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Dri- onto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec”,** 700 St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
SYK: Victor Stanisławski, Apartado 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
ICY: „Ostatnie Wiadomosci”, Gendarme- serne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** München 13, Ingolstaedterstr. 115, Haus .	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
WEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
AJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal- Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
ECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsga- IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf 615 Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew iski,** 1818 No Sierra Bonita Ave., Holly- 6, Calif.; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.— Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewa-** 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; **opacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. V-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin- ve, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 ey St., Santa Barbara, Calif.; **M. Szy-** , 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; **anowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich	75 cent.	4 dol.	6 dol.
RYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169- ttersea Church Road. London. S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
CHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
0 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.
ości we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
rzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

na ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)

IMPRIMERIE RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris-18e

Cena 300 fr